

## " Piekło dobrej magii"

### PROLOG

Gdy sekretarka Cartridge`a weszła do gabinetu szefa, jego gość wyrzucił z siebie ostatnie, podsumowujące zdanie. Sam agent siedział spokojnie w fotelu, a Jonathan Weather, alias Greg Burns, pochylał się nad nim, strzelając doń z ułożonej w kształt pistoletu dłoni.

- ...i nie myśl, że mam przewrócone w głowie. Wiem, ile jestem wart i, na Boga, nie przesadzam w tej ocenie, wiem dokładnie, na którym szczeblu drabiny powinienem siedzieć. Zupełnie szczerze powiadam ci, że nawet nie patrzę na te wyższe, ale - szlag by to trafił - przez ciebie, nawet na tym swoim nie mogę wygodnie przycupnąć! Może byś podjął decyzję - zajmujesz się mną czy nie? Nie powiem, żeby na moim trawniku koczował tłum agentów, nie powiem, że wystarczy jeden telefon, ale prędzej czy później znajdę takiego, który nie pogardzi rzetelnym zarobkiem. Więc się zdecyduj. Czas płynie, przybywa mi lat i nie mam już czasu na czekanie! Ominął Rachel i bez pożegnania wyszedł z gabinetu. Cartridge sapnął i poruszył się w fotelu, jakby zaswędziały go plecy.

- Od siedmiu lat czekam, żeby wreszcie przestał mnie kokietować swoim wiekiem, ale on tak się przywiązał do tego tekstu... - Skrzywił się i zaczął parodiować Weathera: - Nie jestem młodzieniaszkiem... Albo teraz, albo trzeba dać sobie spokój... Nie wiem, czy Pan Bóg przewidział dla mnie więcej czasu...

- Nie przesadzaj, nie tak często zdarzają mu się podobne ataki.

Rachel położyła przed szefem dwa telegramy, trąciła palcem stojący nierówno aparat telefoniczny, musnęła dłonią twardey pędzel z kilkudziesięciu ołówków i wróciła do sekretariatu. Jonathan Weather siedział na jej biurku ze słuchawką przy uchu. Palcami wybijał jakiś rytm

na blacie, kiwał stopą i miał zniecierpliwioną minę. Rachel podeszła do szafy z aktami i zaczęła udawać, że szuka czegoś w szeregu ułożonych według kolorów teczek. Czekala, aż Weather zejdzie z jej biurka. Nie chciała siedzieć mając przed sobą jego plecy, a w obecnym nastroju mogła się przeliczyć co do jego manier.

- Bob?! No, jesteś wreszcie! - Jonathan zeskoczył z biurka. - Co z maszyną?

- Słuchał chwilę, potem dwa razy próbował przerwać rozmówcy. Za trzecim razem podniósł głos. - W porządku, nie usprawiedliwiaj się! Jestem w

mieście i nie potrzebujesz wysyłać nikogo do mnie. Zaraz u ciebie będę... -

Słuchał chwilę, przytupując. - Dobra, nie obchodzi mnie co było. Ważne,

żebym znowu nie musiał za kilka dni do ciebie dzwonić... W porządku...

Przecież mówię, że w porządku... za dziesięć minut...

Rzucił słuchawkę na widelki i popatrzył na Rachel.

- Jak ty możesz pracować z tym palantem? - zapytał, wskazując drzwi do gabinetu Cartridge`a.

- Och... - obeszła biurko i usiadła na swoim krześle. - Ja tylko piszę mu listy i podaję rachunki.

Weather zapalił papierosa. Wyglądało jakby nagle przestał się - wbrew danej przez telefon obietnicy - śpieszyć.

- Musiałem coś przeskrobać w poprzednim wcieleniu. Czasem myślę, że nie bez kozery, Stwórca dał mi akurat tyle talentu, ile być może mam, i dużo obiektywizmu, żebym się tą mizerną działką męczył. Żebym tylko wiedział, co zrobiłem...

Mrugnął do Rachel i przesłał jej krótki, sztuczny uśmiech, bez odbioru, i wyszedł. Na korytarzu poczęstował popielniczkę, dopiero co zapalonym papierosem. Dopiero widok nowiutkiego, kupionego trzy dni temu challenger'a poprawił mu humor. Cokolwiek by mówić, pomyślał wsiadając do samochodu, bez pisaniny nie byłoby mnie stać na to cacuszko.

Grafoman, który może ze swojego rzemiosła czerpać korzyści, to chyba

nieźle? Przesłał uśmiech swojemu odbiciu w lusterku, sprawdził sytuację na jezdni i włączył się do

ruchu. Jazda nowym wozem radykalnie poprawiła mu humor, umyślnie skręcił nie w tę przecznicę, co trzeba, wydłużył drogę do warsztatu i wszedł do niego, uśmiechając się promiennie do Boba.

- Jestem! - uścisnął dłoń szefa. - Tym razem gotowa na mur?

- Oczywiście. Ale muszę powiedzieć, że ktoś grzebał w maszynie...

- A co miałem zrobić, jak o drugiej w nocy zaczęła warczeć? Walek miotał się w jakiejś idiotycznej czkawce po każdym uderzeniu cofaka? Coś tam podciągnąłem...

- Aha... No, nieważne. Maszynka jest cacy. Ale może wzięłby pan nową? Firma...

Weather dobrodusznie poklepał Boba po ramieniu.

- Dajmy spokój, Bob. Wiem, że firma jest gotowa dać mi inny egzemplarz, w końcu coś mi się należy za reklamy. Ale zostanę przy niej. - Postukał palcem w walizeczkę leżącą na biurku. - Jest najcichsza. Ale ostrzegam - widziałem elektronicznego Zephyra. Gdyby mu tak nie klekotały klawisze...

- My też mamy coś w zanadru! - pochwalił się Bob. - Za dwa tygodnie pozwolę sobie pana odwiedzić. Będzie pan zadowolony - cichutka klawiatura, przenośna, radiointerfejs z pamięcią i drukarką! Bajeczka!

- Tak? Niepotrzebnieś mi powiedział, będę się męczył przez dwa tygodnie. - Jonathan wziął walizeczkę i wyciągnął dłoń do Boba. - Jadę. Coś się chmurzy, będzie padało. Do widzenia.

- Do widzenia, panie Burns.

Wydaje mu się, że mnie lechcze tym pseudonimem, pomyślał Jonathan. Dlaczego ludziom wydaje się, że inni są głupszy od nich samych? Jeśli ich cudeńko nie będzie rzeczywiście dobre, to won! Kupię sobie Zephyra, a prędzej czy później to mi się opłaci. Cholera, jednak pada...

Szybko przebiegł parking przed siedzibą firmy i wskoczył do challengerera.

**Przed uruchomieniem silnika włączył radio i starannie przeszukał trzy zakresy, zanim odnalazł stację nadającą archiwalne nagrania z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.**

**Zatrzymałem się na tych zespołach... Kurczę, to jednak jest kawałek muzyczki! Proste rytmy, prosta linia melodyczna, ale jaki duch! Te gnojki z ich metalem, punkiem i recytankami czarnuchów nie są godne nosić sprzętu za Lennonem czy Plantem. Nie mówiąc już o Floydach. Poprawił leżącą na fotelu walizkę z maszyną, przelożył na jej pokrywę walkmana i dopiero, gdy szyby upstrzyły się pęczniejącymi kroplami wody i strużkami biegnącymi w nierównym rytmie ku krawędziom drzwi i karoserii, uruchomił silnik. Ostrożnie wykołował na ulicę, spokojnie wyjechał do wylotu miasta i przyśpieszył do, uznanej za rozsądną, prędkości pięćdziesięciu mil na godzinę.**

**-mignąłbym do domu w czterdzieści minut. A tak będę się włókł godzinę. Jak nie więcej, pomyślał.**

**Rozsiadł się wygodniej. Deszcz, niezbyt ulewny w mieście, tu lunął zdecydowanie, cierpliwie czekał na rogatkach szukając wstępu do city. Błyskawica liznęła nieboskłon ognistym jęzorem, zanurzając postrzępione żądło w płaszczyźnie horyzontu. Kilka sekund później suchy, złożony z kilku tonów trzask, przeniknął przez karoserię. Radio trzeszczało, echem wtórując wysokim audiowizualnym efektem na zewnątrz. Weather zaklął półgłosem. Ponaglone przez komputer wycieraczki przyśpieszyły nieco, jak gdyby przeszły na akordowy system wynagrodzeń. Komputer wytrzymał jeszcze kilkanaście sekund i odezwał się:**

**"Ostrzegam, że przyczepność kół zbliża się do wielkości krytycznej. Proponuję zmniejszyć prędkość do trzydziestu siedmiu mil. Aquaplaing..." Jonathan pstryknął palcem w wyłącznik głośnika, ale zmniejszył jednak nacisk stopy na pedał przyspieszenia. Niezadowolony komputer zabarwił**

wskazania prędkościomierza na rubinowy kolor, ale na tym zakończył swoją ingerencję. Rozkwitły następne błyskawice. Tym razem jedna trzepnęła w horyzont, dwie pozostałe o wiele bliżej. Weather odruchowo zwolnił jeszcze bardziej. Szosa była pusta. Poza jego fordem nie widać było nikogo. Grzmot długą, potarganą serią uderzył w uszy. Jeszcze dwie błyskawice - pierwsza

uderzyła w znajdujące się o pół mili drzewo. Burza sadziła wielkimi krokami na spotkanie Weathera. Zatrzymał samochód. Rozejrzał się dookoła.

Żadnych drzew, cholera, pomyślał zaniepokojony. Teraz ja jestem najwyższym punktem w okolicy. Zapytać komputer czy jestem uziemiony? Może wysiąść? W taki deszcz?! Cholera z taką pogodą...

Zapalił papierosa. Uchylił okna i nie zważając na wpadające do środka krople wody, usiłował przyjrzeć się okolicy, ocenić sytuację. Podskoczył na siedzeniu, gdy kolejna błyskawica wbiła się w pole nieregularnym korkociągiem, jakieś trzysta jardów od niego. Nie zdążył zasłonić uszu i omal nie krzyknął, gdy najgłośniejszy dźwięk jaki słyszał w życiu, zaatakował jego bębunki. Zaraz potem, nie zastanawiając się wyskoczył z wozu. Odruchowo usiłował zamknąć drzwi, rzucając się do ucieczki w mokre pole. Palce

ześlizgnęły się po naoliwionej deszczem karoserii. Jonathan pognał w pole unosząc wysoko nogi, choć przy takim nasileniu ulewy nie miało to żadnego znaczenia, ani dla obuwia, ani stanu spodni czy skarpetek. Po kilkudziesięciu krokach zwolnił, zatrzymał się i odwrócił. Burza jakby czekała na tę właśnie chwilę. Oślepiające światło uderzyło w oczy w akompaniamencie bolesnego grzmotu, a zaraz potem challenger podskoczył i nagle, jakby napompowany przesadnie, otworzył wszystkie drzwi, chuchnął wokół siebie jakimś pyłem, po czym rozjarzył się przeraźliwie pomarańczowym światłem i huknął metalicznym grzmotem. Jonathan

dojrzał lecące we wszystkie strony odłamki. Runął w zmięte źdźbła i błoto, ogłuszony, oślepiiony, ale jeszcze nie zdenerwowany ani utratą wozu, ani swoim położeniem. Wszystko działo się tak szybko, że normalne odruchy - złość, żal, strach, dotarły doń dopiero po kilkunastu sekundach, gdy przekonany, że co miało fruwać już wylądowało, uniósł głowę i popatrzył na płonący samochód. Szkielet samochodu w powodzi ognia.. Już po bryce? No to mam szczęście... Rzeczywiście - gdybym tam siedział... Jeden z pierwszych egzemplarzy dla ruchu lewostronnego. Taka maszyna!, pomyślał i splunął.

Otarł przedramieniem twarz, dmuchnięciem strzepnął z wąsów wodę. Zrobił krok w kierunku ognistego stogu i potknął się o jakiś przedmiot. Walkman. Patrzył chwilę na jeden z nowszych modeli Sanyo, schylił się, podniósł i nacisnął klawisz z napisem "Play".

Końcówka solówki Jimy`ego Page`a zagłuszyła trzask ognia i szum deszczu. Huknął jeszcze jeden grzmot zdecydowanie cichszy od tego, który towarzyszył trafieniu forda. Weather wyłączył walkmana, odruchowo schował go pod połę marynarki i zrobił jeszcze dwa kroki w kierunku samochodu. Nie zamierzał gasić wozu, po prostu w tym momencie nie był w stanie ruszyć się nigdzie indziej. Cztery jardy od siebie, nieco z boku, dojrzał walizkę z maszyną.

Nasze produkty przetrzymują nawet bezpośrednie trafienie pioruna! Niezły slogan. Żebyż jeszcze można było powiedzieć to samo o samochodzie!

Zbliżył się do walizeczki, podniósł ją, potrząsnął i ze zdziwieniem odnotował, że nie słyszy klekotu rozsypanych wewnątrz części. Zamierzał postawić maszynę na rozmiękczonej glebie, zamarł jednak trzymając ją nadal. Zmroziła go panująca wokół niewytłumaczalna cisza. Widział dopalający się wrak, krople wody uderzające w zabłocony asfalt, ale nie towarzyszył temu żaden dźwięk. Potrząsnął głową, nabrał powietrza żeby krzyknąć i w tej samej chwili zachwiał się i omal nie upadł, gdy stopa

obsunęła się po kopczyku rozmięklej ziemi. Zmrużył oczy. Otoczenie zafalowało jak na rozgrzanej do białości pustyni. Wypuścił powietrze z płuc i nabral świeży haust. Przed oczami popłynęły przeraźliwie kolorowe kręgi. "Serce?... Wylew! Nic nie bo..."

\* \* \*

Pięć jardów nad głową rozmazana kremowa plama scalała się w sufit, którego wysokość i kształt najbardziej pasowałyby do gotyckiego zamku albo kaplicy. Brakowało jednak biblijnych scen i nie pasował kolor - biel złamana delikatną, pomarańczową barwą. Jonathan przeczekał kilka przyływów i odpływów ostrości widzenia, po czym spróbował poruszyć głowę. Szyja zesztyniała mu na kamień, a kiedy zacisnął zęby i szarpnął głowę, gdzieś od pleców, uderzyła go w skronie fala bólu. Jęknął cicho i ponownie zapadł w nicość. W podobny sposób odzyskiwał i tracił przytomność kilka razy. Uświadomił to sobie podczas kolejnego, czwartego czy piątego seansu świadomości. Długą chwilę mrugał, wpatrując się w dziwne łukowe sklepienie. Osiągnął tyle, że mógł dokładnie przyjrzeć się widokowi nad głową. Ostrożnie poruszył gałkami ocznymi, dzięki czemu dotarł spojrzeniem do ścian, które przechodziły w sklepienie, łagodnie pochylając się ku sobie z czterech stron. W jednej ze ścian zobaczył górną część drzwi, właściwie otworu drzwiowego prowadzącego na nieco ciemniejszy korytarz. Ostrożnie odchrząknął, poruszył wargami. Spodziewał się, że będą spękane, ale brakowało im oznak choroby. Ostrożnie, gotów w ułamku sekundy zaniechać wysiłków, napiął mięśnie szyi i w tej samej chwili w polu widzenia pojawiła się głowa, która pochylili się nad nim. Nad jego twarzą zawisła dłoń, dotknęła czoła i odsunęła się. I twarz, i dłoń należały do mniej więcej czterdziestoletniej kobiety o skórze ciemniejszej niż cera Weathera, być może Hinduski. Włosy gładko zaczesane do tyłu odsłaniały małe uszy.

**Patrzyła chwilę na Jonathana, a potem pulchne wargi poruszyły się i powiedziała coś.**

**- Nie rozumiem - Odczekał chwilę i nie widząc oznak zrozumienia w oczach kobiety, zapytał: - Gdzie jestem? Co się ze mną dzieje?**

**Kobieta powiedziała jeszcze coś i również odczekała chwilę.**

**- Wygląda, że czekamy na to samo - na zrozumienie. Ale coś nam nie wychodzi - powiedział Jonathan. - Proszę zawołać lekarza, albo jakąś siostrę przełożoną czy kogoś, kto pracując w angielskim szpitalu nauczył się również władać tym językiem.**

**Chciał podnieść się, ale kobieta zdecydowanie trąciła go w ramię i przytrzymała. Drugą ręką sięgnęła gdzieś poza pole jego widzenia, podniosła ciemny, niemal czarny kubek i przyłożyła mu do ust. Jonathan wciągnął nosem powietrze i szarpnął się - zapach cieczy przypominał rozgrzany, przygotowany do wylania asfalt. Kobieta rozumiejąc, że skapitulował, zalała jego przekleństwo gęstą cieczą, smakującą jak stopiona parafina. Zrezygnowany, przełknął ciepłe świństwo. Nagle poczuł pulsowanie krwi w skroniach, sklepienie skoczyło w dół, skręciło i odleciało w bok, odsłaniając znajdującą się nad nim ciemność. Zanim Jonathan definitywnie stracił panowanie nad ciałem i umysłem, usłyszał głos z naciskiem powtarzający jakieś obce słowa. Resztką świadomości przyswoił, że głos nie należy do pielęgniarki.**

**Musiał tu być jeszcze ktoś in...**

**Czwarta doba, południe**

**Kolejne odzyskanie przytomności przypominało raczej przebudzenie, być może po prostu nim było. Otworzył oczy, przypomniał sobie piaskowe, kamienne ściany i cztero-płatkowy sufit i stwierdził, że wszystko znajduje się na swoim miejscu. Usiadł na łóżku i rozejrzał się, podniecony swoim**



dobrym samopoczuciem. Leżał na szerokim, wygodnym, kamiennym łożu. Kamiennym! Puknął kilka razy zgiętym palcem w wezłowie. Było szorstkie, przypominało w dotyku lekko rozgrzany piaskowiec i zapewne było z niego zrobione. Z identycznego materiału wykonano drugą ściankę, przy stopach. Pościel była szara, tkana z jakiejś grubej i miękkiej nici. Subtelnie zróżnicowane, pod względem grubości i odcienia szarości, nitki, tworzyły geometryczny wzór kojarzący się odległe z rombami i zygzakami w meksykańskim poncho. Tuż przy wezłowiu, w kamieniu wykuta była płytka, ale szeroka na całą ścianę nisza, w której znajdowało się kilka naczyń, różnej wielkości. Wykonane były z jakiejś miękkiej szlachetnej odmiany porcelitu mieniającej się różnymi odcieniami brązu. Jonathan zauważył swoje ubranie, porządnie poukładane na prostym koziołku z jakiegoś sękatego drewna, ze zgrubieniami i połyskiem przypominającym bambus. Weather odrzucił lekki pled i wstał, zdecydowany znaleźć toaletę. Za koziołkiem stała walizeczka z maszyną, na podłodze tuż obok leżał walkman. Weather syknął i zerknął pod łóżko. Rozważał przez chwilę możliwość wezwania pielęgniarki, ale byłby to pierwszy raz w jego życiu, kiedy w tak fizjologicznej sprawie uzależniłby się od kobiety. Zachowując ciszę wysunął się na korytarz przez jedne drzwi i wyjrzał w szerszą odnogę, najprawdopodobniej główną strugę. Była pusta. Tu również - dopiero teraz Weather uświadomił to sobie - nie było okien, ani żadnych lamp, czy kinkietów, a mimo to było jasno, jak w oświetlonym mocnym porannym światłem pokoju z zaciągniętymi lekko pastelowymi zasłonami. Zupełnie jak gdyby piaskowiec czy inny kamień użyty do budowy dziwnego gmachu szpitala przepuszczał światło słoneczne albo sam emanował je z siebie. Weather jęknął i zacisnął pięści. Potrzeba oddania moczu odsunęła na dalszy plan rozważania architektoniczne. Ruszył w prawo, gdzie korytarz załamywał się i jakby nieco ciemniał. Łazienka albo jakiś ciemny kąt,

**pomyślał Jonathan, tego właśnie potrzebuję. Ależ głupio...**

**Na palcach przebiegł osiem jardów, wysunął głowę i widząc pustą perspektywę korytarza, śmiałym, zdesperowanym krokiem posunął się do przodu. Pierwsze drzwi, właściwie tylko otwór drzwiowy, podobnie jak w znanym mu już pokoju, prowadziły do nieco ciemniejszej niż korytarz komory. Trzy jej ściany były gładkie, natomiast czwarta, poźłobiona pionowymi rowkami głębokości mniej więcej cala, na styku z podłogą miała czterocalowy rowek, na dnie którego ciemniały trzy otwory. Jonathan szybko przysunął się do ściany i uznając swe pierwsze wrażenie za słuszne z ogromną ulgą załatwił potrzebę. Chyłkiem wrócił do swojej komnaty i zadowolony rzucił się na łóżko. Teraz mógł przystąpić do realizacji potrzeb duchowych, to znaczy do zaspokojenia ciekawości. Na początek odchrząknął głośno. Czekał dwie minuty na jakąś reakcję. Sprawdził czas na zegarku, ale złota, odporna na wszystko delbana stała niewzruszenie jak mury komnaty.**

**Gratuluje, mruknął do siebie albo pod adresem producentów. Trochę elektryczności, odrobina błota i po zegarku. Chłam... Rozejrzał się jeszcze raz po pokoju, utkwiał spojrzenie w jednych drzwiach i zawołał: - Jest tam kto?**

**Pół minuty później, gdy nabierał powietrza zamierzając krzyknąć głośniej, usłyszał ciche kroki. Wypuścił powietrze, poprawił pled i oblizal wargi. Do komnaty weszła znana mu już kobieta. Zatrzymała się zaraz za progiem i uśmiechnęła się do Jonathana. Tacę z naczyniami trzymała przed sobą.**

**- Widzę, że czujesz się znacznie lepiej - powiedziała. Nie ruszała się z miejsca, jakby czekała na wezwanie. Jej uważne, wyczekujące spojrzenie zdziwiło pacjenta. Zamrugał oczami czekając na ciąg dalszy. - Dobrze się czujesz? - zapytała pielęgniarka, nadal nie poruszając się, jakby od odpowiedzi zależało, czy podejdzie do pacjenta.**

**- Dobrze. Zupełnie dobrze, w każdym razie nie potrafię znaleźć w sobie**

niczego, na co mógłbym się poskarżyć.

- To znakomicie.

Pielęgniarka podeszła bliżej. Miała w oczach wyraźną ulgę. Zatrzymała się przy łóżku.

- Wolisz leżeć czy siedzieć?

Jonathan odrzucił pled i usiadł. Przettrzymał lekki zawrót głowy, uśmiechając się przepraszająco do pielęgniarki. Odwzajemniła uśmiech, przesunęła nieco palce na tacy i poruszyła kciukiem. Od dna oderwały się cienkie sznurki z nanizanymi nań paciorkami. Kiedy uderzyły o podłogę, pielęgniarka puściła tacę. Widząc przerażenie w oczach Jonathana i gwałtowny ruch w kierunku mającej się rozbić zastawy, uśmiechnęła się szeroko.

- Spokojnie, to przecież stolik.

Taca rzeczywiście stała spokojnie, jakby na przekór kruchości sznurkowych nóżek. Weather wzruszył ramionami, przełknął ślinę, co nie zagłuszyło głośniego burczenia w brzuchu i rozejrzał się po tacy.

Pielęgniarka szybko naląła do kubka jakiegoś soku z większego dzbanka i podała Jonathanowi. Wypił duszkiem połowę. Kobieta w tym czasie zdążyła wylać do miski zawartość mniejszego, szerszego dzbanka. Pacjent rzucił się na zupę, przelotnie tylko konstatując dziwną toporność naczyń. Gęsta zupa, intensywnie pachnąca chudym mięsem została wchłonięta w kilkanaście sekund. W tym czasie pielęgniarka zdążyła wyłożyć na masywny talerz kilka parujących placków z jakiegoś brązowego ciasta, przekładając je gęstym sosem z mieloną wołowiną. Jonathan przelotnie dotknął naczyń i wiedział, że jak na swój wygląd jest dziwnie lekkie i ciepłe, co z drugiej strony dobrze świadczyło o kuchni szpitala. Wymruczał podziękowanie, uśmiechnął się po pierwszym kęsie do siostry i zajął się krojeniem, gryzieniem i przelotnym przelotnym. Zaczynając posiłek był przekonany, że poprosi o drugą porcję, ale w połowie drugiego dania poczuł, że odmierzona przez

kucharza porcja zaspokoila w pełni wymogi jego żołądka. Dokończył sok i westchnął, nasycony.

- Czy mogę się spodziewać wizyty lekarza, albo kogoś innego z kim...

- Lekarza? - zdziwiła się siostra. Podniosła tacę, na oślep machnęła dłonią pod jej dnem, zwinęła w niedbały kłęb zwiotczale w ułamku sznurki-nóżki i przycisnęła je do spodu tacy. Sznurkowe nóżki porządnie zawinięte w spiralę uczepliły się dna. Nie zauważyła zdziwionego spojrzenia Jonathana. - Przecież czujesz się dobrze? Tak powiedziałaś?...

- Tak powiedziałem... - zgodził się Jonathan nie mogąc oderwać spojrzenia od tacy. - Ale chyba ktoś przyjdzie... Albo ja pójdę porozmawiać z kimś... - Wzruszył ramionami. - Chyba mogę dokonać rozliczenia, w czekach rzecz jasna. I potrzebny mi jest jakiś transport do domu... A właśnie - gdzie jestem?

- Ach, chodzi ci o rozmowę, a nie o leczenie! - Ucieszyła się kobieta, - Oczywiście, że zaraz będziesz miał z kim porozmawiać. Poczekaj, zawiadomię Krycza.

Odwróciła się i wyszła szybkim krokiem. Jonathan rzucił się do swojego ubrania, znalazł paczkę papierosów, przyjemnie zdziwił się, widząc, że nie są zamoczone ani nawet zmięte, zapalił jednego i wrócił do łóżka.

Uprzytomnił sobie, że ocenił wiek pielęgniarki na czterdzieści kilka lat, choć teraz nie mógł przypomnieć sobie ani jednej zmarszczki na jej twarzy, a dłonie - to pamiętał dobrze, widział je wyraźnie, gdy rozkładały placki i polewały je sosem - miały skórę gładką, napiętą. Ubranie pielęgniarki, prosta suknia z małym okrągłym dekoltem, długimi niemal do łokcia mankietami i kilkunastoma owalnymi guzikami, maskowała jej figurę, ale chyba postawa, pewne dostojeństwo w ruchach, szczególna gracia kazały domyślać się, że kobieta ma swoją młodość za sobą. Jonathan przypomniał sobie, że patrząc na wychodzącą pielęgniarkę ocenił pozytywnie, widoczne z pod brzegu sukni, łydki, dość masywne, ale była to masywność przyjemna.

**Ze zdziwieniem stwierdził, że wyobraził sobie, jak trzyma kostki pielęgniarce w mocnym uchwycie, posuwa dłoń wyżej, po gładkiej skórze nóg, wyżej, dochodzi do kolan... Czując, że za chwilę nie będzie wstanie ukryć erekcji, wyskoczył z łóżka i pośpiesznie wciągnął spodnie, stojąc tyłem do drzwi, a potem, już czując się bezpiecznie, dokończył ubieranie i sięgnął po leżący na brzegu ściennej wnęki papieros. Żar zostawił na krawędzi ciemny ślad. Jonathan syknął i potarł ślad, ale nie dało to pożądanego rezultatu.**

**Każę doliczyć do rachunku. Zresztą... A właśnie! Gdzie oni mnie znaleźli? Przecież w okolicy nie ma żadnego domu, który mógłby mieć takie wnętrze jak to? Przecież nie taszczyli mnie do Rading? To wszystko jest...**

**-ciana tuż przy koziółku, z którego zdjął ubranie, drgnęła i rozsunęła się. Jonathan drgnął przestraszony i odruchowo odskoczył. Stojący w otworze mężczyzna podniósł sobie dłonie i potrząsnął nimi uspokajająco. Był wyraźnie starszy od pielęgniarce. Miał przyprószone siwizną włosy, spięte dwiema klamrami na bokach głowy i wyglądał, jakby wybierał się na bal maskowy w stroju Robin Hooda, ale nie mając odpowiednich tkanin, uszył ten stój z królującego tu miękkiego popielatego płótna. Tylko guziki długich mankietów były białe, a także pas i płócienne cholewki wysokich butów na cienkich podszwach. Mężczyzna zrobił krok i wszedł do pokoju.**

**- Przepraszam, jeśli cię przeraziłem - powiedział.**

**Miał nadspodziewanie niski, dźwięczny głos. Głoskę "r" wymawiał w sposób rzadko spotykany; brzmiała w jego ustach jak niskie mruknięcie, wibrowała długo, trzy - cztery razy dłużej niż w innych ustach, jakby pierwszy dźwięk wzbudzał echo z trzech akustycznych odbić.**

**- Przerazenie to za dużo - zaprzeczył Weather. - Każdy by drgnął, gdyby nagle odskoczył mu przed oczu kawał solidnej ściany. Te drzwi są wyjątkowo dobrze zamaskowane. - Wskazał dłonią pokrytą wzorem ścianę.**

Mężczyzna zlekceważył gest i słowa Jonathana, zrobił kilka kroków i usiadł w nogach łóżka. Pacjent rozejrzał się za popielniczką i wyciągnął rękę po kubek stojący w niszy.

- Nie, nie! - łagodnie, ale z naciskiem powiedział mężczyzna. - Zostaw kubek, syp śmieci na podłogę...

- Nie chodzi o śmieci, tylko o popiół - Jonathan zająknął się wściekły, czując, że ma różowe uszy jak strofowany dzieciak. Strzepnął popiół na podłogę. - Nazywam się Jonathan, a właściwie Jonathan Weather. Burns to mój pseudonim autorski...

- A ja jestem Krycz - powiedział gość.

- Krycz... - Jonathan zawiesił głos, ale rozmówca nie zareagował. - To dość... niezwykle - wykrztusił zdezorientowany sposobem prowadzenia rozmowy.

- Dla mnie brzmi to normalnie - stwierdził Krycz.

Udzielił Jonathanowi informacji i oczekiwał, że to właśnie on poprowadzi konwersację. Wydało się to dziwne, normalny lekarz wyjaśniłby pacjentowi, co mu się przytrafiło, wprowadził w szczegóły kuracji i - co najważniejsze - wytłumaczył się z niezwykłości pomieszczeń. Pozostawił jednak inicjatywę Jonathanowi, chociaż musiał rozumieć, że czuje się on dość niezręcznie w nieznanym miejscu, wśród nieznanych ludzi.

- Proszę... H-hm!.. Chciałbym wyjaśnić pewne... szczegóły - wykrztusił Weather. - Nie pamiętam, jak się tu dostałem, nie wiem również, gdzie jestem i co mi się przytrafiło. Widzę... - Zatoczył ręką półkole - że nie jest to zwykły szpital i to jest szczególnie

intrygujące. Chciałbym, żeby pan to wszystko mi wyjaśnił.

- Wszystkiego naraz i tak nie da się wytłumaczyć - natychmiast odpowiedział Krycz. Musiał być przygotowany na takie właśnie żądanie. - Zastanawialiśmy się, jak to wszystko wyjaśnić i doszliśmy do wniosku, że najlepiej powiedzieć na początek, że znajdujesz się daleko od swojego domu...

**Mężczyzna zrobił wyraźną pauzę oczekując jakiejś reakcji Jonathana.**

**- Daleko? Jak daleko? Gdzie? I dlaczego?!**

**- Nie wiem, jak daleko - wzruszył ramionami Krycz. - Gdzie? W Oazie Nat-Conal-Le. Dlaczego?... Sam nie wiem.**

**- Oaza?! Nat-Conal!.. - prychnął Jonathan. - Jaka oaza? Pod Londynem?!  
Co to za bzdury!**

**- Posłuchaj, myślę, że najlepiej będzie jak kolejno będziesz sprawdzał prawdziwość moich informacji. Jeśli nie uwierzysz w to, że jesteś w oazie, nie uwierzysz w resztę. Najlepiej będzie, jak pójdziesz na wieżę i rozejrzysz się po okolicy. Możesz chodzić wszędzie i wszystkich pytać o wszystko. Gdy już coś przyswoisz, zwołaj mnie i poczekaj chwilę. Zjawię się i postaram wyjaśnić resztę wątpliwości. Teraz mogę... powinienem - poprawił się - dodać jeszcze jedno: nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo. Nikt do niczego nie będzie cię zmuszał i możesz robić, co ci się żywnie podoba. Ogranicza cię tylko zdrowy rozsądek.**

**Krycz wstał najwyraźniej zamierzając wyjść. Jonathan rzucił niedopalek na podłogę i rozdeptał go, powstrzymując jednocześnie rozmówcę gestem i okrzykiem:**

**- Zaraz! Nie rozumiem - jestem jakimś zakładnikiem czy co?**

**- Ależ skąd! - Krycz uśmiechnął się lekko. - Dlaczego przyszło ci to do głowy?**

**- Bo tak się chyba mówi do ludzi trzymanyh w jakimś zamkniętym ośrodku, z którego nie mogą uciec.**

**- Przecież powiedziałem ci, że jesteśmy w oazie. To chyba tłumaczy, że w pewnym sensie masz ograniczone możliwości poruszania. Jak i my wszyscy. To jest to ograniczenie. Ale jeśli będziesz chciał stąd odejść - odejdziesz. Nie dzisiaj, lecz kiedy wszystko zrozumiesz. Jeśli mimo to będziesz chciał odejść...**

**Krycz odwrócił się i wyszedł. Zniknął z oczu Jonathana i zaraz wrócił.**

- Na wieżę idzie się tamtymi drzwiami - wskazał palcem na ścianę za plecami Jonathana. - Schody... - zawahał się na chwilę. - Schody do góry - zakończył dość niezręcznie i szybko odszedł.

Pozostawiony w samotności Weather sapnął wściekle. Zrobił dwa kroki, żeby dogonić Krycza i wytrząsnąć z niego więcej informacji, ale zatrzymał się, zaklął i usiadł na łóżku. Kilka minut zastanawiał się nad swoim położeniem, potem uznał, że wobec niedostatecznej ilości danych nie może i tak podjąć żadnej decyzji. Zapalił jeszcze jednego papierosa i wyszedł przez kamienne drzwi. Po kilkunastu krokach trafił na odgałęzienie korytarza z prowadzącą do góry dziwną estakadą. Stał chwilę i zastanawiał się, czy aby to są schody, o których mówił Krycz, przypomniał sobie jednak, że może poruszać się po całej oazie i wszedł na pochylnię wykutą - jak wszystko tu - w kamieniu, pobrużdżoną drobnymi rowkami biegnącymi od ściany do ściany. Po kilku krokach pochylnia zwinęła się i przekształciła w dość ciasną spiralę, wyraźnie też wzrósł kąt nachylenia estakady, tak że Jonathan musiał nachylać się, chcąc szybko pokonać "schody". Po kilkudziesięciu krokach zadyszał się, zrobił sobie czterominutową przerwę, a ponieważ nie dało się na pochylni stać, usiadł plecami do kierunku wspinaczki, a potem położył na plecach. Dym papierosa nieprzyjemnie drapał w gardło, zgasił go o podłogę. Odetchnął głęboko kilka razy, podłożył ręce pod głowę.

Raz w tygodniu godzinka na korcie to za mało, pomyślał samokrytycznie.

Kondycja w zaniku. Ale co to za miejsce? Oaza!... Jak pragnę...

Czterdzieści mil do Londynu? Może to jakaś sekta? Wykupili opuszczoną farmę, nazwali ją oazą... O! To może być to! Zaraz się wszystko wyjaśni. Do góry!..

Poderwał się i omal nie zjechał na obcasach w dół. Utrzymał równowagę, pochylił się i pomagając sobie rękami, ruszył w drogę. Starał się nie spieszyć, nie wiedząc, ile jeszcze ma do przejścia. -wiatło sączące się, jak w



komnacie, przez dziwny piaskowiec, nie pomagało w określeniu długości trasy. Pochylnia okręciła się kilka razy wokół rdzenia i zakończyła lukowym otworem identycznym jak wszystkie tu drzwi. Jonathan wyszedł na oświetloną mocnym słońcem platformę znajdującą się jakieś siedemdziesiąt jardów nad ziemią. Oparł się plecami o ścianę zadaszienia nad zakończeniem schodów i rozejrzał gorączkowo dookoła.

Skończyły się wątpliwości - był na pustyni. Obiegł platformę widząc, iż wszędzie, z każdej strony, firmament opierał się na rudawej, niemal idealnie płaskiej pustyni upstrzonej dość gęsto kępami niskich krzewów, spośród których z rzadka przeświecały nieco wyższe drzewa z czuprynami wąskich papirusowatych liści. Oaza okazała się sporym miastem zbudowanym z tego samego materiału, co znany już częściowo Jonathanowi budynek. Zbudowano ją na planie niemal regularnego owalu. Otoczona była, o ile można było sądzić z tej odległości, patrząc przez drgające w upale powietrze, nie murami, ale długimi łagodnymi pochylniami, na które dałoby się nawet wjechać rowerem. Płaskie dachy niemal wszystkich budynków oazy rozciągały się na tej samej wysokości i połączone były solidnymi kładkami. Widok na pierwszy rzut oka przypominał stare arabskie miasteczko, ale było to bardzo powierzchowne skojarzenie.

Jednopoziomowe dachy, kolor, nie biały, jak w widzianych w telewizji filmach, ulice zbiegające się promieniście w centrum... Jonathan stał na jednej z dwóch wież. Na szczycie wirowało wokół swej osi parę ram wypełnionych kilkunastoma szeregami jakichś stożków. Weather domyślał się, że są to wiatraki, a więc technika była tu zaawansowana nieco bardziej niż sugerowało skromne wyposażenie komnaty, puste korytarze i cisza.

Weather sprawdził, ile ma papierosów i zapalił jeszcze jednego. Smakował nieco inaczej niż poprzednie - po prostu smakował. Jonathan oparł się o barierkę wokół platformy i zaczął wpatrywać się w szczegóły krajobrazu. Zobaczył grupkę zwierząt wolno poruszających się pomiędzy kępami

krzewów, jednak były zbyt daleko, żeby je zidentyfikować. Z tej odległości wyglądały na wychudzone wielbłądy, bez garbów, z dwiema grubymi fałdami na bokach, a może raczej olbrzymie charty, niemal białe w brązowe łaty. Weather

wytropił wzrokiem kilka dróg, były odrobinę ciemniejsze od reszty gliniastej pustyni. W końcu, po niemal pełnym okrążeniu platformy usłyszał, że z centrum osady, gdzie - jak to zauważył teraz - wygięty w górę, kopiasty dach musiał pokrywać olbrzymi w porównaniu z resztą budynku, dobiegają go cienkie głosy bawiących się dzieci. Również teraz, podczas szczegółowej lustracji, uświadomił sobie, że budynki w ogóle nie mają okien, i przyszło mu do głowy, że oaza musi być w swojej istocie warowną twierdzą. Dlatego budowano te kładki umożliwiające atakowanie przeciwnika z góry. Zaraz potem przypomniał sobie płaskie mury i pochylnie prowadzące na dachy domów tworzące obrzeże miasteczka. To nie może być warownia, pomyślał zaskoczony. Bez sensu... Nie ma okien nie dlatego, że boją się ata... Hej! Przecież te ściany przeświecają! Właśnie, po co im okna, skoro mają światło... Zaraz, a widoki! Żeby nie można było wyjrzeć? Kobiety, które nie mogą zawołać sąsiadki? Widoki są nieciekawe, ściany sąsiednich budynków, to można zrozumieć, ale nie powinni siebie pozbawiać możliwości komunikacji z otoczeniem. To niespotykane. A przecież nie są niemi, znają cywilizowane języki. Do diabła, tu jest jakaś tajemnica? Nie ma anten...

Zaciągnął się ostatni raz i zdeptał niedopalek. Zdał sobie sprawę, że niewyczerpane zasoby ciekawości, które zdeterminowały całe jego życie, poruszyły się wypychając ku górze najświeższe, najmocniejsze warstwy. Czuł, że teraz zmartwilby się nawet, gdyby kazano mu opuścić tajemniczą oazę wykwitłą niemal w centrum Wielkiej Brytanii. Zachichotał i zaczął schodzić w dół. To było jeszcze gorsze niż wspinaczka na wieżę. Już po kilkunastu krokach odezwał się ból w mięśniach łydek i stóp. Szkoda mu

było czasu, więc nie robił przerw, tylko zmieniał sposoby schodzenia - bokiem z wykroczną prawą nogą, lewą, biegiem, wolno, znowu bokiem. W swoim pokoju zachłannie rzucił się na dzban z jakimś napojem owocowym i wypił niemal połowę. Odstawiając naczynie zauważył, że brunatny ślad po żarze na przypalonym kamieniu zniknął. Rozejrzał się po podłodze i nie znalazł niedopałka. Ktoś musiał skorzystać z jego nieobecności, żeby usunąć ślady dewastacji i niechlujstwa.

- Obsługa mi się podoba - powiedział na głos. - Krys? Nie, Krycz! -

Odczekał chwilę i krzyknął z całej siły: - Kry-y-ycz!

Czekając na reprezentanta gospodarzy, który, jak wyczuwał, odgrywał w tej społeczności ważną rolę, sprawdził swoje kieszeni. Miał portmonetkę z czterema funtami, trochę drobnych, grzebień, chusteczkę do nosa, klucze do domu i dokumenty - prawo jazdy, książeczkę czekową, oraz karty kredytowe Visa i Fortune. W kieszeni marynarki znalazł obcinak do paznokci z pilniczkiem i malutkim ostrzem, i parsknął śmiechem.

- Mogę się bronić! - zachichotał. - Żywcem mnie nie wezmą. O! - Zobaczył Krycza, rzucił na łóżko obcinak i poderwał się. - Wierzę, że jestem w oazie, ale to mi nic nie wyjaśnia. Gdzie leży ta oaza? I dlaczego albo po co się tu znalazłem?

Krycz usiadł na łóżku proponując gestem miejsce obok siebie. Kilka sekund wpatrywał się w przeciwległą ścianę siedząc z łokciami opartymi na kolanach.

- Nie wiemy, dlaczego się u nas znalazłeś - powiedział. - Poczekaj... - powstrzymał Jonathana. - Żadne pytania niczego nie zmieniają, zastanawiałem się nad tym trzy dni, tyle już u nas jesteście. Po prostu nie wiemy. - Wzruszył ramionami. - Nad ranem, trzy doby temu usłyszeliśmy w tej komnacie hałas. Przybiegła tu moja córka, jeszcze jedna kobieta i potem ja. Leżałeś na szczątkach stolika, obok ciebie dwa pakunki. Byłeś nieprzytomny, wyglądałeś jakby ktoś zanurzył cię w błocie, a potem szybko

wysuszył.

- Wysuszył?! - nie wytrzymał Jonathan. - Ulewa była jak cholera! Chyba, że byłem nieprzytomny kilka godzin... - Chwycił Krycza za łokieć. - Miałem wypadek samochodowy, właściwie nie wypadek...

- Wiem. Wszystko to wiem, rozmawialiśmy o tym... - miękko, jakby starając się nie rozgniewać Weathera, powiedział Krycz. - Nie pamiętasz - dodał widząc, że rozmówca zamarł z osłupieniem na twarzy. - To też wiem.

- Westchnął przeciągle. - Tyle jest rzeczy do wyjaśnienia i tak mało z nich można wyjaśnić. I nie wiem jak zacząć - patrzył Jonathanowi prosto w oczy wytłumiając tym spojrzeniem wszystkie pytania, okrzyki i nerwowe gesty. - Posłuchaj... Wiem, że jesteś człowiekiem, który trudni się wymyślaniem różnych niebywałych opowieści dla innych ludzi. Wobec tego najprościej będzie powiedzieć, że znalazłeś się w środku jednej z takich opowieści. Możesz w to uwierzyć?

- Nie! - bez namysłu odparował Weather.

- Nie... - powtórzył Krycz. Jonathanowi wydało się, że dominującym w jego głosie uczuciem jest żal, takie zwykłe: "Szkoda, że nie spełniłeś moich oczekiwań". - Ale i tak...

- Poczekaj! - Weather drgnął chcąc zerwać się z łóżka, ale został na nim. - Poczekaj... Wiesz, dziwne, ale zaczynam ci wierzyć. Hm... Ale co: przeniosłem się na kartki powieści? To już gdzieś czytałem... Czy może jestem w innym wymiarze? W innym czasie? To też już było.

- Nie za bardzo cię w tym momencie rozumiem, ale cieszę się, że chcesz współpracować. - Od chwili, gdy wszedł do komnaty, nie spuszczał łagodnego, ale pętającego wole - tego Jonathan był pewien - spojrzenia. "Dlatego tak spokojnie przyjmuję te jego rewelacje. Ale dlaczego - będąc pod hipnozą czy czymś takim - wiem, że nie jestem panem samego siebie? Jak to jest?" - No więc znaleźliśmy ciebie tu, nieprzytomnego i chyba wyczerpanego jakimś... czymś... podróżą? Miałeś gorące czoło,

niespecjalnie, ale majaczyłeś jak w ciężkiej chorobie. Zajęła się tobą Manika - znasz ją, podawała ci dzisiaj posiłek, i moja córka Ziyra.

Ponieważ nie rozumieliśmy cię i uznaliśmy, że i tak przez kilka dni nie będziesz w stanie wyjść z łóżka, więc wykorzystaliśmy to na nauczenie cię naszego języka. Władasz nim teraz niemal jak każdy z nas.

Opowiedziałeś potem nam o swoim - zawahał się szukając precyzyjnego określenia - życiu. Dlatego właśnie wiem, że nie jesteś chyba z naszego świata. Chcesz o coś zapytać?

- Czy chcę!?! - parsknął Jonathan. - Po pierwsze - nie wiem, skąd ci się wzięła pewność, że władam waszym językiem? Ja tego zupełnie nie czuję...

- No właśnie. Może dlatego nie dociera do ciebie, że nie jesteś wśród władających angielskim. Tak się nazywa twój język?

- Kpisz sobie?! Angielski... Przecież...

- Jonathanie... Rozmawiamy w języku crasa. Tylko, że tkwi on w tobie tak głęboko, iż nie zdajesz sobie z tego sprawy. Spróbuj powiedzieć coś po angielsku. Skoncentruj się i powiedz coś w swoim... SWOIM języku...

Weather otworzył usta i zamknął je przerażony pustką, jaka w ułamku sekundy rozpanoszyła się w jego umyśle. A zaraz potem przez jakieś kanały umysłu runął potok poplątanych zmieszanych ze sobą słów i zwrotów.

Weather... Stone... Wiatrochrapy... Woman... Car... Rein... Sprego...

Football... Lebra...

- What?!

- No widzisz? - Krycz chwycił Jonathana za łokieć i mocno ścisnął, jakby chciał powstrzymać go od jakiegoś nieprzemyślanego gestu czy działania. -

Czujesz różnicę?

Jonathan odwrócił się od Krycza, ale wciąż czuł na sobie jego magnetyczne spojrzenie. Zdawał sobie sprawę, że gdyby nie te hipnotyczne pęta, wybuchnąłby szalonym śmiechem albo zaczął tłuc głową o podłogę.

Łapczywie chwycił powietrze i uspakajał się z każdym haustem tlenu.

Pomieszane słowa posortowały się, poukładały się w odpowiednich przegródkach. Wrócił spojrzeniem do Krycza.

- Jak to zrobiliście? - zapytał używając słów i intonacji właściwej dla crasa.

- Trochę uczulających ziół, trochę... Nie wiem jak to powiedzieć... Znasz język, ale jesteś trochę jak dziecko, które nie wszystko jeszcze widziało i pewne słowa są dlań pustym dźwiękiem. Z czasem wszystko będziesz rozumiał. Na razie przyjmij na wiarę, że potrafimy to zrobić...

- Fantasy... - powiedział Jonathan.

- Słucham?

- Powiedziałem, że znalazłem się w świecie fantasy... Macie tu smoki?

Wiedzmy? Magiczne miecze?

Krycz pokręcił przecząco głową uśmiechając się łagodnie.

- Nie. Kurczę, to już nic nie rozumiem. Zazwyczaj bohatera przenosi się do innego świata, żeby wykonał określone zadanie. Masz dla mnie jakieś zadanie? - roześmiał się zadając to pytanie, jednak opanował śmiech czując, że ma on wszelkie znamiona hysterii.

Krycz znowu pokręcił głową.

- No to po co tu jestem? Zostałem przeniesiony... Poczekaj? Kto rządzi tym światem? Może ty po prostu nie wiesz, jaka rola jest mi przypisana?

- Nie ma tu jakiegoś jednego władcy. Chyba, że ja o tym nie wiem. To jest też odpowiedź na drugie pytanie.

Weather zerwał się z łóżka i zaczął przemierzać komnatę uderzając pięścią w dłoń, akcentując uderzeniami echo własnych kroków.

- Wyrrywają mnie z dwudziestowiecznej Wielkiej Brytanii i rzucają w sam środek... - Przystanął przed walizką z maszyną od pisania i pudełkiem walkmana. - A to? Wiesz co to jest?

- Tak. Nie ma odpowiedników na te nazwy w naszym języku, bo nie mamy takich urządzeń, ale ponieważ od razu tym się zainteresowałem, powiedziałeś jak to się u ciebie nazywa i do czego służy. Walk... man... -

**powiedział wolno i wyraźnie. - Typewriter... Tak?**

**Jonathan pokiwał głową. Skręcił z poprzedniej trasy i przystanął krok przed Kryczem. Siedzący podniósł twarz i dopiero teraz Jonathan zauważył, że jego rysy dość istotnie różnią się od, chociażby, jego własnych. Krycz spokojnie patrzył z dołu na Jonathana, jakby dając mu czas na dokładne przyjrzenie się jego twarzy. Lekko wypukłe kości policzkowe mogły wskazywać na domieszkę słowiańskiej krwi, gdyby nie pokrywająca je gładka warstwa jędrnej, elastycznej tkanki mięśniowej. Oczy o wschodnim wykroju, zwanym migdałowym, sprawiały wrażenie czarnych, jednak z bliska Jonathan zdecydował, że są granatowe. W wykroju ust czy podbródka, nie znalazł żadnych cech niezwykłych, natomiast głęboka, wąska bruzda łącząca środek nasady nosa z górną wargą, swą wyrazistością różniła się od typów europejskich. Jonathan nie mógł sobie przypomnieć, czy pielęgniarza... Manika?... miała również taką bruzdę.**

**- Jestem - pod względem języka - zaznaczył Krycz - w takiej samej sytuacji jak ty. Mogę powiedzieć, że dość dobrze znam angielski, ale niemal nic nie rozumiem - antena, kosmos, asfalt, piwo, strip-tease...**

**Jonathan otworzył usta i stał tak chwilę, potem, po raz pierwszy - on sam nie pamiętał już od jakiego czasu - uśmiechnął się.**

**- Afera - powiedział odwracając się i robiąc krok w kierunku walizki z maszyną. - Może nie rozumiesz, co chcę powiedzieć: chcę wyrazić swoje zdumienie, zaskoczenie i trochę złości. Na przykład nie rozumiem, dlaczego jestem taki spokojny. To fakt - odwrócił się i wycelował palcem w Krycza - że z racji zawodu jestem jakby przyzwyczajony do różnych dziwnych sytuacji, ale co innego czytać o tym, czy nawet pisać i wymyślać takie historie, a co innego, gdy zanoszą się, że sam będę... że sam jestem - poprawił się - bohaterem takiego opowiadania. Dziwne. - Przekrzywił głowę i zmrużył oczy. - Wiesz coś na ten temat?**

**Krycz pokiwał głową. Potarł dłoń o kolana.**

- Postarałem zaszczepić ci spokój. Sądziłem, że to lepiej niż żebyś przez kilka dni był na granicy oblędu?

- Że co!

Krycz wzruszył ramionami zupełnie naturalnym gestem. Potem wstał i jakby zawahał się czy podejść do Jonathana. W końcu zdecydował się i został, gdzie stał, tuż obok łóża.

- Piłeś - zawahał się - bonie. Ten niedobry płyn, który wmusiła w ciebie Manika. Sam zadecydujesz, czy będzie ci jeszcze potrzebny - Wskazał brodą wnękę z naczyniami.

Jonathan odruchowo spojrział na szereg naczyń i skinął głową.

- Mam - spokojny, czy nie - i tak do ciebie mnóstwo pytań. Na przykład, jak długo mogę tu pozostać?

- Nie wiem, co ci odpowiedzieć. Nie wiem, jak się tu znalazłeś, nie wiem więc również, jak cię stąd odesłać

- To mi się już mniej podoba - powiedział spokojnie Jonathan. - Mówię to lekkim tonem, ale obaj zdajemy sobie sprawę, że jestem wściekły, prawda?

- Tak.

- Dalej: może byś mnie oprowadził po tym budynku? Nie wiem gdzie jest łazienka, wucet, to znaczy... - pomachał palcami usiłując krótko wyjaśnić sedno pytania.

- Rozumiem. Coś jeszcze?

- Wszystko. Spieszysz się gdzieś?

- E-e-e... To nie tak, ale rzeczywiście muszę cię opuścić na jakiś czas. Ale przyślę tu Zyrę, ona ci wszystko będzie objaśniała, dobrze?

- No dobrze...

Krycz skinął głowę i ruszył w stronę drzwi. Tuż przed progiem odwrócił się i popatrzył na Jonathana.

- Naprawdę przekonałem cię, że nie jesteś w swoim świecie?



**Jonathan Weather zastanowił się chwilę**

**- Nie. Ale, że coś tu jest dziwnego, widzę sam.**

**- A patrzyłeś w słońce? Przyjrzałeś się całemu niebu? To radzę ci pójść z Ziyrą jeszcze raz na wieżę...**

**Odwrócił się i wyszedł. Jonathan splótł palce, wygiął ręce aż trzasnęło kilka stawów. Stał chwilę wpatrując się w podłogę, potem podszedł do walizki z maszyną, zdjął z pokrywy walkmana i włączył go. Z głośniczków trzasnęła charakterystyczny rytm i specyficzny timbre głosu wokalisty:**

**"Will you still need me, will you still feed me, when I'm sixty four?..."**

**Uświadomił sobie, że jeśli wszystko co mówił Krycz, jest prawdą, to nie będzie mógł w osadzie kupić nowych baterii. Szybko ściszył dźwięk do minimum, a potem wyszarpnął z gniazdek mikrosluchaweczki i wcisnął do uszu. Po chwili, jakby patrząc na siebie z**

**boku, zobaczył człowieka stojącego pod ścianą z piaskowca, w jakimś pseudogotyckim budynku, wśród przasnanych sprzętów, ze słuchawkami na uszach, z muzyką The Beatles rozbrzmiewającą w głowie. Parsknął bezgłośnym śmiechem. -ciszył jeszcze bardziej, a potem, żalując samemu sobie kilku drobin energii ulatującej z baterii, wyłączył walkmana i westchnąwszy, odłożył go do wnęki. Przy okazji sprawdził, co jest w czterech dzbanach. Najmniejszy zawierał parafinowaty specyfik, który miał mu pomóc przystosować się**

**bez bólu do rzeczywistości. Kolejny dzban, o wiele większy i zimny, wypełniony był orzeźwiająco pachnącym sokiem. Gdy wyciągnął dłoń chcąc wyjąć, jaśniejszy od poprzednich, trzeci dzbanek z delikatnym, popularnym tu geometrycznym wzorem, zauważył kątem oka jakiś ruch. Drgnął, potrącił ręką duży dzban, konwulsyjnie rzucił się do przodu i udało mu się chwycić naczynie. Odwrócił się. Pewien, że wrócił Krycz, otworzył usta chcąc przypomnieć nie wyjaśnioną do końca sprawę zaspokajania potrzeb fizjologicznych i zamknął je, widząc wkraczającą do pokoju dziewczynę To**

musiała być Ziyra, córka Krycza. Uśmiechnęła się i przystanęła tuż za progiem, jakby dając Jonathanowi czas na oswojenie się z nową osobą. Była wysoką, młodą dziewczyną, która miała sporo szans na dalszy wzrost. Weather ocenił ją na niecałe sześć stóp, a więc tylko o cal czy półtora mniej niż on sam mierzył. Twarz była subtelniejszą, kobiecą kopia twarzą Krycza - identyczne, niby wystające, ale pokryte gładką tkanką kości policzkowe, takie same oczy, nos i usta.. Istotna różnica widoczna była tylko w brwiach: u Krycza były to proste kreski przebiegające niemal pod kontem prostym do linii grzbietu nosa; u Ziry zarys nosa przechodził łagodnym łukiem w niemal regularną ćwiartkę koła, nadając jej urodzie wyraźne cechy hinduskie i jednocześnie kształtując wyraz twarzy w kontur lekkiego zdziwienia. Przy czym obie te cechy widoczne były tylko wtedy, gdy spojrzenie oglądającego koncertowało się właśnie na brwiach. Cała twarz bowiem, odbiegała od kanonu urody kobiet półwyspu Indyjskiego. Na przykład proste, krótko obcięte ciemne włosy. Ziyra miała na sobie bluzę przypominającą nieco górę stroju do joggingu - zaciągana w pasie przy pomocy plecionego sznura, bez kaptura i najwyraźniej z obowiązującymi tu długimi, dziesięciocalowymi "mankietami". W przeciwieństwie do Maniki ubranej w suknię, jej strój składał się z tej właśnie bluzy i szerokich spodni podobnych do tureckich szarawarów, wpuszczonych w połowie łydki do butów identycznych, jakie nosił jej ojciec. Dziewczyna widząc obserwującego Jonathana, roześmiała się i nagle okręciła się na pięcie. Rozłożyła ręce, błysnęły żółtym światłem dziwne pierścienie na kciukach. Widząc ubranie Ziry, Weather ocenił, że chociaż wykonano je z tego samego, dominującego w oazie płótna, to na pewno z najcieńszych nici, bowiem układało się na Ziyrze jak muślin. Przy każdym ruchu poruszało się demaskując kształty, przylegając co raz do innego fragmentu figury dziewczyny. Prócz tego, że odbiegał jakością od stroju Maniki i Krycza, zabarwiono je na purpurowy kolor, co szczególnie mocno

kontrastowało z białymi guzikami i podeszwami butów. Ziyra okręciwszy się jeszcze raz, ruszyła w kierunku Jonathana, a on patrzył jak tkanina na krótką chwilę ułożyła się na piersiach dziewczyny, bezwstydnie ujawniając ich wielkość i kształt. I jedno, i drugie ucieszyło Jonathana, nawet, jeśli miała być to bezinteresowna radość. Odchrząknął, starając się zrobić to dyskretnie. Ziyra podeszła blisko, jakby zamierzała go pocałować, ale położyła tylko na sekundę dłoń na jego barkach i powiedziała:

- Jestem Ziyra. Pamiętasz mnie?

Zanim Jonathan zrozumiał, że nie było to nic więcej jak odpowiednik uścisku dłoni, zanim zdążył zrobić to samo co dziewczyna, Ziyra odsunęła się o krok. Zatrzymał ręce w połowie ruchu, potarł dłonie i poruszył brwiami.

- Przykro mi, ale nie. Musiałem być oszołomiony - Uśmiechnął się. - Musiałem być bardzo oszołomiony, skoro cię nie zapamiętałem - zaakcentował przeczenie i z przyjemnością skonstatował, że kobieta odpowiednio reaguje na subtelne komplementy. Ze zdziwieniem przyłapał się na prowadzeniu rozmowy w salonowym, charakterystycznym dla każdego party, tonie flirtu.

Co się ze mną dzieje?, zbeształ siebie w myślach. Nie wiem, czy mnie nie robią w konia, czy doszło do realizacji wytartych fantastycznych szablonów, a zaczynam tokować przed pierwszą miłą panienką, jaka weszła mi w pole widzenia?! A może podali mi jakiś

afrodyzjak? Przecież o mało nie rzuciłem się na ciepłą Manikę, rano?

Spokojnie Burns.

- Mam tyle pytań, że jak zwykle w takich wypadkach nie wiem od czego zacząć.

- Ojciec powiedział mi, że chciałbyś wjechać na wieżę i obejrzeć dokładnie nasze niebo...

- A tak, mnie też wspominał, że powinienem to zrobić. Z przyjemnością

pojadę. Zwłaszcza, że nie znalazłem windy i pracowicie wdrapywałem się na tą wyższą widokową... - Urwał widząc zmieszanie na twarzy Ziyry.

Westchnęła przez nos i przygryzła dolną wargę.

- Coś nie tak? Musisz przygotować się, że i co rusz będę zadawał głupie pytanie, nieprzyzwoite czy chamskie. Chyba rozumiesz, że jeśli rzeczywiście znajduję się w innym świecie to musi on się różnić od mojego, a moja ignorancja stale będzie mnie pakowała w kłopoty...

- Kłopoty? Dlaczego? Przecież to naturalne, że nie wiesz jak żyjemy. Ze mną byłoby to samo u ciebie, prawda?

- No-o, oczywiście...

- Więc umówmy się: nie ma głupich i nie przyzwoitych pytań. Zresztą z tego, czego się dowiedzieliśmy o twoim świecie, to raczej jest on spętany konwencjami i umowami. Nasze życie jest prostsze.

Jakobym przeglądał mierne czytało! Zawsze tak jest - ich proste, zdrowe życie, pomyślał odrobinę zde gustowany, któremu przybysz zaszczepia bakterie cywilizacji i albo sam się nawraca, albo demoralizuje niewierną społeczność. Może jednak śpię? Albo mającę po przygodzie na szosie? Może umieram w płonącym samochodzie? Może jestem w narkotycznym śnie podczas zabiegu? Cholera, żeby coś wiedzieć?

Popatrzył na Ziyrę i uśmiechnął się szeroko.

- Dlaczego się śmiejesz? - zareagowała natychmiast.

- Zastanawiam się, czy istniejesz naprawdę, czy jesteś tylko produktem mojego majaczenia?

- Mnie się wydaje, że istnieję naprawdę. Gdybyś odkrył, że jest inaczej - powiedz mi, dobrze? - Widząc potakujące skinienie głowy Jonathana zapytała: - A w ogóle co to za różnica: istnieję czy nie?

Kokietuje mnie, jak Boga kocham! Chu-ch-chu! Gdybyś była snem, natychmiast bym się na ciebie rzucił!

- Istotna, ale nie będę teraz jej wyjaśniał. - Wskazał gestem drzwi.

- Idziemy na wieżę?

Ruszyła pierwsza. Przeszła kilka jardów mając Jonathana w odległości dwóch kroków za sobą. Pilnie wpatrywał się w biodra i kształty nóg cyklicznie rysujące się przy każdym kroku. Ku jego zdziwieniu skręciła w tę samą odnogę, co i on jakiś czas temu. Gdy zaskoczony Jonathan zatrzymał się, nie przekraczając niewidocznego progu, odwróciła się i powiedziała:

- Największa różnica między twoim i naszym światem jest to, że potrafimy skłonić do pracy niektóre martwe przedmioty... - zawiesiła głos dając mu czas na oswojenie się z oświadczeniem.

- Hm..., my też - wzruszył ramionami Jonathan. - Pokażę ci walkmana. Jest jak najbardziej martwy, ale gdy chcę wykonuje dla mnie określoną pracę.

- To nie jest zupełnie to samo - pokręciła głową. - Opowiedziałeś nam o walkmanie. Wiem, służy ci, ale gdy zabraknie energii, stanie i nic go nie zmusi do pracy. Może też się zepsuć.

- A pewnie! - roześmiał się Jonathan. - Tak już jest zbudowany... - przestał chichotać i przyjrzał się Ziyrze. - Chcesz powiedzieć, że u was wygląda to inaczej? Jak? - odruchowo rozejrzał się dookoła.

- W skrócie?! Każda rzecz ma swoje sprego. - Jonathan przypomniał sobie, że zna to słowo, zna tę kombinację dźwięków, ale nie rozumie jej. - Sprego...

- powtórzyła. - Jeśli daną rzecz robi znawca, jeśli potrafi zrobić to dobrze... Nie wiem, jak ci to jeszcze określić - potrząsnęła w zniecierpliwieniu dłonią, jakby strzepywała z koniuszków palców krople jakiejś cieczy. - W każdym razie dobre przedmioty służą nam lepiej niż wasze, rozumiesz? Nie? -

prychnęła przez nos. - No, powiedz, czy twój talerz potrafi utrzymać ciepło?

- Zwykły talerz? - zapytał Jonathan i natychmiast wściekł się na siebie za bijącą z tych dwóch słów tępotę. - Nie, sam z siebie nie może! A twój?

- Mój może. Sprawdź w swojej komnacie dzbanek z bonie, jest ciepły od samego rana. Sprawdź drugi dzban, z nalewą lafate - jest lodowaty. I będzie

**bardzo długo.**

**- He?**

**- Nie wierzysz! Zaraz cię przekonam, chodź! - Szybko chwyciła go za rękę i szarpnęła do siebie. Zaskoczony Jonathan zrobił dwa chwiejne kroki i zderzył się z dziewczyną. - Patrz! - Zaskoczony twardością jej piersi, dopiero po chwili popatrzył w dół, gdzie wskazywała jej ręka. Zachwiał się i musiał przytrzymać się jej łokcia.**

**Kamienna podłoga poszatkowana bruzdami, ta sama, po której niedawno wdrapywał się na górę, spuchła, wezbrała na kształt fali tuż za ich stopami, przeniosła grzbiet kamiennej fałdy w ich kierunku i jeszcze dalej.**

**Zaskoczony, oniemiały, sparaliżowany Jonathan, poczuł, że wraz z Ziyrą przesuwa się w kierunku wylotu wieży. -ciany przepływały obok, podłoga nadal była twarda, czuł to nawet przez podeszwy butów, a jednocześnie wiedział, że kamienna fala delikatnie, niemal niewyczuwalnie przekazuje go kolejnym**

**bruzdom. Posuwali się już po spirali i o wiele szybciej niż pieszo. Jonathan puścił łokieć dziewczyny, natychmiast pożałował tego, ale nie zdecydował się na kolejny chwyt. Ostrożnie poruszył stopami, stając na wygodnie rozstawionych nogach.**

**- Powinienem był wypić jeszcze beczkę tej bonie, za chwilę będziesz tu miała atak serca...**

**- Atak serca? - zapytała marszcząc brwi. Jonathan zorientował się, że wplata do rozmowy angielskie słowa, gdy nie może znaleźć odpowiednika w crasa. - Rozumiem słowa, ale... To choroba?**

**- Tak, ale nieważne. Żartowałem. Jestem zaskoczony. Rany boskie! - chwycił jeszcze raz łokieć Ziyry, przykucnął i dotknął dłonią kamiennej estakady. Wibrowała delikatnie, jak płaski robak przekazujący sobie ich z jednego segmentu swojego ciała na drugi.**

**- Niesłychane! Najczystsza magia. - Wyprostował się i zachichotał krótko. -**

Jednak świat fantasy. -nię to! To pewne! Niemożliwe nie jest możliwe. -  
Zrobił minę do Ziyry i jeszcze raz parsknął śmiechem. - Jednak jesteś  
widziadłem. To znaczy, że spokojnie  
mogę cię pocałować - chwycił ją i w objęciach przycisnął do siebie. - Nikt  
nie zabroni całować moich własnych snów!  
- Możesz - powiedziała swobodnie Ziyra. - Nie rozumiem co to sen, nie  
wszystko zdążyłeś nam wytłumaczyć, ale jeśli pytasz mnie o całowanie, to  
niepotrzebnie. Przecież wiadomo: całuje się, kiedy się chce. Prawda?  
Przytuliła się do piersi Jonathana i uniosła twarz. W tej samej chwili  
estakada wysunęła ich na platformę wieży i zamarła. Jonathan odskoczył  
od Ziyry niczym nastolatek przyłapany na wybieraniu bilonu z portfela  
matki. Odwrócił się i starając się zapomnieć o oczach piekących z  
niepojętego wstydu, spojrzał w słońce wiszące nisko nad horyzontem. Nie  
oślepiło go, jak się spodziewał. Niebo było czyste z kilkoma zaledwie  
smużkami delikatnych, mglistych obłoczków, a mimo to blask słońca nie  
razil. Przygaszone... Odwrócił spojrzenie i zamrugał oczami patrząc na  
Ziyrę, otworzył usta, ale nie wydobył z siebie dźwięku - zamurował go  
widok świetlistej kreski widniejącej na nieboskłonie tuż nad głową Ziyry.  
Miała długość mniej więcej trzech czwartych cala i grubość  
zapalki, i na pewno nie widniała nad niebem Anglii w chwili, kiedy ją  
"opuszczał". Wpatrywał się w nią, wyężając wzrok i żalując, że zamiast  
walkmana czy zupełnie nieprzydatnej elektrycznej maszyny do pisania, los  
nie zapakował mu w tę podróż mocnej lornetki. -wielista krecha miała  
wszystkie cechy obiektu sztucznego, przede wszystkim regularny kształt,  
raczej nie spotykany w naturze. Doszedł do wniosku, że świeci światłem  
odbitym, podobnie jak Księżyc. Drugim wnioskiem była ocena wielkości  
obiektu. Jeśli znajdował się w tej samej odległości od Ziemi co Księżyc, to i  
wymiary musiał mieć podobne, co z kolei przeczyło tezie o sztucznym  
pochodzeniu. Musiał zatem być bliżej. Czy to miało jakiś sens?

- Jeśli jest bliżej - powiedział na głos, nie zdając sobie z tego sprawy - to planeta musi być mniejsza? Chyba tak, bo inaczej zwałiby się nam na głowy. Cholera, trzeba było poświęcić fizyce trochę czasu i wysił... -

Spojrzał na Ziyrę. - Czy to drugie -

wskazał palcem obiekt za jej plecami - zawsze jest na niebie?

- Nie, skąd! - zerknęła przez ramię. - Zachodzi długo po słońcu, czasem razem, wschodzi również nieregularnie...

- Co to jest? Jak się nazywa?

- Nazywamy go Tra, ale nikt nie wie, co to znaczy. To z jakiegoś zapomnianego języka.

Jonathan zacisnął zęby i jęknął. Poczul, że drżą mu nogi. Usiadł na kamiennej posadzce i oparł tył głowy o balustradę..

- Czy wiesz, co mi powiedziałaś? - zapytał cicho. - Wiesz?! Skąd masz wiedzieć - udało mu się machnąć ręką. - To znaczy, że nie jestem na Ziemi.

Rozumiesz?

- Rozumiem. Wiedzieliśmy to...

- Skąd? - zapytał bez specjalnego zainteresowania.

- Kiedy ocknąłeś się drugi raz, Krycz poprosił cię, żebyś opowiedział o sobie. W twojej opowieści występowało tyle rzeczy, których tu nie ma i nigdy nie było. Tak się to nie zgadza z tym, co wiemy o sobie i naszym świecie, że wytłumaczyć to można było tylko twoim przybyciem z innego świata.

- Zależy jeszcze co ty i ja rozumiemy mówiąc "inny świat" - powiedział do siebie Jonathan. - To mi wygląda, że wykonałem skok nie tyle w czasie, co w przestrzeni i to na skalę, która śni się tylko fantantom. Słodki Jezu... -

Rozluźnił mięśnie, pozwolił głowie opaść do tyłu, aż oparła się o chłodną, mimo upału, balustradę z piaskowcowych bloków.

- Zawołać Krycza? - zapytała zaniepokojona Ziyra.

- A po co? - odpowiedział leniwym pytaniem, siedząc z zamkniętymi oczami



na posadzce. - Jeśli - parsknął lekko histerycznym śmiechem - mam  
potrzymać główkę na czyimś łonie... - opanował się i zamilkł.

Otworzył oczy, obrzucił Ziyre spokojnym, zrezygnowanym spojrzeniem.  
Przyglądała mu się uważnie, zaniepokojona, przygryzając zębami dolną  
wargę. Zauważył, że czubki palców obu rąk ma złączone, zetknięte ze sobą.  
- Dlaczego tak trzymasz palce, czy to coś znaczy? - zapytał, żeby tylko  
przerwać przedłużającą się ciszę

Wyprostowała palce, spojrzała odruchowo w dół, jakby sprawdzając czy  
dłonie wykonały polecenie mózgu. Pomachała ręką w powietrzu.

- To? - zapytała, najwyraźniej zwlekając z odpowiedzią. - To... Tak... Żeby  
pomogło się spełnić. Coś...

- Tak?... U nas to wygląda inaczej - Jonathan wyciągnął rękę i splótł trzeci  
palec ze wskazującym. - Murowane powodzenie zamierzenia.

Przechylił trochę głowy i w polu widzenia za jej głową pojawił się znowu  
tajemniczy, świecący patyczek. Wyrzucona w powietrze zapalona  
neonówka. Jakież jestem głupi!, pomyślał. Przecież gdyby ta planeta była  
znacznie mniejsza od Ziemi, to i ciężenie musiałoby być o wiele mniejsze?  
Czy nie? Czy to zależy od masy ciała a nie od wielkości, chyba od masy...  
Cholera, łatwo jest sobie poradzić z ignorancją, gdy ma się pod ręką  
komputer i numer telefonu do znajomych specjalistów. Tu jestem  
załatwiony. Gorzej niż

Jankes na dworze króla Artura. Być może mógłbym pokazać im działanie  
soczewki czy hula-hoop, ale daleko mi do Cyrusa Smitha. Głupiec... To  
takie nonsensowne - nikt mi nie uwierzy, zakładając nawet, że wrócę do  
siebie, gdziekolwiek to jest, i nawet porządnej powieści z tego nie zrobię -  
nie dzieje się tu nic co nie byłoby już zaszlachtowane przez tabuny... To ci  
pech - trafić do wyświechtanej powieści! Los nie jest...

- Jonathanie! - Ziyra pochyliła się i potrząsnęła go za ramię. - Co ci jest?  
Podniósł się kręcąc głową, odruchowo otrzepał spodnie. Przyciągnął

**dziewczynę do siebie i lekko pocałował w policzek. Trzymając ją za rękę obszedł platformę wieży.**

**- Co to jest? - wskazał palcem dziwaczne ramy wirujące monotonie wokół swojej osi.**

**- Wiatrochrapy. Pompują gorącą wodę z głębinowych wodonośnych warstw. Wy macie inne?**

**- Tak. Trzy, czy cztery śmigła - ułożył odpowiednio palce, żeby zademonstrować skrzydła wiatraka.**

**- A! Wiem, ale wiatrochrapy są wydajniejsze - Przesunęła się i ułożyła dłonie w kielich. - W każdej ramie jest ileś tam chrap. Łapią wiatr w swoje kielichy, a gdy są doń zwrócone ostrzem tego lejka, ich płyty składają się i wiatr przelatuje pomiędzy nimi niemal bez oporu. Wtedy działa drugie skrzydło. Najmniejszy powiew wystarcza, żeby pracowały.**

**- Chytre. Opatentuję to kiedyś. - Machnął ręką. - Nieważne.**

**Ziyra westchnęła i również machnęła dłonią, parodiując gestem i miną Jonathana.**

**- Jesteś zdenerwowany - stwierdziła, natychmiast poważniejąc.**

**- Tak, jestem - zgodził się. Zerknął ponad jej ramieniem w korytarz z kamienną estakadą. - Czy to wasze sprego napędza schody?**

**- Oczywiście.**

**- Hm, muszę przyznać, że trafiłaś mi do przekonania. Jak to się robi?**

**- Widzisz... Takich dużych rzeczy, to znaczy takich, nie wiem jak to powiedzieć, niech będzie: "dużych", nie potrafimy robić...**

**- A kto potrafi?**

**- No-o... Chyba nikt. To my, Soyeffie, zrobiliśmy to wszystko. Ale kiedyś, dawno temu. Część umiejętności utraciliśmy, część narodu wywędrowała stąd strasznie dawno temu, wśród nich kilku czołowych mistrzów takich rzeczy, jak duże budowle, wiatrochrapy i trochę innych. A potem zaniechano szkolenia, nie ma na to zapotrzebowania. Fachowcy jeden po**

drugim wymarli. I zostało nam to, co mamy. - Relacjonowała fragment historii lekkim, neutralnym tonem. - Więcej nam nie trzeba...

- Zatem jesteście ograniczeni murami tej oazy?

- I tak, i nie. W tej chwili cała masa domów jest nie zamieszkana, ale wybiegając w przyszłość musieliśmy uznać, że dwoje dzieci to maksimum, na jakie może pozwolić sobie rodzina. - Wyraźnie chciała jeszcze coś powiedzieć i powstrzymała się.

Jonathan udął, że nie zauważył jej wahania. Zdecydował, że powinien, nie wiadomo po co, ale powinien posiadać jakieś argumenty do ewentualnego przetargu. Tego nauczyło go życie i lektury. Jeśli Bohater miał cało wyjść z tarapatów, musiał mieć odpowiednie środki. Wiedza czy - w najgorszym przypadku - zaskakujące pytania musiały odgrywać rolę środków,

- Tak... - powiedział. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i przeliczył je jeszcze raz. Jedenaście. Włożył do ust jednego. - Zastanawiam się...

- Poczekaj! - Ziyra wyciągnęła rękę, jakby chciała wyszarpnąć papierosa z jego ust, ale zbliżyła doń tylko palce. - To ma złe sprego!

- Aha. Tego właśnie argumentu brakuje naszym lekarzom. Złe sprego. To działa! - zakpił i zapalił zapałkę.

- Poczekaj!.. - wyrwała papierosa i włożyła go między stulone dłonie.

- Bylebyś mi go nie zniszczyła, zostało mi tylko dziesięć i bez względu na jakość ich sprego, mam zamiar wypalić je co do milimetra. Potem się powieszę.

- A nie możesz... - włożyła mu papierosa w usta i machnęła ręką pozwalając zapalić - palić cygar?

- Mm? - Jonathan zapalił i z rozkoszą zaciągnął się. Wypuścił dym z płuc i wsłuchał się w swój organizm. Powtórzył operację. - Nie wiem co zrobiłaś temu papierosowi... Polepszyłaś mu sprego? - Ziyra skinęła głową. - No to kochana z ciebie dziewczynka. Czy

ci wieżę, czy nie - smakuje wybornie. Kiedy będę wracał... - zmełł w ustach

**przekleństwo.**

**- Co?**

**- Nic! - odparł niegrzecznie.**

**- Powiedz! - zażądała.**

**- Chciałem powiedzieć, że zarobiłabyś kupę pieniędzy na polepszaniu sprego marlboro czy cameli - wydusił z siebie. - Nie przejmuj się tym, co mówię. Tak się wycwanilem w pleceni bzdur, że nie potrafię już mówić normalnie. Chodźmy...**

**- A całować?**

**- Całować? - powtórzył tępo. - No wiesz...**

**- Czy wy jesteście słowni?**

**- Tak. Na ogół.**

**- A ty?**

**- Do diabła, pewnie, że tak!. Ale wiesz, tu... No nie wiem jak się zachować, żeby...**

**- Przede wszystkim nie oszukiwać!**

**Jonathan zrozumiał, że Ziyra jest rzeczywiście zła. Szybko wyjął papierosa z ust, rzucił go na posadzkę i z przyjemnością, jakiej sam się mimo wszystko nie spodziewał, przygarnął do siebie dziewczynę i pocałował.**

**- To jest tak zwane rozpoznanie - powiedział cicho, gdy oderwał się od jej ust. - Muszę wiedzieć, czym różnią się nasze techniki.**

**- I?**

**- Trzeba postępować metodycznie, wyrywkowe testy nie zastąpią przemyślanego i zrealizowanego planu...**

**Całował ją tak długo, aż poczuł, że jest gotów posunąć się dalej. Zdrowy rozsądek zwyciężył pożądanie. W ostatniej chwili, odsunął Ziyrę od siebie. Dopiero po kilkunastu sekundach otworzyła oczy. Mgielka rozmarzenia ustąpiła z nich po następnej pół minucie.**

**- Mmm... - zamruczała. - To było... - westchnęła.**

- Już dobrze! - roześmiał się cicho. - Nie jestem żadny pochwał. Po prostu - mam dobre sprego!

- Nie mów tak! - otrzeźwiała błyskawicznie, wyprostowała się. - To nie jest dobry żart. Sprego mają tylko martwe przedmioty!

- A ludzie są tu tylko dobrzy? - zakpił złośliwie.

- Sądzę, że tak, inaczej trudno by im się tu żyło. Nie tak jak innym.

- Chcesz powiedzieć, że przedmioty mają zdolność oceny człowieka? Że służą tylko dobrem.

Zastanawiała się chwilę nad jego słowami.

- Czasem mówisz tak szybko i tak mętnie, że mam trudności ze zrozumieniem ciebie - poskarżyła się. - Ale już wiem - odpowiedź nie może być jednoznaczna. Nikt z nas nie przechodzi jakichś egzaminów. Po prostu - komuś lepiej idzie z naczyniami, więc zajmuje się ich produkcją, inny robi wozy czy uprząż

dla frachtowców, meble albo narzędzia rolnicze, tkaniny... Ja na przykład tkam. Widzisz? - odsunęła się o krok demonstrując swój strój. Na krótką chwilę bluza i szarawary przylgnęły do ciała odsłaniając wszystkie szczegóły figury. Ziyra schyliła się i podniosła żarzący się wciąż jeszcze papieros Jonathana. - Zobacz! - wdusiła płonący koniec w rękaw na łokciu, strzepnęła żar, zwęglony tytoń i popiół i pokazała Jonathanowi tkaninę absolutnie czystą. I całą. - Nie przebijesz jej nożem - pochwaliła się. - A jednocześnie... - wyciągnęła do góry ręce i nagle okrycie szarpnęło się i uleciało w górę. Z cichym terkotem rozpięły się wszystkie guziki przy mankietach i bluza zawisała nad głową Ziyry. Jonathan zamarł widząc mocne, strome, duże i kształtne piersi dziewczyny. Napiął mięśnie i w tej samej chwili bluza rzuciła się na Ziyrę, rękawy same trafiły na wyciągnięte do góry ręce i sekundę później Ziyra stała przed Jonathanem ubrana. Uśmiechnęła się niemal niezauważalnie, widząc oszołomienie na jego

twarzy. Przejechała niedbałym ruchem dłoni po mankietach, wyglądało to raczej na pieszczotę i guziki zadowolone z tego, same wskoczyły w pętelki.

- Czy... - Jonathan musiał odchrząknąć. - Tego pewnie nie trzeba prać, co?

- Och jak ty rozumujesz! - Ziyra pokręciła z wyrzutem głową. - Można nie prać, ale skoro ubranie jest dla ciebie stare, to dlaczego nie miałbyś mu sprawić przyjemności? Może nie tak się wyrażam, to są sprawy, o których się u nas nie mówi, są oczywiste. Ale chodzi o sprego - jeśli ma ci służyć... - rozłożyła ręce i poruszyła brwiami.

- Więc zachowując się nieodpowiednio, narażasz się na bojkot sprego?

- Bojkot... - powtórzyła smakując to słowo. - Tak, właśnie tak.

- Jasne! Akcja równa się reakcji. W takim razie jestem złym człowiekiem - schody nie raczyły mnie tu wynieść.

- Może spróbuj teraz? - zaproponowała. - Przecież nawet się nie skoncentrowałeś.

Jonathan uśmiechnął się sceptycznie i podszedł do opadającej w dół estakady. Obliznął wargi, wszedł na wyżłobione grzbiety schodów i zatrzymał się.

- W dół jest chyba łatwiej?...

- To bez znaczenia.

- Ale co mam robić? Powiedzieć do nich coś miłego?

- Sam wyczuj.

- Sam... No dobrze.

Wyczuj... Nigdy nie byłem schodami. Estakadą. Ja mam czule myśleć o kamiennej pochylni? Że jest taka fajna, gładka, z takimi miłymi bruzdami... Nie, to bez sensu. Inaczej: kochane schody, naprawdę byłbym dumny, gdybyście uznały mnie za godnego... Y-y-y... No co wam szkodzi? Obiecuję nie pluć na was, nie śmiecić, nie wbijać obcasów... Proszę... Odczekał chwilę, rozluźnił się i odwrócił przez ramię.

- Nic z tego. Musisz ty z nimi pogadać. Może z czasem... Pokaż mi jakąś

**łazienkę, dobrze?**

**- A potem obiad!**

**- Potrafisz człowieka skusić. Pewnie, że tak!**

**Ziyra wsunęła się delikatnie na estakadę, a ta natychmiast zareagowała, miękko wybrzuszając się i sprawiając, że oboje zaczęli spływać po kamiennej pochylni w dół. Mężczyzna pokręcił głową patrząc na swoje stopy.**

**- Niesamowite! - powiedział z podziwem. - Najczystsza magia w racjonalnej postaci. - Zastanawiał się chwilę nad własnymi słowami i nad tym, z jaką swobodą, niemal dezynwolturą przeplata crasa angielskimi słowami, których brakuje mu w języku gospodarzy. - Nikt na to dotychczas nie wpadł. - Ostrożnie, przestępując z nogi na nogę, jakby bał się, że nadeptnie niechcący na jakiś czuły punkt estakad, odwrócił się do Ziyry i zapytał: - Naprawdę nie wznosicie modłów do sprawcy tych wszystkich cudów? Nie składacie ofiar czy... Poczekaj! Macie... Na pewno macie - dopowiedział sam sobie. - Jakiego macie... - uprzytomnił sobie, że musi użyć słowa "bóg". - Rozumiesz co to jest "bóg"?**

**- Bardzo mętnie...**

**- Aha? No to...**

**Pochylnia zatrzymała się. Jonathan niezbyt zręcznie, jak debiutujący na ruchomych schodach prowincjusz, zeskoczył na posadzkę korytarza. Zaklął bezgłośnie i nie czekając na Ziyrę ruszył w stronę swojej komnaty.**

**- Chciałeś, żeby pokazać ci łazienkę - zatrzymał go okrzyk z tyłu. Posłusznie zawrócił. - Gdy nauczysz się posługiwać sprego, będziesz mógł kąpać się w swoim pokoju - powiedziała Ziyra przez ramię, idąc już w przeciwnym kierunku.**

**- Chcesz powiedzieć, że w każdym miejscu ściany może trysnąć woda?**

**- Niezupełnie w każdym, ale w każdym pomieszczeniu jest to możliwe.**

**Tylko trzeba, wiesz...**

- Wiem - ponuro mruknął Jonathan. - Trzeba umieć kochać każdy cal rurki, kranów i otworów ściekowych. I potrafić to okazać... - Machnął beznadziejnie ręką. - A co się dzieje z zużytą wodą?

- Chłodzi ściany.

- No-no! - Chciał jakoś zakpić, ale Ziyra zniknęła w otworze drzwi prowadzących do małego pomieszczenia, w którym - jak się przekonał po wyjściu - światło było o wiele mocniejsze niż w pokojach. Rozejrzał się dookoła. Na ażurowym stojaku, wykonanym ze znanych mu już pędów podobnej do bambusa rośliny, stały cztery dzbanki w różnych odcieniach brązu. Stanowiły całość wyposażenia pokoju. - Tu?

- Tak, zaraz puszczę wodę, w dzbanku są... - zawahała się - mydła.

- Jasne. A ręczniki?

- Tu jest... - nie dokończyła. - Przyniosę ci coś do wytarcia. My suszymy się... - Machnęła dłonią w nieokreślonym kierunku. - A twoja odzież jest zmęczona, dobrze by było gdybyś ją wyprał i zostawił, a ja przyniosę ci naszą. Dobrze?

- Dobrze...

Ziyra okręciła się na pięcie i wyszła. Jonathan zrzucił z siebie ubranie i ostrożnie wszedł pod widniejący w suficie otwór. Dwie sekundy później trysnęła z niego woda. Nie była zbyt ciepła i w pierwszej chwili dość nieprzyjemnie sparzyła chłodem ciało, ale już po kilkunastu sekundach zaczęła sprawiać prawdziwą przyjemność. Jonathan kilka minut spędził pod prysznicem, podstawiając się pod chłodny, miękki strumień. Potem ostrożnie wypróbował zawartość dwóch dzbanków. "Mydła" nie pieniały się, pachniały intensywnie ziołami i sądząc po brudnych strumykach spływających z ciała znakomicie czyściły skórę.

Przydałoby się coś do golenia, pomyślał, sprawdzivszy zarost i słysząc ostry chrzęst. Woda zalala mu usta. Ale maszynka mogłaby się poczuć zmęczona, parsknął kpina. Skoro portki czują się niedobrze?... Może są



niedowartościowane? A slipy? Boże, co ja śnię? Może by już się obudzić?  
Mam dość materiału na nową powieść albo nawet cykl...

Wyszedł spod prysznica, zebrał wszystkie swoje rzeczy, opróżnił kieszenie i wrzucił ubranie pod strumień wody. Zaczął pierwszy raz w życiu prac ręcznie swoją koszulę, potem spodnie, bieliznę, skarpety.

Pewnie, że ci wrzodowaci krytycy od razu znajdą paralele chociażby z "Diuną" Herberta, ale i tak nigdy nie mogłem liczyć na uznanie krytyki. Oni wolą Ellisona i innych ambitnych, mętnych fantastów, ich plody, z których po usunięciu belkotliwej filozofii, pseudopsychologii i dętych sloganów podanych w niezrozumiały dla nikogo sposób nie pozostaje nic. Też się kiedyś wpieprzę i nasmaruję coś, czego nikt nie zrozumie i zbiorę wszystkie możliwe Nebule. Zrobię im taki mat w głowie, że...

- Ubranie masz na korytarzu! - usłyszał z tyłu, ale gdy odwrócił się, nie zobaczył nikogo.

- Dziękuję! - wrzasnął przekrzykując szum wody. - Za chwilę wyjdę...

Nie było odpowiedzi. Odczekał chwilę, a potem starannie wyplukał rzeczy i rozłożył na stojaku. Szum wody ucichł. Obejrzał się przez ramię, prysznic wyłączył się. Pokiwał głową z uznaniem, podskoczył kilka razy, żeby strzepnąć z siebie wodę i ruszył w stronę drzwi. Po drodze zatrzymał się przed wgłębieniem w ścianie, które, jak mu się wydawało, wskazała Ziyra mówiąc o suszeniu. Spróbował wzbudzić w sobie wyraźną chęć wysuszenia się i oczekiwanej przyjemności. Kilka sekund nic się nie działo, a potem - Jonathan drgnął, będąc pewien, że pomysł nie doczeka się realizacji - z wnętrza buchnął w jego stronę kłęb ciepłego, suchego powietrza. Roześmiał się radośnie, wydał z siebie kilka okrzyków i zaczął kręcić się w strumieniu ciepłego oddechu pustyni. Powietrze, mimo że suche i ciepłe, nie miało cech tego wydobywającego się z elektrycznych suszarni, nie wysuszało skóry aż do szelestu, pachniało czymś nieuchwytnym, ni to kwiatami, ni to ciastkarnią czy lodziarnią. W każdym razie Jonathan z przyjemnością

wdychał aromat podstawiając głowę pod mocną, elastyczną stronę. Kilka minut później, sprawdzwszy dłonią i czując pod palcami jędrną, suchą, ale nie przesuszoną skórę, wyszedł ze strumienia suszarki, przestawił stojak, ostrożnie wysunął się na korytarz, zebrał leżące pod ścianą ubrania i wrócił do łazienki. Ubierając się stwierdził, że ubranie Soyefcie nie różniło się specjalnie od ziemskiego. Mimo, iż nie było w nim ani kawałka gumki czy metalowych klamerek, haftek ani eklerów, samo przylegało do ciała. Było miękkie, przyjemne w dotyku. I miało zapach jakichś szerokich przestrzeni, przyjemnego wiosennego wiatru. Jonathan przyłapał się na smakowaniu i rozkoszowaniu się wszystkimi tymi drobnymi przyjemnościami - zapachami, ciepłem, chłodem, miłym dotykiem. Pobawił się chwilę guzikami bluzy, a potem postarał się wzbudzić w sobie niechęć i trochę wrogości.

Nie możesz durniu, pomyślał, z taką ufnością kupować całego ich towaru. Nie ma nadal pewności, że nie chcą od ciebie czegoś obrzydliwego. Może trzeba kogoś zabić, a oni tego nie lubią? Sprowadzają sobie takiego egzekutora jak ja... Znowu kiepska fantastyka... Właśnie, może jestem już tak przesiąknięty "człowieczeństwem", że nie będę mógł żyć w tej arkadyjskiej Oazie, gdzie każdy kamień marzy tylko o służbie dla dobra człowieka... Powiedziała, że nie mają Boga, więc chyba nie chcą mnie poszatkować na jakimś ołtarzu? A gdzie pewność, że nie kłamią? Przecież jakiś cel musi być! Co tam pisze się w książkach? Wojna, podbój, wymiana towarowa, uzależnienie, okpienie... Chyba nikomu nie udało się współżyć bez jakiegoś ukrytego celu. Homo homini... Trzeba by jakoś się określić - bardziej jestem reprezentantem ludzkości ufając im czy wietrząc podstęp? Żeby to!... Co za rolę ktoś mi przypisał! Ja tak nigdy nie postępuję ze swoimi bohaterami... Chyba zwariowałem...

Ziewnął przeciągle. Wyszedł zostawiając ubranie w strumieniu powietrza.

Korytarz był pusty, a Jonathan stracił ochotę do rozmów. W swojej komnacie przespacerował się wzdłuż ścian, ostrożnie spróbował wszystkich trzech napojów ze stojących we wnęce dzbanków. Poczul znużenie, jak gdyby obciążenie psychiczne, cały bagaż zaskoczenia, wszystko co działo się od odzyskania przytomności w jakiś dziwny sposób przeistoczyło się w materialny, fizyczny bagaż, który on, średnio popularny, średnio utalentowany pisarz, o niemal przeciętnym życiorysie, musiał od kilkunastu godzin taszczyć na własnych barkach. W głowie miał pustkę wypełnioną chaotycznym szmerem, z którego, niczym dłonie tonącego człowieka, wynurzały się z wody, na ułamek sekundy, sensowniejsze cząstki myśli, i, niemal wszystkie, zakończone były znakami zapytania. Weather usiadł na łóżku, podparł się wysuniętymi za plecy rękami i jak znużony, wypruty z sił człowiek, odrzucił głowę i zapatrzył się w sufit. Oddychał ciężko, jakby do dyspozycji miał tylko rozrzedzone, wysokogórskie powietrze. Ziewnął przeciągle.

Ku-u-ochaj... przedmioty swoje jak siebie samego..., wybelkotał nie zdając sobie sprawy z tego, że mówi wystraszony panującą dookoła ciszą. Ciągłe mi mówią, że moje opowieści są mało prawdopodobne, może dlatego zacząłem pisać? Ale jakbym komu opowiedział to, co teraz mi się przydarzyło... U-u-aach!..., ziewnął jeszcze raz. Szpital dla umysłowo chorych... Na pewno... Nie zrzucając obuwia wyciągnął się na plecach z głową na rękach. Może już jestem u czubków? To by wiele tłumaczyło... Zmarszczył czoło z wysiłku, ale powieki, niczym niezależnie sterowane klapki, spadły w dół, drgnęły raz w skazanym na niepowodzenie wysiłku i zamarły nieruchomo, kryjąc pod sobą, umęczone oglądaniem agresywnych w swojej dziwności obrazów, oczy. Z zewnątrz wyglądało to, jakby walczył z ogarniającym go bezwładem - otworzył usta i mruknął głośno i wyraźnie: "Zgasić to światło!" Ale ściany nasączone blaskiem nie zareagowały na żądanie. W otworze drzwi pojawił się Krycz, chwilę przyglądał się

zanurzonemu w sennej otchłani Jonathanowi, zastanowił się nad czymś, potem zerknął na ścianę za wezłowiec łóżka i wyszedł. Płynnie, jak w sali kinowej, światło przygasło. W komnacie zapanował soczysty półmrok.

### **Piąta doba**

Obudził się wypoczęty, z przecuciem jakiegoś radosnego wydarzenia. Po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że podobnie czuł się w dzieciństwie, przypominając sobie rano, o oczekującym go dzisiaj dniu urodzin czy gwiazdce. Zanucił półgłosem fragment "Yesterday" i usiadł na łóżko. Mrok, jakby spłoszony jego głosem wyparował z komnaty, a Jonathan potarł trzeszczący podbródek, przeciągnął się i pochylił by wstać, ale zamiast tego opadł na plecy. Zastanawiał się długą chwilę nad swoim zadziwiającym opanowaniem, przypisał je tej ziołowej mieszance, którą Krycz i Ziyra nazywali "bonia" i przeszedł do kolejnej analizy swojej sytuacji. Jego bank danych nie uzupełniło wiele świeżych informacji i wciąż największym problemem było ustalenie prawdziwości słów Krycza, a co za tym idzie, całej reszty problemu.

Nie da się tego inaczej sformułować: albo robią mnie straszliwie w konia, pomyślał, coś jak w filmie "Koziorożec I", albo rzeczywiście przeniosłem się do jakiejś innej rzeczywistości. Jeśli to bluff, to żadne moje dociekania i pytania nie dadzą szybko satysfakcjonującej odpowiedzi, zakładając, że w ogóle istnieje jakaś taka odpowiedź. Do cholery, będąc świadom inscenizacji powinienem przedsięwziąć jakieś kroki. Jakie? I kto - ja? Po miesięcznym przeszkoleniu w formacji samoobrony?! Po kilkudziesięciu filmach i książkach z życia supersprawnych samotników?

No dobra, drugi wariant - jestem w innym świecie; to prawdopodobne: sprego, sztuczny księżyc... Coś jeszcze? Może wystarczy. Jestem w innym

świecie, wobec czego interesują mnie odpowiedzi na dwa pytania. Jak się tu dostałem i jak się stąd wydostać. Gdyby wiedzieli, to już by mi chyba powiedzieli, chyba że istnieje coś jeszcze, jakaś podszywka. W sumie: i jeśli coś ukrywają i jeśli są ze mną szczerzy i tak nie dowiem się w jakiej kasie czeka na mnie bilet powrotny. Ergopytania z tej dziedziny nie mają sensu, przynajmniej na razie. Powinienem zgromadzić jak najwięcej danych, przydadzą się albo do ewentualnej - dlaczego ewentualnej? - ucieczki, albo do porządnie rozbudowanej powieści. Odczepi się może wtedy ode mnie ta zgraja chętnych do szarpania krytyków, że banalne dialogi, wątła intryga, psychologiczna niekonsekwencja!... Czyli co? Spokojnie obserwuję, notuję w pamięci... Szkoda, że maszyna... Zawsze chciałem wozić ze sobą maluteńkiego... Och, doprowadzamy to wszystko do jakiegoś porządku! Powinienem chyba jednak zapytać jeszcze kilka razy o sposób na wydostanie się stąd, przesadne pogodzenie się z losem może wzbudzić podejrzliwość, a to nie będzie dobre w żadnym wypadku.

Leżał jeszcze chwilę szukając błędu w rozumowaniu, potem poderwał się i wyszedł do łazienki. Po drodze zastanawiał się czy nie będzie musiał wezwać Krycza do uruchomienia prysznicu, ale woda pociekła zaledwie ustawił się na tym samym co wczoraj miejscu.

Przyjął, że Ziyra "zadała" prysznicowi taki właśnie program:

"Kiedykolwiek ten dziwny facet, który nie potrafi cię uruchomić stanie pod sitkiem - puść nań strumień wody". Ostrożnie posługując się brzytwą, zgolił szczecinę, wysuszył się i głaszcząc podrażnioną skórę szyi, wrócił do komnaty ze swoim ubraniem na ramieniu. Postanowił pozostać przy stroju miejscowych, swoje spodnie i koszulę złożył w staranną kostkę i ułożył na futerale maszyny. Napił się, wciąż zimnego, orzeźwiającego soku i podszedł do miejsca w ścianie, gdzie wczoraj otworzył drzwi Krycz. Przejechał dłonią po odcisniętych w piaskowcu wzorach, starając się skłonić drzwi do otwarcia. I radośnie zachłysnął się powietrzem, gdy prostokątny kawał

ściany chętnie i bezgłośnie usunął się ukazując perspektywę korytarza.

- Proszę - zawołał triumfalnie. - A zamkniecie się?

Drzwi również bezgłośnie zmaterializowały się na swoim miejscu i stopiły szczelinę ze wzorem. Jonathan zanucił kilka taktów triumfalnego marsza własnej kompozycji.

- Krycz?! - zawołał w przestrzeń. - Jak się ma sprawa ze śniadaniem?

Muszę na nie zapracować? Czy znaleźć stolówkę?

-ciany milczały. Jonathan wyciągnął spod ubrania walkmana i nałożył słuchawki. Wsłuchał się we wtórujące cicho "Blackbird", wyłączył walkmana, i w tej samej chwili zobaczył wchodzącego z tacą Krycza.

- Powiedz mi - uśmiechnął się na przywitanie - jak wy radzicie sobie bez zegarków?

Krycz ustawił tacę na usztywnionych niedbałym ruchem nóżkach i popatrzył na przeciwległą do łóżka ścianę. Jonathan przeniósł na nią spojrzenie i zobaczył jak w jej centrum zaczernia się płaszczyzna o kształcie regularnego wieloboku, a potem jej część rozjaśnia się na ciemnowisniowo.

- Cała ta figura to doba! - stwierdził, usiłując policzyć niewyraźne kąty.

- My nie mamy określeń takich jak doba, godzina, sekunda - powiedział Krycz. - W naszym języku każda godzina ma swoją nazwę i wcale nie są identyczne jak wasze.

- Wiem jak się nazywają...

- Oczywiście - Krycz podszedł do wielokąta na ścianie. - To co wy nazywacie dobą jest u nas podzielone na dwadzieścia jeden części, dziesięć dziennych i jedenaście nocnych. To jest sytuacja aktualna, w zależności od wzajemnego położenia Tra i Słońca stosunek tych części do siebie może się zmieniać. -

Wrócił do stolika i wskazał go dłonią. - Czeka na ciebie... - usiadł na łóżku. - To właściwie wszystko o czasie...

- Niezbyt precyzyjne - mruknął Jonathan siadając obok i podnosząc przykrywkę z ciepłej misy...

- Nam wystarczy - spokojnie zareplikował Krycz. Jonathan usiłował w jego głosie doszukać się jakiejś specjalnej intonacji - pogardy, wyższości - ale nic takiego nie znalazł.

- Im bardziej skomplikowane życie, im więcej czynności należy wykonać jednego dnia, tym pomiar czasu musi być precyzyjniejszy - ciągnął Krycz. Jonathan pokiwał głową, nie przerywając jedzenia.

- A nasze życie jest proste i nie wymaga aż takiej dokładności w dzieleniu dnia i nocy. Dlatego nie wykształciły się inne formy oznaczania czasu.

- Nie macie żadnych obowiązków, które należy wykonać terminowo?

Krycz zastanawiał się chwilę. Jonathan w tym czasie zdążył pochłonąć z miski cały gulasz, co jeszcze dwa dni temu wydawało mu się idiotycznym śniadaniem.

- Hm... - Jonathan chwilę zastanowił się. - Tak w ogóle, to jest taki naturalny zwrot, przynajmniej w tym kontekście. Jeszcze nie wiem, czy wam naprawdę zazdroszczę.

- W waszym rozumieniu nie - powiedział w końcu Krycz.

- No to tylko pozazdrościć - rzucił Jonathan, podnosząc do ust kubek z parującym naparem, który, jak się domyślił, spełniał tu rolę herbaty czy kawy.

- Mówisz szczerze? - zainteresował się Krycz.

- W końcu tak niewiele wiem... A właśnie! Czy dalej nie wiesz, co ja tu robię?

Krycz pokręcił głową. Wstał i przeszedł się po komnacie.

- Potrafisz wpływać na sprego? Próbowaleś?

- Udało mi się otworzyć drzwi - Jonathan wskazał spojrzeniem ścianę. - Wykąpałem się bez pomocy Ziry, ale sądziłem, że to ona nauczyła prysznic, jak ze mną postępować - wyjął z kieszeni paczkę winstonów i zapalił.

- Mylisz się. Nie możemy kazać przedmiotom zachowywać się przyjaźnie

wobec kogoś innego niż my sami. A to znaczy, że zostałeś zaakceptowany. Znakomicie. Trochę się, szczerze mówiąc, tego obawiałem. Możesz więc śmiało wyjść do miasta i w ogóle gdziekolwiek chcesz. Wszyscy Soyefcie wiedzą już o tobie, możesz każdego z mieszkańców Nat-Canal-Le zapytać o wszystko, nie bój się, nie naruszysz jakiegoś tabu. A gdybyś czegoś chciał ode mnie, po prostu powiedz to do najbliższej ściany.

- Osada... Oaza... - poprawił się Jonathan. - Jej budynki są jednocześnie systemem komunikacyjnym?

- Tak. Możemy rozmawiać z każdego miejsca z każdym, kto ma na to ochotę.

- Możecie się też widzieć?

- N-nie... To już trudniejsze. To znaczy... W niektórych miejscach - tak. I nie wszyscy. Tak jak nie wszyscy mogą zrobić dobry wóz czy ozdobę.

- Aha. Czyli ja mogę korzystać z tego telefonu i zegara jeśli ściany mnie zaakceptują...

- Ależ już zaakceptowały! Usłyszałem twoje wezwanie, kąpałeś się, suszyłeś, otwierałeś drzwi...

- No to mnie cieszy. Dobrze, pójdę zwiedzać waszą Oazę.

- Poczekaj... Powiedz mi - wierzysz już, że nie jesteś ofiarą żartu czy manipulacji? - użył angielskiego słowa, widocznie nie istnieje odpowiednik w crasa.

- Jeszcze nie wiem - szczerze odpowiedział Jonathan po chwili zastanowienia. - Może po południu... - parsknął śmiechem. - Jak to będzie?

- zmarszczył brwi próbując przypomnieć sobie nazwy godzin. - Eee...

- Nieważne, nie męcz się. Rozumiem co masz na myśli. Przejdź się i rozejrzyj. - Krycz skierował się do drzwi i zatrzymał się i rozejrzał. -

Jeszcze jedno - boisz się zwierząt?

Jonathan wzruszył ramionami.

- Jeśli są duże i drapieżne... Chyba tak...



- Nie bardzo wiem do czego w twoim świecie je porównać... W każdym razie nie ma w Oazie groźnego zwierzęcia. To absolutnie pewne. Wszystko, co spotkasz, będzie ci przyjazne.

Wyszedł nie "zamykając" za sobą drzwi. Jonathan popatrzył na niedopalek papierosa, który niemal bez jego udziału osiągnął swe przeznaczenie i ruszył śladem Krycza.

Wszystko przyjazne, mruknął na korytarzu. Chyba, że obrażona podłoga da ci kopa za gaszenie niedopałków. Albo przejedzie cię na skrzyżowaniu stół pędzący do pilnego wezwania. Albo...

Zszedł po schodach na ulicę.

I wtedy zobaczył kotuna.

Nieco mniejszy od pумы zwierz, z miękkim zaokrąglonym pyskiem przypominającym mordkę koala, z zaokrąglonymi, jak sympatyczny miś, uszami, ozdobionymi miękkimi długimi włosami, wysunął się zza załomu pochylni i przystanął jakby zdziwiony widokiem obcego człowieka.

Jonathan zatrzymał się jak wryty. Czół na skórze palców żar niedopałka, a po głowie kołatała się myśl, że ten właśnie niedopalek jest jedyną jego bronią. Potem przypomniał sobie ostatnie pytanie Krycza i nieco się uspokoił. Kot - jeśli to był kot - wolno mrugnął oczami i ziewnął. Pysk mieścił sporo zębów, ale były one drobne, choć ostre, niepodobne do klów tygrysa czy pantery. Serce Jonathana wyraźnie zwalniało, a płuca przestawiły się na spokojniejszy oddech.

- Spadaj, kicia - mruknął, żeby dodać sobie otuchy. Zwierz mruknął przeciągle, podszedł do Jonathana i dotknął czubkiem ciemnego nosa jego kolan. Człowiek odetchnął przeciągle, odrzucił niedopalek i ostrożnie położył dłoń na karku kocura. Kotun zeszywniał, ale kiedy zaniepokojony Jonathan znieruchomiał, zwierzę mruknęło przeciągle oraz jeszcze mocniej uderzyło nosem w nogę człowieka.

- Tak więc mam cię głaskać? - zapytał Jonathan. Przejechał kilka razy

dłonią po wyginającym się, falującym grzbiecie zwierza, a potem, całkowicie uspokojony, przykucnął i dokładnie obgłaskał kotuna. Miał ciepłą, nieco sztywniejszą od ziemskich kotów sierść koloru ochry z jaśniejszymi plamami wokół oczu i na obrzeżach uszu. Giętki ogon zdobiły pierścienie z jaśniejszego futra i takie same pierścienie miał na końcach nóg, jak gdyby obsunęły mu się, pozwijaly, jaśniejsze od reszty ciała skarpetki. Gdy Jonathan na chwilę zaprzestał głaskania kotuna, ten tak mocno natarł na niego, że człowiek wylądował na plecach, a rozzuchwalony, spragniony pieśczoć kot szybko rozłożył mu się na brzuchu i kilka razy smagnął drżącym z emocji ogonem.

- Nie-e no, tak się nie będziemy bawić - krzyknął Jonathan, uchylając się przed fruującym we wszystkie strony ogonem. - Krycz, Kry-ycz! - krzyknął w przestrzeń. - Jak on się wabi?

- Ten? - głos dobiegł go zza ściany. Krycz zrobił krótką przerwę, jakby się zastanawiał albo - co Jonathan uznał za prawdopodobniejsze - przyglądał się kotunowi. - Farmi.

- Dzięki! Farmi!!! Zjeżdżaj!

Jonathan zepchnął kotuna z siebie i szybko poderwał się na równe nogi.

Uliczka była pusta, niemal cała ocieniona. I bezludna.

- Masz szczęście, że nikt nas nie widział - powiedział do Farmi. - Możesz iść za mną, ale już bez żadnych karesów. Jasne? - wspomógł pytanie, celując w zwierzę wskazującym palcem.

Odwrócił się i ruszył uliczką. Po kilku krokach poczuł lekkie dotknięcie w lewe kolano. Farmi, niczym dobrze ułożony pies, zajął miejsce przy lewej nodze i bezszelestnie kroczył obok człowieka z innego świata. Po kilku krokach Jonathan przypomniał sobie

jak brzmi pozdrowienie w crasa, powtórzył je kilka razy, żeby być pewnym, że nie zająknie się w odpowiedniej chwili, ale nie spotkał nikogo w drodze do centralnego placu.

Tuż przy wylocie uliczki światło padające na chodnik przybrało nieco inny odcień, a Jonathan - sam sobie się dziwiąc i besztając - zwolnił kroku, odetchnął kilka razy głębiej i ostrożnie wyjrzał zza ściany.

Prostokątny plac, wielkości mniej więcej trzydzieści jardów na dwadzieścia kilka, niemal cały zajęty był przez kamienny basen. Sześć jardów nad lustrem wody wisiał dach, przez który światło przeświecało obficie niż w komnatach, ale było nieco przytłumione w porównaniu z jasnością bezpośrednich promieni słonecznych. Dach opierał się na smukłych filarach tworzących jednorzędową kolumnadę wokół kamiennej sadzawki.

Jonathan zauważył, że na niektórych ścianach domów wychodzących na sadzawkę widnieją otwory

okienne, częściowo zajęte przez patrzące na kąpiących się, kobiety.

Uświadomił sobie, że okna, jak i już poznane drzwi, mogą się otwierać na życzenie mieszkańców i właśnie to, a nie niedopatrzenie czy jakiś wyrafinowany gust architektów było przyczyną, dla której wcześniej nie zauważył w domach otworów okiennych. Zauważył, że z jednego z krótszych boków sadzawki wychodzi wąska rynna odpływu, wykuta czy wryta we wszechobecnym piaskowcu, poszukał spojrzeniem dopływu i znalazł go w logicznie umieszczonym

przeciwległym brzegu - kwadratowy otwór z rurą biegnącą pod powierzchnią chodnika. Zmusił się do zrobienia kilku kroków, starał się zachowywać swobodnie, co uczyniło jego krok sztywnym, a spojrzenie, czuł to i wściekał się, nabrało sztuczności, tak dobrze widocznej z boku.

Podszedł do otaczającej sadzawkę barierki, usiadł na niej i położył dłoń na karku Farmi. Potar mosił delikatnie kotuna jednocześnie rozglądając się dookoła. Żartował, że nie zaprosił do pierwszego spaceru po Oazie Ziyry, ale od razu zauważył, że jego osoba nie wzbudza specjalnej sensacji.

Przypuszczał, że Soyefcie są po prostu lepszymi niż on aktorami, ale i tak brak natarczywych spojrzeń pomógł mu opanować się. Na dodatek

przypomniał sobie o istnieniu papierosów i znakomitego ich wpływu na treść i brak rozsądnego zajęcia dla rąk. Zapalił jednego, z przyjemnością wypuścił smugę dymu w górę. Zmienił nieco pozycję i nie kryjąc się zaczął przyglądać się kąpiącym. Nie zdziwiło go, że dzieci kąpały się na golasa, natomiast nagość dorosłych może nie szokowała, bywał w końcu na plażach, gdzie biust czy zgrabny tyłeczek wpadały w oko częściej niż bryzgi rozbijających się o falochron fal, ale w miejskim krajobrazie, bo tak wyglądała sadzawka, smagle dziewczęce kształty wyglądały odrobinę nieprzyzwoiciej niż takie same w jeziorze czy morzu. Jonathan szybko - czując napływającą falę podniecenia - odwrócił spojrzenie od kobiet, wyszukał w rzadkim tłumie mężczyzn i przyjrzał im się. Wszyscy wyglądali jak wyjęci z reklamówek ośrodków odchudzania czy odmładzania - szczupli, proporcjonalnie umięśnieni, opaleni. Bez śladu skrępowania rozmawiali z nagimi dziewczynami, obejmowali je i po chwili przytulenia, wskakiwali do wody, a one wracały do jakichś swoich dziewczęcych rozmów przeplatanych klasycznymi chichotami i zalotnymi spojrzeniami. - Obyczajnie macie tu wydaje mi się swobodne... - mruknął do Farmi. - Przy okazji, jesteś samicą? - rzucił okiem na tułów kota, ale gęste futro uniemożliwiało dokładną penetrację wzrokową. - Wyjaśni się prędzej czy później - uspokoił kotuna.

Zaciągnął się głęboko dymem, rzucił spojrzenie w pozbawione śladów obłoków czy chmur niebo. Wymarzone miejsce na wakacje, pomyślał. Tylko zbudować korty ze sprzyjającą slajsowanym piłką nawierzchnią, może golfowisko z nietypowym podłożem, ale za to wszystkie napędzane sprego piłki, będą jak po sznurku maszerować do dołków... Westchnął. Zerknął przez ramię na kąpiących i zauważył, że od grupy młodych oderwał się jeden i najwyraźniej zmierza w jego kierunku. Odchrząknął nieznacznie. Młodzianin wyciągnął dłoń, a kiedy Jonathan poderwał się, by ją uścisnąć, zobaczył, że nieznajomy proponuje mu soyeftiańską cygaretkę.

**Wymruczał pozdrowienie.**

**- Jestem Dulen - powiedział młodzieniec. - Chcesz spróbować tego?**

**Jonathan rzucił okiem na swój papieros, wyszarpnął paczkę i wyciągnął do Dulena.**

**- A ty mojego?**

**Dulen wahał się chwilę.**

**- Ziyra poprawiła im sprego - dodał Jonathan.**

**Wymienili się papierosami. Jonathan wyciągnął zapalniczkę, przypalił papierosa Dulenowi, zapalił sam i widząc zainteresowanie w oku Soyefcie podał mu ją. Dym cygaretki smakował mu umiarkowanie, ten sam wyraz widniał na twarzy Dulena.**

**- Nie smakuje ci, co? - wskazał spojrzeniem winstona.**

**Dulen uśmiechnął się i skrzywił jednocześnie. Zapalił kilka razy płomyk, pokiwał głową jakby z uznaniem i zwrócił zapalniczkę Jonathanowi.**

**- Czy to jedyny gatunek?... - Jonathan pokazał cygaretkę Dulenowi. Wciąż nie bardzo wiedział czego i w ogóle czy czegoś chce od niego młody nieznajomy i o czym mogą ze sobą porozmawiać. Notowania giełdowe? Nowy model rovera? Typy na Epsom? Dulen wypuścił dym przez nos.**

**- Może mógłbym się przyzwyczaić... - powiedział chcąc złagodzić ocenę uśmiechem. Skinął głową Jonathanowi i odszedł.**

**Weather poczuł lekkie rozdrażnienie, jak zawsze, gdy znajdował się w otoczeniu osób, które nie poczuwały się do zabawiania zaproszonego gościa. Zapraszanego przez siebie gościa! Rozumiał, że tu nie jest zapraszany, ale uważał, że gdyby na jego trawniku wylądował któryś z Soyefcie, to właśnie on zająłby się nim, tak by ten nie czuł się jak on teraz. Zacisnął zęby, żeby nie zakląć głośno, zerknął przez ramię na plecy Dulena i zauważył, jak chłopak rzuca niemal całego papierosa pod ścianę budynku. Przynajmniej rozwiązał się problem niedopałków. Jonathan ogarnięty nagłym zniechęceniem, którego przyczyną stało się poczucie niewiary w nawiązanie**

sympatycznych stosunków z Soyefcie, wrócił do siebie i zwałił na łożo. Ziewnął potężnie; zasnął w połowie drugiego ziewnięcia.

**Ósma doba, popołudnie**

- No-no? - Krycz zrobił z brwi chybotliwą wagę. Zerknął spod oka na Jonathana. - Zupełnie nieźle. Opanowałeś niuanse hagry w trzy dni - pochwalil.

- W ogóle jakiś się zrobiłem zdolny - rzucił niemal beztrosko Jonathan przechylając głowę, by pod innym kątem przyjrzeć się konfiguracji swoich kilek. Wyjął jedną, najmniej - jak mu się wydawało perspektywiczną - i chuchnął na nią. Puścił do Krycza oko i umieścił kulkę w lejku. Spiralna pochylnia hagry rozszechbiotała się kaskadą melodyjnych dźwięków, kula poturlała się w dół, wpadła w gąszcz chaotycznie rozmieszczonych drewnianych pręcików i wylądowała w obracającej się wolno tacy. Po kilku sekundach toczenia się, zapadła w jedną z komórek, odcinając figurę Krycza od "ziarna". Jonathan plasnął dłonią w udo. - Hmu-hmu! - roześmiał się nie otwierając ust.

Krycz westchnął. Jego palce zawisły nad tacą, chwilę zastanawiał się, wyjął dwie kulki i popatrzył na Jonathana. Ten zastanowił się chwilę, dołożył jedną ze swych kulek blaszanych na tacę i wskazał Kryczowi lejek.

- Opanowałem wasz język w kilkanaście godzin, to mnie najbardziej dziwi - powiedział, nawiązując do swojej wcześniejszej uwagi. - To mnie okropnie dziwi. To, że wy znacie angielski jak ja - wasza sprawa. Ale ja? Łatwiej opanowałbym latanie bez skrzydeł niż jakikolwiek język. Posunąłem się nawet do tego, że uważałem wszystkich ludzi bez znajomości angielskiego za dziwaków, nie bardzo mogłem pojąć jak sobie radzą w życiu bez tej sztuki. Przy okazji - jeśli chciałbyś wiedzieć, jaką jeszcze korzyść odniosłem z tego całego... przemieszczania - Krycz oderwał wzrok od tacy, przyjrzał

się uważnie Jonathanowi i skinął głową - zrobiłem się tolerancyjny. Tak, już mnie nie dziwią ludzie posługujący się innym językiem.

- Prowadzimy proste życie - powiedział Krycz wciąż nie decydując się na włożenie kulek do lejka.

- Tak, zauważyłem. Ale czy to ma jakiś związek z moją przemianą?

- Sądzę, że tak. Chcesz czy nie, twoje życie również się uprościło. Odpadły ci wszystkie kłopoty z energią elektryczną, samochodem, wydawcą, kolportażem, gotowaniem, spotkaniami z nie lubianymi ludźmi... Chociaż, może to ostatnie - nie. Ale cała ta techniczna otoczka, która w miarę rozrastania się i oplątywania was, staje się siecią, z której wyrwać się nie możecie i nie chcecie, i bez której już żyć nie możecie - wszystko to opadło z ciebie. No! - wrzucił kulki.

Wyglądał na całkowicie pochłoniętego wpatrywaniem się w opadające kulki, ale Jonathan był pewien, że dialog prowadzony przy okazji gry towarzyskiej ma jakieś drugie dno.

Kulki zawisły na chwilę nad tacą, opadły, poturlały się i usadowiły w wolnych gniazdach. Krycz odzyskał komunikację z "ziarnem", ale stracił spory fragment figury. Jonathan wygarnął zdobyte kulki i wrzucił do swojego zasobnika.

- Ale też straciłem kilka innych rzeczy: kino, alkohol. - Chciał dodać "kobiety", ale powstrzymał się. - Tęsknię również do roboty. Nie przesadnie, mogę się jeszcze bez tego obejść, ale czasem postukałbym w klawisze... - podrzucił kulkę i chwycił w drugą dłoń. - Na przykład coś takiego: na Ziemi zaczynają się rodzić ludzie, którym wyrastają skrzydła, albo coś innego, skrzydła to banał, ale coś, co różni ich od innych i co tym innym nie daje spokoju. Dlatego izoluje się tych odmieńców na jakiejś wyspie czy coś koło tego... - Zmrużył oczy i szukał natchnienia w przeciwległej ścianie, w miarę opowiadania zapalając się coraz bardziej - ...Izolowani sami izolują się jeszcze bardziej, nie wpuszczają normalnych

do siebie. To była taka rozpędówka, potem wprowadzam narratora, zaczynają pączkować skrzydła, czy to coś tam, zaczynają się przydarzać różne inne dziwne rzeczy, może jakieś załączki telepatii, i wtedy pojawiają się agenci czegoś. Proponują komuś "po dobremu", żeby został ich agentem na Ziemi Pegaz, w kraju czy na wyspie skrzydlatych. On się, rzecz jasna, nie zgadza, ale zmuszają go - można tu wstawić parę sensacyjnych kawałków, jakiś zamaszek, jakaś pogoń... Summa summarum - nasz bohater zgadza się... Ląduje na Ziemi Pegaza... Czekaj! - Jonathan popatrzył na Krycza szeroko otwartymi oczami. Głośno pstryknął palcami.

- Wiesz co? Przecież wcale nie muszę niczego wymyślać - wystarczy, że opiszę waszą Oazę. Że niby skrzydła to tylko zewnętrzna demonstracja głębszej przemiany. Zaczynają żyć bez techniki, posługują się prostymi sprzętami, w które mogą tchnąć dobre sprego i tak dalej. Co? Jak ci się podoba?

Trącił Krycza w kolano. Krycz podrapał się wskazującym palcem za uchem.

- Mam pytanie...

- No?

- Co to znaczy "summa summarum"?

- Reasumując wszystko razem - Jonathan opadł plecami na oparcie krzesła.

- Tylko tyle masz do powiedzenia?

- Nie znam się na książkach. Nie posługujemy się pismem tak jak wy...

- A jak? Właśnie - to dobra okazja, żebym się czegoś nauczył. Jak?

- Pokażę ci kiedyś. Ale wracając do twojego pomysłu, nie zamierzasz napisać powieści o tym, jak jakiegoś pisarza agencji z czegoś tam hipnotyzują czy poddają działaniu preparatów, dzięki czemu wydaje mu się, że znajduje się w jakimś nierealnym, nierzeczywistym świecie?

- Nie... Już nie.

- Nie? A powiedz, co przekonało cię, że nie śnisz? Nasze niebo?



- Nie-e... - Jonathan roześmiał się. - Nie wiem czy mi uwierzysz. Przekonały mnie wasze zamknięte usta - popatrzył na zdziwionego Krycza. - Jeśli nie mówicie, macie zamknięte usta, wasze wargi niemal stale stykają się ze sobą. My niemal stale mamy szczelinę, jakbyśmy byli wciąż w gotowości do gadania. Oczywiście nie zdawałem sobie z tego sprawy, dopóki nie zrozumiałem, co mnie najbardziej w was dziwi. Zastanawiałem się, czym to jest podyktowane?

Krycz wolno wzruszył ramionami.

- Może dlatego, że żyjemy na pustyni i nauczyliśmy się unikać piaskowego pyłu między zębami.

- Zgoda, spluwanie jest równie eleganckie jak dłubanie w nosie - mruknął Jonathan, wpatrując się ponownie w nowy układ na tacy. - A! Jeszcze jedno - już kilka razy delikatnie podpytywałem cię: jak to możliwe, że tak szybko opanowałem crasa?

- Cóż... - Krycz odchylił się w krześle. - Widzę, że kończymy na dzisiaj grę?

- Po potwierdzającym skinieniu głowy Jonathana, unieruchomił wirującą wciąż tacę hagry. - Nie trwało to kilka ani nawet kilkanaście godzin. Trzy doby. Mówiłeś i mówiłeś a my słuchaliśmy. Potem na odwrót.

- I tylko tyle? - Jonathan postarał się, żeby sceptycyzm w jego głosie nie uszedł uwadze Krycza.

- Jest pewien eliksir wiedzy. A tak poważnie, to pewna mieszanka ziołowa, która uaktywnia mózg, zażyliśmy jej wszyscy, to znaczy ja, Ziyra, Manika i chyba jeszcze kilka osób, ci najbardziej ciekawscy.

- I ja - wtrącił Jonathan.

- Oczywiście - zgodził się Krycz.

- No to mogę zażyć jeszcze... Poczekaj! - powiedział z naciskiem, widząc grymas na twarzy Krycza. - Zażyć jeszcze, żeby zapoznać się z pismem.

- Widzisz... - zaczął Krycz i umilkł.

- Widzę, że trafiłem w coś nieprzyjemnego?

- Nieprzyjemnego? Nie, chodzi o to, że ta mieszanina stosowana w nadmiernych ilościach powoduje... Hm, jak ci to opisać. Człowiek staje się ociężały bez tego zielska, wydaje się, że myśli wolno, nieefektywnie, nie potrafi się skupić, jest zniechęcony. Coraz bardziej wierzy w efektywność ziela i w końcu nie potrafi już nic robić, poświęca cały swój czas i energię na zdobycie specyfiku. I w miarę zażywania kolejnych dawek ta obsesja pogłębia się. Rozumiesz? A my zażyliśmy dawkę graniczną, wymagała tego sytuacja, ale teraz już nie musimy. Tak więc, jeśli będziesz chciał poznać pismo i korzystać z tej wiedzy będziesz musiał...

- A to dziękuję! - Jonathan machnął ręką. - Rezygnuję, przynajmniej na razie. Mówiłem, że zdolności językowe mam w zaniku.

Krycz uśmiechnął się dyskretnie i pokiwał głową zupełnie jak ojciec, tłumaczący dziecku rzecz oczywistą. Pchnął lekko tacę, pozwolił jej obrócić się dwa razy wokół własnej osi i ponownie zatrzymał.

- Opanowałeś przecież angielski... - mruknął.

- Niby tak... - musiał zgodzić się Jonathan. - Chyba tak, skoro piszę... - przerwał usiłując przypomnieć sobie coś ważnego. - Mhmm?... Aha!

Powiedz czy rozumiesz, co to jest fantastyka?

- Chyba tak.

- Już kiedyś cię o to pytałem, to znaczy nie o to, co to jest fantastyka, ale... - przerwał i zaczął znowu inaczej. - Takich historii, kiedy bohater znajduje się w jakichś nieznanach krainach, wśród obcych plemion, w innym czasie, napisano już sporo. Zawsze - jak się po kilkunastu stronach okazuje - ma on do spełnienia jakąś misję. O to właśnie cię pytałem: czy ja mam tu coś do zrobienia? To mnie dręczy, musisz mi to powiedzieć. Przynajmniej tak czy nie, mniejsza o szczegóły...

- Nic o tym nie wiem, Jonathanie. Naprawdę.

Na długą chwilę zapadła cisza. Jonathan sięgnął po prostokątny pojemnik z cygaretkami, dostarczonymi przez Ziyrę. Poczul jednak, że palenie nie

**sprawi mu żadnej przyjemności. Postukał palcami w blat stołu. Krycz znowu na chwilę zakręcił tacą, zatrzymał, zakręcił.**

**- No to wygląda, że znalazłem się tu przez przypadek, jakbym wysiadł na niewłaściwej stacji.**

**- Stacji?... - powtórzył Krycz. Przez chwilę szukał w pamięci informacji, skinął głową. - Chyba tak - zgodził się. - Właśnie, mam dla ciebie propozycję dotyczącą tematu komunikacji - po południu kilka osób wybiera się na frachtwołach do satelitarnych osad. Chcesz pojechać z nimi?**

**- Na frachtwołach? Dam radę? Moje umiejętności jazdy na zwierzętach... - wzruszył ramionami.**

**- O to się nie martw - na frachtwołach jeździ się stępa, tylko podczas wyścigów najodważniejsi próbują klusa, a galopu nie wytrzyma nikt.**

**- Stęp to coś dla mnie! A te osady?**

**- To pojedyncze budynki zamieszkałe przez dyżurne rodziny lub grupy, które pilnują naszych pól. To wygląda tak... - Krycz zdjął i postawił na podłodze hagrę pilnując, by kulki pozostały w swoich gniazdach. Na środku stołu ustawił pojemnik z cygaretkami. -**

**To jest Nat-Canal-Le. Rzeka wypływa tu z podziemnego koryta i - jak zauważyłeś - niemal zaraz ponownie znika pod ziemią, i na tym obszarze już nie wypływa. Wcześniej jednak, od południa do południowego zachodu - wyjął trzy cygaretki i ułożył je w odpowiednich miejscach - na powierzchni znajdują się trzy strumienie: Ogara, Drugi i Trewa. Właśnie dookoła nich mamy pola, na których uprawiamy zboża i trochę sadów. To nasza spiżarnia. Musimy jej pilnować, trochę przed zwierzętami, ale przede wszystkim musimy dozować wilgotność pól. Zajmujemy się też hodowlą. Tam właśnie przez pół roku mieszkają dozorczy, siedem skupisk, które trochę na wyrost nazywamy osadami satelitarnymi.**

**- A może kiedyś były większe?**

- Były.

Jonathan otworzył usta, ale pomyślał, że zarzucanie Kryczowi delikatnego zatajenia prawdy - biorąc pod uwagę położenie gospodarza - nie będzie specjalnie eleganckie. Przypomnił sobie, co powiedziała Ziyra, o zatraceniu pewnych umiejętności; teraz wiadomość o zmniejszaniu się wielkości osad satelitarnych. Bez wątpienia Oaza Dobrej Magii od jakiegoś czasu znajduje się w fazie regresu.

- Z przyjemnością się przejadę.

- Muszę cię ostrzec, że nawet stęp frachtwołów nie jest rzeczą przyjemną, a cała wycieczka potrwa kilka dni.

- Tym mnie nie odstraszysz.

- To świetnie. Jedzie Manika i może Dulan, znasz go, tak? - Jonathan skinął głową. - I jeszcze ze dwie osoby - Krycz wstał i przeciągnął się. Jonathan usiłował odczytać z jego twarzy czy informacja o Manice ma jakieś ukryte znaczenie, ale z twarzy Krycza nic nie wynikało. - Wyjeżdżacie po obiedzie. Jeden biwak pod gołym niebem, a w południe następnego dnia będziecie już na miejscu. Oczywiście możesz, a nawet winienesz wziąć ze sobą Farmi. Jeśli ją znajdziesz. - Odwrócił się i ruszył do drzwi. - O ekwipunek się nie martw, przygotuj tylko pośladki. Godzina jazdy to tak jakby cała Oaza wymierzyła ci po kopniaku.

Ósma doba, wczesny wieczór

Ekipa miała zmieniony skład, z którego Jonathan znał tylko Manikę. Dwaj młodzieńcy poważnie skinęli głową i przedstawili się:

- Jorhan.

- Chsalk.

Jonathan uśmiechnął się na tyle szeroko, by objąć tym uśmiechem obu i zawęził uśmiech do prywatnego, intymnego zakresu, patrząc na Manikę.

Ubrana była identycznie jak podczas pierwszego spaceru. Soyefcie stosunkowo mało przebierali się i chyba obce im było pojęcie mody czy szpanu. Pod luźną suknią Jonathan ponownie wykrył apetycznie, pulchne kształty. Poczul, że jego spojrzenie staje się zbyt łatwe do odszyfrowania, szybko wskazał dłonią zwierzęta.

- Podobno potrzebna jest wprawa, by utrzymać się na nich?

Przesunął się, chcąc lepiej obejrzeć, dotychczas tylko widziane z daleka, wierzchowce. Przypominały wysokie, półtorametrowe charty, z charakterystycznym wygięciem grzbietu, niemal identycznie charcim ogonem, natomiast łapy miały podobne do wielbłądzich i głowy spłaszczone, nieomal krokodyle, tyle, że nie rozwierające się tak szeroko i - rzecz jasna - szczęki wyposażone w zęby roślinożerców. Tylko grzbiet pokryty był gęstym, częściowo popielatym, skołtunionym futrem, reszta ciała pokryta była skórą - fakturą i kolorem - przypominającą skórę słonia. Z ośmiu zwierząt, pięć było już osiodłanych, trzy miały tylko zaciągnięte uprzęże, a bagaże leżały jeszcze na piasku.

- Z nimi jest tak - odezwał się Chsalk. - Byłyby idealnymi wierzchowcami, gdyby nie to, że cały garb to płaska poduszka tłuszczowa, bardzo luźno przytwierdzona do mięśni grzbietu. W związku z tym cały garb przesuwają im się do tyłu i do przodu o tyle... - rozłożył dłonie na szerokość prawie dwóch stóp. - Poza tym trzeba wiedzieć, że stęp ich różni się od klusa, a galop, to w ogóle niezapomniane widowisko. Najlepsi z nas wytrzymują trzy, cztery skoki. Podobno ktoś kiedyś wytrzymał pięć, ale ja w to nie wierzę - poszukał spojrzeniem potwierdzenia u towarzysza i cała czwórka Soyefcie ochoczo potwierdziła jego opinię. - Ale to tylko tak... Mówię, żeby wszystko było jasne. Dopóki nie zmusisz go do galopu...

- Łatwo przechodzi w galop? - przerwał Jonathan żartobliwie.

- Bardzo trudno - uspokoił go Chsalk. - Tylko w jeden sposób, bardzo męski. A co do techniki jazdy... - ukląkł na piasku i z dołu popatrzył na

**Jonathana. - Trzeba robić tak... - wypchnął biodra do przodu, potem do tyłu. - I to wszystko. Popatrz jeszcze raz...**

**- zademonstrował ponownie i poderwał się na nogi.**

**- Szczytem elegancji jest jechać tak, żeby głowa pozostawała niemal nieruchoma, a poruszyły się tylko biodra. Może ci się to wydać męczące, ale zapewniam cię, że jeśli nie uzgodnisz rytmu z wierzchowcem, będziesz odbierał ruchy garbu jak twarde kopniaki. Frachtwól sam cię nauczy dosiada. - Pochylił się i strzepnął z kolan pył. - To co: jedziesz?**

**- Gdybym nawet chciał, teraz nie mogę się wycofać... - ponuro odpowiedział Jonathan. Pierwszy roześmiał się, nie mając pewności, czy Soyefcie dobrze rozumieją jego żart.**

**- Krycz powiedział, że kotun może przewietrzyć się z nami?**

**- Oczywiście! Dlaczego pytasz? Przecież to twój kotun.**

**- Może, ale czy on nie spłoszy frachtwołów?**

**- Ale skąd! - Jorhan zamachał rękami, a Manika zaśmiała się cicho. - Wołaj Farmi i wsiadamy.**

**Kotun przybiegł natychmiast, gdy Jonathan go zawołał. Patrząc na jego wyciągnięte w długich skokach ciało, zrozumiał dlaczego nikt nie może utrzymać się na grzbiecie frachtwołów. Jeśli tylko ich sposoby biegania, pomyślał, są choć trochę do siebie podobne, to chroń mnie Panie, od pierwszego kroku w galopie. Bo drugi i następne już mnie nie będą dotyczyć.**

**Manika pierwsza wdrapała się na grzbiet swojego frachtwołu, pomagając sobie przy tym wodzami z węzłami na całej długości. Ten sam sznur, odplątany z czegoś, co Jonathan nazwał w myślach lękiem, służył do kierowania wierzchowcem. Chsalk wskazał Jonathanowi jego zwierzę i zbliżył się gotów pomóc, ale Jonathan zajął się wyszukiwaniem nie tyle wygodnej co bezpiecznej pozycji. Poruszył na próbę biodrami, spróbował czy może sobie pomóc, ściskając kolanami boki frachtwołu, odetchnął**

**głęboko i skinął głową patrząc na Chsalka.**

**- W zasadzie kierujemy ruchem bioder, ale możesz sobie pomagać wykrzykując komendy - powiedział Chsalk. - Na "rek" ruszy, na "gadda" przejdzie w klus, na "powa" zatrzyma się.**

**- Czy to są sprawdzone dane?**

**- Będą sprawdzone jak sam sprawdzisz...**

**Chsalk chwycił w dłonie wodze jednego z jucznych frachtwołów, to samo zrobiła Manika i Jorhan. Majtnęli biodrami i ruszyli do przodu. Jonathan spróbował ich naśladować, ale udało mu się dopiero, gdy syknął: "Rek! Ty durniu!". Jego wierzchowiec ruszył, odrzucając gwałtownie biodra jeźdźca do tyłu. Jonathan omal nie uderzył nosem w szyję frachtwołu, zdołał poderwać się pomagając sobie rękami i - gdy zwierzę wykonało drugi krok - niemal nie spadł na ziemię przez grzbiet. Rzucił sznur i wczepił się obiema rękami w wystający z siodła lęk. Kilka kroków walczył z niespodziewanymi ruchami garbu i siodła, potem wczuł się w monotony rytm, wyprostował się nieco, chwycił sznur. Zrobił dwa głośne wdechy, które zostały usłyszane przez jadących z przodu - odwrócili**

**się i uśmiechami dodali mu otuchy. Jonathan był im wdzięczny, że nie patrzyli na jego i frachtwołu pierwsze kroki. Moi, tak zwani przyjaciele, specjalnie zsiadli by z koni, żeby, broń Boże, nie stracić ani ułamka sekundy z mojej pierwszej jazdy konno. Krycz mówi, że prowadzą proste życie, u nas powiedziano by, że są prymitywni. Może ktoś by dodał "na swój sposób", żeby nieco osłodzić to określenie. A tu wychodzi, że proste życie znaczy również, że odcinają się od pewnych wrednych cywilizacyjnych uczuć i zachowań.**

**Zobaczył, że Farmi zawrócił i co sił w nogach pędzi do miasta, wzruszył ramionami i skoncentrował się na "anglezowaniu". Po chwili kotun zawrócił i spokojnie przyłączył się do małej karawany. W marszu oblizal lśniący od wody pysk i otrząsnął wodę z wąsów.**

- Mądrala!... - pochwalił go Jonathan i omal nie zwałił się z siodła. - Czego nie... nie można... powiedzieć... o tobie... - wyskandował z wyrzutem do frachtwołu.

Zaraz potem zaczął coraz boleśniej odczuwać ruchy garbu i musiał zająć się takim ruszaniem bioder, które złagodziłoby wstrząsy, spowodowane przez uderzenia poduszki tłuszczowej o kości miednicy i karku wierzchowca. Zegarek, bezużyteczny wobec krótszej o jakieś dwie i pół godziny doby, został w komnacie i tylko na wyczucie mógł ocenić ile trwała pierwsza lekcja jazdy na frachtwole. Obliczył, że około dwu godzin; uznał też, że było to dużo. Gdy na sygnał Chsalka zsunął się z siodła i zrobił dwa kroki, dotarło do niego, że gdyby tak poruszał się w swojej Anglii uznano by go za zboczeńca, albo inwalidę. Mniej więcej kwadrans później zeszywnienie mięśni minęło, przynajmniej na tyle, że mógł pomóc w rozbijaniu namiotów i rozjuczaniu frachtwołów. Gdy stanął pierwszy namiot, Manika trąciła go w ramię.

- Chodź, poszukamy drewna na opał. Lepiej, żebyś pospacerował niż zginał grzbiet. I zawołaj Farmi. Tu się kończy cywilizowana pustynia - zrobiła dwa kroki i zatrzymała się unosząc ramiona do góry. - Zupełnie zapomniałam! Krycz prosił ci przekazać... - szybko pobiegła do swojego namiotu i ze złożonej w progu małej sterty bagaży wydobyła manierkę. Jonathan ocenił, że mieści około jednej trzeciej litra, serce radośnie drgnęło mu i zamarło, obawiając się rozczarowania. - Dla ciebie... - Manika podała manierkę obszytą skórą.

Jonathan ostrożnie odkręcił korek i powąchał zawartość.

- Calvados? Jak rany... - powąchał jeszcze raz. - Uczciwy calvados!... Napelnił dość głęboko nakrętkę i wypił połowę. Błogość rozlała się po jego obliczu. Oblizął wargi i westchnął głęboko.

- Musiałem czekać prawie trzy... - przypomniał sobie o różnicy w odmierzaniu czasu - dekady...



- Krycz zapomniał - wyjaśniła Manika. - W podziemiu leżały dwa antalki tego, chyba już nikt nie pamięta od kiedy.

- Krycz zapomniał... - z wyrzutem w głosie powtórzył Jonathan. Nalał szybko pełną nakrętkę i podał Manice. Zawahała się, ale wzięła i wypila ostrożnie. Jorhan i Chsalk odmówili gestami. Jonathan nalał sobie jedną porcję i wypiwszy, zdecydowanie zakręcił manierkę. - Z czego to?

- Owoce skroby.

- Są rzadkie?

Rozmawiali, kierując się w stronę wyschniętych karłowatych drzew na obrzeżu mizernego zagajnika, w którym biwakowali.

- Nie. Problem jest w czym innym. Żeby coś z tego wyszło należy wrzucić świeże korzenie miolle, dość rzadkiego chwastu. Ale korzenie muszą być świeże, najlepiej prosto z ziemi. Podeschnięte się nie nadają, psują sok. Tak więc tylko co któraś butla się udaje. Już dawno temu uznaliśmy, że nie warta skórka wyprawki i zaniechaliśmy niemal całkowicie produkcji. Jonathan pogłaskał manierkę.

- Trzeba by wrócić do starych obyczajów. Może ja bym się tym zajął? Rzuciłem palenie, ale nikt nie mówił, że muszę się wyzbyć wszystkich nałogów.

- W ogóle nikt cię do niczego nie zmuszał - odrobinę zbyt zdecydowanie powiedziała Manika. Podeszła do pierwszego z uschniętych drzew i uważnie mu się przyjrzała. Na niektórych gałęziach nieśmiało zieleniły się świeże liście. Ominęli to drzewo i zatrzymali się obok pobliskiego, niewątpliwie uschniętego. Manika złamała jedną cienką gałązkę wsłuchując się w dźwięk i skinęła głową. Jonathan zaczął łamać gałęzie i składać je na ziemi.

- Coraz rzadsze wasze zagajniki, mam rację?

- Niestety, tak.

- Długotrwała susza?

- Nie. Gdyby tak było czekalibyśmy spokojnie na deszcz. Możemy się

utrzymać jeszcze bardzo długo... - zacisnęła wargi i energicznie złamała gałąź. - Nie chcę o tym mówić.

Jonathan wzruszył ramionami i wrócił do łamania gałęzi. Znow klasyczna, a nawet banalna sytuacja - Oaza popadająca w degradację; muszę znaleźć magiczny kamień, laskę czarodzieja, którą otworzę źródła? Phy, co to dla mnie. Sprzęcę się tylko i... Zaraz, a niby dlaczego ja mam się tu czymś bohaterskim zajmować? Chyba sam sobie przypisuję rolę, którą dotychczas przeznaczałem moim bohaterom...

Z trzaskiem odłamał sporą gałąź i złamał ją na kolanie na trzy mniejsze części.

Oni przecież, myślał dalej, wcale ode mnie nic nie żądają, jakiegokolwiek działania. Są skrupowani tą sytuacją, nie ukrywają przede mną swoich trudności, ale nie spodziewają się czegokolwiek. I mają rację - mógłbym tu sporo zdziałać mając materiały wybuchowe, albo wydajną koparkę z obsługą, albo śmigłowiec i sprzęt do poszukiwań geodezyjnych, albo cholera wie co jeszcze. A tak jak tu stoję, mogę ich najwyżej nauczyć zasad baseballa, albo gry w trzy karty, albo w inteligencję.

- Wystarczy - usłyszał.

Strząsnął z siebie myśli i skinął głową. Manika podeszła bliżej z naręczem gałęzi, jedna z nich zaczepiła o brzeg jej sukni, uniosła ją nieco odsłaniając zgrabne, jędrne udo, równomiernie opalone, gładkie. Jonathan przykucnął chcąc zebrać swoje patyki, z żabiej perspektywy spojrzał na kobietę; najpierw jeszcze raz przemknął spojrzeniem po nodze, zerknął na twarz. Jonathan podniósł się i zrobił krok w jej kierunku, drugi.

- Poczekaj - powiedziała. - Nie musimy tarzać się po piasku. Przyjdę do twojego namiotu...

- A oni? - Jonathan kiwnął głową w kierunku obozowiska.

- Co, oni? - zapytała. - Przecież to nasza sprawa?

- Jasne. To takie proste - nasza sprawa. - Jonathan podszedł jeszcze bliżej i

położył rękę na ramieniu Maniki. - Musisz zrozumieć - jestem z innego świata.

- Przecież u was wolne kobiety również nie są przypisane do jakichś mężczyzn?

- Zgoda... Ale są inne uwarunkowania... Zresztą, co to ma za znaczenie?

Przysunął się do kobiety, zacisnął palce na jej ramionach, odgarnął włosy. Delikatnie pocałował ją w kark, jeszcze raz i jeszcze. Prawa dłoń ześlizgnęła się niżej, przemierzała twardą okrągłą pierś, wyczuwając natychmiast stwardniałą sutkę. Jonathan jęknął, niemal czując ból w podbrzuszu.

Odskoczył od Maniki i rzucił się do zbierania gałęzi. Manika wyminęła go ocierając się kolanem o jego ramię, szepnęła coś czego nie zrozumiał i skierowała się do obozowiska. Jonathan nie śpieszył się, wracając podejrzliwie przyjrzał się Chsalkowi i Jorhanowi, spodziewał się porozumiewawczych spojrzeń, może uśmiechów. Obawiał się również, że któryś z mężczyzn zerknie z ukosa, ale obaj młodzieńcy zajmowali się przygotowaniem posiłku. Chsalk wskazał miejsce z dala od ognia, gdzie należało położyć chrust. Jorhan w skupieniu dorzucał do kociołka oszczędne szczypty przypraw, za każdym razem sprawdzając co wrzuca i efekt. Kotun skończył wylizywać miskę czujnie zerkając co i rusz na ludzi, jakby spodziewał się repety.

- Czy on potrafi polować - Jonathan wskazał ruchem brody Farmi - czy zdany jest na naszą łaskę?

- O, nie martw się - uśmiechnął się Chsalk. - Ta porcja go tylko podnieciła, i dobrze powinien pokręcić się dookoła biwaku. Przy okazji polowania rozpędzi wszystko co żywe i ostrzeże jakby co.

- Gdyby co?

- Właściwie nic - Chsalk wzruszył ramionami lekceważąco. - Może tylko inne kotuny albo jakiś wąż.

Jonathan usiadł jakieś pół kroku od Farmi i ostrożnie wyciągnął doń rękę.

Jeszcze nie przyzwyczaił się do sympatii, jaką go obdarzył, nie rozumiał tego uczucia i obawiał się, że jakiś nie przemyślany ruch może wyzwolić gwałtowną reakcję Farmi. Poglaskany "kot", mruknął przeciągle, wyprężył ogon, grzbiet mu stwardniał i nieco uniósł do góry. Człowiek odważnie przejechał jeszcze raz po jego karku, a potem, długą chwilę, głaskał napięty grzbiet. Manika wyszła ze swojego namiotu, sprawdziła wzrokiem zaawansowanie prac, wyjęła cztery bułki z worka, starając się, by jak najkrócej był otwarty, ułożyła je na uplecionej ze słomy zbożowej macie i nagle wsluchiwała się w jakieś odgłosy spoza obozowiska, wyszarpnęła z jednej sakwy wór i pobiegła z nim w ciemność. Jonathan poderwał się na nogi. Farmi w mgnieniu oka znalazł się przy jego nodze, ale nie wydał się zaniepokojony.

- Co się stało? - zapytał zaniepokojony Jonathan.

- Gdzie? - Jorhan rozejrzał się dookoła, wsluchał podobnie jak Manika w ciszę i roześmiał się cicho. - Aa!... - machnął dłonią. - Nawóz...

- Nawóz?

- Zbiera nawóz - cierpliwie wyjaśnił Jorhan. - Frachtwoły zaczęły cowieczorne kucanie - zamieszał płaską łyżką w kociołku i uniósł ją pod nos. - Musisz to kiedyś zobaczyć, tak starannie przysiadają, tak wyciągają szyje, tak są przepelnione powagą, że gdyby równie starannie biegały wiatr zwarzyłby się z zazdrości.

Parsknął cichym śmiechem zdejmując kociołek z ognia. Starannie przesuwiał chrust, żeby niepotrzebnie nie płonął wysokim ogniem i zaczął podsuwać pod kociołek miski. Farmi odczekał, aż gorący, gęsty jak kit sos o wspaniałym aromacie, zostanie podzielony między ludzi i rozumiejąc, że nie przewiduje się jego udziału w ucztach, wydał z siebie krótki skowyt pełen żalu i dał nurka w, zgęstniałą z powodu ogniska, ciemność. Chwilę po jego zniknięciu w krąg światła weszła Manika. Niosła przed sobą worek, ugniatała go palcami, ominęła matę z parującym jedzeniem, wlała do worka

wodę i jeszcze energiczniej zajęła się miętoleniem zawartości worka. Pod koniec pracy wydusiła z worka powietrze i szczelnie zasnurowała jego gardziel.

- Możemy jeść - oznajmiła, rzucając beztrosko wór w stronę ułożonych bagaży.

Nie rozmawiali podczas jedzenia - Soyefcie posilali się solidnie. Jonathan podniecony myślą o Manice szybko nabierał na kawałki bułki gęsty sos i zachłannie przelykał kęsy. Syty odsunął się od maty i ułożył na boku, zastanawiał się przez chwilę czy tęskni do dymu winstonów, ale stwierdził, że nie, i natychmiast przypomniał sobie o calvadosie. Poczęstował wszystkich, zaczynając od Maniki i choć nikt nie odmówił, robili wrażenie, jakby sprawiało im to o wiele mniej radości niż jemu. Zaraz potem, Chsalk i

Jorhan wsunęli się do swojego namiotu, wbrew oczekiwaniom nie obdarzając pozostałych ani jednym znaczącym spojrzeniem. Przestał zastanawiać się czy nic nie zauważyli, czy też po prostu jest im to aż tak obojętne, lknął jeszcze z manierki i starannie ją zatkał.

- Po co ci nawóz? - zapytał, nie chcąc sprawiać wrażenia wygłodniałego samca, który w obliczu spodziewanych karesów nie jest w stanie o niczym innym mówić.

- Do wyrobu naczyń - powiedziała Manika. Wydawała się przez króciutką chwilę zdziwiona, ale zaraz przypomniała sobie kim jest pytający. -

Wyrabiamy z niego naczynia. - Nie zauważyła grozy w spojrzeniu Jonathana, który szybko zerknął na swoją miskę. - Wraz z roślinami zjadają dużo piachu, a właściwie pyłu. Ich odchody to znakomicie wymieszana i zagęszczona sokami trawiennymi masa do wyrobu czego tylko zechcesz. Byle nie wyschła na powietrzu. - Zerknęła na Jonathana i roześmiała się. - Widzę, że gdybym ci to powiedziała przed kolacją...

**- Ci-icho!... Zostaw ten temat w spokoju.**

**Przeturlał się i zamknął otwartą dłonią jej usta. Chwilę trwali nieruchomo, wpatrując się w swoje oczy, potem Jonathan odsłonił jej usta, by natychmiast zasłonić je swoimi. Mimo podniecenia tak mocnego, że aż zaczynało go to krępować, jakiś fragment świadomości zaintrygowany przewidywaniem reakcji Maniki, zdominował na chwilę myśli Jonathana. Otworzył oczy, i przyjrzał się twarzy kobiety. Miała niemal całkowicie zwarte powieki, przez które błyskały jej oczy, identycznie jak u innych kobiet zamglone, na**

**wpół obecne, przepelnione rozmarzeniem, podnieceniem, oczekiwaniem. Jej wargi jędrniały, napierały na niego a zarazem wiotczały, dawały się miażdżyć, drżały tylko nieznacznie. Jonathan delikatnie wsunął koniuszek języka pomiędzy jej zęby i gdy tylko poczuł jej wysuwający się na spotkanie język, wycofał się. Odsunął nieco głowę, musnął pocałunkiem jej szyję.**

**- Może wejdziemy do namiotu?**

**- Jeśli chcesz...**

**- Wolalabyś tutaj?**

**- To przecież nie ma znaczenia?**

**- Eee... Dla mnie ma, oni mogą...**

**Manika poderwała się szybko i zanurkowała do swojego namiotu nie dając Jonathanowi czasu na dokończenie zdania. Gdy wsunął się za nią, obrzuciwszy przedtem spojrzeniem biwak - ciche dwa namioty, Farmi podszczypującego wargami swój grzbiet, dogasające ognisko - zastał ją leżącą na dwu warstwach grubych koców, a gdy mimo całkowitych ciemności ukląkł i dotknął jej ramienia, zorientował się, że podczas jego wzrokowej kontroli obozu, zdążyła z siebie zrzucić ubranie. Przysunął się nieco bliżej, położył obok**

**Maniki i, nie mogąc się powstrzymać, szepnął zachichotawszy cicho:**

**- Twoje ubranie ma niezłe sprego!**

- To akurat nie ma nic do rze

czy...

Przesunął dłonią po jej głowie, delikatnie opuszkami palców po obrzeżu małżowiny usznej i poczuł lekkie drżenie ciała; przesunął dłonią po szyi, musnął twardą pierś, na szczycie której błyskawicznie wykwitła stwardniała sutka. Pod lekkim dotknięciem piątki palców zafalował łagodny wzgórek brzucha, wyprężyły się nogi. Jonathan przysunął się bliżej, lekko pocałował Manikę, a potem odsunął i szybko zrzucił z siebie ubranie. Długą chwilę poznawali swoje ciała dotykiem, znajdowali najżywiej reagujące miejsca, wycofywali się i wracali do nich. Pozbyli się przy tym skrępowania, nabrali odwagi.

- Masz twardą szczecinkę... - zachichotał Jonathan.

- A ty niemal cały jesteś porośnięty - parsknęła Manika. - Jak kotun.

- Wasi mężczyźni nie mają włosów na piersiach?

- Nie.

- A tu?

- Tu mają.

- Ale to "tu" mają takie samo?

- Aha... Identyczne. Chociaż musiałabym zobaczyć przy świetle.

- Może kiedyś... A nie łamiemy przypadkiem jakiegoś tabu?

- Tabu??? W miłości?

- No tak... To dobrze. U nas to... - zawahał się i zdecydował na inne niż "miłość", dokończenie zdania - ...robienie dzieci...

- Robienie dzieci?! - Manika uniosła głowę, jej twarz trafiła w smugę półmroku sączącą się przez szparę w niedbale zarzuconej zasłonie. Była zdziwiona. - Przecież... Ja nie chcę mieć z tobą dzieci, przynajmniej nie teraz. To byłoby zbyt pochopne.

- No dobrze - Jonathan chwycił ją delikatnie za włosy na tyle głowy i ułożył z powrotem na posłaniu. - Będziemy uważali...

**Manika roześmiała się cicho.**

**- Co się stało? Powiedziałem coś śmiesznego?**

**- Nie... To znaczy: dla mnie - tak. Wygląda, że jednak trochę się różnimy.**

**Czy wasze kobiety zachodzą w ciążę... tak... bezładnie?**

**- Bezładnie? Ch-cha? Chyba tak.**

**- A my nie. Kobiety Soyefcie jeśli nie chcą, nie stają się brzemiennie. Dlatego nie musisz uważać...**

**- A jeśli chcą to za każdym razem...**

**Manika jakby zawahała się, w każdym razie milczała kilka sekund.**

**Jonathan natychmiast przypomniał sobie rozmowę z Kryczem i swoje domysły, zmierzające do zdefiniowania świata Soyefcie jako świata ginącego.**

**- Może nie aż tak zdecydowanie, ale prawie trafiłeś. W każdym razie nie mamy problemu z...**

**Jonathanowi wydawało się, że kobieta zeszywniała nieco w jego ramionach od chwili, kiedy zeszli na dyskusję o zapobieganiu. Przesunął trochę głowę i przerwał Manice, zamykając jej usta swoimi. Początek długiego pocałunku z jej strony miał wszelkie cechy wahania - i oboje byli tego świadomi. Był po prostu próbą zamknięcia debaty, ale w miarę jak przeciągał się kontakt ust, jak najpierw nieśmiało języki zetknęły się ze sobą, a ręce nie mogły nadążyć z przekazywaniem bodźców, wyrachowanie znikło i zastąpiło je prawdziwe wrzące pożądanie. Oboje wykazywali się dużą aktywnością i być może dlatego zapadli w sen dopiero, gdy zaczęli dostrzegać wyraźne kontury swoich ciał i przedmiotów w namiocie. Kotun wysunął się na zewnątrz odchylając na moment płachtę wejściową, a mglista jasność poranka stała się sygnałem do wykorzystania reszty świtu na krótką drzemkę.**

**- Pójdę do siebie - mruknął Jonathan marząc, by te słowa mogły pozostać tylko słowami.**

**- Bez sensu - jęknęła Manika po angielsku i trąciła Jonathana w łokieć, tak**



że zwałił się z powrotem na posłanie.

Chciał jeszcze roześmiać się, ale zdołał tylko przywołać na usta uśmiech i zasnął. Manika uniosła głowę i chwilę wpatrywała się w ten uśmiech, a potem scalała go i ułożyła się obok Jonathana przytulając do niego.

**Dziesiąta doba, przedpołudnie**

Droga przez pustynię - choć Jonathan nie mógł pogodzić się z używaniem słowa "pustynia" na ten dziwny gliniasto-piarżysty krajobraz, bez klasycznej pustynnej spiekoty - zajęła im jeszcze pół dnia. Gdy krzewodrzewa i płożące się sztywne sukulenty zaczęły występować tak gęsto, że niemal cały czas jechali w cieniu, a kopyta frachtwołów niemal nie wydawały dźwięku w zetknięciu się z podłożem, Chsalk powiedział:

- Jesteśmy na miejscu. To pierwsza.

W crasa zabrzmiało to "Ninna". Jonathan chwilę zastanawiał się nad niekonsekwencją Soyefcie - pewne nazwy tworzą po prostu przy pomocy zbitki słów, jak na przykład wiatrochrapy czy frachtwoły, inne, sięgając do wymarłego języka. W sumie przypominało to jakąś powieść czy film, ale nie mógł od razu przypomnieć sobie tytułu dzieła. I nie miał czasu, ponieważ jego wierzchowiec poruszył się gwałtowniej, cmoknął kilka razy.

- Uważaj! - ostrzegł Chsalk. - Kieruj nim teraz bardziej zdecydowanie - czują już wodę i będą do niej konsekwentnie dążyły.

- Rozumiem - Jonathan pokiwał głową. - Muszą ostygnąć...

- Nie-e! - roześmiał się Chsalk. - Nie są zgonione, ani pora roku nie przewiduje ich przegrzania. Po prostu, jeśli się napiją... - popatrzył na Manikę, Jonathan zerknął również i zobaczył, że szeroko się uśmiecha - ...ich odchody za bardzo się rozwodnią i będą dla nas nieużyteczne - wzruszył ramionami. - To wszystko.

Jonathan postarał się okazać miną niesmak, co zostało właściwie odczytane przez całą trójkę Soyefcie. -miejąc się głośno, zbliżyli się do wału ciemnozielonych krzewów tworzących jakby przedmurze uprawnych pól. Jonathan od dość dawna wyciągał szyję, żeby zobaczyć jak wyglądają uprawy, teraz, z wysokości grzbietu frachtwołu zobaczył wyraźnie, że niemal proste linie, wysokie na trzy stopy i szerokie na dwie, krzewów, otaczały kwadratowe i prostokątne pola, na których gęsto wysiane, kielkowały jakieś bladozielone zboża, falujące, z plamami przygiętych wiatrem łodyg - na gładkiej, z daleka podobnej do mchu powierzchni, zniemacka pojawiała się płytka niecka i przez kilka chwil wędrowała po wierzchu uprawy, a potem równie niespodziewanie rozmywała się, zanikała. Sprawiało to wrażenie, jakby jakiś niewidzialny balon osiadał lekko na czubkach zbóż, turlał się chwilę, a następnie wzlatywał w górę, szybował i osiadał w innym miejscu, sterowany zawirovanym, uwięzionym nad poletkami, wietrzykiem. Gdy podjechali bliżej, Jorhan zatrzymał frachtwołu i wskazał coś ręką. Na przedłużeniu ramienia, jakieś trzysta jardów o

d nich, Jonathan zobaczył, że szpaler krzewów otaczających czworoboki pól, w jednym miejscu wylamuje się z geometrycznych reguł i podwójną łamaną linią przecina regularne poletka.

- Tam płynie strumień Ogon - Jorhan wyrysował w powietrzu kształt strumienia. - Przez jakiś czas, niemal równoległe do Pierwszego, który jest jakby cofnięty, nie widać go stąd. No więc, Ogon płynie prosto na południe, a potem skręca na południowy zachód, to jest właśnie ta część. No i Ogon jest najdłuższym z trzech strumieni, na których bazują nasze uprawy.

Drugi i Trewa są niemal jednakowe, ale to w innych osadach.

- A te krzewy? Domyślam się, że mają jakieś znaczenie uprawne? - zapytał Jonathan, wskazując intrygujące szpalery "żywoplotu".

- Niezupełnie, to znaczy z ich młodych, najwyżej jednodniowych liści robimy cygaretki, ale to pracochłonne zajęcie i trudne, bo palacze mają tylko jeden dzień na zebranie zapasu. Przede wszystkim te krzewy chronią lerbę przed człogami. Popatrzył na Jonathana, jakby chciał sprawdzić czy rozumie wszystko, co zostało powiedziane i uzupełnił:

- Lerba to jest to zboże, a człogi uwielbiają wprost jej ziarno i tylko dzięki szpalerom tutty, dzięki temu, że wydzielają one zapach nie do strawienia przez człogi te uprawy mogą istnieć.

- A strumień? Dlaczego go obsadziliście tuttą? Chronicie wodę?

- Skąd? To stąd wydaje się, że strumienie są chronione przed człogami, ale to nie jest tak. Człogi mają na brzegu wystarczająco dużo miejsca, żeby móc korzystać z wody. Właśnie tak obsadzamy pola, żeby nie utrudniać dostępu do wody i chronić uprawy.

- Jasne... A te człogi?...

- Tu ich nie widać, zobaczysz później...

Jorhan pchnięciem bioder zmusił frachtwołu do marszu. Za nim ruszyła Manika i Jonathan. Chsalk powiedział coś do swojego wierzchowca, a gdy Jonathan obejrzał się, zobaczył, że młody Soyeffie stoi na grzbiecie wierzchowca i uważnie przygląda się okolicy.

Chwilę potem zgrabnie zeskoczył w sidło, dogonił trójkę towarzyszy i powiedział:

- Wszystko w porządku!

- A mogło coś być nie w porządku? - zapytał Jonathan.

- Pewnie! Człogi mogły przerwać tuttę, mogły wyschnąć strumienie... Ale wygląda, że nic złego się nie wydarzyło.

Chsalk zmusił swojego frachtwołu do szybszego stępa, wyprzedził wolno człapiącego Jonathana, rzucił mu lekko kpiący, ale sympatyczny uśmiech, dogonił Manikę i Jorhana.

**- -cigamy się? - krzyknął. Odwrócił się do Jonathana i powtórzył: - -cigamy się?**

**- A pewnie! - Jonathan wytrzeszczył oczy, zacisnął zęby i z całej siły pchnął biodra do przodu. Jego frachtwórł beknął głośno i chyba na ułamek sekundy napiął mięśnie, ale zaraz je rozluźnił. - Jeśli poczekacie na mnie to mogę startować! - wycedził. - Może obudzi się w nim wola walki... - z całej siły zacisnął kolanami bok wierzchowca.**

**Chsalk zachichotał, robiąc dla Jonathana lukę w szeregu wierzchowców.**

**- Ruszamy równo z tobą! - zawołał. - Kieruj go wzdłuż strumienia i nie pozwalaj pochylić łba do wody, bo wtedy będziesz musiał go zostawić i przyjść na farmę na piechotę, o tam! - Wskazał ręką kierunek.**

**Jonathan skinął głową. Komicznie wykrzywił twarz i jeszcze raz próbował zdopingować frachtwołu do szybszego chodu. Zwierzę zrobiło kilka odrobinę szybszych ruchów, co zostało nagrodzone oklaskami Jorhana i Maniki. Cała trójka poczekała, aż Jonathan zrówna się z nimi i wystartowała. Od razu okazało się, już po kilku krokach, że nawet nieco szybszy stęp jego wierzchowca jest znacznie wolniejszy od chodu pozostałych zwierząt. Chsalk niemal bez przerwy bujał się w siodle, zmuszając swojego wierzchowca do wysiłku i przynosiło to efekty - gdy wkraczali w wąski przesmyk utworzony przez tutty i strumień, Chsalk wyprzedzał o dwa kroki Manikę, której stopę ogrzewał frachtwołu Jonathana. Jonathan z każdym krokiem odstawał od nich. Zrobił kilka głębokich oddechów**

**i pięć czy sześć razy z całej siły wypchnął biodra do przodu. Jedynym efektem był ból kręgosłupa. Zaklął, przestał zmuszać frachtwołu do walki i natychmiast zwierzę to wyczuło - wierzchowiec zwolnił jeszcze bardziej, skręcił i wszedł przednimi nogami w strumień. Jeździec najpierw sklął go, a potem parsknął śmiechem i zsunął się z siodła. Usłyszał jak gdzieś z przodu Chsalk krzyczy:**

**- Ostrzegalem?!**

**Zwinął dłoń w tubę i odkrzyknął:**

**- Będę na piechotę prędzej niż ty!**

**Przyglądał się chwilę chlepczącemu jak pies wodę frachtwołowi i ruszył wzdłuż strumienia. Jego koryto wypłukało w podłożu dość szeroki jar, obniżony w stosunku do podłoża jakieś dwa jardy, więc trzy frachtwoły skręciły w lewo znikając mu z oczu za szpalerem tutty. Przez chwilę zastanawiał się czy nie pobiec na skróty przez pole lerby, ale zarzucił pomysł, nie mając pewności czy zboże nie jest traktowane przez Soyefcie z przesadną atencją. Przykucnął i obmył twarz wodą, ostrożnie spróbował i stwierdziwszy, że ma odrobinę żelazisty smak, napił się. Gdy wszedł na łuk, zobaczył zady dwu frachtwołów; zwierzęta dreptały obok siebie, potem nagle ruszyły, odsłaniając wierzchowca Chsalka. Jeździec usiłował powstrzymać zwierzę, ale frachtwoł parł do wody i chyba nic nie mogło powstrzymać go przed zaspokojeniem pragnienia. Jonathan parsknął śmiechem. Gdy zbliżył się do Soyefcie Chsalk zeskoczył z siodła i szeroko uśmiechnął się.**

**- No? Czy nie głupie bydlę! - wrzasnął, klepiąc się ręką w biodro.**

**Udawał, że jest wściekły i starał się, żeby widać było tę sztuczność, ale Jonathan zrozumiał, że Chsalk jest autentycznie wściekły. To, właściwie, pierwsza mocniejsza emocja, jaką tu widzę, pomyślał. Dotychczas zdawali się wyprani z ekspresji. Może z wyjątkiem Maniki... Nie, seks to co innego.**

**- Cieszę się, że tak zareagowałeś - powiedział i natychmiast zrugął się w duchu za pośpiech i nadmierną szczerłość.**

**- Z czego? Że...**

**- Nie - przerwał Jonathan. Postanowił być szczerzy. - Cieszę się, że jesteś zły.**

**- I widząc zmarszczone w niezadanym pytaniu brwi Chsalka, dodał: - Przez cały czas wydaje mi się, że jesteście bardziej skryci niż ludzie...**

**- Niż ludzie???**

- Chodzi mi o ludzi z mojej Ziemi! Reaguję o wiele żywiej na życie niż wy. Więc nie dziw się, że wydawaliście się jacyś tacy... flegmatyczni, może odporniejsi na zewnętrzne bodźce... Na przykład teraz - każdy z moich rodaków podeptałby czapkę, skopał zwierzę, skłął cały świat i może nawet poszedłby się utopić. Dlatego ucieszyłem się, że jesteś zły. Jesteś?

Chsalk westchnął, potem parsknął przez nos i skinął głową.

- Pewnie, że jestem. Przygotowuję tego zwierza do wyścigu, już byłem pewien, że wszystko idzie dobrze. A tu masz!... - Machnął ręką, popatrzył na pijącego frachtwołu trącił go dłonią. Frachtwól drgnął i na pół sekundy przestał chlipać!

- Chodźmy, trafią same do osady.

Milczeli idąc pół mili brzegiem strumienia. W połowie drogi pola odsunęły się od wody, pojawiły się najpierw pojedyncze, potem coraz gęściej rosnące drzewa. Pnie ich tonęły w gęstym listowiu, rosły nad wodą i dlatego różniły się znacznie od tych samych drzew rosnących dookoła Oazy Dobrej Magii. Jonathan dość pilnie przyglądał się im, zauważył kilka drobnych owadów, których nie było w zagajnikach przy Oazie. Zatrzymał się na chwilę, zastanawiając się nad pewną myślą.

- Chsalk? Czy wiesz co to są ptaki?

- Ptaki? - powtórzył Chsalk. - Nie mam pojęcia.

- No... Latające zwierzęta? Coś co lata, większe znacznie od tych maleństw - wskazał palcem przelatującego owada.

- Nie. Nie ma czegoś takiego. Na pewno nie widziałem i nawet nie słyszałem. Może tylko w bajkach o latających frachtwołach, w dzieciństwie. Ale wiesz... - wzruszył ramionami. - To są raczej drwiny z ich powolności - poderwał głowę. - A u was są? Te ptaki?

- Mnóstwo. Od niewiele większych niż palec do takich, które porywają zwierzęta wielkości kotuna... Właśnie? Gdzie on jest?

- Pewnie już w nocy pobiegł do farmy. Ale powiedz mi co te ptaki robią?

- Żyją. - W marszu wyrwał źdźbło trawy i zagryzł zębami. - Niektóre są hodowane dla urody czy śpiewu albo z rzadka pełnią jakąś funkcję - przenoszą wiadomości albo odstraszaają inne ptaki. To skomplikowane rzeczy, to znaczy trzeba by opowiadać...

- Hm... Ciekawe...

Chsalk pokręcił głową i ruszył pierwszy. Był jedynym - jak do tej pory - Soyefcie, który niemal otwarcie zainteresował się światem Jonathana. Dotychczas wszyscy zachowywali się nader wstrzemięźliwie i Jonathan czasami brał to za swoiste dobre wychowanie, albo też kładł to na kark ich egoizmu, ukierunkowania na własne problemy, własne życie. Teraz pomyślał, że po prostu czekali aż sam zacznie opowiadać. Najpierw ucieszyło go to, a potem postanowił się nie śpieszyć z roztaczaniem wizji swojego stechnicyzowanego świata. Być może, pomyślał, w interesie Soyefcie jest żyć jak żyją, bez żadnych zmian albo zmian utrzymujących się w odpowiedniej konwencji, w odpowiednim, zgodnym z ich mentalnością i możliwościami, układzie. Na pewno ciągle wie o nich za mało, myślał. Na pewno mało ich rozumie, i na pewno muszę się nad tym zastanowić, żeby nie palnąć czegoś głupiego.

Minęli jeszcze jedno łagodne zakole strumienia, które okazało się swego rodzaju bramą, prowadzącą na szeroki łęg obramowany pasmem drzew rosnących na obrzeżu pól za strumieniem na wschodniej granicy łąki, czterema budynkami - jednym większym i trzema mniejszymi, gospodarczymi - i kilkoma stogami w centrum. Wokół budynków porządnie zgrupowano sprzęt pomocniczy - kilka pękatek beczek ustawionych w piramidę, stos żerdzi ułożonych pomiędzy czterema wbitymi w ziemię, kilka wózków z zadartymi do nieba dyszlami. Farmi, wygięty w łuk przy jednym z drzew zerknął na Chsalka i Jonathana i podbiegł im na przywitanie. Otarł się o nogę Jonathana piszcząc cicho; kontrast pomiędzy jego wielkością - dorównywał wagą i długością ciała sporym okazom pumy - a cieniutkim

miauczeniem, tym razem rozśmieszył Jonathana.

- Podły zdrajco - powiedział z przyganą w głosie. - Najpierw mnie wystraszyłeś, potem zmusiłeś żebym cię polubił, uciekasz, wracasz...

Myślisz, że nasz związek ma w takim układzie szansę na długie trwanie? -

Podrapał go w marszu za uszami. Chsalk obserwował.

- Nikt z nas tak nie bawi się z kotunami - powiedział.

W jego głosie wyczuwało się pewną przyganę.

- To mnie właśnie dziwi - natychmiast zareplikował Jonathan. - Nie mogę się doszukać konsekwencji w waszym życiu. - Przeszli pod pierwszym drzewem. Farmi niemal bez odbicia wskoczył na najniższą gałąź.

- Z jednej strony jesteście pozbawieni tego, co my nazywamy techniką, a więc powinniście ściśle współżyć z przyrodą. Niestety - prześlizgujecie się nad czy obok swojego systemu biologicznego. Nie jesteście nomadami, ale też nie rozwijacie typowych dla gospodarki osiadłej form gospodarowania. Uprawiacie tyle, ile musicie. Czasem mam wrażenie, że wy również jesteście tu przeniesieni z jakiegoś innego świata, że w tym miejscu spotkaliśmy się wy i ja, wyrzutkowie czy przypadkowi wędrowcy w czasie i przestrzeni.

-cieżka wprowadziła ich w przejście pomiędzy dwoma małymi szopami. Z jednej dolatywał mocny ziołowy zapach, z okien drugiej wysunął łeb frachtwól, mlasnął głośno, przesuwał pokarm znajdujący się w pysku na drugą stronę i schował głowę, nie widząc niczego ciekawego w przechodzących obok jego szopy mężczyznach.

- Nie całkiem rozumiem co masz na myśli - mruknął Chsalk. Pomachał ręką Manice. Ona, Jorhan i troje nieznanych Jonathanowi Soyefcie stali na tle budynku mieszkalnego i przyglądali się im.

Pewnie wymyślili te wyścigi tylko po to, żeby ktoś mógł przygotować farmerów na spotkanie ze mną, pomyślał Jonathan.

Manika klasnęła w dłonie i roześmiała się wskazując Chsalka. - W każdym razie wiem, że coś ci się nie zgadza, prawda? - zapytał Chsalk. Jonathan



skinął głową. - Ale oceniasz nas według swoich tradycyjnych kanonów...

Jonathanowi zabrakło czasu na replikę, zresztą nie znalazł jej aż do momentu, kiedy zbliżyli się do oczekującej ich grupy. Chwilę trwało powitalne zamieszanie.

- To jest Jonathan, a to... - Manika położyła dłoń na ramieniu kobiety, była o wiele starsza od niej, śmiało mogłyby być matką i córką - ...Josnatte i jej mężczyźni: Plove, Jul i Andei...

Josnatte uśmiechnęła się oficjalnie i krótko, "jej mężczyźni" naśladowali ją wiernie. Istnienie na tej farmie matriarchatu nie podlegało dyskusji.

Mężczyźni wydawali się zupełnie nie interesować Jonathanem, potraktowali go jak zwykłego gościa, o nic nie

pytali i nie rzucali zaciekawionych spojrzeń. Jonathan z kolei ocenił ich jako nieco przytępawych; tak - jego zdaniem - mogliby wyglądać walijscy chłopci odizolowani od miast, zainteresowani tylko swoimi polami, zbiorami, bydłem, trzodą i cenami na piwo w gospodzie. Postanowił, że przy najbliższej okazji zapyta Chsalka albo Krycza skąd rekrutują się farmerzy. Być może, pomyślał, to są jakieś wyrzutki społeczności, a na pewno muszą być nieco inni, skoro zgadzają się żyć bez dobrodziejstw Oazy. A może to właśnie oni nie są jeszcze zdegenerowani względną łatwością życia w Oazie z jej prysznicami, oświetleniem i murami?

Jeden z gospodarzy wskazał brodą wchodzące z godnością, bez pośpiechu na teren farmy frachtwoły Chsalka i Jonathana, nie zamierzał jednakże zajmować się nimi. Jonathan zrozumiał, że jest to sprawa jeźdźców. Ruszył za Chsalkiem, chwycił za uzdę przy pysku swojego wierzchowca i przeprowadził za Soyeffie do stajni. Chwilę potem zjawiała się Manika i Jorhan. Wprowadzili wierzchowca do boksów i zajęli się zdejmowaniem uprzęży i czyszczeniem sierści i kopyt zwierząt.

- Och, jak zaraz rzucę się w wodę!... - jęknął Jorhan.

Jonathan nie zareagował na propozycję, zajęty był zdmuchiowaniem kropli

potu zwisającej z czubka nosa, ale Manika i Chsalk radośnie zamruczeli. Chwilę potem Jorhan klepnął swojego frachtwołu w zad i wyszedł z boku. Zanim pozostali Soyefcie skończyli obrządek, pomógł Jonathanowi, więc mogli razem udać się nad mały staw w północno-zachodniej części farmy. Towarzyszył im Farmi i miejscowy kotun, który pojawił się dopiero teraz i niezbyt ufnie, ale bez wrogości powitał gości. Kąpali się długo, nadzy, bez żadnego skrępowania, potem farmerka przyniosła im lekkie koszule, w których zabrali się do prania swoich zakurzonych i przeпоconych ubiorów.

- Wypiorą się w samej wodzie? - mruknął powątpiewająco Jonathan, zaczynając swoją drugą od kilku lat ręczną przepierkę.

Manika roześmiała się. Był to śmiech pobłażliwy, jak matki czy niańki obserwującej zadziwienie dziecka gapiącego się z otwartymi ustami na bańki mydlane. Jonathan sapnął ze złością i zacisnął usta.

- A sprego? - zapytała Manika.

Sprego, pomyślał ze złością. Ciekaw jestem co byście robili gdyby wam tego zabrakło. Była to mrukliwa, zrzędliva myśl, ale niespodziewanie wydała się Jonathanowi ważna i przez cały czas trwania przepierki rozważał wszystkie jej implikacje.

**Jedenasta doba, świt**

Maszerowali wzdłuż niecki strumienia już od około trzech godzin. Słońce mocno przygrzewało w głowy, reszta ciał kryła się w cieniu rzucanym przez szpaler górującej nad nimi tutty. Co jakiś czas zatrzymywali się, pili wodę ze strumienia, moczyli głowy i maszerowali dalej.

- Wszystkie nasze strumienie - mówił Chsalk - identycznie wypływają nagle z pustyni, jakiś czas płyną po powierzchni i ponownie giną w podłożu. Ten, który płynie wzdłuż farmy to Pierwszy - wynurza się, nawilża część pól i ginie. Wynurza się jeszcze raz,

już przy Oazie, widziałem to. Potem wpływa do kanału miejskiego, płynie przez Oazę i wynurza się po drugiej stronie, tam najczęściej pasą się frachtwoły, to wiesz... A pozostałe, czyli ten, Ogon, Drugi i Trzeci, jak już giną to na zawsze. Już ich więcej nie widzimy, koniec. - Miną wyraził bezradność. Jonathan pokiwał głową. - Zresztą to się dobrze składa, bo na rozlewiskach rośnie jedcha, z której robi się tkaniny, ale podstawą zaopatrzenia w mięso jest ta farma. Zaraz zobaczysz naszą hodowlę - runy i zabroje.

- Dlaczego tak daleko od farmy?

- Wyzarłyby łąkę. Tam - sam zobaczysz - jest niecka otoczona kamiennymi piargami, przez które zwierzęta nie mogą się przedostać. Wystarczyło zbudować kilka kawałków płotu, żeby odizolować runy.

Podłoże niespodziewanie zmieniło się, zeszli na kamienie głęboko osadzone w glebie, poprzedzielane wąskimi kępkami niskiej trawy. Potem nawet te kępy zanikły i musieli pilnie patrzeć pod nogi, żeby nie potknąć się i nie upaść na ostre kamienne krawędzie. Strumień wyglądał teraz na walijską rzeczkę obmurowaną przez pracowitych przodków nieregularnymi kamiennymi blokami. Rozmowa na chwilę zamarła. Chsalk zręcznie skakał z kamienia na kamień. Jonathan naśladował go, zmuszając się do milczenia i koncentracji. Po kilkudziesięciu krokach dotarli do wąskiego płotu przegradzającego strumień i sięgającego aż do krawędzi jaru, którym maszerowali.

- To drugi, rezerwowy płot - rzucił Chsalk przelaząc przez zaporę.

- Dużo tam jest tych zabronów?

- Teraz tylko kilka par - Chsalk podskoczył, poprawiając ułożenie na plecach worka z niewielkim zapasem żywności.

- Kilka? - Jonathan zamarł na chwilę, siedząc okrakiem na płocie.

Zeskoczył. - Na całą Oazę?

- Więcej nie potrzebujemy - Chsalk wzruszył ramionami. - Z każdej pary

mamy po osiem do dziesięciu młodych, hodujemy je tylko do czasu, kiedy można wybrać najlepszą parę i... - wykonał dłonią ruch z góry na dół. -

Reszta idzie do beczek.

- I to wystarcza?

Chsalk skinął głową i ruszył w dalszą drogę. Jonathan zamierzał zapytać jakim cudem kilkaset dorosłych osób może jeść mięso z kilkudziesięciu zwierząt, ale uświadomił sobie, że podczas całego pobytu w Ultene nie zjadł ani jednego większego kawałka mięsa, zawsze było to mięso w postaci drobnych siekanych czy mielonych kawałków, w sosie, z jarzynową zaprawą. Otworzył usta, żeby mimo wszystko wyjaśnić małe zużycie białka zwierzęcego, gdy nagle przypomniał sobie jak reagują Soyefcie na niemal każde pytanie

dotyczące liczebności populacji. Powstrzymał się od pytania. Chsalk wskazał dłonią drugi, o wiele solidniejszy płot. Wszystkie słupy były osadzone w kamiennych nasypach, a z obydwu stron płotu ktoś pracowicie ułożył kratownice z kamiennych wałów, wysokich niemal na stopę.

- Ha! Można by tu grać w szachy - powiedział Jonathan.

- Słucham?

- Nic, nic. Podziwiam tę robotę.

- Konieczna - Chsalk tym razem przelazł między pierwszą a drugą grubą żerdzią, zaczepił workiem o górną i musiał poczekać, aż Jonathan uwolni go z pułapki. - Inaczej musielibyśmy co jakiś czas gonić swoje mięso po okolicy.

Jonathan przelazł wzorem Chsalka pomiędzy żerdziami i ruszył za nim na skarpę. Kilkadziesiąt jardów dalej jar strumienia rozszerzył się przechodząc w dolinę wielkości kilku futbolowych boisk. Strumień wpływał do doliny z kamiennej grzędy, również ogrodzonej solidnym płotem i kamienną szachownicą, po czym rozlewał się w płytkie bajoro. Na jego brzegu rozwalaly się pomarańczowe cielska umazanych w błocie

olbrzymich stworów. Z tej odległości wyglądały jak grube na trzy stopy skóry - szerokie, płaskie żabie pyski skierowane były ku wodzie, która falowała, przy ich oddechach. Posiadały lśniące teraz od błota kadłuby, przypominające rozlane bezkostne worki.

- To są zabrony - Chsalk przel

iczył je wzrokiem. - Dziesięć par. A tam są rummy - wskazał brodą.

Jonathan wyteńczył wzrok, ale nic nie zobaczył. Popatrzył w rozterce na Chsalka.

- Tam, gdzie skały łączą się z trawą.

Teraz udało się Jonathanowi zobaczyć kilkadziesiąt barylkwatych ciał ułożonych ciasno jedno przy drugim, jak prosięta przy brzuchu maciory.

Również były upaprane błotem i również wzbudzały obrzydzenie. Jonathan skrzywił się i nie dbając o dobre maniere splunął w bok.

- Mało są sympatyczne, co? - roześmiał się Chsalk. - To właśnie przez nie, jeśli nie ma ochotników, musimy robić losowania, żeby mieć obsadę farm.

- Przecież nie przy nich nie robicie?

- Ale ktoś musi je uprawiać, prawda?

Jonathan wyobraził sobie rzeź gigantycznych worów i robakowatych runów. Żołądek szarpnął się. Bąbel powietrza przedarł się przez przelyk z ponurym dźwięcznym beknięciem.

- Przepraszam - burknął, szybko odwracając się od doliny, którą jego wyobraźnia zalała krwią i zarzuciła trzewiami zabronów. - Wyobraziłem sobie... - pomachał dłonią.

- Sądzę, że nie jesteś sobie w stanie wyobrazić - Chsalkiem wstrząsnął dreszcz. - Ja już tu miałem swój chrzest, fuj! Strumień czerwony od krwi i...

- Przestań!

Jonathan szybko odwrócił się i ruszył z powrotem. Zbiegając po kamiennym zboczu, krzyknął przez ramię do Chsalka:

**- I my tę wodę piliśmy?!**

**- No... Tylko podczas... No, dzisiaj. Normalnie - mówiłem ci - przez farmę przepływa Pierwszy. Ogon właściwie obsługuje tylko hodowlę, no i służy do transportu mięsa i napędza młyn...**

**- Rany boskie! Daj sobie spokój!**

**Jonathan zbiegł do strumienia, chwilę wahał się, przemógł obrzydzenie, przykucnął nad wodą i zmył twarz, ale uważał, żeby trzymać wargi szczelnie zamknięte.**

**- Aż tak cię wzięło?**

**- Aż tak... Pf-huuu... - Wytarł twarz rękawem. - Nie mogę, żeby to cholera... Kiedyś wprosiłem się na sekcję zwłok, sądziłem, że przyda mi się to w pewnej powieści. I zobacz... - wskazał palcem małą bliznę przecinającą lewą brew - zemdląłem przy... Nieważne! - Wdrapał się na barierę i przelazł przy jej pomocy na przeciwległy brzeg.**

**- Idziemy do jaskiń? - zapytał Chsalk idąc w jego ślady. - Co prawda nie ma tu nic ciekawego, oprócz samego faktu istnienia tych jaskiń. - Zeskoczył z barierki na ziemię, zrzucił z ramion worek i chwilę w nim grzebał. Wyjął zawiniątko z cygaretkami i podał je Jonathanowi. - Skorzystam z tego, że mamy ogień - mruknął konspiracyjnie.**

**- A gdybym ja nie miał? - Jonathan podsunął mu zapalniczkę i przypalił sam.**

**- Palimy w domu, a tam zawsze płonie mały kaganek.**

**- Czekał, a ognisko? Nie zauważyłem jak je rozpaliliście.**

**- Farfum - rzucił Chsalk. - No, taka ciecz, która zapala się pod wpływem światła.**

**- Farfum? Pokaż - zażądał Jonathan.**

**- Skąd? Przecież jej się nie nosi ze sobą!**

**- A cygaretki?**

**- Ee! - skrzywił się Chsalk. - Okropnie by śmierdziały, coś ty! Najpierw**

trzeba by rozniecić ognisko, dopiero potem przypalić cygaretkę. Za dużo zawracania głowy. - Wysunął język i parsknął głośno, lekceważąco.

- No tak, nie jesteście nałogowcami - Jonathan zaciągnął się z przyjemnością aromatycznym dymem. - Ja to bym nawet rozpałał ogień przy pomocy dwóch patyków, żeby tylko móc strzelić sobie dymka.

- A ja z przyjemnością bym zobaczył jak wydobywasz ogień z dwóch patyków! - głośno roześmiał się Chsalk z miną: "Znam się na takich żartach!"

- Może kiedyś ci to pokażę - obiecał Jonathan. - To jest możliwe, tylko sam nigdy nie robiłem i trzeba dwóch gatunków drzewa - miękkiego i twardego. Na pewno spróbujemy...

- A co z tymi jaskiniami?

- Nie wiem... Szczerze mówiąc - odechciało mi się... Co tam jest?

- Nic - Chsalk próbował puszczać kółka z dymu. - Jest wzgórze, pod nim niewielkie... jezioro, z którego odrywa się Ogon i to wszystko. Jeśli się przepłynie pod... krawędzią wzgórza, znajdziesz się w jaskini. Ciemna... zimna woda... Nie wychodzi!... - podsumował swoje wysiłki z dymem.

Jonathan odruchowo uformował kilka zgrabnych kólek, przysiadł na piętach. Słupek popiołu upadł mu na udo.

- Skoro stamtąd wypływa strumień, to gdzieś musi wpływać - powiedział z namysłem. - Próbowaliście to sprawdzić?

- Jak? W ciemnościach? Pod prąd?

- Aha! A z drugiej strony? To znaczy za Oazą, gdzie Pierwszy wpływa?

- To zupełnie inaczej wygląda. Rozlewa się w błoto i wsiąka. Koniec! - Chsalk machnął dłonią, jakby odpędzał natrętnego owada.

- A Trzeci?

- Tak samo. Trzeci zaczyna się bagnem i kończy. Tylko Ogon ma inny początek. - Wrzucił połowę cygaretki do strumienia. - To co - wracamy?

Jonathan skrzywił się i pokiwał głową:

- Chyba tak...

- Możemy wrócić inaczej, strumieniem... - Widząc zdziwienie na twarzy Jonathana wyjaśnił: - Mięso się splawia w pobliżu farmy do młyna, możemy wziąć po dwa bierwiona...

Jonathan zamachał rękami, usłużna wyobraźnia natychmiast zareagowała na propozycję Chsalka. Negatywnie!

- Nie, nie! Wracam pieszo. Możemy pójść inną drogą, jeśli jest coś ciekawego.

- Ciekawego to tu nic nie ma - Chsalk poderwał się na równe nogi. - Ale możemy sprawdzić jak się ma tutta. Tu w pobliżu jest plantacja, najwcześniej dojrzewa. Powinna lada moment być gotowa do zbioru, może zdążysz sam dla siebie nazbierać trochę liści.

- Właśnie, to mi odpowiada.

Chsalk pokręcił głową z niedowierzaniem. Podnosząc worek z ziemi i zarzucając sobie na plecy, zerknął na Jonathana spod oka.

- Jednak jesteś dziwny - powiedział. - Co może być fajnego w zbiorze tutty?

- Przecież sam palisz?

- Tylko wtedy jeśli farmerzy nazbierają tuttę. Na pewno nie wędrowałbym tu specjalnie na żniwa.

- Leń - skwitował Jonathan ruszając brzegiem strumienia.

- Pewnie, że tak. A co w tym złego?

W innej sytuacji, w innym kraju, gdyby nie istniało zadziwiające sprego, Jonathan wdałby się w dyskusję dla samej przyjemności polemiki z tak ekstrawaganckim oświadczeniem. Tu jednak, ani w drodze na niewielką plantację tutty, ani podczas powrotu na farmę, ani jeszcze później, nie potrafił znaleźć argumentów. W każdym razie wszystkie, które podsuwał mu umysł były natury filozoficznej i w zetknięciu z pragmatyzmem rozpieszczonych przez sprego Soyefcie musiały brzmieć tylko, jak wyrafinowana etyczna zabawa słowna. Więc nie miała szans powodzenia.



**Do końca rozmawiali o powszednich farmerskich obowiązkach.**

**Trzynasta doba, popołudnie**

**- Jak duże są wasze pola?**

**Jonathan z Maniką zbliżyli się do wschodniej granicy uprawnych pól. Tu miały w nadmiarze występować człogi, których przez poprzednie dwa dni nie udało się Jonathanowi zobaczyć. Wyszli z alei utworzonej przez szpalery tutty i zaczęli iść po zapiaszczonym**

**klepisku, czyli powszechnym dla krainy Uletene podłożu, od którego Jonathan zdążył odwyknąć przez dwie i pół doby.**

**- Zaraz... - Manika zmarszczyła brwi i zajęła się liczeniem.**

**- Nie! Głupi jestem, nie trzeba - ty mi to podasz w ralach, ja zacznę przeliczać na akry... - Zamachał rękami w udanym przerażeniu. -**

**Wystarcza na wyżywienie i jakiś zapas?**

**- Oczywiście!**

**- No to nie ma o czym mówić. Powiedz mi lepiej ile znasz gatunków zwierząt na tej pustyni?**

**- Hm?... No, człogi, których szukamy, kotuny - już znasz, frachtwoły, lomy, lomity, neretki, to wszystko drobne gryzonie... Na rybach i robakach się nie znam ale są... Czekał... - zatrzymała się i machnęła rękami, dumna ze swojej pamięci. - Węże.**

**- Jadowite?**

**Zobaczył, że nie rozumie pytania, machnął ręką.**

**- I to już wszystko? - zapytał.**

**Manika wzruszyła ramionami i skierowała się do dość osobliwego w płaskim krajobrazie Ultane, skupiska płaskich wzgórz-wydm. Jonathan spostrzegł, że po raz pierwszy udało mu się urazić Soyefcie, choć nie był pewien dlaczego. Dogonił Manikę, objął ją w pasie, dostosował swój krok do**

jej rytmu i poszedł obok ocierając się o jej biodro. Manika była o wiele niższa i zupełnie naturalnie, że z powodu pewnej arytmii ich ruchów dłoni Jonathana przesunęła się z talii ku górze. Kobieta zdawała się nie zauważać dłoni mężczyzny na swojej pełnej, twardej piersi.

- Jeśli wydaje ci się, że pytam żebyś mógł powiedzieć: "Eee tam! My to mamy czterysta gatunków gryzoni!" - to jesteś w błędzie.

- A macie? Że się tak chwalisz? - rzuciła nadąsana z przekąsem.

- Mamy. Może nawet więcej, ale mnie nie o to chodziło. Chcę się dowiedzieć czy równowaga w waszym systemie przyrodniczym jest stabilna...

- A co to za różnica? - szarpnęła głową.

- Nie wygłupiaj się. Przecież sama świetnie rozumiesz.

- Nie.

- Hm, wydaje mi się, że starasz się mnie rozzłościć albo ośmieszyć, ale niech będzie... Posłuchaj, jeśli wasz ekosystem jest stabilny, jeśli zawsze taki był, no to w porządku, natomiast jeśli dookoła was jest tak mało innych gatunków, bo reszta wymarła - to gorzej, bo to znaczy, że coś się psuje.

Rozumiesz? Brak jakiegoś gatunku najczęściej powoduje wymieranie innego i tak dalej. Może... Nie wiem... - Kopnął małą grudkę wyschniętej gliny. - Może nie ma to znaczenia, może to mój świat jest zwariowany z tym całym swoim skomplikowanym systemem wzajemnych zależności roślin i zwierząt i na odwrót, nie wiem. Na pewno mam jednak prawo być zdziwiony, prawda?

- Pew... Ha! A bydło hodowlane? Rumy i zabroje?

- Jasne - Jonathan zatrzymał się i raptownie okręcił trzymaną jedną ręką kobietę tak, że wykreśliła prawą stopą półkole w powietrzu i zderzyła się lekko z jego piersią. - A zresztą, nieważne... - Pocałował ją mocno, długo. Czuł, że wszczął rozmowę, która nie spodobałaby się żadnemu z Soyefcie i cieszył się, że zrobił to właśnie z Maniką, bo ją mógł uciszyć pocałunkiem. Do podobnej rozmowy z Kryczem - obiecał sobie, że musi do niej dojść -

postanowił przygotować się, tak by móc bez uciekania się do pocałunków utrzymać dyskusję w ryzach. Manika skubnęła jego dolną wargę zębami i oderwała się od Jonathana.

- Interesują cię jeszcze człogi, czy wracamy?

- Zaryzykuję i pociągnę cię do czlogów.

Wyrwała mu rękę i nagle obiegnęła Jonathana dookoła, wróciła do narożnika pola, przechyliła się przez żywopłot i wyszarpnęła pęk jasnozielonej lerby. Wróciła z zielskiem i pierwsza poszła po, niemal niewidocznej na klepisku, ścieżce. Kiedy doszli do pierwszego płaskiego wzgórza Manika wskazała palcem jedną, drugą i jeszcze dwie wyraźne wypukłości na zboczu pagórka, przypominające spłaszczone pokrywy wejść do schronów.

- Patrz...

Podeszła do najbliższej "pokrywy", pochyliła się i wysunęła do przodu rękę z pękiem zboża. Jonathan zdążył zrobić dwa wdechy i jeden wydech, gdy wbita w krzywiznę zbocza kopuła, o przekroju prawie dwóch stóp poruszyła się, piach osypał się i oczom zdumionego Jonathana ukazał się płaski, gigantyczny "żółw".

Podobieństwo do żółwia zawierało się w budowie - dwie skorupy, wierzchnia i spodnia, ale zamiast nóg spomiędzy karapaksa i plastronu wysunęła się ślimacza fałda i falując przesunęła zwierzę. Czlog okręcił się, nie wysuwając głowy, na krawędzi karapakad wystrzeliły w powietrze dwie małe chmurki pyłu i odsłoniły się czarne płaskie oczy. Czlog poruszył się zwawiej niż przed chwilą, ruszył w stronę Maniki jednocześnie wysuwając ze styku plastrona z karapaksem długą trąbę. Manika cisnęła lerbę w człoga i przysunęła się do Jonathana. Na zboczu wzgórza poruszyły się jeszcze dwie "pokrywy".

- Widzisz? Nawet taka ilość lerby wprawia je w podniecenie!

Zanim zdążył otworzyć usta Manika trąciła go w ramię.

- Muszę na chwilę zniknąć.

Pobiegła za wydmy. Jonathan ruszył szybko w stronę pola, biegiem dopadł pierwszych źdźbeł i szybko wrócił ze zdobyczą do wydmy. Człog, który miał szczęście i pożarł już lerbę dość szybko sunął na spotkanie. Jonathan z rozbiegu wskoczył na jego grzbiet. Zamierzał sterować człogiem przy pomocy pęczka lerby i chyba mu się to udało, ale pokrywa człoga posypana była mialkim piaskiem. Jonathan pośliznął się i dobrowolnie zeskoczył z zółwia. Szybko, zanim człog zdążył odwrócić się w jego stronę, zrzucił buty i skarpety, i wskoczył ponownie na grzbiet wierzchowca. Zauważył, że zza wydmy wyszła Manika i zatrzymała się jak wryta. Jonathan na grzbiecie człoga niewątpliwie zrobił na niej wrażenie.

- Zobacz! Będzie szedł tam, gdzie mu każe!...

Pochylił się i zbliżył do krótkiej trąby pęczek zboża. Człog szarpnął się, ale Jonathan utrzymał się na jego grzbiecie. Manika krzyknęła coś ostrzegawczo. Jonathan machnął do niej ręką i odsunął dłoń z lerbą. Rozzłoszczony człog wydał z siebie chrapliwy bulgocący syk i nagle z jego pokrywy uderzył w stopy Jonathana nieznośny ból. Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że jego nogi rozrywane są na części przez jakieś niewidzialne, z ogromną mocą szarpiące pęta. Potem ból skoczył w górę. Jonathan zachłysnął się krzykiem i stracił przytomność.

**Piętnasta doba; południe**

Przeskok z niebytu na jawę, objawił się straszliwym bólem stawów, które zachowywały się tak, jakby każda z kości rozsadzana była od wewnątrz pęczniejącym, puchnącym szpikiem. Jonathan nie wiedział jeszcze jak się nazywa, gdzie jest, ani jaka jest przyczyna bólu; cała jego świadomość sprowadzała się do konstatacji ogromnej, zalewającej jaźń męczarni. Po jakimś, niemożliwym do określenia w oceanie męki, czasie, ból niemal skokowo ustał i natychmiast na uwolnionym obszarze świadomości pojawiło

się pytanie. I niewiele później odpowiedź: nazywam się Greg Burns, to znaczy - takiego używam pseudonimu, naprawdę nazywam się Jonathan Weather. Autor różnej długości i jakości utworów, zaliczanych przez selekcjonerów literatury do SF albo po prostu fantastyki... I...

I... Ach tak: trafił mnie piorun na drodze... Nie, trafił w mój nowy wóz; tak, huknęło przeraźliwie, pamiętam. Strzępy pofrunęły we wszystkie strony świata. Omal mnie nie zabiła moja własna maszyna do pisania - przeleciała szmat drogi, żeby spudłować na samym finiszu, i walkman... Nawet nie wiem czy to wszystko jeszcze dzieje... Nie, wiem! Przecież włączałem walkmana w oazie...OAZIE??? Spokojnie, to nie była żadna oaza. Oaza, pch! Majaczenie... Byłem, jestem ranny, chory, jestem w szpitalu, tak - czuję ten specyficzny szpitalny zapach. Nigdy nie mogłem się zgodzić z tymi, którzy uważali go za niemal symbol czystości, dla mnie był podejrzany, jak nieskazitelnie białe mankiety, z których zawsze mogą wyłonić się dłonie zakończone żalobnymi paznokciami. A dlaczego nic nie widzę? Ciemno? Noc?...

- Hej... Hej! Czy jest tu ktoś? Siostro!..

Z trudem usłyszał swój własny głos. Przez długą chwilę zastanawiał się, czy to dźwięk uleciał z jego ust osłabiony czy też ma przytępiony odgłosem wybuchu słuch. Spróbował jeszcze raz:

- Siostro!

Tym razem okrzyk zabrzmiał tak jak powinien był - wystarczająco głośno, odpowiednio napastliwie. Jonathan poczuł, że zaczynają doń docierać normalne standardowe sygnały pracy organizmu - wie, że pracują płuca, czuje ostry, płytki ból pękających przy poruszeniu warg... Spróbował zwilżyć je językiem, ale nie przyniosło to spodziewanej ulgi. Zmusił się do poruszenia palcami dłoni i - gdy wyteżył mózg i napiął mięśnie - niespodziewanie usłyszał hałas otwieranych drzwi i szybkie lekkie kroki, i zaraz potem ktoś dotknął jego czoła. Zrozumiał, że to dłoń i odczuł, że ta

dłoń natychmiast się wycofała. Zanim zdążył zadać pytanie, poczuł na czole chłód, na ustach wilgoć. Obojętny w smaku płyn o niemożliwej do ustalenia temperaturze, spłynął przelykiem, powodując krótki bolesny skurcz w żołądku. I ulgę.

- Jak się czujesz? Możesz mówić? - usłyszał kobiecy głos.

Spróbował uśmiechnąć się do niej, poruszył wargami, syknął, niemal słysząc pęknięcie cienkich strupków.

- Poczekaj. - Kobieta dość mocno przycisnęła dłonią usta Jonathana. Po chwili ucisk zelżał, zaczęła pokrywać jego wargi warstwą chłodnej maści. - Jeszcze chwile poczekaj - poleciała.

Nie zauważyła, że w chwili kiedy zaczęła smarować wargi maścią jej pacjent zeszywniał. Jonathan uprzytomnił sobie, że poznaje głos; że jego kalkulacje, w których widział siebie odzyskującego przytomność w brytyjskim szpitalu a wspomnienia z Oazy Dobrej Magii odnoszą się do kategorii chorobowych majaczeń, biorą w łeb. Głos, docierający do niego z ciemności, należał bez wątpienia do Maniki. A Manika należała do świata dobrej magii.

- Zaraz zdejmę ci opatrunki z oczu, poczekaj tylko zwilżę...

- Zostaw! - wycharczał.

Poruszył głową, chciał strącić ze swojego czoła dłoń Maniki i - jeśli się da - spoczywające zapewne na twarzy spojrzenie. Poddął się na chwilę zalewającej go fali goryczy i rozczarowania. Uświadomił sobie, że wbrew temu, co sam myślał, świat, który zostawił w czasie burzy był jednak jego światem i mimo wszystkich jego wad, jakie tu, w krainie Soyeffie stały się widoczne jak po lakmusowym teście, bardziej przystawał do Jonathana Weathera a tym bardziej Grega Burnsa.

Jego okrzyk został zignorowany przez Manikę, usłyszał, że poruszyła się, glucho brzęknęło jakieś potrącone naczynie a potem poczuł wzrastający delikatny ucisk, najpierw na prawe, potem na lewe oko. Manika skropiła

oba opatrunki jakąś cieczą - po obu skroniach popłynęły strużki chłodnego płynu, który przedostał się również pod warstwy opatrunków. Jonathan spróbował otworzyć oczy, zaszczypało, poruszył ręką. Wciąż pozostająca w mroku kobieta chwyciła go za dłoń i najpierw ścisnęła ją a potem, jakby nie będąc pewną zachowania Jonathana, przycisnęła ją do brzegu legowiska swoim udem. Jonathan poczuł jak chwyta za brzeg opatrunku z prawego oka i ściąga go; poruszył powiekami, z wysiłkiem oderwał je od siebie, w siatkówkę oka uderzyła jasność i od razu przymglila ją fala łez. Manika tak samo sprawnie powtórzyła operacje z lewym okiem, uwolniła rękę Jonathana, odsunęła się na chwilę.

- Chcesz sam przetrzeć sobie oczy? - usłyszał.

- Tak - sapnął. Poruszył prawą ręką, przesunęła się po posłaniu, krótką chwilę balansowała w powietrzu i bezwładnie zwisła. Jonathan stęknął i szarpnął nią. - Nie... - poddał się.

Manika pochylila się nad nim z purchasestym tamponem w dłoni. Kilka, może kilkanaście sekund później, Jonathan mógł już normalnie patrzeć na otoczenie. -wiezo przemytymi oczami spojrzal na Manike.

- Co się stało, że...

Przerwał, bo w tej samej chwili przypomniał sobie szczegóły zabawy z człogiem, zdenerwowanie biegnącej w jego strone kobiety, krótki syk wydobywający się spomiędzy pokryw pancerza małża-żółwia.

- Kopnął mnie -powiedział wolno, jakby zdziwiony.

- Kopnął?... - powtórzyła Manika zmieniając intonację na pytającą.

- Kopnął, to inaczej uderzył - powiedział Jonathan. - A to chyba nie ma odpowiednika w crasa. W każdym razie pokazał mi, że nie bawią go moje tańce na jego pancerzu.

- Krzyczałam do ciebie...

- Słyszałem, ale chciałem ci pokazać, że znalazłem środek podróżowania po pustyni... Kiedy to było?

**- Przedwczoraj - westchnęła i pokręciła głową. - Pomogę ci usiąść...**

**Ból w stawach powrócił na krótką chwilę. Manika przysunęła do ust Jonathana czarkę z płynem. Napił się łapczywie, już po trzecim łyku czując, że nie była to czysta woda. Odetchnął głęboko.**

**- Magiczny napój, po którym natychmiast będę mógł wstać z łóżka... Tak zawsze dzieje się w moich własnych powieściach... - powiedział w przestrzeń.**

**- To wykluczone. Szczególnie, że to ma cię tylko orzeźwić, resztę załatwi sam organizm, my nie znamy lekarstwa na uderzenie człoga.**

**- My chyba też... - Jonathan podparł się wciąż zdrętwiałymi rękami i poprawił na łóżku. Gdyby musiał krótko opisać swój stan zatrzymałby się na się na słowie "osłabiony". Co jakiś czas przebiegały przez całe ciało krótkie - podobne do dreszczy - nieprzyjemne fale bólu. - Ależ mnie urządził.. - stęknął z pewnym podziwem. - Właściwie sam się urządziłem.**

**- Oczywiście, że sam. Nie słyszałam, żeby ktoś z własnej woli wlaził na człogi i to na bosaka.**

**Przygana w jej głosie, właściwa w rozmowie z krnąbrnym dzieciakiem wydała mu się przesadna. W jednej chwili przypomniał sobie radość, gdy wracając do świadomości przez chwilę brał Soyefcie, ich dobrą magię i Oazę za wytwór mającego organizmu. Ponownie ogarnęło go zniechęcenie i poczucie wyrządzonej przez kogoś krzywdy.**

**- Zaraz przyniosę ci coś do jedzenia - powiedziała Manika i szybko wybiegła z pokoju.**

**Jonathan spojrział na swoje ręce leżące wzdłuż ciała na posłaniu, poruszył palcami, uniósł prawą rękę; nie był to płynny ruch, a kiedy chciał palcami dotknąć nosa, dłoń zbyt gwałtownie opadła na twarz, kciuk uderzył w gałkę oczną, ale stwierdził w duchu,**

**że - w zasadzie - panuje nad swoimi górnymi kończynami. Ostrożnie uniósł drugą rękę, przetaił twarz, zadowolony z wyniku, rozmasował zdrętwiałe**



palce. Poczul szczypanie w opuszkach, rozejrzał się po pokoju, odnalazł spojrzeniem swoje ubranie, ale wisiało na ściennych kolkach, bez wątplenia zbyt daleko jak na jego obecny stan. Niecierpliwie doczekał się powrotu Maniki i gdy tylko przekroczyła próg izby z miską w dłoni, niecierpliwie wskazał swoją bluzę.

- Podaj mi... - pomachał w powietrzu palcami. - Tam jest ten wspaniały eliksir od Krycza. Może wy tego nie wiecie, ale to jest właśnie najlepsze lekarstwo na pocałunek człoga.

Usiłował używać lekkiego tonu, wstydzając się sam przed sobą własnych, nieprzychylnych Soyefcie myśli, myśli, które dzisiaj dwukrotnie już go nawiedziły. Sięgając po manierkę stwierdził, że posługuje się rękami całkowicie sprawnie, niemal nie drżały gdy unosił podane naczynie do ust, jednocześnie zerkając na kobietę. Spokojnie czekała. Przelknął pierwszą, małą porcję alkoholu, potem drugą, Manika nie odezwała się, aż zakorkował manierkę i odstawił na podłogę. Uśmiechnął się do Maniki.

- Teraz mogę nabierać sił - powiedział i wyciągnął rękę po jedzenie.

W chwili, gdy usiadł na łóżku drzwi do pokoju otworzyły się, Chsalk wsunął przez nie głowę, ale widząc Jonathana siedzącego z wytrzeszczonymi oczami, przeczekującego atak zawrotów głowy, zatrzymał się w progu z półotwartymi ustami. Poczekał w tej postawie, aż Jonathan pokręcił głową i uśmiechając sztucznie wymamrotał: - Ależ jestem słaby!.. - i dopiero wtedy wsunął się do izby, mówiąc:

- Nie darowałbym sobie gdybyś zginął - szybko przysunął się do łóżka i kładąc ręce na ramionach Jonathana potrząsnął nim mocno. - To pierwszy przypadek, o którym słyszałem - ludzie! - żeby ktoś dobrowolnie wlał człogowi na grzbiet?! Dobrowolnie?! - potrząsnął jeszcze raz Jonathanem. - Całkowicie - przyznał rekonwalescent.

Po rozterkach, po żalu za swoim porzuconym światem, po goryczy z powodu przebudzenia w satelitarnej farmie Oazy, nie pozostało śladu. Czuł

się znacznie lepiej i nie potrafił już zmusić się do rozważania, który ze światów jest lepszy i dlaczego. Potrząsnął głową i żartobliwie trącił Chsalka pięścią w żebra.

- Właśnie! I miałbym przepuścić taką okazję? - zawołał Soyefcie. - Przecież muszę posłuchać twojej opowieści. Tylko jeszcze nie zaczynaj! - odskoczył i powstrzymał Jonathana ruchem wystawionych do przodu rąk. Wysunął głowę na korytarz i zawołał: - Chodźcie! Chodźcie!

- Kto... Kogo tam... - Jonathan podniósł się, pomrukał oczami.

- Oni też by ci nie wybaczyli - Do pokoju weszła Josnatte, a za nią Andei, po którym wsunęli się Plove i Jul.

- Chsalk! - powiedziała z wyrzutem farmerka. - Mógłbyś już nie wracać do tego nieszczęsnego człoga!

Wzruszył ramionami, ale widząc ten sam wyraz na twarzy Maniki poddał się:

- Masz rację! - gestem ręki i miną okazał skruchę i chęć poprawy.

Jonathan przez chwilę odczuwał pewne skrępowanie, ale widok gospodarzy, zainteresowanych jego widokiem i również nieco zakłopotanych, świadomych nietaktownego zachowania, lecz nie mogących powstrzymać się od zaspokojenia ciekawości był tak komiczny, że po prostu parsknął śmiechem. Zareagowali różnie: Josnatte prychnęła przez nos, Plove wytrzeszczył oczy i zaczął rozglądać się po obecnych, a Andei po prostu otworzył, niczym gamoniowaty wieśniak, usta i klapnął nimi kilka razy bezgłośnie. -miech Jonathana okazał się tylko przygrywką do szalonego spazmu, który z kolei eksplodował u wszystkich obecnych, tak, że zanim trącone zbyt mocno drzwi zamknęły się same, cała grupa zataczała się w ogromnym wielogłosym i wielotonowym śmiechu. Obie kobiety kucaly trzymając się za brzuchy, aż w końcu opadły na podłogę, Manika w rogu pokoju przy łóżku Jonathana, Josnatte pod jedną za ścian. Mężczyźni śmiali się kiwając na boki. Wszyscy - prócz Jonathana - odrzucali głowy do

tyłu, wyginali się w łuki i ryczeli, jakby usiłowali swoim śmiechem oderwać od ścian sufit. -miech zaczął wygasać dopiero pod wpływem bólu przepon.

- Cieszę się, że dostarczyłem wam tyle radości... Chociaż dalej nie rozumiem, co w mojej przygodzie jest aż tak niezwykłego... - wycharczał po dłuższej chwili Jonathan.

- Nie-he-he... Nie rozumie-e!... H-ha-ii! - zapiał Chsalk.

- Nie gniewaj się - Andei najwcześniej przestał się śmiać; kiedy inni jeszcze zataczali się, on już zdążył przetrzeć oczy rękawem koszuli. Popatrzył na Josnatte. - Wiesz - dla nas zabawa z człogiem jest... No, szczytem...

- Głupoty, powiedz szczerze - wtrącił się Jonathan.

- Nie... Beztroski, tak - beztroski. I braku logiki. Po prostu nikt się nimi nie zajmuje, bo to nie ma sensu. Spokojny człog jest nie do ruszenia, a zły... - wzruszył ramionami. - Sam już wiesz.

- A nie można by ich przynajmniej jeść? - mściwie zapytał Jonathan, wzbudzając jeszcze jedną falę śmiechu.

- Zamordowałbyś swój własny apetyt na jakiegokolwiek inne jedzenie, straszliwie cuchną...

- Skąd wiecie? Przecież ich nie ruszacie?

- Wystarczy raz natknąć się na ich ścierwo.

- Aha...

- Coś straszego... - odezwał się Plove.

- Przestańcie o tym mówić... - Josnatte z trudem wyprostowała się, odetchnęła spazmatycznie. - Za chwilę mamy sięść do obiadu. Możesz wstać czy...

- Mogę, mogę - Jonathan machnął ręką.

- No to chodźmy - Manika podniosła się z podłogi i ponownie objęła dowodzenie.

Jonathan spuścił nogi z łóżka, przeczekał króciutką falę zawrotu głowy i wstał. Manika skinęła głową z aprobatą i pierwsza ruszyła do wyjścia,

skinąwszy ręką na Jonathana. Ruszył za nią. W drzwiach przepuścił przed sobą Josnatte; mężczyźni z tyłu pochrząkiwali, sapali, chichotali na wspomnienie sceny sprzed kilku minut. Wyszli wszyscy na podwórze, gdzie zmyli ślady leż w płytkiej drewnianej misie stojącej obok studni.

- Tu nie ma pomp?

Pytanie Jonathana dotyczyło kołowrotu z olbrzymim kołem wyciągowym, liną i walcowatym wiadrem z "frachtwolej porcelany " z okutą pasem z ciemnego metalu, górną krawędzią.

- Nie ma - rzuciła nadspodziewanie ostro Manika i ponownie pierwsza ruszyła w stronę domu.

Bez wątplenia są bardzo czuli na punkcie swoich małych porażek, pomyślał Jonathan. Na pewno od dawna zdają sobie sprawę z faktu, że Oaza wolno, ale nieubłaganie chyli się ku upadkowi i własna bezsilność, z którą nie mogą się, po wiekach spokojnego życia, pogodzić, doprowadza ich do wściekłości. Muszę mieć to na uwadze, nie wiem jeszcze po co, ale może mi się to przydać. Może to moja jedyna broń?

Ruszył do domu zamykając mały pochód; aż do chwili rozpoczęcia obiadu zastanawiał się, czy i kiedy może mu się przydać broń, o którą już kilka razy się potknął. Krótką chwilę rozważał sensowność używania broni, skoro sam potencjalny przeciwnik, z własnej woli, rzuca ją pod stopy, a potem, zdziwiony własnym apetytem, rzucił się do pochłaniania posiłku.

- Teraz możesz opowiedzieć - Chsalk wrzucił do ust ostatni kawałek chleba użytego do zgarnięcia sosu z miski i szybko przeżuł go - jak to jest po takim uderzeniu człoga?

- Znowu zaczynasz? - jęknął Jonathan.

- Ależ mnie to interesuje, poważnie! - zaprotestował Chsalk.

- Poważnie? - skrzywił się Jonathan. - Jeśli bardzo po ważnie, to wskocz na któregoś - podkreślił mimiką powagę propozycji. Chsalk pokręcił głową z miną: "Nie, dziękuję, bracie". - Nie? No to żadne słowa nie oddadzą tego

uczucia - wydaje ci się, że wybuchasz od środka, że w każdym miejscu twojego ciała znajdują się jakieś kuleczki, które nagle zaczynają niesamowicie szybko puchnąć i rozrywać cię od wewnątrz twego ciała...

Rozumiesz coś?

Popatrzył na Chsalka i - jakby przy okazji - obrzucił spojrzeniem pozostałych Soyefcie. Wszyscy mieli poważne miny, słuchali go uważnie i z nadspodziewaną uwagą.

- Znam to zjawisko - powiedział. - U mnie nazywa się to prąd - popatrzył na Josnatte i jej mężczyzn, chcąc sprawdzić, czy rozumieją co ma na myśli mówiąc "u mnie".

Manika dobrze odczytała jego spojrzenie, bo szybko wtrąciła:

- Gospodarze wiedza, że jesteś naszym gościem.

Jonathan skinął głową i mówił dalej:

- Nie objaśnię wam na czym to polega - musiałbym używać innych, równie niezrozumiałych pojęć, już nie mówiąc o tym, że sam nie wszystko rozumiem. W każdym razie to potęga, którą potrafiliśmy zmusić do pracy. W wielu przypadkach zastępuje wasze sprego - przewozi nas na duże odległości, podnosi ciężary, oświetla pokoje, zapewnia rozrywkę... I zabija, jeśli wyrwie się spod kontroli. Żyją też w naszym świecie zwierzęta, które, choć niepodobne do człogów, podobnie bronią się przed intruzami czy wrogami - wzruszył ramionami i popatrzył na zebranych przy stole, uśmiechnął się. - I to wszystko nazywa się w moim świecie, jak mówiłem, prąd, elektryczność.

Łapczywie wypił ćwierć dzbanka schłodzonego owocowego moszczu.

Odetchnął z rozkoszą.

- A gdzie Jorhan? - uświadomił sobie brak współtowarzysza podróży.

- Dzisiaj rano ruszył do Trzeciej - poinformowała go Josnatte.

- Aha...

Zobaczył, że Chsalk wyjmuje z kieszonki na rękawie koszuli swoje

cygaretki i - mimo że nie palił już od dwóch tygodni - poczuł natychmiast nieodpartą ochotę na papierosa. Wskazał cygaretki ruchem brwi i wyciągnął rękę. Po chwili palili obaj jednakowo zadowoleni.

- Hm... A czy nie mógłbyś... - Josnatte złożyła ręce jak do modlitwy i na chwilę oparła na nich nos. Wyglądała jakby zbyt pośpiesznie zaczęła jakieś zdanie i teraz zastanawiała się czy może je skończyć. - Czy nie mógłbyś nam opowiedzieć jeszcze coś o swoim świecie?

Andei chrząknął nerwowo, Manika i Chsalk poruszyli się, ale nie otworzyli ust. Jonathan rozłożył szeroko ręce.

- W każdej chwili i ile chcecie! - zawołał wesóło. - Myślałem, że was to zupełnie nie interesuje? Nikt mnie nigdy o nic nie pytał...

- Nie wiedzieliśmy czy... Czy będziesz chciał, czy wolno ci...

- Czy mi wolno? - Jonathan zmarszczył brwi i rozejrzał dookoła z niedowierzaniem. - A kto, do licha, mógłby mi zakazać opowiadania o moim własnym świecie?

W pokoju zapanowała cisza. Była głęboka i - tak ją odczuł - znacząca. Soyeffie mieli dziwne, pełne winy spojrzenia, unikali jego wzroku, a na siebie zerkali z wyrzutem.

- Wiesz co? Powiem ci wszystko - podjęła decyzję Manika. - Baliśmy się dwu rzeczy - że jesteś nie tym kim mówisz, za kogo chcesz uchodzić. I po drugie, jeśli jesteś tym, za kogo cię mamy, jeśli mówisz prawdę, w co wierzymy, to staraliśmy się wczuć w twoje położenie i nie chcieliśmy obrazić cię w jakiś sposób czy nawet zmuszać do wspomnień ze swojego świata.

Rozumiesz nas? Rozumiesz?

- Chyba tak... - odpowiedział z wahaniem Jonathan. - Chyba... Chociaż taka delikatność wydaje mi się... - pokręcił głową. - Nie wiem czy mój świat byłby, aż tak uważny w stosunku do niespodziewanego przybysza. Czuję się zawstydzony. - Westchnął i obrzuciwszy spojrzeniem poważnych Soyeffie parsknął śmiechem.

**- Dajcie spokój! - zawołał. - Siedzimy tu jak na pogrzebie, a przecież ofiara żyje! Hej, ludzie! Żyję, nie cieszy was to? Tak? No to będę wam opowiadał, aż pożałujecie waszej pochopnej prośby. Teraz dopiero będziecie mieli powód do zmartwienia, bo jestem opowiadaczem z zawodu i charakteru. I nareszcie mam publiczność, która jeszcze nie zna moich koronnych historyjek. Samiście sobie winni! Nalejcie mi jeszcze tego kompotu... - wypił duszkiem cały kubek szprycera i wytarł usta. - Nie opowiadałem wam jeszcze jak kiedyś założyłem się z przyjacielem, że ... Nie opowiadałem? To niezła historyjka na rozgrzewkę. Słuchajcie...**

**Dwudziesta pierwsza doba;**

**wczesne popołudnie**

**Po powrocie do Oazy Dobrej Magii, dokładnie czwartego dnia po tym jak z Chsalkiem i Farmi wrócił do miasta, zostawiając Manikę, która uparła się, że odwiedzi pozostałe dwie farmy i wróci z Jorhanem, zaczął go na ulicy jeden ze starszych mieszkańców osady. Staruszek zaszedł mu drogę, uprzejmie powitał, a następnie długo i skomplikowanie przeproszał za mającą zaraz nastąpić bezczelną prośbę. Zaniepokojony Jonathan kilka razy zachęcał go, zanim - odchrząkując nerwowo i niemal jęcząc ze wstydu - wykrztusił:**

**- Opowiedziano nam... Właściwie doszło do mnie... Do mnie i moich przyjaciół, prawda... Tak, usłyszeliśmy, choć może nie należy się przyznawać do podsłuchiwania cudzych rozmów... Że-e-e... prawda... Jak tam byliście... - podreptał w miejscu bliski ucieczki. Jonathan pomyślał nagle, że to może być ojciec Maniki, niezadowolony z romansu córki z obcym. Wprawdzie nie zauważył wcześniej objawów zazdrości o partnerów, jak też i oznak jakiejś specjalnej rozwiązłości, ale wcale nie był pewien, czy naprawdę dokładnie poznał zwyczaje Soyefcie. Postanowił nawet, że odważy**

się kiedyś porozmawiać na ten temat z Kryczem, potem zabierał się do poważnej rozmowy z Maniką, ale zawsze przedkładał nad rozmowy o miłości ją samą i teraz jękający się starzec wprawił go w lekką panikę. Chciał przerwać rozmówcy, ale wyczuł, że już za kilka sekund dowie się o co chodzi. Zamknął z powrotem usta. - My-y?... - Starzec odetchnął głęboko i wyrzucił z siebie jednym tchem: - Chcemy cię prosić, żebyś nam opowiedział o swoim świecie!

Jonathan wytrzeszczył oczy i chwilę trwał tak wprawiając staruszkę w coraz to większe zakłopotanie.

- Ależ z przyjemnością! - wrzasnął ściskając rozmówcę za ramiona. - Piekielnie mnie wystraszyłeś, myślałem, że tu chodzi o nie wiadomo jakie przestępstwo albo... - wzruszył ramionami. - A co się tyczy tych opowieści, to mogę nawet codziennie opowiadać wam swój życiorys i swoje książki. Ha! A jeśli tego będzie wam mało, opowiem może kilka cudzych.

- Tak-tak! Właśnie!.. - Stary radośnie potrząsnął głową. - O to byśmy prosili, tylko żeby, przede wszystkim, było to o twoim świecie...

- Poczekaj, ma być prawda czy moje książki?

- A to już jak sobie ułożysz!.. - zamachał rękami uszczęśliwiony uzyskaną zgodą. - Jak ci będzie wygodniej! Dobrze?

Jonathan westchnął i skinął głową. Staruszek uśmiechnął się przymilnie i - choć widział, że końcowa część rozmowy nie wprawiła Jonathana w zachwyt - niezbyt udanie zasymulował ignorancję, zmienił rozmiar uśmiechu na szerszy i szybko oddalił się, wykonując w biegu gesty rękami, potrząsając głową - najwyraźniej powtarzał na głos co ciekawsze fragmenty rozmowy, by później odegrać ją przed swoimi rówieśnikami.

Jonathan chwilę patrzył w ślad za nim. Obejrzał się do tyłu, zerknął na boki. Placyk przed wieżą z dwoma ramami wiatrochrapów był pusty i mógł zrobić to, na co właśnie miał ochotę - zwerbalizować swoje myśli.



- Tak oto nasz bohater stał się naczelnym opowiadaczem osady! - powiedział. To co dotarło do jego uszu, intonacja wypowiedzi - zdawał sobie z tego sprawę - znajdowało się w jaskrawej sprzeczności z bezpośrednim znaczeniem słów. - Mógłbym im dać silnik spalinowy, może mógłbym... - poprawił się starając zachować obiektywizm w rozmowie z samym sobą. - Ale na pewno jestem w stanie nauczyć ich pisać, czytać, może trochę matematyki... A oni co? Co mi proponują? Snucie fantazji kilku staruszkom do poduszki... Tfu! Wezmę, zgwałcę którąś... Och, Jonathan, opanuj się!..

Popatrzył do góry na wiatrochrapy, które wreszcie dzisiaj postanowił dokładnie obejrzeć. Wirowały niezmiennie, choć ani tu w wąwozie ulicy, ani poza murami osady, wiatr, nie przynosił ulgi w upale. Miały po prostu wysoką sprawność, wysoką to mało - znakomitą! -wietną! Cudowną! Ale dzisiaj przestały go już interesować. Zdobył się na krótki zabarwiony nutką goryczy śmiech, machnął ręką i zawrócił w stronę kwatery. Ulice były puste, jak zawsze w popołudniowych godzinach, zresztą wcześniej, ożywieniem również nie mogły konkurować, nawet z mniejszą miejscowością Wielkiej Brytanii. Jonathan od niemal miesiąca, dokładnie od trzech tygodni przebywał w Nat-Conal-Le i nadal niewiele więcej wiedział o obyczajach i mentalności Soyefcie. Miał pewne pojęcie o ich umiejętności tworzenia przedmiotów, które same starały się, jak najlepiej, wywiązywać z przewidzianych dla nich obowiązków, wiedział, że są niesłychanie delikatni i wrażliwi - dał temu dowód chociażby staruszek, z którym rozmawiał zaledwie kilka minut temu, wyczuwał, że sprawy seksu traktują w sposób, który sam nazwał niedawno temu "swobodnie eleganckim". I był pewien jeszcze jednej rzeczy: ten dziwny świat, wyglądający jak pomieszanie realnej rzeczywistości z fantazją literacką, wedle wszelkich oznak i doświadczenia nabytego podczas lektury wyrafinowanych fantastów, chylił się ku upadkowi i - tak myślał Gregory

**Burns czyli Jonathan Weather - jeśli już trzymać się pewnych schematów, to jemu przypisano rolę Wielkiego Naprawczego Krainy Dobrej Magii.**

**- Taki uwspółcześniony Jankes na Dworze Artura! - półgłosem warknął do siebie. - Założę im drukarnię i... Och, w diabły!**

**Zatrzymał się i stuknął palcem w ścianę najbliższego budynku.**

**- Krycz?**

**Czekał chwilę, zanim uprzytomnił sobie, że wcale nie musi stać w jednym miejscu, jeśli chce rozmawiać. Ruszył wolno, a po kilku krokach dogonił go głos Krycza:**

**- Chcesz mi zaproponować partyjkę hagri?**

**- Y-y-y... Może być... Ale w zasadzie... - chciał powiedzieć "dzwonię", przez chwilę szukał odpowiedniego słowa, syknął niecierpliwie, kopnął jakiś kamyk wylegujący się na chodniku w ciepłe popołudniowe słońca. -**

**Chciałbym z tobą porozmawiać. Pamiętasz, mówiłeś, że jeśli chcę zapoznać się z waszą kroniką muszę poznać pisemną wersję crasa. Właśnie dojrzałem, żeby przystąpić do nauki. Co ty na to?**

**- Jestem gotów. Zaprowadzę cię... Gdzie jesteś?**

**- E-e... Za sobą mam plac z sadzawką, a do domu...**

**- No to poczekaj tam, będę za chwilę...**

**- A właściwie dlaczego nie możesz iść i rozmawiać ze mną przez ścianę? - zapytał Jonathan, ale widocznie Krycz wyszedł już ze swojego mieszkania.**

**Pokiwał głową zadowolony, że znalazł wreszcie jakiś słaby punkt w sympatycznej, bezpiecznej i efektywnej magii Soyefcie. Oparł się o mur i odruchowo sięgnął do kieszeni. Papierosów, rzecz jasna, nie znalazł, skończyły się trzeciego dnia pobytu w Nat-Conal-Le. Tydzień temu zaniechał palenia cygaretek: obudził się tego dnia z dziwnym i niespodziewanym u starego palacza przeświadczeniem, że papierosy - mimo że nadal smakują - nie są niezbędne do życia. Potem, pod odzyskaniem przytomności w osadzie, wypalił**

**kilka cygaretek, ale już w drodze powrotnej nie czuł ochoty na dym. Chwilę zastanawiał się czy nałóg nie wraca, ale stwierdził, że myśli o nikotynie nie wywołują w nim żadnych emocji.**

**Zza rogu wyłonił się Farmi i widząc Jonathana zawahał się, ziewnął i porzucając jakieś swoje napoczęte sprawy podbiegł do niego.**

**- No chodź...**

**Jonathan przykucnął i podrapał kotuna za uszami, ten wyprężył grzbiet, uderzył mocno ogonem w nogę Jonathana, zamruczał rozkoszując się pieśczętą. Krycz pojawiając się na wylocie uliczki uśmiechnął się słabo i kręcąc głową podszedł do Jonathana.**

**- Nie mogę pojąć co ci się w nim tak podoba - powiedział patrząc na Farmi.**

**- A ja nie mogę pojąć dlaczego tolerujecie kotuny w oazie, dajecie im nawet imiona i potem ignorujecie je całkowicie.**

**- Trochę to nie tak... A poza tym: co mamy z nimi robić? - Krycz wzruszył ramionami.**

**- Przecież chyba tępią gryzonie...**

**- Oaza sama broni się przed gryzoniami. To kotuny zyskują na naszym układzie - miasto chroni je przed węzami, a jedyne zadanie kotunów to zabawa z dziećmi. Więc obie strony są zadowolone. A co do imion, to mylisz się używając liczby mnogiej - wszystkie kotuny nazywają się u nas Farmi.**

**- Chcesz powiedzieć, że to wcale nie musi być ten Farmi, z którym się kiedyś zaprzyjaźniłem? - Jonathan odsunął się trochę i uważnie przyjrzał drapieżnikowi. - Wydaje mi się, że...**

**- Nie wiem, może jeden szczególnie sobie ciebie upodobał? A może wszystkie już wiedzą, że pojawił się w oazie człowiek, który gotów jest przez kilka godzin drapać je za uszami?**

**Jonathan odwrócił pysk zwierzęcia w swoją stronę i przez chwilę patrzył w ciemne oczy, usiane cętkami złocistych kropeczek. Farmi wytrzymał chwilę, potem szarpnął głową, pociągnął mocniej, zaparł się, a gdy Jonathan puścił,**

**natychmiast wrócił, wbił pysk**

**w jego dłonie dopominając się o ciąg dalszy pieszczot.**

**- Nie, myślę, że to nie jest inny Farmi... - powiedział Jonathan ujmując jego głowę w dłonie i mocno tarmosząc. - Może wy o tym nie wiecie, ale między zwierzętami i ludźmi wywiązuje się bardzo często coś na kształt... Nie wiem... sympatii? Więzi duchowej? W każdym razie lubią się i... I... Nieważne, czy to jest ten sam Farmi czy inny!**

**Wstał. Krycz przyglądał się Farmi z uwagą, jakby słowa Jonathana pozwoliły mu odkryć w nim jakieś nowe szczególne cechy.**

**- A dlaczego tak jest? - zapytał.**

**- Ale co?**

**- Że nie wyczuwamy tego?**

**- Nie wiem. Może dlatego, że wasz świat zwierzęcy jest ograniczony do kilku zaledwie gatunków? U nas jest tego tyle, że w zupełnie naturalny sposób wydzieliły się pewne gatunki, chyba szczególnie podatne na bliski kontakt z człowiekiem. Inne pozostały dzikie, choć chcielibyśmy je obłaskawić, jeszcze innych się boimy albo nie lubimy. Ale wydaje mi się, że ludzie spróbowali nawiązać kontakt chyba z wszystkimi zamieszkującymi Ziemię gatunkami; pewnie, że chodziło w tym najczęściej o wykorzystanie zwierząt do jakichś naszych celów, ale takie są fakty. Z wami jest inaczej, może, a właściwie prawie na pewno to wina waszych umiejętności wykorzystywania martwej - podkreślił tonem ostatnie słowo - natury sprego: nawet nie ujeździliście jak należy frachtwołów. Ludzie nie pozwoliliby wierzchowcom człapać z wybraną przez nie prędkością...**

**Krycz wskazał kierunek i ruchem głowy zachęcił Jonathana, by mówił dalej. Ruszyli idąc ramię w ramię z kotunem, płaczącym się między ich nogami. Jonathan z zapalem perorował dalej:**

**- Przecież to oczywiste, że skoro te zwierzęta mogą galopować to należy doprowadzić do tego, żeby robiły to na rozkaz, bo to jest korzystne dla**

**jeźdźca, prawda?**

**- Może masz rację, ale - jak sam się przekonałeś - próby dominacji nad naszymi zwierzętami wymagają...**

**- Krycz! - Jonathan zatrzymał się i popatrzył na rozmówcę z wyrzutem. Krycz uniósł brwi jakby chciał powiedzieć: "Takie są fakty". Uśmiechnął się. - To niecnie wykorzystywać moją idiotyczną przygodę jako argument w tej rozmowie. Przecież to nie świadczy, że w ogóle nie mam racji. Zresztą, gdybym miał na nogach obuwie nic by mi się nie stało i być może wróciłbym do oazy siedząc wygodnie rozparty w krześle na grzbiecie człoga. Dlaczego nie? Co? - Krycz milczał. - No powiedz?!**

**- Czy ja wiem... Trudno mi w tej chwili... Nigdy nie zastanawiałem się nad wykorzystaniem człogów...**

**- A czy nie można by użyć ich do rozszerzenia upraw? - Jonathan aż przystanął, oszołomiony perspektywami dopiero co sformułowanej myśli. - Przecież wystarczy im rozrzucić na nieuprawianej powierzchni trochę lerby, jak myślisz?**

**- Hm... Może i tak...**

**- Mo-oże!.. - przedrzeźnił go podniecony Jonathan. - Trzeba spróbować! To jedno, po drugie - frachtwoły. Może jeszcze coś, nie znam dobrze waszych zwierząt, zresztą wy też. Ale to można naprawić. Tylko trzeba trochę popracować!**

**- A cel?**

**- Cel?**

**- No, po co nam to?**

**Jonathan chwilę szedł w milczeniu. Wahał się jak odpowiedzieć Kryczowi i na ile się w tej odpowiedzi odkryć. Zastanawiał się, czy udzielając szczerej odpowiedzi nie rozbroi się zupełnie, i zastanawiał po raz kolejny czy w ogóle jakakolwiek broń jest mu potrzebna w tym prostym i ufnym świecie.**

- Wiesz... - zaczął jeszcze nie wiedząc jak skończy zdanie. - Wydaje mi się, że wasz świat... Nie wiem, chyba trochę się zestarzał. Chodzi mi o to, że - jak widzę - wolno, bardzo wolno, ale tracicie pewne rzeczy, a nie zyskujecie nowych. To się u nas nazywa regres, cofanie się, a grupa ludzi, która się nie rozwija już się cofa. Rozumiesz o co mi chodzi? Przecież nie potraficie już budować wiatrochrapów? A co będzie jeśli te się popsują? Albo ich sprego się zmniejszy?

Krycz zerknął na Jonathana spod oka. Nie zatrzymał się, ale opuszczona głowa i powaga na twarzy świadczyły, że zastanawia się nad jego słowami. W końcu wydał z siebie nieartykułowany pomruk, jakby powątpiewał w słowa rozmówcy, ale nie odrzucał ich zupełnie.

- Sprego nie może się zmniejszyć - powiedział cicho, niemal do siebie. - Ale co do reszty... Masz chyba trochę racji. Chociaż?... - poderwał głowę i popatrzył w bok, w oczy Jonathanowi. - Nie uwzględniłeś naszej izolacji, naszej historii. Rozumiem jednak, co masz na myśli, dlatego dobrze się stało, że postanowiłeś nauczyć się czytać. Dowiesz się być może, dlaczego jesteśmy tacy, a nie inni i wtedy porozmawiamy. - Westchnął przeciągle. Położył rękę na ramieniu Jonathana. - Wiesz, że nikt z nas od dawna nie czyta kronik Soyefcie? Nawet ja. Przypuszczam, że nikt z żyjących nie zainteresował się nimi i nikt nie zna jako tako własnej historii. To, co o samych sobie wiemy jest pozostałością po opowiadanych przez matki do poduszki bajkach, poplątanych z prawdą.

- To dość dziwne...

- Dla nas - nie. Tak, po prostu zawsze żyliśmy. A teraz wkroczyły w nasze życie zmiany. Dziwne, ale wydaje mi się, że to nie jest złe.

Zatrzymał się przy drzwiach do jednego z budynków i chwycił idącego dalej Jonathana za rękaw.

- Tu mamy swoją historię. Chodź, pokażę ci jak z niej korzystać.

Tuż za wejściem korytarza natknęli się na ciemną przegrodę, którą można

było ominąć, obchodząc ją bokiem z obu stron, a zaraz za nią znaleźli się w sali będącej jedynym pomieszczeniem domu. Sufit, przy wejściu wysoki, mniej więcej na dwa piętra, stopniowo obniżał się do połowy pierwotnej wysokości przy przeciwległej ścianie. Trzy ściany, ta od wejścia i obie boczne, wszystkie rozjaśnione emitowanym od wewnątrz światłem były starannie obrobione przez rzeźbiarza, miłośnika roślin; zdumiony Jonathan zatrzymał się zaraz po ominięciu przegrody i zaczął przyglądać się rzeźbom. Kamienny podświetlony ogród, wyraziście i niezwykle plastycznie przedstawione rośliny, pokrywały niemal każdy kwadratowy cal powierzchni. Przy wejściu, gdzie wysoko umieszczony sufit dawał taką możliwość, królowały wysokie drzewa, prócz wysokości i obfitości listowia niczym nie różniące się od tych, które można było zobaczyć za murami oazy; dalej wysokość roślin stopniowo zmniejszała się, aż przy czwartej, jedynej ciemnej ścianie, twórca umieścił niskie łany lerby na tle mchów i kęp cienkiej ostrej trawy.

- Posłuchaj... To jest piękne - powiedział zachwycony. - Te rośliny rzeźbione światłem... Dlaczego wcześniej nikt mi te go nie pokazał? To jest... - zaczerpnął powietrza, żeby wyrazić swój zachwyt, ale zabrakło mu słów, więc chwycił tylko Krycza za ramię i mocno potrząsnął. - Widziałem kiedyś filizankę, chińską czy japońską, nie pamiętam, ale właśnie ona była tak wykonana, że ornament na niej był widoczny dopiero po podświetleniu, uzyskano go przez grubsze i cieńsze warstwy porcelany...

- Porcelany... - mruknął Krycz.

- Tak, porcela... A! - Jonathan plasnął się dłonią w czoło. - Porcelana to jest... - machnął ręką. - Przecież przyszedłem tu po co innego, a nie wyjaśniać ci co to jest porcelana... - Popatrzył na czwartą ścianę. Przez kontrast z rozjaśnionymi, przyciągała uwagę, zwłaszcza jeśli ktoś nie był, jak Jonathan, podniecony świetlistym barielfem. Była gładka i pochylona na zewnątrz

**z, tworząc jakby rampę czy pochylnię, jednak wspinającą się pod sufit pod takim kątem, że wykluczało to korzystanie z niej do celów transportowych czy przeladunkowych. Poza tym kończyła się sufitem, a nie bramą, co zabraniało korzystanie z niej do oczywistych celów. Jonathan zrobił krok w jej kierunku i wskazał na szeroką kamienną ławę, wyraźnie umieszczoną jakieś pięć - sześć jardów od ściany wyraźnie po to, by zasiadać w niej i kontemplować gładką powierzchnię. - Ta ława służy?... - zawiesił głos.**

**- Chodź, pokażę ci..**

**Krycz podszedł do ławy, usiadł na środku i wpatrując się w ścianę, wskazał Jonathanowi miejsce obok siebie. -ściana pozostała ciemna, choć Jonathan oczekiwał, że - jak w kinie, prywatnej domowej sali projekcyjnej - ekran rozbłyśnie, gdy tylko usiądzie w fotelu. Czekali w milczeniu dwie, może trzy minuty, a potem Krycz powiedział:**

**- Teraz patrz, pokażę ci kilka podstawowych znaków i będziesz na nich ćwiczył. Nie zrażaj się, jeśli nie będziesz mógł się połapać na początku w naszym pisemnym galimatiasie. Niewielu Soyefcie czyta i posługuje się tą umiejętnością. Chyba właśnie z powodu rozbieżności pomiędzy językiem mówionym i pisanym, w którym królują stare zwroty i słowa, zanikłe już w mowie.**

**- Ale co ja mam robić?**

**- Baza Kamienna pokaże ci najprostsze znaki i nauczy je czytać. Będzie sprawdzała ile i czego się nauczyłeś i odpowiednio, do stopnia twojej wiedzy, podawać następne znaki... Ty masz tylko głośno czytać kolejne zadania. I nie zniechęcać się.**

**- Baza? Kamienny komputer!?**

**- Nie wiem, znam słowo komputer, ale znaczenia nie rozumiem...**

**- No dobrze, wyjaśnię ci później - Jonathan zatarł dłonie. - Pokaż już jak to działa!**

**- Tak jak wszystko, gdzie wykorzystywane jest sprego - Krycz wzruszył**



ramionami. - Zaczekam tylko chwilę, żeby zobaczyć czy Baza cię akceptuje...

- A może być inaczej?

- Ha! Przypomnij mi, to ci pokażę drzwi, które nabiły nam wszystkim tyle guzów, że na każdego dorosłego przypada więcej niż może pomieścić na swoim ciele! Ale tu powinno być inaczej... O!

-ciana wyraźnie pojaśniała, jednocześnie pozostałe trzy w takim samym stopniu ściemniały. Na chwilę ściany jakby zawahały się, a potem wszystkie cztery nasiliły odpowiednio oświetlenie i mrok. Na ścianie-ekranie pojawił się znak w kształcie skierowanego

w prawo schematycznego grotu strzały, zakończonego dwoma małymi kółeczkami. Po chwili od strony ściany dobiegło ich:

- Baza.

Jonathan poruszył się nerwowo. Przez miesiąc przebywania w oazie przyzwyczał się już do cudu sprego, ale w tak wyraźnej postaci oszołomił go i podniecił. Popatrzył na Krycza chcąc wyrazić swój zachwyt, ale otrzymał kuksaniec w bok.

- Baza czeka.

- Hm. Baza - powiedział Jonathan.

-ciana zaprezentowała następny ideogram.

- Dom.

- Dom - powtórzył posłusznie i od razu pomyślał: "To nie dla mnie. Nie zdołałem opanować prostszych języków." Westchnął.

- Sam chciałeś - powiedział Krycz wstając i tyłem wycofując się za ławę, żeby nie przeszkadzać Jonathanowi.

- Wiem, ale...

- Ja - powiedziała Baza.

- Zaraz - rzucił niecierpliwie Jonathan, chcąc dokończyć rozmowę z Kryczem.

**- Ja - powiedziała Baza. I niemal natychmiast powtórzyła: - Ja.**

**Jonathan zdołał otworzyć usta, ale nie zdążył nic powiedzieć. Słowo "ja" wypowiedziane przez ścianę, zaczęło rozbrzmiewać w całym pomieszczeniu; nie było to zwykłe powtarzanie, echo, i nie było to ogłuszanie mocą głosu. W jakiś niemożliwy do określenia sposób słowo to, zaczęło dominować w powietrzu, wisiało nad wszystkim, gniotło, wciskało się pod czaszkę, atakowało ze wszystkich stron, nie pozwalało ani powiedzieć niczego innego, ani nawet zdobyć się na inną niż "ja" - myśl. Hipnotyzowało i zniewalało. Wymuszało uległość i nie dawało szans na walkę, a tym bardziej zwycięstwo.**

**- Ja - wykrztusił cicho, oszołomiony uczeń.**

**Nacisk natychmiast ustał. Skołowany Jonathan popatrzył na Krycza. Soyeffie wzruszył ramionami jakby chciał powiedzieć: Ona taka jest. Skinieniem głowy dodał Jonathanowi otuchy i zrobił krok do wyjścia. Na Bazie pojawił się kolejny znak. Jonathan szybko, zanim nieubłagana ściana wypowie słowo zapytał:**

**- Ile to może potrwać?**

**- Powietrze - odpowiedziała ściana.**

**- Trzy-cztery tygodnie - pośpieszył z odpowiedzią Krycz i zanim Baza zaczęła ponownie wymuszać na Jonathanie powtarzanie, poszedł do wyjścia.**

**- Nie dam rady - jęknął Jonathan.**

**- Powietrze - powtórzyła mechanicznie Baza.**

**- Za cholerę... - Ostatnia głoska wypełniła swym dźwiękiem przestrzeń. Uczeń poruszył wargami, machnął beznadziejnie ręką. - Powietrze, powietrze! Powietrze!**

**Trzydziesta siódma doba, poranek**

- Od dwu tygodni czuję się, jakby jakiś ogromny, miękki, niewidzialny młot codziennie, nawet kilka razy dziennie walił mnie po głowie, przez co, wszystko co nie jest związane z dialogami z Bazą, odsuwa się za jakąś zasłonę, jakby mgłę - poskarżył się Jonathan, gdy Krycz zapytał go o postępy w nauce. - Ta diabelska maszynka do uczenia wysysa ze mnie wszystkie siły i... Wiesz, że już kilka razy miałem dość i chciałem się wycofać, ale rano zwlekałem się z łoża i maszerowałem do Bazy Kamiennej? A kiedy raz przemogłem się i nie poszedłem, tak długo męczyło mnie sumienie, że w końcu poddałem się. Czy Baza ma na wszystkich taki wpływ?

Krycz pokiwał z uśmiechem głową. Słuchając podnieconego Jonathana, bawił się dwoma nanizanymi na cienki sznurek kostkami, które zręcznie podrzucał i ustawiał na krótką chwilę w jeden słupek, strącał z siebie i powtarzał manipulację. Jonathan widząc ruch głowy, bezgłośnie potwierdzenie swoich podejrzeń, zamarł z otwartymi ustami.

- Tak? Poważnie? - Doczekał się jeszcze jednej niemej odpowiedzi Krycza. - Cholera, Krycz, tak się nie robi... - powiedział z wyrzutem. - Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Obawiałem się, że zrezygnujesz. Bo, wydaje mi się, jesteś bardzo przywiązany do swojej wolności osobistej, prawda? A mnie zaczyna zależeć, żebyś zrealizował swój plan.

- No to jestem teraz podwójnie manipulowany - raz przez ciebie, drugi - przez Bazę. I ty mi mówisz, że jestem przywiązany do swojej niezależności! Ha! Niezłe!.. - Sięgnął do warującego przy biodrze stolika-tacy i nalał do dwóch wysokich wąskich kubków rozcieńzonego wodą wina, tradycyjnego poprzedzającego obiad, dobrego w ogóle, na każdą okazję, napoju Soyefcie, do którego zdążył się przyzwyczaić, w ciągu ponad miesiąca życia w Oazie Dobrej Magii.

- Baza Kamienna ma co najmniej dwie funkcje do spełnienia - jest naszą kroniką i uczy pisma. Być może potrafi jeszcze coś... - Dziwnym tonem powiedział Krycz. Jonathan wsłuchał się w jego intonację i otworzył usta, żeby zadać konkretyzujące podejrzenia pytanie, ale Krycz mówił już dalej:

- A skoro ma coś do wykonania to stara się to zrobić najlepiej jak potrafi, to naturalne. I jeszcze co do manipulacji. - Kolejny raz ustawił kostki w słupek, utrzymał je chwilę w tej pozycji i rzucił na stół. - To sam wiesz - nie ma wolności absolutnej.

- Może i tak, ale wolę wiedzieć... Chodzi mi o to, że kolejny raz w waszym świecie dochodzę do wniosku, że coś jest ze mną nie tak, a potem dowiaduję się jakiejś prawdy i znowu jestem normalny. To mnie trochę męczy...

- A co tym razem było z tobą nie tak? - zapytał Krycz chytrze mrużąc oczy.

- Chociażby... Hej? Coś masz na myśli i zaraz wpędzisz mnie w swoją pułapkę. O co chodzi?

- Nic szczególnego... Po prostu Manika chodzi jakaś smutna...

- Smutna? Nie zauważyłem. A poza tym - skarżyła się?

Krycz otwierał usta do odpowiedzi, ale przerwał mu męski głos wydobywający się ze ściany:

- Krycz? Jesteś tam?

- Tak - Soyefcie zmarszczył brwi, a jego spojrzenie utraciło natychmiast wesołość, z jaką towarzyszyło rozmowie. - Gorty?

- Tak, Krycz. Na farmie Trzeciej nie mogą odnaleźć Uwy Wadrefa...Nie ma go już trzy dni.

Krycz miał spojrzenie skierowane na Jonathana, ale nie ulegało wątpliwości, że zupełnie go nie widzi. Ciemnobrażowe oczy ściemniały jeszcze o kilka tonów i wyglądały teraz, jak dwa okrągłe kawałki antracytu, a rysy twarzy wyostrzyły się. Jeszcze przed chwilą siedział przed Jonathanem, dobrodusznie pokpiwający z niego, starszy pan z wyrazem dobrotliwej sympatii na twarzy, teraz stężał w czujnym nasłuchiowaniu

kontury oblicza nadawały mu wygląd przyczajonego do walki drapieżnika, a całej jego postaci - energicznego przywódcy.

- Zaprzęż dwa wózki, dobierz... - popatrzył na Jonathana i chwilę jakby taksował go spojrzeniem, potem zapytał: - Chcesz pojechać? - Jonathan skinął głową. Krycz odetchnął z widoczną ulgą i dokończył do ściany: - Dobierz jeszcze jednego człowieka i zapasy żywności, jakiś ekwipunek - płaszcze, koce. Wiesz o co mi chodzi...

- Tak. Czy... - Wydobywający się ze ściany głos zawahał się. - Broń?

- Coś lekkiego i poręcznego. Weź leki... - Krycz zabębnił palcami w blat stolika, zdarzyło mu się to po raz pierwszy, z czego Jonathan wywnioskował, że Soyeffie jest zdenerwowany. Chyba nawet bardzo zdenerwowany, biorąc pod uwagę, że nawet niespodziewane i zaskakujące przybycie Jonathana nie odbiło się na jego zachowaniu tak, jak wiadomość o zaginięciu jednego z farmerów. - Jak załatwisz wszystko, kieruj się do zachodniej bramy, i daj mi znać, to dołączymy do was.

Energicznie poderwał się z krzesła, poprawił pas. Chwilę uważnie przyglądał się Jonathanowi, i choć miał nieobecne spojrzenie, nie wyglądało żeby marnował przez to czas. Jonathan również podniósł się, ale nie zdążył zadać żadnego pytania.

- Czy przywiozłeś ze sobą... - Krycz potrząsnął głową i zaczął jeszcze raz, zmieniając nieznacznie postać pytania: - Czy miałeś ze sobą jakąś broń? Czy masz ją tutaj?

Jonathan wytrzeszczył ze zdumienia oczy.

- Przecież wszystkie moje bagaże są tutaj?! - zawołał. - Widziałeś je...

- Jonathanie... - powiedział z naciskiem Krycz. - Pytam czy masz jakąś broń?

- Do diabła, co z naszym zaufaniem? - Jonathan uniósł wyprostowane dłonie w kierunku sufitu. Krycz nie zareagował, więc podbiegł do maszyny wciąż leżącej pod ścianą i trącił ją czubkiem buta. - Gdyby tu był prąd,

mógłbym opisać niebezpieczeństwo - wszystko co da się zrobić przy jej pomocy! A prócz niej, walkmana, grzebienia i portfela nic nie mam. No to czym...

- Dobrze! - Odrobinę zdenerwowany czy zniecierpliwiony, co też było niezwykle, Krycz machnął dłonią. - Przepraszam, jeśli cię uraziłem. Dziękuję, że chcesz się ze mną wyprawić.

- Czy to ma dla ciebie jakieś specjalne znaczenie?

- Owszem, być może przyda się twoje odmienne od naszego spojrzenie na tę sprawę. - Skubnął zębami dolną wargę. - Idę się przebrać...

- Mam tu poczekać? - zapytał Jonathan, gdy Krycz przekraczał próg pokoju.

- Tak-tak - rzucił nie odwracając się i nie zwalniając.

Jonathan odnalazł spojrzeniem leżące w niszy cygaretki i ruszył w ich kierunku.

**Czterdziesta druga doba, popołudnie**

- Czekaliśmy na was wszyscy, a teraz nawet nie możemy dowiedzieć się...

Jonathan ze złością wyszarpnął z kieszeni prezent od Chsalka, futrzane etui na cygaretki, nerwowo wydarł jedną z ciasnego gniazda i zapalił. Manika siedziała na łóżu kręcąc głową, zgodnie z poruszeniami Jonathana po pokoju.

- Nic nie znaleźliśmy - powiedział Jonathan i zapalił, wypuszczając pierwszy kłąb dymu. - A Krycz? Nic nie powiedział?

- Nie, zamknął się w swoim mieszkaniu...

Jonathan przysiadł na brzeżku stołu, kiwnął kilka razy stopą obutą w zakurzony, postrzępiony na czubku but. Machnął dłonią, rozpędzając, przesłaniający kobietę, obłok dymu.

- Nic kompletnie... - powiedział cicho. - Wyszedł sprawdzić przegrody z

tutty i nie wrócił. - Zeskoczył ze stołu i zaczął się rozbierać, starając nie potrząsać zakurzonym ubraniem. Przy każdym ruchu soyeftiańska garderoba sama pozbywała się części pyłu. -

W moim świecie żyją zwierzęta wykorzystywane między innymi do szukania po śladach, mają świetny węch... - Ostrożnie ściągnął bluzę i zaniósł ją do kąta pokoju, gdzie położył na styku ściany i podłogi, pozostawiając im oczyszczenie koszuli z resztek niewytrząśniętego kurzu. Obok ułożył buty, spodnie i koszulę. - Próbowałem użyć w podobny sposób Farmi, ale nic z tego nie wyszło. Uw-Wadfer zniknął bez śladu. Według mnie mógł zapuścić się w rejony, do których my już nie mogliśmy dotrzeć, bo nie wrócilibyśmy, albo... - Zaczął przeczesywać włosy palcami, zamarł na chwilę i szybko wrócił do poprzedniej czynności.

- Dokończ - zażądała Manika.

- Mówiliście, że nie ma tu dużych drapieżników... - Kobieta zgodziła się z Jonathanem kiwając głową. - A kilka kotunów? Głodnych, chorych, rozdrażnionych?

- To wykluczone, z kilku powodów: po pierwsze byłby to pierwszy przypadek, o którym bym słyszała, a po drugie, Krycz ślady walki czy... - zawahała się, nie mogąc znaleźć odpowiedniego określenia -... czy zabójstwa, odkryłby na pewno. I kotun też...

- No to nie wiem - Jonathan zatrzymał się na środku pokoju i rozłożył ręce. Uprzytomnił sobie, że w podniszczonych ziemskich skarpetach i pstrej bieliźnie wygląda jak osobnik, który z innego filmu zabląkał się do tej kamiennej komnaty, która zawsze po przebudzeniu, kojarzyła mu się z udaną częścią filmowej dekoracji. Podeszedł szybko do przewieszzonego przez wystający ze ściany pałąk swojego ubrania, zgarnął je i ruszył do wyjścia. - Idę się wykąpać - powiedział.

- Poczekać na ciebie? - zapytała Manika.

Oczekiwał tego pytania albo innego, które zmierzałoby do tego samego celu - wyjaśnienia ich obecnych stosunków, i mimo, że Manika go nie zaskoczyła nie miał na nie odpowiedzi. Udał, że nie dosłyszał pytania, a Manika nie wysilała się na powtarzanie. Próbował pod prysznicem zmyć niesmak do samego siebie, ale nawet soyeftianska woda nie była w stanie zaradzić wewnętrznej rozterce.

- Dlaczego wciąż nie chcesz kąpać się w pokoju? - Usłyszał od progu.

Manika stała w progu opierając się o futrynę i przyglądając, jak suszy włosy w ciepłym strumieniu powietrza.

- Po prostu przyzwyczajenie, wydawałoby mi się, że muszę po kąpieli wytrzeć podłogę... - machnął ręką. Zorientował się, że przyście Maniki uwolniło go od duchowej rozterki, którą zastąpiła słaba złość i niechęć.

Okręcił się kilka razy w epicentrum dmuchawy, żeby stwierdzić po kolejnym obrocie, że kobieta zniknęła. - No i dobrze!.. - rzucił w przestrzeń, starając się żeby zabrzmiało to głośniejsze i bardziej przekonująco, niż wewnętrzne wyrzuty sumienia.

Włożył na siebie ubranie, w którym przybył do oazy i wrócił do pokoju, po drodze przeczesując palcami włosy. Zaraz po wejściu przystanął i trochę bezradnie rozejrzał się po komnacie; wciąż brakowało mu pewnych czynności, które wykonywał zawsze u siebie,

i z których zwolniła go Oaza. Normalnie, po kąpieli, wszedłby do pokoju, rzucił na najbliższe krzesło ręcznik... Tu nie miał ręcznika i zaczął się zastanawiać, czy aby nie zrezygnować z pewnych udogodnień kosztem powrotu do standardowych zwyczajnych, zapewniających poczucie bezpieczeństwa, zachowań i gestów. Parsknął przez nos wymuszonym śmiechem.

- Na pewno oddałbym wszystkie ręczniki świata... - powiedział wyzywającym tonem w kierunku najbliższej ściany - ... za jednego porządnego bourbona, cholera...



**-ciana nie zareagowała na prowokację.**

**- Właśnie! - rzucił w jej kierunku idąc w stronę łóżka. - -wiesz może i ładnie, ale żaden z ciebie rozmówca... Ech... - westchnął i rzucił się na posłanie. Leżał chwilę na brzuchu, potem przeturlał się po łóżku, chwycił leżącego na walizce maszyny walkmana i nałożył słuchawki. Słuchanie znanych do ostatniej nuty i do ostatniej litery, melodii, po długiej przerwie, sprawiło mu niemal taką samą przyjemność, jak prawie ćwierć wieku temu, kiedy po sześć razy oglądał każdy kolejny film Beatlesów, a potem sprawił sobie pierwszy własny adapter i mógł słuchać swoich idoli w domu. Słuchać i śpiewać razem z nimi, wcielając się to w chórek, to w solistę, perkusistę i gitarę rytmiczną. Wiedział, że robi to źle, ale na pewno starał się bardziej, niż John, Paul, George czy Ringo. Z całą pewnością oni sami tak siebie nie kochali...**

**Z żalem wyłączył walkmana. Leżał jeszcze chwilę nie otwierając oczu.**

**Zachowuję się jak łasuch, chowający na później kilka ulubionych czekoladek, łasuch zdenerwowany własną przezornością, pomyślał.**

**Poruszył się i otworzył oczy, natychmiast serce wykonało desperacki skok, zamierzając pod wpływem strachu, wyskoczyć z klatki piersiowej. Nad Jonathanem pochylała się jakaś postać, jej ręka zmierzała do jego zeszywniałego z zaskoczenia ramienia. Zachłysnął się lepkiem ze strachu powietrzem, szarpnął całym ciałem i dopiero teraz do mięśni dotarła komenda z mózgu - spokojnie, nie ma niebezpieczeństwa. Ziyra, wystraszona niemal tak samo jak Jonathan, odskoczyła od łóżka z nieartykułowanym okrzykiem na ustach. Jonathan jęknął z ulgą i wyrzutem:**

**- Dziewczyno... Aleś mnie przestraszyła!**

**- Ty mnie też!**

**Jonathan usiadł na łóżku, przetarł zimne spocone czoło, ze zdziwieniem konstatując, że ma je suche i ciepłe.**

- Nie slyszalem cie jak wchodzilas.

- Zawolalam cie od progu i nie przypuszczalam, ze cie wystrasze. Jesli tak, to przepraszam.

- Juz dobrze, to chyba niezbyt męskie domagać się od kobiety przeprosin z powodu wyciągniętej ręki - Jonathan wstał i podszedł do niszy z dzbankami. Juz wiedzial, ze częstowanie napojami nie jest u Soyefcie przyjęte - gość sam częstował się czym chcial, zapraszanie do wypicia herbaty wprowadzalo ich w taką konsternację, ze Jonathan pilnowal się, zeby nie męczyć ich swoją uprzejmością. Wskazal dziewczynie dzban, a poniewaz odmowila ruchem glowy, nalal sobie zimnego odpowiednika herbaty i kilkoma łapczywymi łykami opróżnil kubek.

- Mozesz mi opowiedziec... - Ziyra zawahala się.

- Ty tez? - Jonathan postaral się okazać jak jest zdumiony. - Czy Krycz nikomu nic nie powiedzial?

- Nie. To znaczy - powiedzial, ze nie znaleźliście najmniejszego śladu... I to wszystko. Zamknal się w swoim skrzydle...

- Wlasciwie powiedzial wszystko - Jonathan odstawil kubek do wnęki i nie patrzac na Ziyre, podszedł do stolika, na którym lezaly cygaretki. Zapalil jedna. - Dowiedzieliśmy się od pozostałych farmerów, kiedy wyszedł i dokad się kierowal i - mimo, ze oni sami sprawdzili dokladnie ten kierunek - spenetrowalismy okolice. Nic. Ani śladów, co nie jest dziwne na pustyni, ani ciala... - Zaciagnal się glęboko wonnym dymem. Ziyra stala nieruchomo wpatrując się w podłoge przed swoimi stopami. - Usiadz... - zaproponowal. Ziyra pokręcila głowę, ale zaraz potem westchnęła i usiadła. - Powiedz mi: takie zaginięcie, to aż tak rzadka sprawa?

Dziewczyna zmarszczyla brwi i popatrzyła na niego zdziwiona:

- Przecież zaginal człowiek?...

- Ojej, nie zrozum mnie źle. Chodzi mi o to, ze skoro żyjecie na tym

**pustkowiu, to takie przypadki nie powinny was dziwić - aż tak bardzo...**

**- Nie masz racji! Powinny nas dziwić zawsze i nigdy nie będziemy się z tym godzić. A zwłaszcza teraz...**

**Jonathan odniósł wrażenie, że końcówka zdania została dorzucona do wypowiedzi, w ostatniej chwili, jakby specjalnie dla niego. Poczekał chwilę, ale wyglądało, że Ziyra nie ma zamiaru rozszerzać intrygująco niedokończonego zdania.**

**- A czy teraz... - Zaczął i przerwał, żeby zaciągnąć się i przemyśleć jeszcze ciąg dalszy. -...Są jakieś szczególne czasy?**

**Ziyra skrzywiła się i wciągnęła powietrze przez nos. Nie patrząc na Jonathana wstała, podeszła do ściany i przystanęła przed nią. W tym miejscu Manika potrafiła wywołać dla siebie lustro. Jonathan próbował kilka razy i zrażony niepowodzeniami zaniechał treningów. Miał ochotę wypróbować na lustrze również zdolności Ziyry, ale w tym samym momencie, jakby czytając w jego myślach ściana rozbłysła odbitym światłem, a dziewczyna pokręciła lekko głową, wpatrując się w swoje odbicie na kamiennej gładzi ściany.**

**Przesunęła się nieco, żeby w odbiciu zobaczyć Jonathana i powiedziała:**

**- To dotyczy przede wszystkim ciebie... - Odwróciła się, podeszła do Jonathana i spojrzała mu w oczy. - Dotychczas nie pojawiał się tu nikt tak... kłopotliwy.**

**Jonathan zrozumiał, że znowu w ostatniej sekundzie zmieniła końcówkę zdania, pomyślał, że zapewne chciała powiedzieć "niebezpieczny" albo "wrogi". Poczul, że czerwieni się ze złości.**

**- Ja się tu wcale nie chciałem pojawiać! - krzyknął. - I na pewno nie staram się robić w waszym życiu, waszym cennym życiu, zamieszania! Do cholery...**

**- Odwrócił się, pomaszerował do łóżka i rzucił się na posłanie. Włożył ręce pod głowę i z cygaretką w zębach popatrzył na dziewczynę. - Poza tym - nie wszyscy uważają mnie za kłopotliwego gościa... - rzucił mściwie i**

**natychmiast nabrał ochoty wymierzyć sobie tęgiego kopniaka.**

**- Chyba nie masz na myśli Maniki? - Ziyra ironicznie wygięła brwi, na jej brodzie zarysowała się wyraźna łukowata bruzda. - U nas... Zresztą mówileś, że u was również...**

**- Nie o to chodzi - przerwał jej Jonathan. - Tuż przed wyjazdem na poszukiwania Uwy-Wadfera jeden ze starców zaproponował mi, żebym opowiadał im o swoim świecie. Gdybym był rzeczywiście niepożądaną osobą, nikt by mi chyba tego nie proponował?**

**Ziyra podeszła do łoża, usiadła na brzeżku i znowu wpiła się spojrzeniem w oczy Jonathana.**

**- To się zmieniło, niestety.**

**- Co się zmieniło?**

**- Stosunek do ciebie. - Westchnęła. - Nie mówiliśmy ci tego, ale od pierwszych chwil twojego pobytu tutaj, spora część Soyefcie uważała, że powinniśmy się ciebie pozbyć...**

**- Pozbyć?? - Jonathan usiadł na łóżku. Teraz z kolei on zmarszczył brwi i wpatrywał się w dziewczynę z niedowierzaniem, pomieszany ze zgrozą. - Poderżnąć gardło?**

**- Nie, po prostu poprosić, żebyś opuścił oazę. W najlepszym przypadku miałeś się udać do którejś z farm...**

**- A w najgorszym? - zapytał cicho Jonathan.**

**- Niektórzy uważali, że powinieneś w ogóle udać się poza Ultene.**

**- Aha! A ponieważ - tak mówiliście - nikt jeszcze nie dotarł do innych plemion, bo jesteście otoczeni nieprzebytą pustynią, to miałem się udać po prostu w marsz ku śmierci. Ha-ha! - roześmiał się sztucznie, na dwa takty, bez cienia uśmiechu w głosie. Przyjrzał się dziewczynie. Ma dłuższe włosy od innych, pomyślał. - No dobrze, ale skoro nikt mnie dotychczas nie wyrzucił, to znaczy, że sprawa się jakoś ułożyła, tak? - Ziyra skinęła głową.**

**- No to co się takiego stało, że...**

- Nie wiem czy mnie... czy nas zrozumiesz... Oczywiście, że nikt nie oskarża ciebie o to, że zaginął Uw-Wadfer, ale wraz z twoim przybyciem zmieniło się u nas wiele rzeczy, zresztą może i nie tak wiele, ale nasza społeczność jest niezwykle... Po prostu nie lubią zmian. A ty, na przykład, nie używasz sprego...

- Idioci! Pewnie! Nie używam sprego?! - Jonathan zeskoczył z łóżka i trącił z całej siły krzesło. Odbijając się od podłogi potoczyło pod ścianę. Ziyra również zerwała się na równe nogi, ale Jonathan chwycił ją za ramiona, ścisnął i lekko potrząsnął. - Nie używam, bo nie potrafię. To tak jakbym zarzucił Kryczowi - gdyby był u mnie - że nie jeździ na zakupy samochodem.

- To nie jest zarzut, to po prostu fakt.

- Fa-akt!.. - przedrzeźnił ją Jonathan. - I dużo jeszcze takich faktów macie?

- Im wystarczy, że oswoiłeś kotuna, że się wstydzisz kąpać we wspólnej sadzawce, że wskoczyłeś na człoga i nawet, że korzystasz z Bazy Kamiennej. Po prostu łamiesz tradycje, to wystarczy.

- No tak... - Jonathan puścił dziewczynę. Pokiwał głową. - I już nie chcą opowieści...

- Więcej nawet - zaraz odbędzie się rada Soyeffie - Ziyra wolno poszła w kierunku drzwi. - Powinieneś na niej być...

- Powinnaś raczej powiedzieć - sąd?

- Nie. To będzie rada, nie chodzi tylko o ciebie. Ale powinieneś być. Masz tu przyjaciół i nic ci nie grozi.

- Przyjaciół... - mruknął Jonathan i pomyślał: godzinę temu pozbyłem się jednego z nich. - Dobrze, gdzie to będzie?

- Idź w kierunku sadzawki, na pewno trafisz.

Wyszła. Jonathan odprowadził ją wzrokiem, jednocześnie sięgając do futerału z cygaretkami. Pstryknął zapalniczką, przypalił, zastanawiając się na ile jeszcze wystarczy w niej gazu. Uprzytomnił sobie, że nie ma pojęcia,

jak radzą sobie z ogniem Soyefcie i postanowił przy najbliższej okazji wyjaśnić ten problem. Czas pędzi, pomyślał, a ja potrafię tylko, co kilka dni, odkrywać nowe rzeczy do wyjaśnienia. Muszę opanować jakoś ten żywioł wokół mnie, wypracować metodę, inaczej... A właściwie co - inaczej? Przecież nigdzie się nie śpieszę, nie mam wykupionego biletu na powrót. Nic i nikt mi nie wzbrania chaotycznie poznawać Soyefcie i Ultene. Jasne! Dopiero poznawszy dobrze drobiazgi, mogę sformułować pytania zasadnicze. Teraz niech żyją drobiazgi! Na przykład ogień!

Gdy żar doszedł do połowy cygaretki, skojarzył, że okazja bliższego poznania Soyefcie nastąpi już za chwilę. I w tym samym momencie zdecydował - nie pójdzie na żadną radę! I natychmiast, poczuł satysfakcję, jak zawsze, gdy już podjął trudną decyzję. Zagwizdał kilka taktów utworu The Beatles, ochrzcił wodą pół kubka wina i rzucił się na posłanie, zamierzając w tej pozycji doczekać delegacji, której przyjdzie, zaraz po debacie, wydało mu się logiczne. Spojrzał na zegarek, niemal machinalnie wykonał stosowne obliczenia: była mniej więcej dwudziesta czasu ziemskiego. Ziemskiego?, pomyślał. Czy to możliwe żebym był poza Ziemią? Jak mogło mnie przesunąć dokądkolwiek uderzenie pioruna? W końcu masa ludzi przede mną przeżyła takie przygody i nikt się nigdzie nie przenosił. Chyba, że ofiary przenosiły się, tylko my interpretowaliśmy brak ciała jako efekt działania pioruna. Tak, to możliwe, przynajmniej w książkach. Nie takie rzeczy wystarczały do podróży w czasie... A! Ale przecież nie mam pewności czy przeniosłem się tylko w czasie czy też w przestrzeni, w końcu to, że na niebie widać jakiś obiekt... Stój! Poderwał się, wybity z wygodnej pozycji słabym sygnałem, który uruchomiła myśl o niebie. Zacisnął powieki, żeby żaden zewnętrzny bodziec nie rozpraszał uwagi. Co z tym niebem??? Coś już wcześniej mi kielkowało, coś... Cholera... Niebo... niebo? Nieb-boo... NIEBO! No jasne - gwiazdy!!! Ależ dureń!.. Przecież gwiazdy, niech je zaraza, poznam!? Poderwał się na

równe nogi i zapominając o radzie Soyeffie runął do estakady prowadzącej na wieżę. Biegając korytarzem starał się uruchomić pochylnię, błagał ją w myślach, żeby potraktowała go jak Soyeffie i szybko wyniosła na szczyt wieży. Skręcił w estakadę, z ulgą stwierdzając, że rusza na jego widok. Miętko, jakby to był grzbiet żywej istoty wskoczył na nią i długimi susami pognął do góry. Biegając, usiłował przypomnieć sobie, kiedy mógł obejrzeć nocne niebo i dlaczego tego nie zrobił. Pierwsze dni w oazie - wiadomo - miałem na głowie cały inny świat, potem zaplątałem się we wszystkich tych cudach... A później... Cóż, podczas wędrówki do farmy mogłem, lecz działy się inne rzeczy. Ale zaraz wszystko się wyjaśni... Zdyszany, dwoma skokami pokonał ostatni zakręt, wypadł na balkon wieży. Zadarł głowę i nie zwracając uwagi na dudniący w skroniach puls, wpił się spojrzeniem w skropione bryzgami srebrzyście iskrzących gwiazd, nocne niebo. Najpierw serce na ułamek sekundy radośnie zamarło na widok zamglonego księżyca, a spojrzenie porzuciło widmową bladą plamę, kierując się ku gwiazdom, ale natychmiast mózg zreinterpretował widok. Mimo mocnego zamglenia nie był to ziemski księżyc; mgła, sama w sobie dziwna w ciepłą, przejrzystą noc, przesłaniała co prawda zarysy satelity, ale wyraźnie widać było, że ma on zdecydowanie owalny kształt, zbliżony do schematycznego rysunku łzy czy kropli cieczy. Przez zamglenie prześwitywały wyraźne, ukosem biegnące ku górze, pasy na jaśniejszym tle księżyca. No tak, pomyślał, no tak... Tak... To już mamy wszystko wyjaśnione. To nie jest Ziemia, a przynajmniej nie Ziemia moich czasów. Dlatego też mogę się już nie dziwić izolacji Soyeffie, izolacji, która zawsze wydawała mi się niemożliwa na Ziemi, mogę nie dziwić się... Szlag by to trafił - niczemu już nie powinienem się dziwić, zostaje mi tylko udawać, że ta cholerna kraina to wytwór śpiącego, czy uszkodzonego mózgu, albo coś żywcem wydartego z Dicka czy Kuttnera. Może powinienem pomyśleć, że tego wszystkiego nie ma i obudzę się w pędzącym przez ulewę Fordzie?

Zwariuję. Może już zwariowałem? Biedny... Jak to mówiła papuga Robinsona: biedny Robinsonie?... Biedny Jonathanie... Usiadł ciężko na kamiennej, ciepłej posadzce, potem położył się na plecach i niechętnie przyjrzał nieboskłonowi. Gwiazdy nie różniły się od ziemskich, ostro świeciły na niemal czarnej kopule, wyraziste, dając, nawet bez satelity, wystarczającą ilość światła, żeby odnaleźć drogę w najbardziej wyrafinowanym labiryncie. Ale ich konfiguracja nawet dla dyletanta, była absolutnie obca. Jonathan sumiennie, kręcąc głową, żeby patrzeć na nie pod różnymi kątami, przejrzał niebo i nie znalazł ani jednego, przypominającego jakikolwiek ziemski zodiak, układu.

- Żegnaj Wielki Wozie... - powiedział. - Adios, Gwiazdo Polarna... A, w cholerę z tym wszystkim!..

Poderwał się na równe nogi i już nie patrząc do góry wszedł na estakadę. Dopiero w połowie drogi zorientował się, że kamienna pochylnia ruszyła, nie czekając na jego gorącą prośbę; w innej sytuacji ucieszyłoby go to, ale teraz, zwłaszcza, że przypomniał

sobie o radzie, która być może decydowała o jego dalszym życiu, w tym, już niewątpliwie, obcym świecie, skwitował ten sukces pełnym rezygnacji mruknięciem. Zsunął się na nieruchomą podłogę korytarza i ruszył do swojego pokoju, ale zaraz po dwóch krokach

zatrzymał się i zawrócił. Pograżonym w półmroku korytarzem

przemaszerował do pierwszego zakrętu, gdzie znajdowało się wąskie prostokątne okno. Oparł się o parapet. Ciemna oaza, rozjaśniona tylko pojedynczymi światełkami, wypadającymi w ciemność zaułków z

nielicznymi "otwartymi" drzwiami domów, zaległa w ciszy, z jednej strony oddając się jego spojrzeniu, z drugiej, ukrywając - równie skutecznie jak w dzień - swoje małe i wielkie tajemnice, których istnienie, wcale nie dbając o ich wyjaśnienie, odsłoniła już przed przybyszem z Ziemi. Jonathan poczuł, że ma ogromną ochotę na kieliszek alkoholu, westchnął i odsunął się od



parapetu. Zamierzał wrócić do pokoju, ale powstrzymał go okrzyk z ulicy. Wychylił się z okna.

- Jonathan?

Rozpoznał głos Ziyry, pomachał w ciemność nie widząc dziewczyny.

- Tak-tak! To ja...

- Poczekaj.

Usłyszał jak szurnęły po kamieniu podeszwy jej butów, ale zanim zdążył zinterpretować polecenie, ściana na wprost niego, solidny kamienny blok, zapadła się w siebie niemal bezszelestnie, a z prostokątnego otworu wyskoczyła Ziyra. Odetchnęła głęboko, Jonathan ze zdziwieniem usłyszał, że oddycha płytko, szybko.

- Biegłaś?

- Tak, chciałam szybko się tu dostać, a krótsza droga... - Niespodziewanie roześmiała się. - Czy ktoś ci już mówił o naszych drzwiach?

- Drzwiach?... - powtórzył bezmyślnie, usiłując przypomnieć sobie rozmowę o drzwiach. - Nie przypominam sobie, nie - pokręcił głową. - Co to za drzwi? Dzieło sztuki?

- Hm? Może, ale na pewno najzłośliwsza rzecz jaką znam - albo się nie otwierają w ogóle, albo otwierają za wolno, albo zatrzasują z hukiem, kiedy jeszcze nie przekroczyłeś progu...

- A, czekaj!.. O tych drzwiach chyba mówił mi twój ojciec? Wspomniał kiedyś coś o jakichś złośliwych drzwiach. To te?

- Tak, innych takich nie ma.

- Chodźmy... - Dotknął ramienia dziewczyny, wskazując drugą ręką dłuższą część korytarza, tę prowadzącą do jego pokoju. - Co i rusz coś mnie tu zaskakuje - poskarżył się. - Już prawie czuję się pewnie, już jakoś sobie jakoś to wszystko poukładam, i zawsze coś wyskoczy. Uważasz, że sam jestem sobie winien? - zapytał widząc, że Ziyra nie zwalnając kroku, kręci głową, jakby podziwiała jego nadmiernie

dobrze o sobie mniemanie, ale dziewczyna uśmiechnęła się tylko i nie odpowiedziała. - A dlaczego mam uważać, że brakuje podstaw do pewnej dumy z siebie? W końcu znajduję się w całkowicie obcym świecie, przyjaznym, owszem, na ogół... - dodał nie mogąc powstrzymać się od uszczypliwości, ale Ziyra nie zareagowała. - Może inni zachowaliby się godniej, czy... No, nie wiem, ale...

- Zachowujesz się bardzo godnie - przerwała Ziyra. Zerknęła na Jonathana z dołu, a on nie potrafił zdecydować się: usłyszał leciutką ironię w jej głosie czy padł ofiarą nadwrażliwej próżności. - Najlepszy dowód, że pewnie jutro zjawi się u ciebie cała delegacja naszych ciekawskich staruszków... - Teraz uśmiechnęła się wyraźnie.

- I już się nie będą bali, że rzucę na nich urok?

Dziewczyna wzruszyła energicznie ramionami i nie odpowiedziała. Przeszli cały korytarz i weszli do pokoju Jonathana. Zaraz za progiem Ziyra zrobiła dwa szybkie kroki, wysforowała się przed gospodarza, odwróciła i zatrzymała go w miejscu, kładąc dłonie na jego ramionach. Na jej twarzy rysowała się dziwna determinacja. I zaskoczenie. Na twarzy Jonathana odnaleźć można było tylko to drugie uczucie. Otworzył usta, zaczerpnął powietrza, wypuścił je, zaczerpnął ponownie i znowu wypuścił. Usłyszał stłumione stukanie, jak gdyby, jakiś uformowany z waty gość niecierpliwie pukał do drzwi pokoju. Zrozumiał, że to łomocze jego serce i w tej samej chwili Ziyra zapytała szeptem:

- Słyszysz jak mi wali serce?

- Nie - odpowiedział wolno podnosząc ręce i delikatnie układając je na łopatkach dziewczyny. - Moje tak łomocze, że zagłusza wszystko...

- Czy w tej sytuacji nadal będziesz utrzymywał, że trafiłeś do dziwnego miejsca? - mimo, że mówiła szeptem, udało jej się podkreślić słowo "dziwnego" - Skoro nasze reakcje są tak podobne?

Zsunęła dłonie z ramion mężczyzny, splotła ręce za jego plecami,

przytulając się do rozdudnionej uderzeniami serca piersi. Jonathan wolno przesunął swoje dłonie do góry, aż palce wsunęły się pod mały kaptur gęstych ciężkich włosów, dotknął opuszkami skóry na szyi, przesunął dłonie tak, że kciukami dotknął uszu Ziyry. Podniósł jej twarz do góry, pocałował delikatnie, i kiedy poczuł, że dziewczyna zadrżała, od razu oderwał się od jej ust.

- Nie przeczę - powiedział w przestrzeń ponad jej głową. - Niektóre nasze reakcje są do siebie bardzo podobne.

- Niektóre? Sądziłam, że masz już zebrany pewien materiał, który pozwala na bardziej zdecydowane opinie... - niespodziewanie tupnęła nogą. - Czy my musimy tak idiotycznie rozmawiać?

Jonathan zachichotał. Szybko pochylił się i wziął Ziyrę na rękę. Nie bronila się, objęła go za szyję, popatrzyła z bliska w oczy, pokiwała głową chyba na potwierdzenie swoich ostatnich słów.

- To, co powiedziałaś jest znakomitym potwierdzeniem twojego własnego stwierdzenia - powiedział kładąc ją na łóżku. I widząc, że marszczy brwi dodał: - Z naszych podobnych reakcji, jak widzę, najbardziej są podobne reakcje kobiet. Cii! - Szybko położył palec na jej ustach. - Cokolwiek powiesz będzie potwierdzeniem z kolei moich słów.

Szarpnęła głową, uwalniając usta spod jego palca, chwyciła go szybko zębami i dość mocno ścisnęła.

- Wyłączmy światło? - zapytał udając, że nie czuje bólu.

Ziyra pokręciła głową. Wciąż trzymała palec zębami i wyglądało, że nie zamierza niczego w tym układzie zmieniać. Jonathan przysiadł obok niej na łóżku i ostrożnie położył lewą rękę na jej szyi i patrząc jej w oczy, przesunął dłoń niżej; palce odnalazły krawędź jej koszuli, podważyły ją, wsunęły się pod miękki materiał i zaczęły wspinać się wolno po wzgórzu prawej piersi dziewczyny. Ziyra zadrżała, jej spojrzenie stężało, zeszkliło się, wyprężyła ramiona do tyłu, wypuszczając równocześnie spomiędzy zębów palec

**Jonathana. Pierwszy od góry, licząc kulisty, obszyty materiałem guzik, szarpnął się i wymusnął z objęć pętelki. Natychmiast po nim, drugi zrobił to samo. Opuszki palców Jonathana natrafiły na pomarszczoną twardą sutkę, zatrzymały się na jej obrzeżu. Ziyra poruszyła się jeszcze raz, trzeci guzik wydał z siebie sukienne parsknięcie i pozwolił koszuli rozchylić się jeszcze bardziej.**

**- Poczekaj... - powiedział cicho Jonathan. - Doceniam sprego i jego usługę, ale pozwól, że to będzie moja przyjemność...**

**Wstał z łóżka i pociągnął za sobą dziewczynę, a kiedy zachwiała się, przyciągnął ją do siebie i zaczął całować. Trzymał ją mocno w objęciach, bo wydawało mu się, że pozbawiona oparcia runie na podłogę, ale po chwili poczuł jej ręce na swojej szyi, poczuł jak przywiera do niego, napiera twardymi piersiami, brzuchem, udami, więc odsunął się i zaczął wolno odpinać pozostałe guziki jej koszuli. Całował natychmiast każdy odsłonięty, wydarty odzieży kawałek skóry, a jego palce wyprzedzały usta o kilka zaledwie sekund. Odsłonił piersi Ziyry, nabrzmiałe, skamieniałe sutki, pogłaskał je delikatnie opuszkami palców, potarł mocniej i zaczął całować. Ich twardość podniecała go i kusiła do zaciśnięcia zębów na zimnym wyprężonym czubku piersi; z trudem oderwał się od nich, przyklęknął i rozpiął resztę guzików. Odsłonił się mocny, płaski brzuch z wydłużonym poziomym kraterem pępka, do którego Jonathan natychmiast wsunął język. Ziyra jęknęła. Oboje byli już potężnie podnieceni, Jonathan pociągnął sznurek zastępujący**

**pasek jej spodni, zsunęły się gładko, szarpnął w dół wąskie plisowane majteczki, niecierpliwie obsunął obie części garderoby, położył dłonie na, prężących się pod dotknięciem, pośladkach i przytulił policzek do sztywnego półkola włosów. Ziyra zamruczała przeciągle, jej palce usiłowały wejść pod jego skórę na plecach, plątały się we włosach, przez ciało przebiegały spazmy, powodujące napinanie się grup**

mięśni, rozprężanie ich, ponowne napinanie innych... Chwyła mężczyznę za ramiona i pociągnęła do góry.

Teraz ona wpiła się wargami w jego usta, odtrąciła jego palce, przebijając po guzikach koszuli i równie niecierpliwie i szybko zdarła z niego ubranie. Długą chwilę balansowali ciałami, usiłując każdym milimetrem swojej skóry dotknąć każdego skrawka ciała partnera, a potem Ziyra runęła do tyłu, pociągając za sobą Jonathana. Wydawało mu się, że leżą na podłodze, ale natychmiast po spaźmie strachu, zobaczył, że łóżko wykonało bezszelestny skok w ich kierunku podstawiając swoje łono ich ciałom, z których niemal uleciały już dusze, usiłując zewrzeć, splątać, połączyć nad rozpalonymi cielesnymi powłokami. Przeturlali się przez łożo, nie przerywając poznawania pocałunkami swoich twarzy, dłońmi, stwardniałych, napiętych z pożądania ciał, spojrzeniem wyszukując zachętę i rozkosz w spojrzeniu. Ziyra wtuliła twarz w szyję Jonathana i oddychała przez szeroko otwarte usta, on z kolei wsunął koniuszek języka do jej ucha; jęknęła i wyprężyła się. Przesunęła nieco biodra i wsunęła pod Jonathana, sięgając jednocześnie ręką, żeby pomóc we wniknięciu w siebie. Spazm rozkoszy nie trwał długo, ale osiągnęli jednocześnie wierzchołek Góry Miłości, bezgłośnym krzykiem ogłaszając to światu. A potem runęli w długi miękki lot ze szczytu na spokojne ciche łąki u podnóża, z których rozpoczęli wspinaczkę. Jonathan przeturlał się jeszcze raz po łóżku, nie wypuszczając Ziyry z objęć. Leżeli złączeni. Jonathan jedną ręką pieścił kark dziewczyny, drugą głaskał delikatnie jej plecy, pośladki, uda, czuł na swoim podbrzuszu wyciekające z Ziyry własne nasienie i czuł jak opada z nich podniecenie, powodując, że zeszywniałe dotychczas, niemal kamienne ciała miękną, zaczynają uginać się pod dotknięciem drugiej osoby, jakby chciały złączyć się, zespolić, wtopić w siebie, żeby móc przeżywać tę rozkosz od nowa, od nowa i od nowa. Ziyra odczuwała to identycznie - leżała wciąż na nim z palcami jednej dłoni zanurzonymi w jego włosach, drugą zacisnęła na jego

barku, a Jonathan wiedział, że całe jej ciało usiłuje wniknąć w jego, i nie udaje się to tylko dlatego, że jego własne usiłuje dokonać tego samego.

- Łaskoczesz mnie swoimi włosami - zachichotała. - Są takie miękkie. - Przesunęła się, zsuwając częściowo z Jonathana, dotknęła jego podbrzusza, wskazując co miała na myśli. - I długie...

Jonathan uniósł głowę, zobaczył blisko swojej twarzy lewą pierś dziewczyny, gładką, z ułożoną na szczycie odprężoną sutką; wyglądała teraz, kiedy Ziyra leżała na boku, zupełnie inaczej - była większa, okrąglejsza, uformowana przez własny ciężar. Zaczął jednym palcem rysować na niej skomplikowany wzór, co jakiś czas drażniąc sutkę przelotnym dotknięciem. Dziewczyną wstrząsnął dreszcz, przytuliła się do Jonathana uniemożliwiając dalszą pieśczętę.

- Zapalę?... - Pocałował ją w szyję, delikatnie wysunął się spod jej ciała i zeskoczył na podłogę. Zapalając obejrzał się i stwierdził, że łóżko rzeczywiście stoi nieco bliżej stolika, niż jeszcze przed chwilą. - Nie przeszkadza ci to?

- Jesteście dziwni... - powiedziała Ziyra.

Jonathan zmarszczył brwi usiłując znaleźć w jej słowach związek ze swoim pytaniem:

- Wciąż jeszcze mówisz o włosach?

- Nie, chodzi mi o twoje... - Ułożyła się na boku, podparła głowę ręką.

Ruchem brody wskazała cygaretki. - Palileś, przestałeś, znowu palisz...

- Tacy właśnie jesteśmy, zmienni - Jonathan wzruszył ramionami. - Robimy coś, przestajemy to robić, a potem robimy znowu. - Zerknął w dół. -

Właśnie zaczynam czuć, że za chwilę znowu zacznę coś, co wcześniej przestałem robić. - Zaciągnął się potężnie, przymknął oczy częściowo, z rozkoszy, częściowo żeby nie patrzeć na nagą Ziyrę i przedłużyć wzbieranie podniecenia. Kobięca intuicja pozwoliła Ziyrze bezbłędnie rozszyfrować jego stan.

- Patrz na mnie! - zażądała. - Kiedy zamykasz oczy nie wiem o czym myślisz.

- Mogę ci powiedzieć o czym myślę: idę pod zimny prysznic.

Nalał sobie pełny kubek wina i z cygaretką w zębach, kubkiem w rękę, unikając patrzenia na kochankę, wyszedł nago z pokoju i skierował do łazienki. Połowę zawartości wypił już po drodze, odstawił kubek na półeczkę z brzytwą, do używania której już przywykł i nawet nabral wprawy, i kamionkowymi flakonami, zawierającymi różne ziołowe napary do pielęgnacji ciała, i wysuwając rękę z cygaretką spod zasięgu wody, ustawił się pod prysznicem. Woda była zbyt ciepła, potem, po chwili przemawiania w myśli do soyeftiańskiej instalacji, zrobiła się wyraźnie zimniejsza, nawet zbyt zimna. Wytrzymał chwilę, ale musiał wyjść spod lodowatego strumienia i znowu zacząć regulację ciepłoty wody.

- Mam coś dla ciebie - usłyszał od progu. Na ławeczce obok drzwi siedziała Ziyra z rozbawieniem przyglądając się Jonathanowi. W stulonych dłoniach trzymała małą płaską buteleczkę.

Jonathan ostrożnie stawiając mokre stopy na kamiennej podłodze, podszedł do niej, przykucnął i nakrywając jej dłonie swoimi, przyciągnął do siebie i pocałował. Poczul jej język swoim i wzbierające pożądanie. Ziyra leciutko przytrzasnęła jego język zębami i odsunęła się.

- Doceniam, twoje poświęcenie - pocałowałaś mnie zamiast rzucić się na to naczynie, ale już się nie męcz...

Przypieczętował pakt o ciszy długim pocałunkiem, ale usłyszał, że instalacja, jakby widząc bezsens swoich wysiłków, wyłączyła dopływ wody. Parsknął śmiechem.

- To przez tę wodę! - wyjaśnił zaskoczonej Ziyrze.

Usiadł na podłodze opierając się głową o kolana dziewczyny. Rozchyliły się tak, że mógł oprzeć tył głowy o jej brzuch, odchylił głowę tak daleko do tyłu, że mógł z dołu, do góry nogami, patrzeć na Ziyrę. Z tej perspektywy

jej piersi wydawały się jeszcze

większe, na jej pochyloną twarz padał cień, ale oczy miały niepokojący koci blask. Jonathan otworzył butelkę i nie odrywając spojrzenia od twarzy dziewczyny, pociągnął długi łyk. Miejscowy samogon zawsze najpierw z lekka parzył przelyk i niemal natychmiast łagodził to uczucie, Jonathan westchnął przeciągle, zaciągnął się wonnym dymem, łyknął jeszcze raz. - Żeby tak zawsze miał takie gwiazdy nad sobą! - powiedział z rozmarzeniem w głosie. Ziyra pokręciła leciutko głową. - Typowa kokietująca reakcja - że niby nie wierzę ci! - Uniósł butelkę i pociągnął mały i zaraz za nim, większy łyczek. Alkohol spłynął do żołądka, uruchamiając po drodze, wewnętrzne systemy grzewcze ciała. - Wspaniale!.. - Sięgnął po odłożoną cygaretkę, zaciągnął się głęboko. - Kobieta, nikotyna, alkohol... - powiedział rozmarzonym głosem. - Raj... - Przypomniawszy sobie coś: - A co było na radzie; nie pamiętam: mówiłaś mi, czy nie?

- Mówiłam, ale nie słuchałeś. I nie będę powtarzać. Poza problemem z tobą, zastanawiano się, czy aby nie odwołać wyścigów frachtwołów, i to właściwie wszystko.

- Hm? - Jonathan pociągnął ponownie z butelki. - Taak... - mruknął wypuszczając dym z płuc. - Wyścigi frachtwołów?... Czy byłoby nietaktem, gdybym chciał wziąć w nich udział?

- Nie ma żadnych ograniczeń... - Ziyra przerwała nagle, wychyliła się do przodu i z góry popatrzyła na Jonathana. - Chcesz wziąć w nich udział? Nie wystarczył ci człog?

- Na człogu na pewno nie wygram tego wyścigu - odpowiedział, starając się, by wypadło to serio.

- A na frachtwole - wygrasz?!

- Na pewno będę się starał. Skąd się bierze zwierzęta? - Łyknął jeszcze odrobinę i zakorkował butelkę.



- Pasa się poza oazą, wybieraj jakiego chcesz. Poza tymi, które już mają rzemienie nad kopytami.

- Tak właśnie zrobię... Ho-op!.. - poderwał się z podłogi, strzelił niedopalkiem pod ścianę, odstawił ostrożnie butelkę pod ławkę i pociągnął Ziyre za rękę. - A teraz... Proponuję, żebyśmy nie musieli tu chodzić co i rusz...

Przycisnął dziewczynę do siebie, położył dłonie na jej pośladkach, pocałował, wzmagając nacisk rąk. Oderwała się na chwilę żeby zapytać:

- Tutaj?!

- Tak. Poza tym, już bym nie zdążył dobiec do pokoju... Chodź...

\* \* \*

Godzinę temu odwiedził mnie Krycz. Wraz z jakimś młodzieńcem przytargali coś, co wygląda jak niewielki stolik z bardzo grubym blatem. Postawił to na środku pokoju i triumfalnie wskazał palcem:

- To może ci się przydać.

Zrobiłem powątpiewającą minę, wtedy Krycz pokręcił mi palcem przed nosem i uzupełnił:

- Odniosłem wrażenie, że brakuje ci twojej pracy, że z przyjemnością coś byś napisał. Niestety... - popatrzył w kąt na maszynę -... nie jesteśmy w stanie tego uruchomić. Ale przypomniałem sobie, że istnieje coś takiego właśnie. Od lat nieużywane, niepotrzebne.

Wyczulem w jego głosie jakby nutkę żalu, ale powstrzymałem się od pytań. Niech sam się wypowie, pomyślałem, ale Krycz opanował się i więcej nie sypnął.

- Na tym możesz pisać - pokazał ręką stolik. - Zobacz...

Podeszliśmy obaj do stolika. Młodzian najwyraźniej znudzony naszą rozmową przestąpił z nogi na nogę i zapytał:

**- Mogę już iść?**

**Krycz zacisnął wargi i popatrzył spod oka na Soyefcie.**

**- Tak, dziękuję ci za pomoc - odwrócił się do mnie i dotknął czubkiem wskazującego palca szerokiej wypukłości, przebiegającej przez całą szerokość prostokątnego blatu. - Na tym się pisze - umyślnie zawiesił głos. Postanowiłem mu sprawić przyjemność i zapytałem:**

**- Na tym? Jak? Czym? - więcej pytań nie udało mi się na oczekaniu wymyśleć, ułożyłem tylko rysy twarzy w znak zapytania.**

**- Na tym, czymkolwiek - odpowiedział zadowolony z efektu.**

**Pochyliłem się nad stolikiem. Blat był niewątpliwie drewniany, półtorej stopy na dwie, ozdobiony, standardowym w Nat-Conal-Le, geometrycznym - "peruwiańskim", tak go nazywałem na własny użytek - wzorem. W poprzek blatu wystawała z drewna wypukłość z innego materiału, założyłbym się o wszystko, że z tego samego magicznego piaskowca co i niemal wszystko w oazie. Dotknąłem palcem wypukłości, przesunęła się jakby była zamocowana na osi i wtedy zrozumiałem wszystko - grubość blatu, wypukłość, jej wirowanie:**

**walec! Pchnąłem mocniej grzbiet walca i popatrzyłem na Krycza.**

**- Pisz na tym, czy raczej po tym, prawda? - skinął głową. - I co dalej?**

**- Spróbuj - wyjął z kieszeni pięciocalowy patyczek i podał mi.**

**Szybko nakreśliłem na powierzchni walca swój autograf i pokiwałem głową.**

**Na powierzchni, w niewyjaśniony sposób, pojawił się wspaniały, dopracowany podpis Gregory Burnsa, z pseudogotyckimi zawijasami, niedbały, nonszalancki.**

**Zerknąłem na Krycza i dopisałem: "Jestem zaskoczony, zdziwiony, obezwładniony!!!" i popatrzyłem na Krycza. Podniósł do góry wskazujący palec i pokręcił nim we wszystkie strony, a kiedy obejrzałem go dokładnie, pchnął nim walec i moje bazgroły zniknęły za krawędzią blatu. Krycz chwilę kręcił walcem, potem zmienił kierunek na przeciwny i natychmiast**

na jego powierzchni pokazały się znowu litery, układające się w autograf i głupiutki tekst.

- Ah-haa! - powiedziałem. - Walec z pamięcią, tak?

Krycz pokiwał głową na boki niczym chiński mandaryn z porcelany.

- Jasne... - pokręciłem walcem w obie strony. Działo. Przysunąłem krzesło i napisałem olbrzymimi literami: "Walec z pamięcią, prosty odpowiednik ziemskiej pamięci bębnowej stosowanej onegdaj w komputerach, czyż nie tak?", zerknąłem na Krycza i uświadomiłem sobie, że - o ile nie myliłem się - nie powinien potrafić czytać po angielsku. Przekręciłem walec kilka razy, a potem cofnąłem, tekst pojawił się natychmiast, chociaż powinien być gdzieś na trzecim czy czwartym "zwoju" walca. - Fajne - mruknąłem. - Można pisać byle czym?

Skinął głową.

- Fajnie - powtórzyłem. - Czy to ma służyć tylko mnie, czy też ma jakiś dodatkowy cel?

Tym razem pokręcił głową przecząco. Lakoniczny Kryczny. Ale nie wytrzymał i dodał:

- Chyba tego ci brakowało?

- Może. W każdym razie dziękuję. Ile tego jest w oazie?

Najwyraźniej się zdziwił.

- Tylko jedna zeo, ta jedna.

- Zeo... W nocy świeci?

- Skąd wiesz?

Wzruszyłem ramionami: - Domyśliłem się. - Bez trudu nakreśliłem patyczkiem kilka kółek, narysowałem pyszczek zajączka i nagle ogarnęło mnie podniecenie. Odsunąłem się od zeo i zapytałem niedbałym tonem: - Przypadkiem nie tłumaczy na crasa?

Krycz parsknął śmiechem.

- Co w tym śmiesznego? - Zapytałem. - Przekonałem się, że sprego wciąż

**sprawia mi niespodzianki.**

**- W zero nie kryją się żadne niespodzianki, po prostu zapisuje - powiedział chichocząc.**

**- A tak, po prostu pisze - zużyłem na tych kilka słów cały dzienny zapas ironii, ale Krycz na takie sprawy nie był specjalnie wyczulony. Dotknął dłonią mojego ramienia i wciąż cicho śmiejąc się skierował do wyjścia. - A musi być ta drzazga? - Kiedy odwrócił się, pokazałem mu patyczek.**

**Zastanawiał się chwilę.**

**- Na razie używaj tego. Wiesz, nie jesteś najlepszy w korzystaniu ze sprego. Ale wymyśl coś wygodniejszego, to spróbujemy.**

**- Dobrze - podrzuciłem patyczek, zawirował w powietrzu jak słynny gnata w filmie Kubricka. - A możesz mi powiedzieć dlaczego wcześniej nie dałeś mi tej zabawki?**

**Plasnął wierzchem dłoni w drugą. Przeształ z nogi na nogę.**

**- Može mi nie uwierzysz, ale po prostu nie przyszło mi to do głowy. To znaczy - kiedyś już chciałem ci to pokazać, ale wtedy - pamiętasz - zaginał Uw-Wadfer, a potem zapomniałem i dopiero dzisiaj sobie przypomniałem. Przepraszam.**

**Odwrócił się i wyszedł. Okrążyłem stolik, przyglądając mu się ze wszystkich stron, a potem odsunąłem krzesło i usiadłem, nie odrywając wzroku od powierzchni bębna. Byłem sam w pokoju, więc nie musiałem ukrywać radości i niepokoju, jaki zawsze ogarniał mnie tuż przed rozpoczęciem kolejnej powieści. Co prawda tym razem nie miałem jeszcze - jak to się działo w "normalnych" warunkach - przemyślanego konspektu, ale samo moje położenie dyktowało kolejny ruch. Postanowiłem nie odkładać pisania na później i zacząć od opisu wszystkiego tego, co mnie w Ultene zadziwiała. Usiadłem przy stoliku i wolno (brak nawyku ręcznego pisania), dla uzyskania jakiej takiej wprawy, opisałem scenę przejmowania zero. Teraz postanowiłem porobić notatki, potem konspekty, które następnie rozwinę w**

powieść o Nat-Conal-Le. Bez zwłoki.

Czterdziesta szósta doba; ranek

Frachtwoły pasły się spokojnie, poruszały się tylko ich pyski, natomiast same zwierzęta wykonywały ruchy z częstotliwością, jeden na kilka minut, pozwalając Jonathanowi dokładnie przyjrzeć się sobie, w naturalnym środowisku. Siedział pod drzewem paląc cygaretkę, bawiąc się futrem Farmi i zastanawiając, na ile poznali te zwierzęta Soyefcie i czy jemu uda się znaleźć klucz do któregoś z nich. Jak dotąd udało mu się rozpoznać frachtwołu, na którym podróżował dwa tygodnie temu i zastanawiał się, czy spróbować z tym właśnie wierzchowcem, niewątpliwie spokojnym i zapewne rokującym mało szans w wyścigach, czy wyszukać inne, bardziej krnąbrne, ale szybsze zwierzę.

- I tak nie wiem, które tu są najszybsze - powiedział do Farmi. - Pewnie te już pozaznaczane... Co? Jak myślisz? - Potarł kotuna za skórę na karku. - A może ty byś mi pomógł wybrać jakiegoś żwawego? - Popatrzył inaczej na Farmi. - Pewnie, że tak!

Zerwał się na równe nogi, szybko odłamał kawał suchej gałęzi od pnia, pokazał Farmi, pomachał mu przed nosem, wzbudzając zainteresowanie nową zabawą i w końcu rzucił starając się trafić, pomiędzy dostojnie poruszające się frachtwoły. Farmi rzucił się za patykiem, wpadł pomiędzy wierzchowce jak burza, przemknął pod brzuchem jednego, szyją drugiego, otarł się o nogi trzeciego. Obwąchał znaleziony kij i spokojnie, wrócił do Jonathana, przechodząc w drodze powrotnej pod kilkoma co najmniej arkami brzuchów frachtwołów, nie wzbudzając najmniejszego ich zainteresowania. Jonathan pogłaskał go po głowie.

- To nie twoja wina, że nie rzuciły się w rozsypkę, one po prostu są durne -

powiedział z przekonaniem. Popatrzył na przygotowany wcześniej sprzęt - kościany grzebień, twardą szczotkę i pokiwał głową kpiąc z samego siebie. - Rezygnujemy?

Farmi zerknął spod przymrużonych powiek, chlasnął ogonem w oba swoje boki. Człowiek usiadł i następne pół godziny spędził przyglądając się "swojemu" zwierzęciu. Frachtwól, którego poznawał po ciemnej prędze na szyi był nieco dłuższy od swoich współplemieńców, może nieco cięższy, ale na pewno nie wyższy. Mającemu nader nikłe pojęcie o tych zwierzętach Jonathanowi dane te wydały się niewystarczające do podjęcia decyzji. Zgasił niedopalek i podniósł się z ziemi. Podeszedł do stada, wszedł pomiędzy, niereagując zupełnie na niego, zwierzęta, zbliżył się do wybranego wierzchowca i po kilku podejściach, zdołał zarzucić mu na długi pysk rzemienny kaganiec, do którego w górnej części zamocowane były wodze. -miejąc się w duchu ze swojego zachowania, poklepał - pamiętał to z wyścigów konnych - po szyi zwierzę i pociągnął je za sobą. Frachtwól spokojnie dał się zaprowadzić do drzewa i nie oponował, gdy Jonathan przywiązywał go do pnia.

- Co teraz? - zapytał człowiek zwracając się do obu zwierząt.

Obszedł wierzchowca dookoła, poklepując dłoń trzymanym w drugiej ręce grzebieniem, obmacał dokładnie garb w poszukiwaniu jakichś twardszych ścięgien, które mogłyby być pomocne przy modyfikacji siodła i nie znajdując w budowie frachtwołu żadnych wskazówek, zabrał się do rozczesywania jego futra na garbie. Po chwili otoczył ich tuman pyłu, w którym niemal zniknął wierzchowiec i człowiek; spod grzebienia z trudem wdzierającego się w skołtunione kłaki, sypał się piasek, liście, drobne gałązki i nawet niewielkie kamyczki. Kotun parsknął kilka razy i w końcu podniósł się, przesunął o kilka kroków i ułożył z wiatrem, z zainteresowaniem obserwując człowieka. A człowiek, wściekły na siebie, kłął i rozczesywał nietkniętą ręką ludzką futro. Skończywszy jeden bok,

zrobił przerwę, wypalił cygaretkę i ze zdziwieniem poczuł, że rozpiera go coś na kształt dumy z wyniku - rozczesane futro okazało się mieć wyraźny wzór dość dobrze naśladowujący zmarszczki grubej skóry na reszcie ciała.

Zaskoczony Jonathan odsunął się od

wierzchowca i przekonał się, że z tej odległości frachtwól wydaje się być cały pokryty futrem, a kiedy wracał, żeby zabrać się do drugiego boku, doleciał go słaby, ale wyraźny zapach cynamonu. Przysunął się do zwierzęcia podejrzliwie węsząc, ale nie ulegało wątpliwości - frachtwól pachniał jak świeżo upieczona szarlotka.

- No to już wiemy, że nazywasz się Cynamon! - Klepnął wierzchowca i zabrał się do czyszczenia drugiego boku.

Kończąc kosmetykę grzbietu, zastanawiał się, czy niespodziewany i zaskakujący aromat, rozsiewany przez oczyszczone futro zwierzęcia, jest oznaką jego zadowolenia czy też naturalnym zapachem tłumionym przez brud i gnijące liście zaplątane w sierści. Nie rozwiązał oczywiście tego problemu, ale rozochocony, dokładnie wyczyścił jeszcze futrzaną "czapkę", kępę włosów na głowie, twardą szczotką usunął piasek z załomów skóry, a kiedy już zamierzał skończyć pracę - przypomniał sobie, jaką troską otacza się końskie kopyta i zdecydował na podobną procedurę w stosunku do Cynamona. Ustawił się lewym bokiem przy przedniej nodze frachtwołu, przejechał dłonią od szyi w dół, aż dotarł do kopyta i pociągnął je do góry. Przygotowany był na opór, ale apatyczny zwierz spokojnie stał na trzech nogach, pozwalając Jonathanowi dokładnie przyjrzeć się budowie stopy. Nie przypominała ona w niczym kopyta końskiego, raczej przyssawkę ośmiornicy - regularny okrągły dość szeroki pierścień, utworzony przez kilkadziesiąt zachodzących na siebie, jak ścianki przysłony w aparacie fotograficznym, rogowych płytek. Puścił nogę, odsunął się od wierzchowca, zapalił cygaretkę i czując głodowe spazmy w żołądku, wywołane przez otaczający go zapach cukierni, zaczął zastanawiać się jak i czy w

ogóle czyścić "kopyto". Otwór w pierścieniu płyt był zapchany zbrylonym piachem i gliną, mogło to przeszkadzać Cynamonowi, ale nie musiało. Jonathan przesunął się tak, by wyjść ze strefy apetycznego zapachu, z odległości trzech stóp przyjrzał się pyskowi zwierzęcia, obszedł je dookoła i natknął się na nierozczesany ogon. Uważając na nogi frachtwołu wyszczotkował kitę i mruknąwszy do siebie: "Co ma być - będzie!", ponownie podniósł nogę Cynamona i zaczął końcem patyka usuwać ze środka kopyta twardy rdzeń. Frachtwól nie poruszał się, co Jonathan uznał za aprobatę swoich poczynań; dokładnie oczyścił kopyto szczotką i to samo zrobił z pozostałymi trzema. Podczas całej tej operacji frachtwól stał nieruchomo upodabniając się do ciepłego apetycznie pachnącego posągu.

- Lubisz to, przyznaj się! - wysapał Jonathan po zakończonej operacji. - No?

Cynamon stał nadal nieruchomo. Natomiast Farmi wstał, otrząsnął się z kurzu i intensywnie wietrząc zbliżył do Jonathana i frachtwołu.

- Widzisz faceta? - zapytał Jonathan. - Po raz pierwszy w życiu jest piękny i boi się poruszyć, żeby nie stracić swojej urody. Ja, zresztą, też nie wiem co dalej robić - odizolować go od reszty, czy też puścić wolno, wsiąść na niego już dzisiaj, czy dać mu czas na przyzwyczajenie się do mnie? Nie bardzo radziłem sobie z końmi, a tu mnie coś opętało, żeby zgłosić się do wyścigów na tych obojętnych, niczym Budda, zwierzakach!

Zdjął z pyska Cynamona kantar i klepnął go w bok. Frachtwól otrząsnął się jak pies po wyjściu z wody i nawet nie spojrzawszy na Jonathana, ruszył swoim dostojnym krokiem w kierunku stada.

- Ot i wdzięczność! - warknął Jonathan do Farmi. Zdjął zakurzoną koszulę i strzepnął nią kilka razy w powietrzu, otrzepał spodnie. - Będzie teraz puszył się w tym swoim stadzie, a ja pewnie wyszedłem na durnia. Chodźmy lepiej stąd, bo jeszcze przyjdzie mi do głowy pozamiatać pustynię.



Nie oglądając się za siebie, poszedł w kierunku murów oazy. Pod prysznicem zrozumiał, że jego złość jest udawana, tak naprawdę nie spodziewał się sukcesu już w pierwszym podejściu do frachtwołu i od razu poprawił mu się humor. Usiłował nawet zaciągnąć pod prysznic Farmi, który od niedawna zaczął wchodzić do tej części budynku, w której mieszkał Jonathan, ale kotun wymykał się zręcznie z jego chwytu.

- Gdzie byłeś? - zapytała Ziyra rozczesując mokre włosy Jonathana. - Na lekcji czytania? - W jej głosie dość wyraźnie zabrzmiała leciutka ironia, nie potrafiła zrozumieć zainteresowania Jonathana historią własnego plemienia.

- Nie zgadłaś!

- No to... - Zastanawiała się chwilę. - Ujarzmiałeś drzwi?

- Jakie znowu drzwi?

- Przecież zarzuciłeś Soyefcie, że korzystamy ze sprego, nie usiłując tego zrozumieć, i że ty na naszym miejscu zastanowiłbyś się dlaczego drzwi nie działają jak powinny...

- E-e-e... Zbyt poważnie traktujesz... - Urwał rozumiejąc, że sam wpędził siebie w pułapkę. Było już za późno.

- Czyli gadasz co ślina na język przyniesie i masz odwagę zarzucać nam...

- Na pewno nie! Gdzie są te drzwi? Zaraz je dopadnę...

Ziyra pocałowała go w ucho i odsunęła się. Kiedy Jonathan wstał i odwrócił się do niej, stała patrząc podejrzliwie na leżącego w progu Farmi.

- Zaprosiłeś go tutaj? - zapytała wskazując kotuna pacem.

- W każdym razie nie zabraniałem mu tego.

- Dość dziwne... Ale mnie nie przeszkadza. Jesteś głodny?

- U nas kobieta pyta: - Jesteś głodny czy?... A mężczyzna odpowiada: - Czy!

Ziyra zmarszczyła brwi intensywnie zastanawiając się nad słowami Jonathana.

- Daj sobie spokój, to tylko głupie... - zaczął Jonathan, ale Ziyra potrząsnęła

głowa i uciszyła go ruchem dłoni. Jednocześnie Farmi poderwał się z podłogi i warknąwszy zniknął w perspektywie korytarza. - Czy możesz mi powiedzieć...

Dziewczyna potrząsnęła głową, chwyciła twarz w dłonie i odetchnęła głęboko.

- Już... - powiedziała w przestrzeń.

- Ale co?

- Nie wiem - podeszła do Jonathana i przytuliła się do jego piersi. - Coś zimnego spadło na mnie...

Jonathan pogłaskał ją po głowie.

- Sądzę raczej... - powiedział, usiłując dowcipem rozładować sytuację. -...że chcesz uniknąć i obiadu i "i"!

- "I" na pewno nie! - wysunęła się z jego objęć. - Zaczniemy od tego?!

Nie zdążyła uciec, została porwana na ręce i rzucona na łóżko. Jonathan wylądował tuż za nią. Ziyra - tak przy najmniej mu się wydawało - zapomniała całkowicie o incydencie sprzed kilku chwil. On sam pamiętał go doskonale i - w przeciwieństwie do Soyefcie, którzy zawierzywszy całkowicie swojej dobrej magii, stracili kontakt z otaczającą przyrodą - zauważył zaniepokojenie Farmi, a jego niepokój udzielił się również jemu.

Czterdziesta ósma doba; ranek

- Noga!

Cynamon stał, a może stała - Jonathan nie wyjaśnił tego jeszcze - nieruchomo, wpatrzony w zanikający w blasku słońca horyzont. Nie wydawał się być zainteresowany współpracą z Jonathanem, choć czyszczenie futra odbierał, jak to określił człowiek w monologu skierowanym do Farmi, "z przychylną obojętnością".

- Powinieneś już rozumieć o co mi chodzi, Cynamon - upierał się Jonathan.

- Po trzech dniach nawet krokodyl... - odsunął się i przyjrzał brzuchowi frachtwołu, podniósł ogon, pochylił się i powiedział do Farmi: - To ona! I nawet nie wiem dobrze to czy źle...

Noga! - wrzasnął, aż Farmi drgnął, Cynamon tylko zareagowała odrobinę głośniejszym westchnieniem, ale pozwoliła podnieść sobie nogę. Wyczyścił kopyta, rozczesał ogon i wygrzebał z załomów skóry spore ilości piasku i bryłek gliny - frachtwoły często tarzały się po ziemi, mimo że nie dokuczały im, jak ziemskim zwierzętom, pasożyty. Ultene, pozbawiona była owadów, więc tarzanie się w piasku miało wszelkie cechy atawizmu czy rytuału, który zatracił swoje korzenie i sens. Kraina Soyefcie pozbawiona była również ptaków i - o ile Jonathan był dobrze zorientowany - gadów, za wyjątkiem jakichś węży, których jeszcze nie widział i czlogów, których nie potrafił zaklasyfikować... -wiat zwierzęcy był okrojony, roślinny sprowadzał się do kilku gatunków. Kilka dni temu

Jonathan powiedział do Ziry:

"Wasz świat wydawał mi się na początku enklawą, to znaczy odizolowanym od reszty kawałkiem ziemi, ale to nie jest tak. Enklawa czy nie, powinno tu być więcej zwierząt i roślin... To jest jakaś zagadka i czasem mam uczucie jakbym był blisko prawidłowego rozwiązania... Hej? Czy to nie jest nieprzyzwoi..." Zyra zamknęła mu usta pocałunkiem i niedokończona myśl uleciała.

Obszedł dookoła Cynamon, sprawdził swoją robotę i zadowolony pokiwał głową. Frachtwól prezentował się znakomicie, o wiele lepiej niż inne zwierzęta, również te wybrane do wyścigu przez innych zawodników.

Soyefcie ograniczyli się zresztą tylko do wyboru, żaden z nich nie tracił czasu ani na czyszczenie, ani na trening wierzchowca. Zyra powiedziała Jonathanowi, że frachtwoły są takie jakie są i zajmowanie się nimi nie ma sensu, po prostu wyścigi są przednią zabawą, zwłaszcza dla widzów. Ale nie wykpiwała Jonathana, a nawet z

zainteresowaniem wysłuchiwała jego opowieści o Cynamonie, a niektóre szczegóły budowy wierzchowców zadziwiły ją, choć od dziecka z nich korzystała.

Frami znudziło się przyglądanie zajętemu bezsensowną pracą człowiekowi, przeciągnął się, ziewnął i powędrował między pojedynczo rosnące pnie gęło. Gdzieś tam ukrywały się syrki, które stanowiły podstawę jej wyżywienia, a których dotychczas Jonathan jeszcze nie widział. Człowiek przykucnął pod drzewem, wypalił cygaretkę, wpatrując się w wybranego wierzchowca. Cynamon odczekała, aż Jonathan wypalił połowę cygaretki i obejrzała się na człowieka. W jej spojrzeniu można się było dopatrzeć lekkiego zniecierpliwienia. Zdziwiony obserwował zwierzę. Frachtwól patrzył na niego długą chwilę, potem machnął ogonem i wrócił do poprzedniej pozycji. Po chwili Jonathan strzelił niedopalkiem za siebie i zabrał się do siodłania frachtwołu. Zabrało mu to o wiele więcej czasu niż Soyefcie, ale traktował to jako kolejne doświadczenie, zastanawiając się przy tym, przez cały czas, nad modyfikacją uprzęży tak, by pozwoliła jeźdźcowi utrzymać się w siodle podczas szaleństwa, jakim podobno był galop frachtwołu. Nie dopinając popręgu, przesunął kilka razy siodło w kierunku szyi i zadu, potem mocno ściągnął popręg i ponowił próbę z siodłem; nie zmieniło to sytuacji - luźny płat tłuszczu pod skórą wierzchowca przesuwał się, jakby zupełnie nie był związany z resztą ciała, a tylko przykryty futrzaną narzutą. Nie mogło to i nie rokowało większych szans dżokejowi.

- No to może inaczej? - zapytał Cynamon. -ciągnął popręg jak mógł najmocniej, tak że siodło zatoneło w warstwie tłuszczu i przesunawszy się do tyłu szarpnął je z całej siły. Poszło do tyłu gładko, wraz z popręgiem. - Gdybyś schudła trochę, może by się i udało... - mruknął przez zęby. - Schudniesz? - Cynamon poruszyła ogonem. - No nic, spróbujemy inaczej.

Chwycił za boczny rzemień kagańca i pociągnął Cynamon za sobą. Po kilku krokach odwrócił się i idąc tyłem, zaczął obserwować ruchy zwierzęcia. Zza najbliższych pni gelo wyskoczył Farmi radośnie machając ogonem, ale Jonathan pogroził mu pięścią i wrócił do obserwacji. Miał zamiar unieruchomić siodło, ale od razu zauważył, że nogi wierzchowca łączą się z tułowiem w sposób uniemożliwiający zaczepienie siodła z wykorzystaniem jakiejś dodatkowej uprzęży. Zwłaszcza w galopie nogi musiały poruszać się tak, że

blokujące pasy jeszcze mocniej szarpałyby siodłem w te i z powrotem.

Odwrócił się i zaczął biec, ciągnąc za sobą opierające się zwierzę. Po kilku krokach Cynamon ruszyła szybciej i przeszła w klus. Zmiana rytmu była tak wyraźna, że Jonathan nie musiał nawet odwracać się żeby wyobrazić sobie, jak czułby się siedzą

c w siodle. Przebiegł jeszcze kilka kroków i obejrzał przez ramię. Cynamon stawiała teraz obie lewe nogi jednocześnie, potem obie prawe, kołysała się całym ciałem na boki, a siodło wyraźniej niż w stępie, miało się w przód i w tył. Jonathan popatrzył na cwałującego miękko, obok jego lewej nogi Frami i roześmiał się:

- Beznadziejna sprawa! - krzyknął do niego. Kotun odpowiedział aprobującym machnięciem ogona. - Właśnie!..

Przypomniał sobie co mówił Chsalk, o specyficznym sposobie pobudzania frachtwołu do galopu, pomyślał wtedy, że chodzi o uderzenie w jądra wierzchowca, ale w przypadku Cynamon? Nagle dogoniła go myśl, która sprawiła, że puścił kagańiec i zatrzymał się.

- Chole-e-ra?! Sprawdziłeś czy samice w ogóle biorą udział w wyścigach? - zapytał Farmi. - Może klacze są z definicji niezdatne? O ź-żebysz to... - splunął na piasek. - Na nikim nie można tu polegać... - Parsknął głośnym śmiechem, śmiejąc się, patrzył w ślad oddalającej się wciąż jeszcze klusem

Cynamon i roześmiał jeszcze głośniej. Stał ze zdziwionym Farmi przy nodze i rechotał na całe gardło, aż rozbolała go przepona, do czasu powrotu Cynamon. Frachtwól przystanął przy zaskoczonym Jonathanie i parsknął cicho. Nie była zdyszana, nie toczyła piany z pyska, co prawda przebiegła truchtem kilkadziesiąt zaledwie jardów, ale niewątpliwie było to zwierzę w dobrej kondycji. Człowiek wytarł zalzawione ze śmiechu oczy i podszedł do wierzchowca.

- Co mam z tobą robić? Widzę, że masz wielką ochotę na wzięcie udziału w wyścigu, co? - Poglaskał zwierzę po płaskim, niemal gadzim, krokodylim pysku, wsunął palec pod kaganiec i podrapał miejsce między wypukłościami przechodzącymi niżej w nozdrza. Frachtwól przestąpił z nogi na nogę, co, jak na tak nieruchawe zwierzę mogło być odczytane jako aprobata dla poczynań człowieka. I tak to odczytał. - Jesteś ambitna, to fajnie, ale czy nie załamie cię śmiech Soyefftie, kiedy na ostatnim miejscu przyturlamy się do mety? He?

Wyciągnął z kieszeni butelkę z niewielkim już zapasem soyefftianskiego alkoholu, który, na własny użytek, nazwał calvadosem. Pociągnął łyk, nie przestając drapać frachtwołu.

- Jutro przyniosę ci jakiś przysmak - obiecał.

Cynamon strąciła dłoń Jonathanana ze swojego nosa i głośniej niż zazwyczaj wciągnęła powietrze przez nozdrza. Zaskoczony człowiek długą chwilę wpatrywał się w wierzchowca, potem roześmiał się.

- Czyżbyś to właśnie lubiła?!

Ostrożnie wylał na dłoń kilka kropel aromatycznego trunku i podsunął pod nos frachtwołu. Cynamon westchnęła głęboko, przeciągle, i wtuliła twarde zrogowaciałe wargi w zagłębienie dłoni Jonathanana. Szorstki język mocno przeciągnął po skórze.

- A ż-żeby cię!.. - wymamrotał Jonathan. - Wymarzony wierzchowiec dla mnie. Jeśli wygramy - delikatnie odepchnął pysk Cynamon wciąż

wylizującej jego dłoń - urżniemy się na mecie jak... - poklepał zwierzę po pysku - jak frachtwoły! Kapujesz? No, to pamiętaj...

Wskoczył w siodło i dostojnym krokiem ruszył w kierunku oazy. Na wysokości stada zeskoczył z grzbietu Cynamon, rozkielznał ją, zawiesił siodło i uprząż na gałęzi drzewa i wrócił do oazy. Przekraczając bramę i maszerując radośnie podniecony po pustej uliczce, rozważał możliwość zastosowania swojego małego odkrycia do ambitnych planów udowodnienia Soyeffie słuszności swoich racji. Uśmiechając się do własnych myśli, skręcił w pierwszą przecznicę i wstąpił do warsztatu metalurgicznego.

Był tu już dwa razy, miło pogawędził z kowalem, ale mimo, że dość bezpośrednio pytał o źródła surowca nie otrzymał równie wyraźnej odpowiedzi. Kowal uśmiechał się i odpowiadał: "A niby skąd ma być metal?". Jonathan oglądał podstawowe narzędzia wykonane z jakiegoś stopu o srebrzysto-czerwonej barwie / nazwał go stalomiedzią /. Metal był twardy, ale najwyraźniej było go mało, ponieważ Sarfaneill zgodził się na wykonanie dwóch cyklin pod warunkiem, że Jonathan zwróci po pracy narzędzia do przetopienia czy

przerobienia. W warsztacie Jonathan nie zauważył pieca hutniczego, uznał więc, że wyroby wykonywane są przy pomocy kolejnego zastosowania sprego.

Na jego widok Sarfaneill pokiwał głową, jakby zgadzał się z jakimiś niewypowiedzianymi słowami Jonathana, bez słowa sięgnął na półkę i podał gościowi dwie metalowe listwy z ostrymi krawędziami.

- Wielkie dzięki, Sarfaneillu - powiedział Jonathan, sprawdzając opuszką palca wyostrzenie krawędzi. Pokiwał głową z aprobatą. - Właśnie o to mi chodziło.

- Poważnie chcesz zabrać się do tych złośliwych drzwi? - zapytał kowal.

- Ano.

- Wiesz co? - Sarfaneill podrapał się po brodzie, twarzą szczecina

zachręściła pod grubym paznokciem. Kowal strzelił spojrzeniem na boki. -  
Ja bym na twoim miejscu zostawił je w spokoju...

Jonathan z zainteresowaniem popatrzył na kowala. Był jednym z tych Soyeffie, który zawsze życzliwie odnosił się do przybysza. Nie opuścił ani jednego wieczoru, podczas którego Jonathan, popijając szprycer z wina ochrzczonego wodą, opowiadał o Ziemi, nie starając się już przekonać Soyeffie, że taki świat istnieje naprawdę - już po pierwszych dwóch takich spotkaniach, przekonał się, że większość, zdecydowana większość, jest absolutnie przekonana o tym, że słuchają zręcznych konfabulacji i Jonathan postanowił zaniechać walki z tą niewiarą. Prostsze wydało mu się zainteresowanie ich swoimi opowieściami i dopiero kiedyś, w przyszłości, kiedy ziemskie cuda uznają za przesadzone, wrócić do wyjaśnienia ich genezy. Kowal zaś, należał do tych nielicznych, którzy nie przerywali Jonathanowi śmiechem czy klepaniem po plecach sąsiadów, zawsze zęgnął się, kiwając poważnie głową i jako jeden z pierwszych opuszczał pokój jakby śpieszył się przemyśleć dopiero co usłyszane słowa. Początkowo Jonathan nie zwracał na niego uwagi, ale kiedy pierwszy raz, trzy dni temu odwiedził ten warsztat, zobaczył na stole skrawek surowej tkaniny, na której Sarfaneill dość precyzyjnie narysował, opisany poprzedniego dnia przez Jonatahana, samolot. Jonathan wtedy szybko odskoczył od stołu, ale - ponieważ kowal najwyraźniej poważnie traktował jego opowieści - postanowił przy najbliższej okazji zacząć "urabiać" rzemieślnika, a z czasem doprowadzić do zbudowania czegoś, co Soyeffie nie mogli by już uznać za wytwór fantazji przyjezdnego bazarza. - Dlaczego... - Sarfaneill wzruszył ramionami, jak ktoś, kto uważa odpowiedź za oczywistą, albo nie chce mówić więcej.

Jonathan wyjął cygaretki i miną zapytał o przyzwolenie. Kowal skinął głową.

"Przyduszę go, musi powiedzieć o co chodzi", postanowił. Zaciągnął się



**mocno, prychnął dymem w kierunku sufitu.**

**- Boisz się powiedzieć więcej? - zaatakował przebiegle.**

**- Może macie ciekawe maszyny - powiedział kowal uśmiechając się pobłażliwie. - Ale nie uważaj nas, tylko z tego powodu, za durni.**

**- Przepraszam, ale zaintrygowaleś mnie - Jonathan poczuł, że się czerwieni.**

**- No dobrze. Sądzę, że jeśli wygrasz z drzwiami, staniesz się jeszcze większą zadrą w oku niektórych z nas. A jeśli ci się nie powiedzie też nie zyskasz zwolenników. Będą się bali drwin. To dla nikogo nie jest przyjemne.**

**- Myślę, że jednak zaryzykuję.**

**- Jak chcesz.**

**- Może i nie bardzo chcę, ale chyba muszę. - Kowal popatrzył na niego z zainteresowaniem. - Żyję wśród was już... - policzył w myśli - ... prawie dwa miesiące i mam dość poklepywania mnie po ramieniu, że niby, poczekaj, Jonathan, wszystko się jakoś ułoży, wszystko kiedyś zrozumiesz, dorośniesz. Myślisz, że bardzo bawi mnie snucie opowieści ludziom, których miny mówią: "Ależ ma facet wyobraźnię?" Skoro sądzone mi było trafić tu i być może mam tu żyć, to chcę znaleźć dla siebie jakieś miejsce, robić coś pożytecznego. Nie wiem co, nie jestem nawet przekonany, że potrafię nauczyć kogoś czegokolwiek i czy trzeba was tego uczyć, ale muszę spróbować. Rozumiesz?**

**Sarfaneill mruknął przez zamknięte usta. Wpatrywał się w swoje stopy, tylko raz w trakcie przemowy Jonathana zerknął na niego i od razu wrócił do penetracji podłogi. Na kilka chwil warsztat opanowała cisza. Z komórki, do której prowadziły znajdujące się za plecami kowala drzwi, rozległ się cichy brzęk, jakby na podłogę upadła i potoczyła się mała moneta.**

**- Rozumiem - sapnął kowal. - Chyba masz rację, tak.**

**Widać było, że się waha. Może chciał jeszcze coś dodać, poradzić, ale Jonathan uznał, że lepiej będzie nie naciskać dłużej. Chwycił cykliny w lewą**

**dłoń i położył drugą na ramieniu rzemieślnika.**

**- Jeszcze raz dziękuję. I do zobaczenia.**

**- Niech ci się powiedzie! - rzucił za nim Sarfaneill.**

**Rozmowa z nim wprawiła Jonathana w znakomity humor. Najpierw Cynamon, pomyślał, mam teraz środek nacisku na nią! Teraz Sarfaneill. Im więcej Soyefcie będzie tak myślało, tym lepiej. Gdyby ktoś zapytał go, dlaczego tak mu zależy na sprzymierzeńcach nie potrafiłby odpowiedzieć. Nie zamierzał przejmować władzy w Nat-Conal-Le, nie planował zmieniać ich cywilizacji w techniczną, co i tak byłoby trudne wobec braku podstawowych surowców - papieru, metali, gumy, ropy, i jego technicznej ignorancji. Ale jakieś niejasne uczucie, może przeczucie - nie potrafił tego zdefiniować - mówiło mu, że musi dorobić się grupy przyjaciół, z którymi... Na słowie "którymi" kończyły się jego plany. Doszedł do wniosku, że cokolwiek by to znaczyło i tak bez koalicji nie dokona niczego, więc od jej tworzenia musi zacząć. Dlatego regularnie wygłaszał swoje "prelekcje" dla gromadki starszych mieszkańców Oazy Dobrej Magii, choć wolał spędzić ten czas w towarzystwie Ziry. Dlatego często zamyślał się, siedział po pół godziny, gapiąc usilnie w ścianę, aż do bólu głowy, wymyślając i odrzucając kolejne plany wymuszania zmian na nieświadomych jego planów Soyefcie. I po każdej takiej próbie dochodził do identycznej konkluzji: tym razem idea się jeszcze nie urodziła, może później, może kiedyś... A czasem do wniosku tego doczepiała się wredna myśl: A może wcale?**

**Pięćdziesiąta doba; południe**

**Już pierwszych kilka posunięć cyklina, eksplodowało dziką zamiecią z dokuczliwego drobnego pyłu. Miałki puder nieważkim obłokiem, rozplynał się po korytarzu, przesłaniając nawet sączące się ze ścian światło. Zanim Jonathan zorientował się, miał już nozdrza podrażnione drobinami pyłu.**

Odskoczył od drzwi, machnął kilka razy rękami przed twarzą. Było za późno - pełną pierśią zaczerpnął powietrza i rozpoczął serię kichnięć, po których zmuszony był odczekać, aż wiszący w powietrzu miał opadnie na podłogę, obok, mączystego, zabarwionego na jasnożółty kolor, kurzu z drobin zdartej emalii. Tak wykonywana praca nie rokowała dobrych wyników, ostrożnie odłożył cyklinę na podłogę i odsunął się od drzwi. Przerzucił w myślach kilka wariantów postępowania, zanim doszedł do - jak osądził - właściwego. Podszedł do drzwi i mocował się chwilę z nimi, aż udało mu się zdjąć je z zawiasów i odstawić pod ścianę. Ciekaw jestem, pomyślał, czy w tej pozycji również są w stanie postępować złośliwie? Będą chciały zrzucić mnie ze schodów czy nie? Czy może swoim krzykiem ściągną na mnie uwagę całej oazy? Jak do tej pory drzwi zachowywały się wspaniale. Jonathan roześmiał się:

- Gdyby tak któryś z moich przyjaciół mógł sobie posłuchać mnie rozważającego czy udało mi się wkupić w łaski jakichś drzwi?... A czy ja bym na jego miejscu powstrzymał się od złośliwego komentarza?

Pokiwał głową, chwycił ze stęknieniem drzwi i skierował się na patio dworu, gdzie starannie oparł drzwi o ścianę, a sam udał się do kuchni, skąd przywłókł niski stół. Samokrytycznie i podejrzliwie przyjrzał się swojemu warsztatowi, ale drzwi leżały na stole jak wmurowane, cyklinowanie ich stało się niemal przyjemnością. Na dodatek powietrze na patio nie stało nieruchomo, lecz wolno, ale stale wirowało wymieniając się na świeże, drobiny kurzu nie były tak dokuczliwe jak na korytarzu, a sama emalia, zgrzytając pod cykliną, usuwała się łatwo - kilka ruchów, kilka pociągnięć, powodowało, że suchy pył obfitą strugą walił spod dłoni Jonathana na kamienny dziedziniec. Wygodny i zbudowany przez znakomitych mistrzów sprego budynek, sam dbał o to, by cyrkulacja powietrza pomagała człowiekowi w pracy. Gdy Jonathan odruchowo zerknął na zegarek i niemal równie odruchowo przeliczył czas na

soyefciański / minęło około pół godziny /, pasmo szerokości jednej trzeciej drzwi było odczyszczane. Drewno pod spodem miało jasny, z leciutkim popielatym odcieniem kolor, niemal pozbawione słoików, i dopiero po dłuższym przyglądaniu się, można było znaleźć miejsca łączenia poszczególnych desek-płyt ze sobą. Jonathan odsunął się od drzwi, przykucnął pod ścianą budynku i wyjął z kieszeni cygaretki. Podczas pobytu w oazie jego dość rzadki na Ziemi zwyczaj rozmawiania ze sobą umocnił się, stając niemal odruchową obroną przed dokuczliwą i częstą tutaj samotnością. Pstryknął zapalniczką, kolejny raz odnotowując zdziwienie z powodu jej działania, przypalił cygaretkę. Wypuścił pierwszy kłęb dymu.

- Po pierwsze, były tu kiedyś niezłe lasy z pięknymi drzewami... - mruknął do siebie. - Albo przynajmniej - istniała możliwość handlu, bo skąd by się wzięły te drewniane drzwi i emalia na nich. Na pewno... - Zaciągnął się głęboko. - Muszę znaleźć czas i zabrać się do Bazy Kamiennej na serio, niech mi zaczną dawać jakieś uczciwe teksty do czytania, a nie: stale wprawki... Tak, czas... Chyba jedyna tutaj rzecz, która nie ma swojego dobrego spregu. I to też może mi wyjawiać Baza... Dziwna nazwa, niezborna, chciałoby się powiedzieć, jak wiele rzeczy tutaj. Jakbym pętał się po cudzym nie do końca wyśnionym śnie.

Zaciągnął się łapczywie po raz ostatni, rozdeptał niedopalek i wrócił do pracy. Kończąc czyszczenie jednej połowy drzwi, obsypany był kremową mąką od czubka głowy do podeszew butów. Z ubrania pył obsypał się, gdy tylko zrobił dwa kroki odsuwając się od płyty drzwi, pozostał jednak na twarzy i dłoniach. Jutro, pomyślał, dokończę. Teraz należy mi się duża szklanka... Tfu, jaka szklanka? Kubek! Kubek herbaty. Albo nie, do cholery, wytrzymam.

**Pięćdziesiąta pierwsza doba, przedpołudnie**

**- Pamiętam, jak mówiłaś coś kiedyś o ściganiu się po rezydencji?**

**- Ja? - Ziyra zmarszczyła brew i zastanawiała się chwilę. Ręka z dzbankiem, z którego zamierzała nalać Jonathanowi ziołowego naparu zawisała w powietrzu, tuż nad kubkiem. - A! Rzeczywiście... A co - masz ochotę?**

**- Owszem - przyznał wyzywającym tonem. - Możemy nawet teraz.**

**- Możemy! - Dziewczyna postawiła dzban, zapominając o pragnieniu mężczyzny, klasnęła w dłonie. - Zawołamy kogoś, żeby był jakiś świadek? -**

**Nie czekając na odpowiedź krzyknęła w powietrze: - Manika? Możesz przyjść do nas? - Jonathan skrzywił się i syknął**

**cicho, kręcąc jednocześnie z niezadowoleniem głową. Sięgnął do dzbanka i obsłużył się sam. Ziyra roześmiała się bez troski. - Najwyższy czas, żebyś przestał jej unikać, nikt nie rozumie o co ci chodzi - powiedziała z wyrzutem.**

**- Nikt... - Jonathan postarał się, żeby jego głos zawierał tyle sarkazmu, ile tylko dało się weń zmieścić. - Ty też?...**

**- Szczerze? Ja też, to znaczy staram się, powiedziałeś mi, ale to nie jest ważne, zrozum. - Podeszła do Jonathana i przytuliwszy się, potarła policzkiem o jego podbródek. - W końcu akurat w tym, nasze światy, aż tak bardzo się nie różnią, co?**

**Jonathan chwilę zastanawiał się głaszcząc dziewczynę po plecach.**

**- Może mi się wydawało, ale chyba jakoś specjalnie zaakcentowałaś to niby-pytanie... - Odsunął ją od siebie żeby móc lekko pocałować w czubek nosa. -**

**Może się i nie różnią... - Chciał rozwinąć to zdanie, ale ponad plecami Ziyry zobaczył wchodzącą do pokoju Manikę. Poczul ciepły rumieniec na policzkach, ale nie widząc w spojrzeniu kobiety śladu wyrzutu czy cierpienia, odetchnął szybko i skinął głową. - Witaj...**

**Ziyra szybko wysunęła głowę poza ramię Jonathana.**

- Wiesz, że on rzucił mi wyzwanie? - zapytała ze śmiechem. - Zaczyna wreszcie czuć się tu dobrze, prawda?

Rumieniec, który już zdążył zniknąć z policzków Jonathana wrócił nań jeszcze wyraźniejszy. Pytanie Ziyry wydało mu się nieco nietaktowne - jakby chciała zaakcentować, że dopiero przy niej stał się normalnym mieszkańcem oazy. Manika jednak - tak to wyglądało - nie dopatrzyła się w pytaniu Ziyry niczego niewłaściwego, swobodnie uśmiechnęła się do Jonathana, wskazała go palcem.

- Rzucił wyzwanie całej oazie - powiedziała. - Po raz pierwszy widzę jak zawodnicy zaczynają się zastanawiać, czy aby nie zająć się swoimi wierzchowcami przed wyścigiem.

- Zastanawiają się czy zajmują? - zainteresował się Jonathan.

- Tylko zastanawiają, to w końcu nie wymaga wiele wysiłku - zakpiła ze współplemieńców. - Wyścig za dwa dni, więc pewnie nie zdążą już nic więcej zrobić. Chyba że w przyszłym roku.

- Oczywiście pod warunkiem, że wygram...

- Oczywiście - chórem powiedziały kobiety i roześmiały się.

- Bo kto stosuje metody pokonanego?... - uzupełniła Manika.

- Właśnie: pokonanego?... - Jonathan wskazał dłonią drzwi. - -cigamy się czy nie?

Ziyra obrzuciła go kpiącym spojrzeniem, mrugnęła do Maniki i szybko zrzuciła kamizelę. Jej spojrzenie obarczone było kpina, sporą dozą pobłażliwości, wyzwania, a dopełniała go pewność siebie. Obie patrzyły na mężczyznę zrzucającego buty i zakładającego swoje ziemskie kamasze.

Jonathan przytupnął kilka razy, odchrząknął i skinął głową:

- Jestem gotów - odchrząknął. - Trasa?

- Proponuję - usłyszeli głos od drzwi - żeby Ziyra pobiegła północnym korytarzem, klatką schodową do pierwszego poziomu i wróciła południowym korytarzem po schodach - wszyscy odwrócili się i słuchali,

zaskoczeni bezszelestnym pojawieniem się Krycza. Oparł się o framugę drzwi. - A ty biegnij dowolną trasą, byle byś zbiegł po najbliższych schodach, a wrócił innymi, to chyba wystarczy?

- Mnie tak - powiedziała czupurnie Ziyra.

- No to biegnijmy - zgodził się Jonathan i pierwszy ruszył do drzwi.

Na korytarzu, będąc pewnym, że nikt nie widzi jego twarzy zaklął bezgłośnie. Rzucając wyzwanie Ziyrze i - jak to określał - soyeftiańskiemu bezwładowi, nie spodziewał się, że wyścig, czyszczenie drzwi i ich funkcjonowanie staną się tak prestiżową sprawą. Zainteresowanie Krycza i Maniki wskazywało, że są raczej pewni nieefektywności wykonanych przez Jonathana zabiegów, a to już coś znaczyło. Odetchnął głośno dwa razy, odwrócił się, objął Ziyrę i zapytał:

- Obiecujesz, że jak przegrasz nie będziesz się złościć?

- Ja przegram?!

Jonathana zdziwiło wyraźnie zarysowane w głosie dziewczyny napięcie. Nie mógł uwierzyć, że blahy - jakby na to nie patrzeć - zakład tak ją podniecił.

Chciał powiedzieć coś, co rozładowałoby napięcie, ale kątem oka zauważył jakiś ruch na klatce schodowej, po której za chwilę miał runąć w dół.

Odwrócił głowę i zobaczył wchodzącego po schodach Chsalka. Teatralnie westchnął do nieba; widząc jego zdziwione spojrzenie, chłopak wysunął obie dłonie do przodu, jakby niósł przed sobą jakąś niewidzialną tacę i krzyknął:

- Ledwo zdążyłem!

Jonathan przesadnie zdumiony rozejrzał się dookoła.

- Czy ktoś może mi wytłumaczyć co się tu dzieje? To miały być rodzinne wyścigi, a stały się nie wiadomo czym. Może jeszcze obstawimy zawodników?

- Obstawimy?... - wydyszał Chsalk wskakując na ostatni schodek, Jonathan machnął ręką.

- Mam nadzieję, że za zakrętem nie wbiję się w tłum widzów - powiedział z przekąsem, dając Kryczowi znak, że jest gotów do startu. Pochylił się do przodu.

- Za zakrętem jest pusto, rzecz jasna - powiedział Chsalk i w tej samej chwili Krycz krzyknął: "Już!".

Jonathan nie zdążył już nawet rozzłościć się, runął w dół przeskakując po dwa-trzy stopnie. Raz-dwa... raz-dwa... A żeby ich, pomyślał, zawody sobie urządzili... Skręcił za róg i rozpędził się na prostej, zbliżając do głównej przyczyny dzisiejszych wyścigów. Drzwi, nieco ciemniejszą niż ściany plamą, zamykały perspektywę korytarza. Wczoraj kilkadziesiąt razy otworzyły się przed Jonathanem nie spóźniając ani o ułamek sekundy. Dla niego sprawa była jasna - nie podobała im się emalia, więc demonstrowały swoją niechęć tak jak mogły - uchylając się od wykonywania swoich obowiązków. Po oczyszczeniu powinny, i chyba tak było, działać sprawnie. W każdym razie wczoraj ani razu nie zawiodły. Dzisiaj zostało mu do nich pięć czy sześć jardów, a drzwi wciąż pozostawały zamknięte, odruchowo zwolnił nieco, potem, wściekły na swoje niezdecydowanie, przyśpieszył. Kiedy już był pewien, że nie zdąży nawet wyhamować i nieodwołalnie rozbije sobie nos, płyta błyskawicznie odskoczyła. Jonathan krzyknął triumfalnie i w tej samej chwili uderzył o coś, co wylonilo się z załomu korytarza za drzwiami. Zaskoczenie było tak duże, że wystraszony jęknął i dopiero po kilku sekundach chaosu w mózgu zrozumiał, że zderzył się z kowalem. Szarpnął się usiłując szybko wyzwolić z jego objęć, ale Sarfaneill trzymał mocno.

- Nie śpiesz się tak - powiedział konspiracyjnym szeptem. - Za szybko to wszystko idzie...

- Puść mnie! Udowodnię ...

- Właśnie o tym mówię - Kowal trzymał go mocno i choć nie miał klasycznej powieściowej postury, Jonathan rozumiał, że wyrywając się nie osiągnie



niczego. - Za dużo zmian, za szybko. Rozumiesz? - Potrząsnął nim lekko.

- Za dużo... Za szybko... - powtórzył bezmyślnie Jonathan świadomy, że zwycięstwo wymyka albo już nawet wymknęło mu się z rąk. - Do diabła! Akurat teraz musiałeś mi to powiedzieć?!

- To najlepszy moment - mruknął kowal.

Wypuścił Jonathana z objęć i odsunął się z drogi. Po jego twarzy przemknął i natychmiast zgasł efemeryczny uśmiech, co bardziej niż jego postępowanie, zdziwiło Jonathana. Wzruszył ramionami i ruszył wolnym krokiem ku schodom, potem, wciąż zastanawiając się nad dziwnym postępowaniem Sarfaneilla, zaczął biec. Był pewien, że cokolwiek miał na myśli kowal, nie chciał, żeby inni wiedzieli o jego zachowaniu: zasadził się na Jonathana tam, gdzie nie było innych Soyefcie, a jego słowa musiały jednak mieć jakieś głębsze podłoże. I miały. Dotarło to do Jonathana, gdy pędem pokonywał ostatnie stopnie widząc już Ziyrę podskakującą z radości na ostatnim marszu schodów. Gorycz porażki błyskawicznie wyparowała, zastąpiona przez wdzięczność i zrozumienie. Szczególnie gdy Krycz, wyciągnąwszy Jonathana z objęć zaczerwienionej rozradowanej zwycięstwem Ziyry i poklepawszy go pocieszającym gestem po ramieniu zapytał szeptem:

- Spotkałeś Sarfaneilla?

Zapytany skinął głową, usiłując z oczu Soyefcie wyczytać właściwą treść pytania. Ale Krycz szepnął tylko:

- To dobrze...

Zaraz potem do Jonathana przedarł się Chsalk, szydząc dobrotliwie z jego wysiłku i zmarnowanego czasu, potem Manika zupełnie naturalnie użaliła się nad nim, pocałowała w policzek, głaszcząc po głowie. Jonathan przez cały ten czas mruczał coś o niewdzięczności martwych przedmiotów, chichocząc w duchu, machał z rezygnacją rękami, ale w gruncie rzeczy był zadowolony. Kowal jednoznacznie poinformował go, że jest przyczyną

zmian w życiu Soyefcie, i że tempo zmian - chociaż tego akurat Jonathan nie zauważył - jest zbyt szybkie. To właśnie stało się przyczyną cichej radości Jonathana - znaczyło, że w ogóle jakieś jest.

**Sprego!**

Najbardziej zadziwiająca rzecz w Ultene. Jakaś metafizyczna moc dana Soyefcie, przez nie wiadomo kogo i kiedy. Wygląda to bardzo prosto - sprzęt wykonany przez dobrego fachowca służy jemu i innym, maksymalnie efektywnie. Jeśli jest to ubranie, to niemal się nie brudzi i trudno jest je zniszczyć; kiedy trzeba jest przewiewne, a kiedy indziej, nieprzemakalne. Daje się zdjąć niemal bez udziału rąk i prawie samo wskakuje na grzbiet. Nóż nigdy się nie tępi, łóżko, w zależności od temperatury i gustów śpiącego, jest ciepłe albo chłodne, ściany przepuszczają czy przewodzą tyle światła ile człowiek sobie życzy. Naczynia utrzymują odpowiednią temperaturę skuteczniej niż ziemskie termosy... To są niewątpliwie spektakularne przejawy działania sprego, ale są niczym wobec drzwi, okien i schodów. Każdy Soyefcie, bez najmniejszego trudu i w każdej chwili, jest w stanie uruchomić sprego sterujące "otwieraniem" i "zamykaniem" otworów drzwiowych i okiennych. A wygląda to tak, że nagle część ściany, solidnej kamiennej ściany znika! Bezszelestnie odsłania się wolna przestrzeń, przez którą można do woli patrzeć i przechodzić. Wobec powyższego, drobiazgiem wydaje się fakt, że przez otwory okienne nie przenika pył i krople deszczu.

Co prawda nie przeżyłem tu jeszcze deszczu, ale nie mam podstaw, by nie wierzyć Kryczowi. Inną, dla mnie niewytłumaczalną, inaczej jak przez "cud" lub "magię" rzeczą, jest woda, która może trysnąć z dowolnego miejsca na ścianie i tak samo osobliwie wsiąknąć w podłogę, nie pozostawiając najmniejszego

śladu. W tym również jestem poszkodowany - nie udaje mi się sterować oknami, nie używam drzwi, bo nie zawsze to wychodzi, i mogę korzystać z wody tylko w łazience. Nie rozumiem i Soyeffie również nie potrafią sobie wytłumaczyć faktu tej dyskryminacji. Inna sprawa, że zupełnie ich to nie męczy, mnie właściwie również. Prywatnie, będąc dyletantem w sprawach fizyki, uważam, że Soyeffie mówiąc o sprego mają na myśli coś, co fachowcy nazwaliby ingerencją w budowę atomową świata. Tylko zmieniana na zawołanie

struktura atomowa czy molekularna muru, może, jako tako, racjonalnie tłumaczyć fenomen znikania ścian czy przenikania przez nie wody. Już nie wspominam o wentylacji pomieszczeń, czy używaniu solidnych kamiennych estakad, jako gumowych transporterów. Bajka! I jeszcze jedno! Całe Nat-Conal-Le, cała Oaza Dobrej Magii jest zbudowana z magicznego "kamienia", którego - o to pytałem kilka razy - nikt nigdzie nie widział poza oazą. To znaczy - nie ma nigdzie kamieniołomów i nigdy, ja ani Soyeffie, nie widzieliśmy tego materiału w postaci wolnego kawałka. Jakby całe miasto było odlane w całości z tajemniczego zastygającego jak gips materiału.

Wiatrochrapy! Inne zastanawiające zastosowanie sprego. Dwie wieże z ciekawymi "kwiatowymi" łapaczami wiatru (chyba do wykorzystania nawet na Ziemi), zdobią Oazę Dobrej Magii. Tłoczą ciepłą wodę z podziemnych źródeł. Już nawet nie wnikając w ten geologiczny cud - ciepła woda na pustyni! - wydaje mi się, że pierwotnie musiały być wykorzystywane, co najmniej, do innych celów - aż się prosi o energię elektryczną. Ale nie ma! Nikt o niej nie słyszał. Tyle, że Soyeffie sami przyznają - ztratili mnóstwo umiejętności. W każdym razie takie mają przeświadczenie. Nie potrafią wznosić budynków z tego cudownego materiału (nie potrzebują tego robić, w oazie mnóstwo domostw stoi puste), nie mają pojęcia o budowie wiatrochrapów, cała sztuka zdobnicza

**ogranicza się u**

**nich do geometrycznego rysunku na tkaninach i naczyniach. Historia ludzkości niezbitnie jednak dowodzi, że nie istniały i nie istnieją ludy, nie zajmujące się zdobieniem, zwłaszcza, że żadne kulturowe czy religijne tabu ich, Soyefcie, nie ograniczają. Uważam więc, że kiedyś na pewno zajmowali się również sztuką. A jeśli była to sztuka wspomagana przez sprego?**

**Dlaczego nie? Przecież to musiało być coś fantastycznego! Wystarczy, że przypomnę sobie salę Bazy Kamiennej! Nie mam wątpliwości, że wszyscy, łącznie ze mną, stracili w tej dziedzinie bardzo dużo. Nawet dzieci straciły - zabawki! To jest kolejna luka, której nie potrafię sobie wytłumaczyć, a beztroscy Soyefcie wzruszają ramionami. Chwilami są irytujący. Właśnie to sobie uświadomiłem. Nieszkodliwi abnegaci.**

**Jeszcze mi coś przyszło do głowy: sprego, czy ono nie zabiera Soyefcie części czegoś? Już samo jego istnienie napelnia mnie - wietrzącego podstęp i merkantylizm w każdym szlachetnym geście - starego cynika, nieufnością. Nie może istnieć taki sobie szlachetny cud - oto macie usługne przedmioty, niech wam się dobrze wiedzie. Nie - coś za coś! I teraz: z jednej strony sprego, z drugiej - ewidentna powolna degrengolada Soyefcie i ich świata. Czy to nie jest sprawa do namysłu? Czy przypadkiem, nie będąc tego nieświadomi, nie płacą oni za to cholerne sprego? Czym? Efektywną prokreacją, energią życiową, ambicjami, niespokojnym duchem?...**

**Zastanów się nad tym, Greg. Pomyśl...**

**Aha! Post scriptum. Dwukrotnie byłem świadkiem takiego działania sprego, które mnie zaskoczyło, mimo już pewnego przygotowania. Pierwsze to deszcz. Piękna ciepła ulewa, pierwsza moja ulewa w Ultene. Stałem w oknie, czułem na twarzy chłodny, po raz pierwszy chłodny, powiew wiatru na twarzy... I co dziwnego, co mnie przez cały ten czas męczyło - wietrzyk był suchy! Ani kropla deszczu, ani śladu mokrej mgielki! Niewidzialna bariera zabezpieczająca moją dostojną twarz przed wilgocią. Kretyństwo!**

Musiałem wybiec na patio, żeby móc zmoknąć choć trochę. Potem, rzecz jasna, okazało się, że kto chciał mógł do woli zachlapać sobie oblicze i nawet całe mieszkanie, ale konieczne było współdziałanie sprego. Pod tym względem nasze szyby są lepsze - ani śladu dyskryminacji.

I drugi spektakularny popis sprego, również związany ze zjawiskiem atmosferycznym. Pięć dni temu nawiedziła nas w nocy burza pyłowa.

Oczywiście ani śladu pyłu w mieszkaniach. Fajnie! Rano wyjrzałem przez okno - część dachów pokryta pyłem. Na jasnych dachach Oazy ciemniejsze, rozrzucone nieregularnie plamy z drobnego piasku. Większość dachów uprzątnięta, zadziałało usługowe sprego. Natomiast tam, gdzie sprego nie działa, a okazało się, że jest dość spory fragment osady, dachy pozostały zakurzone. Znakomita mapa Oazy Dobrej Magii. Najczęściej, ciemne plamy występują w południowo-wschodniej części miasta, i - niewielkie - pojedyncze, chaotycznie rzucone tu i ówdzie. No i jedna smuga, ciągnąca się jak maź gigantycznego malarza przez cały dom i fragmenty trzech innych. Zapytałem Ziyrę o te budynki - wszystkie stoją puste, jak również te najbliższe nich położone. Podobno - tak przyznała - Soyefcie asekurują się przesadnie, ale dopóki w Oazie miejsca jest aż nadto dużo, nikt sobie tym głowy nie zawraca. Jeszcze jeden przyczynek do kłującej w oczy beztroski miejscowych magów.

Pięćdziesiąta ósma doba; ranek

Dziewiątego dnia zabiegów, Cynamon po raz pierwszy, zareagowała żywiej od innych frachtwołów na przybycie Jonathana. Gdy tylko, z nieodłącznym w wycieczkach poza mury oazy Farmi, zbliżył się do stada, odsunęła pysk od suchej gałęzi, którą chyba usiłowała przed próbą konsumpcji rozmoczyć śliną i zrobiła dwa kroki w jego kierunku. Zaraz potem zatrzymała się, jakby zdziwiona własnym postępowaniem i chyba zastanawiała co robić

dalej. Już jej pierwsza reakcja ucieszyła Jonathana, natomiast chwila zadumy frachtwołu - rozbawiła. Roześmiał się głośno, co z kolei zdziwiło Farmiego, który zwyczajowo zabierał się do polowania w centralnej części zagajnika. Chwilę oba zwierzaki stały przyglądając się śmiejącemu człowiekowi, potem Farmi ruszył zaspokoić głód, a Cynamon dostojnie podeszła do Jonathana i wysunęła pysk w kierunku jego dłoni. Poza pierwszym razem, kiedy człowiek odkrył, że miejscowy calvados smakuje im obojgu, Jonathan tylko raz poczęstował ją kilkoma kroplami alkoholu. Usiłował odkryć również inne przysmaki frachtwołów, ale flora świata, w którym przyszło mu żyć nie rokowała większych nadziei na zaspokojenie smakowych wymagań frachtwołu. Na pewno spodobałyby się jej owoce, z których ktoś kiedyś pędził alkohol - zupełnie z opisu nie podobne do jabłek i dlatego Jonathan jedynie z przyzwyczajenia używał określenia calvados - ale, po pierwsze, nie była to pora zbioru owoców, a po drugie, rosły one tylko w osadzie nazywanej Druga, do której Jonathan po wypadku z człogiem nie dotarł. Podkarmiał więc, nie wiedząc czy nie popełnia jakiegoś przestępstwa, Cynamon, niewielkimi porcjami soyeftiańskiego chleba, zbrzytonymi otrębami, na deser częstując kilkoma łykami miejscowej herbaty. Cynamon wyjadała wszystko chętnie, przyroda wyposażyła frachtwoły w żołądki

zdolne do strawienia chyba nawet metalu, ale za każdym razem

Jonathanowi wydawało się, że Cynamon zjada to tylko, żeby zrobić przyjemność jemu, sama zaś traktowała wszystko, poza samogonem, jak zamienniki i czekała na chwilę prawdziwej rozkoszy.

- Chodź-chodź!.. - Jonathan przyciągnął do siebie pysk zwierzęcia, wsunął się pod zarysowaną na wielbłądzi sposób szyję i podparłszy ją swoim barkiem, zabrał się do czyszczenia karku i grzbietu. Po tych kilku dniach zajmowania się wierzchowcem stał się prawdziwym ekspertem w dziedzinie oporządzania, czyszczenia i jego kosmetyki. Sprawiało mu to coraz więcej

przyjemności, zabierało coraz mniej czasu, zwłaszcza, że codziennie czyszczony frachtwól nie potrzebował tylu czasochłonnych zabiegów co zapuszczone, żyjące na pół dziko zwierzę. Zaczynał rozumieć miłośników koni z ich niepojętą dotychczas cierpliwością i ochotą do pracy przy wierzchowcach.

- Kopyta też? - Jonathan szybko oczyścił kopyta, oklepał boki Cynamon, bo wydawało mu się, że to również lubi i okiełznał ją.

Nie udało mu się, przynajmniej dotychczas, wynaleźć sposobu innego niż soyeftiański, na siodłanie frachtwołu, nie osiągnął również sukcesu usiłując perswazją i ruchami wodzy, zmusić go przynajmniej do klusa. Wskoczył na siodło i skierował wierzchowca wzdłuż zagajnika. Wcześniej odkrył miejsce idealne do ćwiczeń z Cynamon: gwarantowało, że ciekawscy - gdyby się tacy znaleźli - Soyeftie, nie mogliby obserwować jego wyczynów na otoczonym z trzech stron płacyku, gdzie Cynamon nie mogła rozpędzić się przesadnie, a w miarę miękkie podłoże raczej wykluczało kontuzję w razie upadku. Na razie jednak, o szybszej jeździe nie było mowy. Polankę kryły kopyta Cynamon, wykonującej tylko niezliczone zwroty, w cierpliwym mulim marszu, jaki stosowała również i dzisiaj, zdążając w kierunku zaimprovizowanej ujeżdżalni. Stęp jej miał swoje zalety - Jonathan spokojnie i w miarę wygodnie wypalił całą cygaretkę i wiedział, że mógłby wypalić jeszcze dziesięć, zanim jego człapak zacząłby przejawiać oznaki zmęczenia czy zniecierpliwienia.

- Ale nam nie o to chodzi, prawda? Gangreno jedna... - Strzelił niedopalkiem w bok. Skręcił w lukę między krzewo-drzewami, poprawił się w siodle i ulegając niespodziewanemu impulsowi wrzasnął na całe gardło, jednocześnie podskakując w siodle i szarpiąc wodze w dół. - Naprzód!!! Zabiję, jeśli dzisiaj nie ruszysz się ostro do przodu! Le-e-eć! Cynamon!!! Frachtwól drgnął przy pierwszym okrzyku, głośno wypuścił powietrze z płuc i zanim Jonathan zakończył wywrzaskiwanie polecenia, nagle szarpnął

się do przodu. Garb przesunął się w tył, ale Jonathan podświadomie był przygotowany na żywszą reakcję Cynamon. -cisnął boki wierzchowca kolanami i lydkami, a po kilku krokach, czując się całkiem pewnie, zdołał nawet poklepać kłusującego ciężko frachtwoła po tylnej części garbu. - Jesteś cudowna, Cynamon! - zawołał kłusując po obwodzie swojego maneżu. - Jesteś zwyciężczynią, tylko przypadkiem nie kończ tego wspaniałego kłusa zanim ci nie pozwolę!..

Objechał dwukrotnie obwód polany i ściągnął wodze. Cynamon jak dobrze ujeżdżony koń gładko przeszła do stępa, przyprawiając Jonathana o atak histerycznej wręcz radości. Z tego co wiedział o frachtwołach, a był to chyba całokształt wiedzy, kłusują one bardzo niechętnie i krótko, tak więc, gdyby jemu udało się zmusić Cynamon do wytrwałego kłusa na całej trasie, miałby zwycięstwo niemal w kieszeni. Chichocząc radośnie i poklepując frachtwoła po bokach objechał stępem polanę, wykonał kilka wolt.

- Nie wiem - powiedział głośno - dać ci teraz kropelkę czegoś na wzmocnienie pozytywnych bodźców czy będziesz wolała po robocie?

Bał się ryzykować, zatrzymał frachtwołu, zeskoczył z siodła, szybko wyjął manierkę, strząsnął na dłoń kilka kropli i podsunął pod nos Cynamon. Sam również lyknął, zamknął naczynie i schował.

- Lepiej, co? Pognamy teraz z wiatrem w zawody, jak powiada poeta.

Uważaj, maleńka: zrobimy teraz pięć rund wokół tego placu, dobrze?

Najpierw jedną stępa, potem cztery kłusikiem. Okay?

Cynamon oderwała pysk od wylizanej do czysta dłoni Jonathana. Jej nozdrza, zazwyczaj spłaszczone i niemal niewidoczne w płaskim pysku, rozszerzyły się jakby wietrzyła kolejne porcje alkoholu. Natychmiast po wylizaniu dłoni zamknęła pysk, upodabniając się w tym do pozostałych frachtwołów, które - podobnie jak Soyefcie - odsłaniały zęby i dziąsła tylko podczas jedzenia. Oczy frachtwołu, ciemne, niemal czarne z nieznacznie tylko zaznaczonym jaśniejszym owalem źrenicami, wyglądały jak dwie



połówki, wykonanej z czarnego szkła, kulki, przyklejonej do lekkich wklęsłości w dwóch trzecich długości łba. Takimi oczami nie da się wyrazić żadnych uczuć, i frachtwoły nie wyrażały niczego spojrzeniem. Cynamon wietrzyła chwilę, a potem spokojnie odwróciła się w kierunku drzew i mizernych kęp porostów pod nimi, najwyraźniej zamierzając - skoro nie częstowano jej więcej alkoholem ani nie dosiadano - udać się na małą przekąskę. Jonathan przerzucił ponad łbem wodze i wskoczył w siodło. Zrobił rundę po obrzeżu polany, a potem wrzasnął na Cynamon i szarpnął wodzami. I wyleciał z siodła. Spojrzał z ziemi na spokojnie patrzącą w dal Cynamon.

- Nie tak gwałtownie, co? - poprosił. - Miej na względzie, że jestem jedną piątą normalnego jeźdźca...

Wskoczył w siodło i od razu rzucił frachtwoła w klus. Tym razem wszystko odbyło się bez kłopotów. Zrobił cztery rundy, połowę stępa, dwie klusem. Cynamon zachowywała się znakomicie. Po kolejnych pięciu rundach Jonathan uznał, że dość ujeżdżania na dzisiaj, poczęstował wierzchowca i jeźdźca małymi porcjami samogonu i wrócił wolnym krokiem na pastwisko frachtwołów, gdzie rozkielznał Cynamon, przeczyścił kopyta i puścił wolno. Pod bramą oazy dogonił go Farmi i razem wrócili do mieszkania.

Sześćdziesiąta czwarta doba; wieczór

Słońce zanurzało się w horyzoncie ostatnimi mocnymi promieniami, haftując na ziemi długie plastry cieni. W niemal nieruchomym wieczornym powietrzu, bez pyłu i drgających z powodu upału obrazów, zasypiające frachtwoły rysowały się wyraźnie jak gdyby patrzyło się na nie przez wyostrzającą lunetę. Tak samo wyraziście, jak na japońskich sztychach wykreślone były zagajniki drzew z grubszymi i cieńszymi kreskami gałęzi i kontury dachów oazy. Wiatrochrapy, łapiąc najmniejszy podmuch wiatru

wirowały wolno. Pojedyncze krzyki, zażywających wieczornej kąpieli Soyefcie, były jedynymi odgłosami dobiegającymi z dołu do wieży, na której otuleni prześcieradłami, wysychający po kąpieli, smakowali pejzaż Jonathan z Ziyra.

Poniżej wszystko nurzało się w głębokim soczystym mroku. Ziyra czesała sztywne po suszeniu włosy, Jonathan siedział oparty o ścianę wieży paląc cygaretkę; puszczał kółka z dymu, odruchowo, mimo, że nie było w pobliżu dzieciarni, wśród której ta umiejętność od tygodnia robiła furorę.

- Jak to się nazywa? - zapytał leniwie.

Ziyra potrząsnęła głową, niweczając cały wcześniejszy wysiłek - włosy nastroszyły się, tworząc niemal regularną kulę wokół jej głowy i czyniąc ją podobną do idolki rockowej estrady. Odwróciła się i popatrzyła na Jonathana.

- Co?

Jonathan bez słowa wskazał ognikiem cygaretki świetlistą kreskę na południowo-zachodniej ćwiartce nieba.

- Tra.

- Tra... - powtórzył. - I nie wiecie co to znaczy...

- Nie - zgodziła się Ziyra. Wróciła do szczotkowania włosów. Stało się to jej namiętnością od chwili, kiedy dowiedziała się, że mnóstwo kobiet na Ziemi ma dłuższe włosy, a niektóre są nawet w stanie zawiązać z nich węzeł.

Kobiety Soyefcie nosiły włosy nie dłuższe niż pięć-sześć cali i już w tej chwili Ziyra, mając je dłuższe o cal czy półtora, wyróżniała się nieznaną w oazie fryzurą. - Nikogo to nie interesowało, dopóki ty nie zacząłeś o to pytać.

Nawet chyba nie wiesz... - przerwała na chwilę szczotkowanie włosów i popatrzyła przez ramię na Jonathana -...Właściwie ja sama nie wiedziałam, że jest tyle pytań do zadania.

- Tyle?... - Jonathan prychnął przez nos z goryczą. - Te, które zadałem, to tylko część. Gdybym wiedział, że istnieją odpowiedzi zasypywałbym was

kolejnymi. Tysiącami... A tak? Po prostu, kiedy już nie wytrzymuję - pytam.

- A o co byś jeszcze pytał?

Odłożyła szczotkę, zrzuciła swoje prześcieradło i unosząc dłonie, zniweczyła dwoma ruchami kolejny raz, cały swój poprzedni wysiłek. Na tle bezchmurnego nieba, stała się czarną sylwetką szczupłej kobiety, może konturem wyciętym z papieru lub stylizowanym na postać ludzką z wysokim dzbanem. Stała tak, chwilę patrząc na Grega, a potem zrobiła krok i usiadła obok niego, od razu przesuwając się tak, żeby ułożyć się na podłodze z głową na jego udzie, jedną ręką wyciągniętą wzdłuż jego nogi i drugą, dłonią, płasko ułożoną na piersi mężczyzny.

- Och, tu co krok spotykają mnie zagadki. Począwszy od waszego niekonsekwentnego języka - jedne nazwy zrozumiałe, drugie - nie, język pisany różny od mówionego, brak pewnych całych części języka, na przykład wszystkiego co dotyczy geografii. Skąd się wzięła wasza całkowita ignorancja dotycząca nieba - nic nie wiecie o tym, co macie nad głową. Gdzie i jak nauczyliście się posługiwać sprego, najzwyczajniejszą, tyle że dziwnie powszednią magią, którą na dodatek posługujecie się dość niezdarnie? Dlaczego wasz świat zwierzęcy i roślinny jest tak ograniczony? Już nie mówię o szerszych problemach - dlaczego i czy naprawdę jesteście odcięci od reszty świata i najważniejsze dla mnie - dlaczego i jak ja się tu znalazłem. Czy to - zaciągnął się i po chwili wypuścił długą strugę dymu w powietrze - tak mało?

- Dużo - zgodziła się Ziyra. - Moim zdaniem, aż za dużo. Jaki sens ma zadawanie pytań, na które nie wymyślono odpowiedzi?

- Taki, że to zmusza do ich szukania...

- Ale po co?

- No właśnie... Wiesz, wyniosłem się z miasta na wieś, kiedy zrozumiałem, że tracę mnóstwo czasu na zorganizowanie sobie w nim życia. Wyniosłem się

na wieś, co znacznie wydłużyło mój dzień i dało mi możliwość robienia tego, co chcę i jak chcę. I - teraz zbliżam się do sedna - chwilami wydaje mi się, że wy również wynieśliście się gdzieś, gdzie nie trzeba tyle się męczyć, a można żyć. Że uprościliście sobie życie.

- Nie rozumiem: ty sobie uprościłeś i chwalisz swoje postępowanie, a nasze ganisz?

- No właśnie - Długie westchnienie na chwilę przygięło włosy Ziyry. - Może tak to wygląda, ale różnica jest, bo wy postępujecie jak dziecko, które zamyka oczy i ma pewność, że to co straszne zniknęło.

Ziyra przekręciła głowę chcąc spojrzeć Jonathanowi w oczy, potem poprawiła swoją pozycję. Jej lewa ręka chwyciła mężczyznę za kostkę, a wskazujący palec delikatnie zaczął głaskać brzeg stopy. Jonathan szarpnął kilka razy przeponą, głowa Ziyry podskoczyła na jego brzuchu, ale nie przestała laskotać jego stopy. Zanim zdążył zaprotestować, przesunęła głowę tak, że jej sztywne włosy splątały się z jego, w trójkącie ud. Niemal odruchowo położył rękę na jej piersi, chwytając między palce twardniejącą sutkę.

- Głupiutkie dzieci... - powiedziała Ziyra, ale ton jej głosu, niski, pełen napięcia, drżący świadczył, że myśli o czymś zupełnie innym.

Jonathan zdobył się na słaby protest:

- To nie o to chodzi...

Ale i jemu wywietrzały już z głowy problemy Soyefcie i własne. Przesunął się wzdłuż ściany, układając na boku i uważając żeby głowa Ziyry nie zsunęła się z jego uda. Po chwili mógł już sięgnąć ustami jej brzucha, delikatnie wcałował się w pępek, palcami lewej dłoni przejechał po brzegu jej ucha. Prawą ręką rozchylił jej uda. Przesunął nieco głowę i nagle znieruchomiał.

- Nie macie religii!.. - szepnął. Ziyra nie zareagowała, ułożyła drugą dłoń na piersi Jonathana i potarła jego sutkę. Jonathan drgnął. - Chociaż wasze

zdolności stawiają was w oczach Ziemian niemal na pozycji bogów... A każda rzecz oddaje wam cześć...

Noc jednym długim miękkim susem dopadła ich, gdy słońce całkowicie skryło się za horyzontem, pogrążając w ciemnościach oazę i dwa wyprężone, wpijające się w siebie, jakby usiłując przeniknąć się nawzajem, ciała.

Sześćdziesiąta siódma doba

Do

piero w wigilię wyścigów na pastwisku frachtwołów pojawili się dwaj Soyefcie. Ograniczyli się do wyboru wierzchowców - zanim Jonathan podszedł do stada, oznakowali zwierzęta, przywitali się i rozmawiając spokojnie, bez właściwych, w takich przypadkach, Ziemianom emocji, skierowali się z powrotem do oazy. Cynamon natychmiast zwietrzyła Jonathana, przecisnęła się przez stado i powitała go poszturchując w brzuch płaskim pyskiem; zapewne rozczarowała się, ponieważ człowiek poklepał ją tylko po łbie, chwycił za kępkę sierści na szyi i pociągnął za sobą pod drzewo, na którym wisiała uprząż. Frachtwól w żaden sposób nie okazał dezaprobaty, spokojnie przyjął zabiegi kosmetyczne, siodłanie i posłuszenie, klusem, okrążył najbliższy zagajnik. Jonathan od dwóch dni nie ukrywał się już ze swoim wierzchowcem, po pierwsze, żaden z Soyefcie nie interesował się jego tresurą, po drugie, gdyby nawet, to i tak w ciągu doby nie udałoby się nikomu ułożyć swojego wierzchowca. Był pewien zwycięstwa, chociaż liczył się z tym, że któryś z frachtwołów okaże się naturalnym klusakiem, ale miał nadzieję, że Cynamon, jeśli tylko przebędzie całą trasę szybciej niż stępa, znajdzie się w czołówce. To powinno wystarczyć jak na obcego, który dopiero kilkanaście dni temu po raz pierwszy

**dosiadł takiego wierzchowca.**

**Skierował frachtwoła w stronę oazy, dojechał do zachodniej furty, skąd miał ruszyć wyścig, rozejrzał się dokoła. Prócz nieodłącznego Farmiego nikt go nie obserwował. Poprawił się w siodle, klepnął Cynamon w zad i krzyknął głośno. Frachtwól posłusznie ruszył swoim rytmicznym rozkołysanym klusem, a Jonathan, zdając sobie sprawę, że z boku, majtając się we wszystkie strony, wygląda komicznie, roześmiał się głośno. Okrążyli oazę kierując się na zachód, przy głównej bramie skręcili na północ, przemierzając tradycyjną trasę gonitwy - dookoła oazy, niemal pełne koło i pętla wokół najbliższego zagajnika usychających czy wyglądających na usychające drzew gelo. Meta znajdowała się w bramie oazy, dla frachtwołów bodaj czy nie jedyna okazja do przekroczenia granic osady. Farmi najpierw towarzyszył Jonathanowi w przejażdżce. Po okrążeniu oazy, kiedy zaskoczył go, skręcając w lewo, zatrzymał się zdziwiony zmianą tradycyjnej trasy, a potem ruszył w zagajnik, zamierzając przebyć go na skróty, albo w ogóle, opuszczając dziwnie zachowującą się parę. Cynamon klusowała równo, w niczym nie przypominając w tej chwili, ponurego powolnego wierzchowca, jakim wydała się Jonathanowi podczas pierwszych chwil znajomości. Jonathan natomiast tak dobrze czuł się już w siodle, że pozwalał sobie co jakiś czas na poklepywanie wierzchowca po szyi. Gdy skończył przejażdżkę, tuż przed bramą do Nat-Conal-Le, frachtwól wyglądał równie świeżo co przed startem, a skropiona samogonem dłoń Jonathana wprowadziła Cynamon w wyśmienity humor. Kilka razy przeciągle sapnęła i nawet pozwoliła sobie na kilka mocnych szturchnięć pyskiem w klatkę piersiową człowieka.**

**- Hej, he-ej!? Uważaj!.. - Jonathan chwycił ją za wodze i zaczął prowadzić w kierunku drzewa, pod którym tradycyjnie już czyścił wierzchowca. - Urzniesz się, a na kacu - sama wiesz, nie będzie wyniku.**

**Był podniecony. Wiedział o tym i wiedział, że dzień będzie się włókl w**

nieskończoność. Był zły na Soyefcie, że tak obojętnie podchodzili do gonitwy, mimo że była to najprawdopodobniej jedyna wiążąca całą społeczność rozrywka. Chętnie spędziłby resztę dnia wśród innych uczestników wyścigu, czyszcząc uprząż, dokonując jakichś poprawek, żartując z jednych i słuchając innych, słowem spędzając czas jak spędzają go - tak sobie wyobrażał - uczestnicy podobnego typu amatorskich wyścigów na Ziemi. Tutaj jednak, mimo sporego zainteresowania - tak twierdziła Ziyra - losy wyścigu były złożone w ręce przypadku. W każdym razie nikt nie wierzył, że jakiegokolwiek zainteresowanie frachtwołem może zmusić zwierzę do zwiększonego wysiłku. Może dlatego zwycięzcy poprzednich gonitw nie przechodzili do historii i chyba nawet oni sami nie pamiętali zwycięzców ostatniego biegu.

Jonathan zerknął na słońce. Porównał czas na swoim zegarku i ponuro powlókł się do sadzawki. Prócz kilku dzieciaków i jednego mężczyzny, drzemiącego z nogami zanurzonymi w wodzie, nie było tam nikogo.

Dzieciarnia obkoczyła Jonathana domagając się pokazu kólek z dymu, co chętnie wykonał, a potem rozebrał się i wsunął do wody. Zanurkował kilka razy, sięgając dna kamiennego basenu, z przyjemnością stwierdził, że oddycha szybciej, zmusił organizm do jeszcze większego wysiłku, nurkując dodatkowe pięć razy i zdyszany, rozgrzany wyszedł na brzeg i nie czekając na osuszenie ciała narzucił na siebie ubranie. Nie wkładając butów dotarł do Bazy Kamiennej i odbył kolejny seans nabywania sprawności w czytaniu, a potem przywołał Farmi - dopiero teraz go odnalazł - i razem wrócili do mieszkania. Po drodze wpadł mu do głowy pewien pomysł i - po gruntownym przemyśleniu - postanowił zastosować go podczas wyścigu. Mimo to, był świadom, że dzień będzie ciągnął się w nieskończoność. I tak było! Ziyra, wyczuwając napięcie i nie rozumiejąc go, zaakceptowała stan rzeczy. Całe popołudnie spędziła, szyjąc swoje usługne

bluzy i koszule, w milczeniu, spod oka zerkając na podminowanego Jonathana. Gdy zapadła noc i wygasili ściany oboje ucieszyli się, że pierwszy wspólny ciężki dzień nie wpłynął w żaden sposób na ich pożądanie, nienasycenie, któremu zawsze byli radzi i z którym - wydawało się - tak intensywnie walczyli.

Sześćdziesiąta ósma doba; świt

Nastrój podniecenia udzielił się, mimo wszystko, również czternastu biorącym udział w gonitwie frachtwołom. Przejawiało się to w nerwowym wyciąganiu warg w kierunku innych zwierząt, co wyglądało jakby u nich szukały pomocy czy wiadomości, oraz cichym parskaniu i nadmiernym wypróżnianiu. Pod brzuchami zwierząt, bez przerwy nurkowało kilku chłopców z workami prawie do połowy objętości wypełnionymi formowanymi w pośpiechu kulami. Niemal cała ludność Nat-Conal-Le wyległa na miejsce startu, skąd po rozpoczęciu wyścigu mogli, nie śpiesząc się, przejść spacerkiem kilkaset jardów, akurat żeby wyprzedzić finiszujących zawodników i spokojnie obejrzeć końcówkę wyścigu. Cynamon również udzieliło się podniecenie. Wczesnie rano Jonathan wyrwał ją z głębokiego snu, wyczyścił, napił wodą przyniesioną z oazy i na koniec dał - "Żebyś wiedziała o co walczymy!" - wylizać dłoń zwilżoną "calvadosem". Potem sprawdził jeszcze raz dodatkową linę, którą wczoraj, po przeblysku natchnienia zamontował obok lewego strzemięcia, i zwinąwszy ją w płaską spiralę wsunął pod siodło. Wcześniej niż inni, skontrolował oporządzenie i teraz przyglądał się rywalom, głaszcząc Cynamon po szyi, przemawiając do niej półgłosem i kolejny raz analizując trasę pod względem taktycznym. Wszyscy kibice, nawet rodziny i znajomi trzymali się w pewnej odległości, Ziyra już wcześniej pogłaskała Jonathana po policzku i szybko, być może widząc, że



poddaje się pieśczoście będąc myślami przy wierzchowcu, odeszła, stając obok Krycza. Jeden ze staruszków, gorliwy od kilku wieczorów słuchacz opowieści Jonathana, wydał z siebie wysoki modulowany krzyk, na co zawodnicy zareagowali nerwowym poprawianiem uprzęży. Nie wiedząc jaki czas jest przeznaczony na przygotowania, Jonathan wskoczył w siodło jako jeden z pierwszych, poklepał Cynamon po boku i pierwszy ruszył na linię startu. Wybrał miejsce z lewej strony, które dawało przewagę kilku stóp na pierwszym zakręcie, a ponieważ pierwszy odcinek trasy był właściwie jednym długim skrętem w lewo, obliczył, że jeśli nie da się zepchnąć z tego toru, uzyska kilkanaście stóp tylko na samym wyborze pozycji startowej. Pozostali zawodnicy dość beztróska podjeżdżali do miejsca, z którego mieli wyruszyć na trasę, stawali gdzie komu wypadło lub gdzie zatrzymał się wierzchowiec i troszczyli się raczej o pozdrawianie znajomych i rodziny, niż o mający nastąpić za chwilę start. Frachtwoły parskwały ze zwiększoną częstotliwością. Jonathan pochylił się do ucha Cynamon i szepnął:

- Wy chyba jesteście mądrzejsze?...

I w tej samej chwili staruszek zawył powtórnie. Skończyły się żarty, najbliżsi sąsiedzi Jonathana natychmiast wbili pięty w boki swoich wierzchowców, któryś z frachtwołów zagulgotał jak indyk, inny przysiadł na zadzie, a jeździec zsunął się, machając rękami i wzbil w powietrze obłok kurzu, waląc się w warstwę wszechobecnego pyłu. Dwa frachtwoły - jednego dosiadał Chsalk, drugiego, znany Jonathanowi tylko z widzenia czternasto-piętnastolatek - wyprzedziły wszystkie inne i teraz okazało się, że Soyefcie mają pojęcie o wyścigach, choć tak rzadko biorą w nich udział: Chsalk natychmiast skierował swojego wierzchowca w lewo, zajeżdżając drogę Jonathanowi, nastolatek wykonał identyczny manewr, tak że po kilkunastu jardach Cynamon okazała się być na trzeciej pozycji i musiała mocno jej bronić przed jadącym, tuż obok, innym młodym Soyefcie, również chyba debiutującym w wyścigu. Teraz, żeby przejść do kłusa,

**Jonathan musiałby przepuścić do przodu swojego rywala z prawej; popatrzył w prawo, tuż za nim zwartą masą stępowały inne frachtwoły. Zacisnął zęby - warunkiem klusa stało się przepuszczenie wszystkich, za wyjątkiem ostatniego pechowego jeźdźca, który już się pozbierał i podrygiwał w siodle o jakieś dwadzieścia jardów za plecami Jonathana. Cynamon wydawała**

**się być w dobrej formie, ale Jonathan wciąż nie miał pewności, że zaklusuje właśnie wtedy, kiedy on będzie miał na to ochotę. Mógł albo stępować na razie jak wszyscy i modlić o lukę dla swojego wierzchowca, albo przyhamować, przepuścić prawie wszystkie frachtwoły i dopiero wtedy zmuszać wierzchowca do klusa, który - tak wynikało z dotychczasowego przebiegu wyścigu - gwarantował jej zwycięstwo. Kilka męczących, kołyszących kroków frachtwołu spędził, rozglądając się nerwowo dookoła. Układ wierzchowców i majtających się na ich grzbiecie jeźdźców ustabilizował się i nic nie wskazywało na zmienność tej konfiguracji. Jonathan zrozumiał, że został umyślnie lub nie, zablokowany i w takim układzie może liczyć tylko na sprzyjający zbieg okoliczności. Nie będąc pewnym karności Cynamon nie mógł i nie chciał ryzykować pozostania na końcu stawki, musiał się pogodzić z czasowo zajmowaną pozycją. Zdecydował, że będzie czyhał na chwilę nieuwagi rywali, poprawił się w siodle, zerknął do tyłu i skoncentrował na utrzymywaniu wierzchowca na czele stawki. Frachtwoły maszerowały niemal jak karny oddział wojskowy, identycznie uginając nieco w kolanach dwie nogi, gdy pozostałe dwie przesuwały się do przodu, tak samo szurając kopytami, wzbijając przy każdym ruchu małe tumany kurzu i jednakowo miotając uczeponymi garbów siodłami i jeźdźcami. Trasa wiodła wokół jednej trzeciej obwodu oazy, przemierzyli już połowę tej odległości, uparcie trzymając się utworzonego tuż po sygnale startu szyku. Jonathan zerknął przez ramię na mury osady, ale kibice nie rozpieszczali zainteresowaniem ścigających się.**

Mury, obie wieże, dachy były puste. Po sekundzie namysłu postanowił skorzystać z tej szansy - manewr zakończony powodzeniem wyprowadzi go na prowadzenie, zakończony klęską, przynajmniej nie narazi na śmieszność. Szarpnął wodze zatrzymując niemal w miejscu Cynamon, przeczekał, aż przedostatni zawodnik wyprzedzi go, dostojnie majtając się w siodle, skierował wierzchowca w prawo i widząc już przed sobą wolną przestrzeń i korzystając z chwili względnej stabilności siodła, wychylił się i mocno klepnął Cynamon w zad wzmacniając efekt głośnym krzykiem. Frachtwół posłusznie szarpnął się do przodu od razu przechodząc w klus. Jonathan z całej siły ścisnął kolanami jego boki, wczepił się w lęk i po trzech krokach, kiedy już-już wylatywał w powietrze chwycił rytm, niemal wyjąc ze szczęścia. Jego wierzchowiec po kilku krokach dogonił grupę nadal miarowo "ścigających się" Soyefcie i zaczął wyprzedzać inne frachtwoły. Zaskoczenie i zdumienie na twarzach rywali rozczuliło Jonathana, mijając kolejnych Soyefcie obrzucał ich pobłażliwym uśmiechem, który - jak sam zdawał sobie sprawę - wart był wybicia zębów. Ale gdyby nawet któryś z zawodników chciał uderzyć Jonathana, nie miał w te j chwili na to szans. Cynamon połykała przestrzeń dwu-trzykrotnie szybciej niż jej współplemieńcy, karawana frachtwołów zostawała z tyłu, jeszcze tylko prowadzący Chsalk i Jonathan wydał z siebie triumfujący indiański okrzyk, czuł się tak pewnie, że pozwolił sobie nawet na rzut oka do tyłu i lustrację, ale nie wyglądało żeby którykolwiek z Soyefcie był w stanie mu zagrozić. Kilku usiłowało wykrzesać ze swoich wierzchowców nieco życia, ale frachtwoły pracowicie, miarowo przemierzały trasę, samym swoim widokiem, irytująco powolnym człapaniem, odbierając nadzieję jeźdźcom. Jonathan wszedł w zakręt, machając na pożegnanie rywalom lewą ręką, stracił z oczu człapiącą kawalkadę, której nie miał już zobaczyć, aż do

końca wyścigu. Z przodu na szlak wyskoczyło kilka sylwetek, podniecone dzieciaki, które widząc go zaczęły wymachiwać rękami i wykrzykiwać jego imię. Stopniowo, wychodząc na prostą, zaczynał widzieć inne sylwetki, aż w końcu cały tłum, który zaraz po starcie, spokojnie przemierzył po najkrótszej cięciwie swoje miasto i wyszedł na półmetek i metę zarazem, stając się widoczny jak na dłoni. Jonathan musiał w duchu przyznać, że chód frachtwoła, wprawiający w komiczne miotanie jeźdźca, jest mimo wszystko efektywnym sposobem pokonywania przestrzeni. Zapewne spowodowałby wybuch salw śmiechu Ziemian, ale po kilkunastu sekundach Cynamon na tyle zbliżyła się do widzów, że krzyki młodocianych przyjaciół Jonathana spłoszyły ją i potknęła się, omal nie wyrzucając z siodła dumnego z siebie dżokeja.

- A-ż... Żeby to... dia-bli... - Zaklął na trzy tempa, korzystając z tych chwil, kiedy wraz z siodłem przesuwał się do tyłu, i kiedy pochylony w kierunku szyi wierzchowca, czuł się bezpieczniej i pewniej. -cisnął boki Cynamon nogami, aż do bólu w mięśniach ud, opanował niebezpieczne wytrącenie z rytmu. - U...hu-u... uf! - odetchnął głośno.

Nie odważył się już patrze

ć na publiczność, a tym bardziej - jak planował - pozdrawiać Ziry i Krycza. -ciągnął prawą wodzę i wchodząc w łagodny prawy zakręt, który miał poprowadzić go wokół zagajnika gelo, zerknął przez ramię do tyłu. Pierwsi zawodnicy z całej grupy wyłonili się właśnie zza kamiennych pochylni-murów Nat-Conal-Le. Chsalk, niebezpiecznie wychylony do tyłu, smagał swojego wierzchowca, usiłując trafić w podbrzusze i musiało mu się udać, ponieważ jego frachtwól nagle szarpnął się i przyspieszył swój krok do wyraźnego klusa. Niemal identycznie postępowali następni jeźdźcy i wyglądało na to, że tylko kwestią czasu jest ich przejście na klus. A wtedy - mimo że przewaga była aż nadto wyraźna - tylko od zaciętości Cynamon zależeć miało zwycięstwo w soyeftiańskich derbach. Jonathan

skoncentrował się na prowadzeniu wierzchowca; po kilku odbytych treningach i kilkunastu minutach dzisiejszego klusa czuł się całkiem pewnie w siodle, a utrzymanie się na grzbiecie frachtwołu mimo jego potknięcia uważał za swój osobisty sukces, niemal tak samo ważny dla siebie jak ewentualne zwycięstwo w gonitwie. Wpasował się w rytm biegu: pochylony do przodu w siodle, gdy zsuwało się do tyłu, odchylony w przeciwnym kierunku, kiedy wraz z garbem zmierzało ku szyi zwierzęcia.

Na widok wylaniającego się spoza pni gelo Farmi, roześmiał się, właściwie zachichotał triumfalnie, choć niezbyt głośno - obawiał się, że niespodziewany dźwięk wybije z rytmu Cynamon. Kotun sadził obok frachtwołu z majtającym się jak u psa językiem.

- Poka-żemy... im... co-o? - mruknął Jonathan do Farmi. - A ty - zwrócił się do Cynamon - uważaj: zacieśniamy zakręt!

Delikatnie, starając się amortyzować szarpnięcia, ściągnął wodzę, a Cynamon posłusznie skręciła w prawo, biegnąc w maksymalnie bliskiej, ale bezpiecznej odległości od tworzących krawędź zagajnika drzewek.

Jonathan zerknął do tyłu, ale rywali wciąż zakrywał łuk gelowego gaju. Teraz mijali obszerną polanę, otwartą z jednej strony, ścięli maksymalnie trasę i wyszli na niemal prostą, prowadzącą już bezpośrednio do mety gonitwy. Jeszcze jedno spojrzenie do tyłu upewniło Jonathana, że rywale zostali w absolutnie bezpiecznej odległości z tyłu. Kilka taktów zastanawiał się nad swoim dalszym postępowaniem.

- A tam! Ryzykujemy niewiele!.. - zawołał do Farmi.

Upewnił się, że lewa stopa pewnie siedzi w strzemieniu, przerzucił prawą nogę nad grzbietem frachtwołu i trzymając się lęku, z jedną stopą oporową, wyszarpnął spod siodła przygotowaną wcześniej linę, pozwolił się jej rozwinąć i szybko wsunął prawą stopę w to prowizoryczne strzemie. Wisiał teraz z lewej strony grzbietu wierzchowca, co - jak się przekonał już wcześniej - wcale nie było tak

niewygodną i trudną pozycją, zwłaszcza na krótkim dystansie, ale groziło urwaniem lub obsunięciem popręgu. Nie miał złudzeń co do swojego losu w takim przypadku - upadek i być może utrata wszelkich szans na pozyskanie szacunku i podziwu Soyefcie. Kilka pierwszych kroków trwał wczepiony kurczowo w lęk siodła, pozostawiając Cynamon wybór kierunku, zaraz jednak zmuszony został do ściągnięcia wodzy - pozostawiony sobie frachtwól gnał do przodu, jakby zamierzał ominąć oazę i pozbawić w niespodziewany sposób siebie i człowieka zwycięstwa. Jeździec opierał się teraz łokciami o usuwające się w prawo i lewo siodło, niczym klient zwariowanego baru z ruchomą ladą. Frachtwól sadył olbrzymimi zajęczymi susami, połykając przestrzeń z niesamowitą szybkością. Farmi wyciągnęła się w kocim galopie, uśmiech zniknął z jej pyska wraz z wciągniętym językiem, ale po kilkunastu skokach zaczęła wyraźnie odstawać i niezachęcana przez Jonathana, który również musiał się skoncentrować na utrzymaniu na frachtwole, zwolniła, a potem - jak zauważył kątem oka - zrezygnowała zupełnie, zatrzymała się, patrząc zdziwiona na pędzącego jak huragan człowieka. Zagajnik bezlistnych drzew skończył się, widać już było główną bramę i tłum podzielony na dwie części, między którymi należało wpaść do miasta. Cynamon gnała w tym kierunku, tym razem nie płosząc się już na widok wrzeszczących dzieciaków. Jonathan zerknął w stronę dorosłych, nawet z tej odległości widział, że jego galop wzbudził i w nich olbrzymie emocje, nie krzyczeli jak dzieci, przynajmniej nie wszyscy, ale tarłosili się za ramiona, pokazując innym to, co sami widzieli - cwałującego od dłuższej chwili frachtwoła. Całkowity triumf widoczny był na pierwszy rzut oka, z odległości stu jardów, dzielących Jonathana od mety. Udało mu się wyluskać spojrzeniem Ziyre podskakującą i klaszczącą w dłonie i zamyślonego Krycza, i Sarfaneila z uniesioną do góry pięścią. Któraś z kobiet wyskoczyła z tłumu i zagarnęła energicznie między ludzi jednego z nazbyt odważnie tańczących,

niemal na środku drogi, chłopców.

- Jona-Jona!-Jona!..Jo-na-ta-a-a-an! An! An! - wrzeszczała dzieciarnia, podskakując w miejscu, tańcząc, wzbijając kurz rozemocjonowanymi stopami.

Najdalej wysunięci, tworzący już przed tłumem szpaler, chłopcy doczekali się, aż Jonathan z Cynamon wpadną między nich, zawrócili i usiłowali dobiec do mety razem ze zwycięskim tandemem. Nie mieli szans - Cynamon wciąż łykała przestrzeń z prędkością rozpędzonej lokomotywy.

Aż zostało do przebycia nie więcej niż czterdzieści jardów. Frachtwół szarpnął szyją, wydał z siebie głośny charkot. Zamiast - jak to robił kilkaset razy dotychczas - oprzeć się po kolejnym susie na przednich nogach i odbić się, ryknął krótko, przednie nogi załamały się pod nim, płaski łeb na giętkiej gęsiej szyi szarpnął się do góry i Cynamon runęła na gliniaste klepisko wyrzucając miękko Jonathana z uprzęży. Impet obrócił go w powietrzu, przez ułamek sekundy leciał tyłem zachowując pionową pozycję, zobaczył jak Cynamon załamuje się, jak przez unieruchomioną głowę przewala się całe ciało, podążające wciąż do przodu siłą rozpędu. Gruchnął na ziemię, przekościółkował, uderzając o coś miękkiego i twardego zarazem. Wywróciłem kogoś, pomyślał zdziwiony i niezdolny do analizy wydarzenia. Usłyszał głośny przeciągły jęk tłumu, przeturlał się i zerwał na równe nogi. Nad Cynamon wisiał tuman kurzu, od którego we wszystkie strony pryskały wystraszone dzieci. Frachtwół leżał nieruchomo. Jeździec zupełnie odruchowo strzepnął część kurzu ze swoich spodni i wolno ruszył w stronę wierzchowca. Ktoś chwycił go z tyłu za ramię. Jonathan szedł dalej ciągnąc niewidzialnego rozmówcę za sobą.

- Możesz przejść bramę pieszo! - wysapał główny sędzia gonitwy, wyskakując przed Jonathana. - To jest to samo... Kiedyś nawet tak było, że piesi ścigali się bez...

Jonathan wyszarpnął ramię, nie zwalniając kroku podszedł do Cynamon i

ukłął przy jej głowie. Gadzi łeb leżał bezwładnie na boku, zadarty, odrzucony do tyłu; wytrzeszczone zeszywniałe oczy wpatrywały się w bramę, której nie udało się Cynamon za życia przekroczyć. W powietrzu unosił się mocny korzenny zapach. Jonathan wolno wyciągnął rękę i zbliżył ją do nozdrzy frachtwołu, były ciepłe i suche, chociaż z jednego, prawego, zaczynała wyciekać strużka zabarwionej na czerwono wydzieliny.

- Mogę? Jonathan?

Podniósł głowę. Obok stał jeden ze zbieraczy frachtwolej krzemionki, chyba najmłodszy z kilkuosobowej grupy, wielki miłośnik zabawy z dymnymi kólkami. Jonathan patrzył przez chwilę na niego, usiłując przypomnieć sobie jego imię. Lurke? Lure? Jure?... Podniósł się i ponownie odruchowo otrzepał spodnie.

- Mogę? - Chłopiec wskazał ręką kilka grudek kału porozrzucanych wokół tylnych nóg Cynamon.

Fala torsji uderzyła w gardło, Jonathan jęknął i odwrócił się. W tej samej chwili obok niego przeklusował Chsalk. Jego frachtwól zmierzał do mety, a on sam zdziwione spojrzenie wbił w leżącego bezwładnie wierzchowca Jonathana. Nawet minąwszy leżące na środku drogi ciało Cynamon, odwracał się i patrzył na niemą scenę. Chłopak, uznawszy milczenie Jonathana za przyzwolenie, albo uznając, że nie wolno dopuścić do zmarnowania cennego surowca, przykucnął i zaczął szybko toczyć kulki jak olbrzymi skarabeusz. Jonathan splunął na ziemię i ruszył w kierunku wysuniętej nieco przed tłum, ale stojącej nieruchomo Ziyry. Kiedy podszedł bliżej i wzruszając ramionami zatrzymał się przed nią, podniosła dłoń i delikatnie pogłaskała go po policzku. W tym czasie Chsalk spokojnie przekroczył linię bramy, krzyknął głośno, dołączył się doń drugi okrzyk, ale wiwaty wypadły słabo. Starzec pełniący rolę sędziego podszedł do Chsalka podając mu haftowany pas, niczym nie różniący się od innych, noszonych



przez dziesiątki, jeśli nie setki Soyefcie. Chsalk przechwycił jego dłoń i nie odbierając nagrody pociągnął go w kierunku

Jonathana. Położył dłoń na ramieniu Ziemianina i potrząsnął słabo.  
- To twoje - powiedział wskazując pas. - Nikt nie ma wątpliwości... - I widząc otwierające się usta Jonathana dodał szybko: - Jeśli to wezmę splamię swój honor - Uśmiechnął się do Jonathana. - Możemy za jakiś czas urządzić sobie swój prywatny wyścig i wtedy, jeśli wygram, bez najmniejszych skrupułów odbiorę tę nagrodę. Albo za rok, jak wolisz...  
Jonathan obejrzał się i popatrzył na Ziyrę i Krycza. Oboje mieli niemal to samo wyczekujące spojrzenie, we wzroku Ziyry doszukał się dodatkowo aprobaty dla oferty Chsalka. Zerknął na sędziego. Staruch nie oponował, raczej również skłaniał się ku propozycji formalnego zwycięzcy. Jonathan pokiwał głową i wziął do ręki pas.

- One chyba nie nadają się do długiego galopu, nie wytrzyma serce - powiedział. - Dlatego tak się bronią przed nadmiernym wysiłkiem - rzucił przez ramię spojrzenie na sztywniejącą Cynamon. - Ale możemy je trenować. I wtedy klus im nie zaszkodzi?...

- No właśnie! - Chsalk klepnął go mocno w ramię. - Będziemy trenować. A teraz chodźmy się wykąpać!

Pociągnął Jonathana przez rozstępujący się tłum. Wiwaty nadal nie groziły uszkodzeniem słuchu zwycięzcom i Jonathan najpierw uznał, że gest Chsalka jego rodacy uznali za ekscentryczny i pusty, ale później widząc gęsty i wciąż zwiększający się tłum, maszerujący za nimi domyślił się powodów takiej reakcji. Soyefcie - byli po prostu kolejny raz zaskoczeni. A po chwili owo zaskoczenie udzieliło się i jemu - Chsalk pociągnął go do sadzawki. Jonathan, widząc tłum za plecami usiłował najpierw się wykręcić, potem, uważając, że im prędzej to zrobi tym lepiej dla jego delikatnej natury - błyskawicznie zrzucił z siebie ubranie i wskoczył do

chłodnej wody. Kibice najpierw oblepili wszystkie brzegi sadzawki, a po kilku minutach, jakby uznając, że bohaterowie zostali już w ten sposób uhonorowani, niemal wszyscy zrzucili ubrania i dołączyli do nich. Na brzegu zostało kilku starych Soyefcie i dwie czy trzy matki z niemowlętami na ręku, a wszyscy z zazdrością przyglądali się kąpiącym. Ta gremialna kąpiel wyglądała Jonathanowi na jakiś rytuał, może spontaniczny i nawet nieświadomy, ale było coś takiego w tej atmosferze, że postanowił natychmiast po powrocie do domu zapytać o to Ziyre.

I - rzecz jasna - wcale o to nie zapytał, w ogóle o nic nie pytał. Na dobrą sprawę zupełnie ze sobą nie rozmawiali. I prawie zupełnie nie spali tej nocy.

#### **Siedemdziesiąta czwarta doba**

Popularność może być rzeczą przyjemną, zwłaszcza pierwsze jej chwile. Jonathan Weather przekonał się o tym, po pierwszej dość chętnie kupowanej książce. Później uznał, że najczęściej bywa kłopotliwa, nakłada na obiekt obowiązek bycia kimś, najczęściej samemu sobie, obcym. Każde wypowiedziane zdanie powinno iskrzyć się od humoru, głębi i oryginalności. Każdy gest może być zinterpretowany opacznie, a wszystkie intencje przekręcone, tak, że szlachetne pobudki stać się mogą podłymi zachciankami, a bycie sobą, błyskawicznie przekształci się w nieznośny snobizm. No i każda wypowiedź, z którą nie zechce zgodzić się rozmówca uznana zostanie za megalomanię.

Popularność w Nat-Conal-Le niewiele ustępowała ziemskiej, rodziła się podobnie i podobnie przejawiała. Różniła się natomiast - to Jonathan wyczuł natychmiast - jakościowo. Soyefcie cieszyli się nieco infantylnie z każdego spotkania z bohaterem wyścigu, ale pozbawieni byli zmyron Jonathana Weathera - nikt niczego mu nie przypisywał. Powtarzano co powiedział, bez przekręcania. Naśladowano - mnóstwo palaczy trenowało

namiętnie puszczanie kólek - i nikt nie oskarżał Jonathana Weathera o złośliwość, jeśli jemu kółka wychodziły mimo wszystko lepiej. "Wieczory autorskie" ściągając jedną trzecią ogółu mieszkańców, cieszyły Jonathana, głaskając go po tej części duszy, gdzie mieściła się próżność. A to kawał przestrzeni - przyznawał samokrytycznie Kryczowi. Co prawda Soyefcie najchętniej słuchaliby opowieści o samym wyścigu, który wykreował Jonathana na bohatera oazy. Dziecinnie wstrzymywali oddech, gdy Jonathan po raz pierwszy, na wyraźne żądanie publiki, opowiadał o treningu Cynamon, o taktycznych rozterkach w początkowej fazie wyścigu, o samotnym prowadzeniu i katastrofalnym zakończeniu. Równie emocjonalnie wysłuchali drugiej i trzeciej identycznej opowieści i kategoryczna odmowa kolejnego opowiadania wprawiła słuchaczy w lekki smutek i niezadowolenie. Jonathan jednak nie ustąpił. W domu szczegółowo przemyślał plan opowieści i konsekwentnie realizował swoje zamierzenia. Usiłował zaszczepić w Soyefcie zainteresowanie czymś więcej niż płaskim wypełnianiem dnia codziennego, wygrzebywał z pamięci wszystko, co dotyczyło odkryć naukowych w podstawowych dziedzinach - biologii, geografii, astronomii, medycyny, fizyki i miał nadzieję, że z czasem któryś ze słuchaczy, pod wpływem jego objuczonych morałem opowieści, zada sobie pytanie i sam udzieli na nie odpowiedzi.

- Jakbym tłukł... Jakbym rzucał piaskiem o ścianę - poskarżył się po miesiącu Ziyrze. Musiał zmodyfikować przysłowie: w Routpo nie rosło nic, co przypominałoby groch. - Rozdziawiają usta, słuchają i... koniec.

- Nie wymagaj od nas zbyt wiele, co?

- Zbyt wiele? Zbyt wiele... - przedrzeźnił ją. - Wcale nie przesadzam.

Przecież ty, chociażby, i Krycz...

- Nie obiecuj sobie zbyt wiele i po mnie. - Podeszła do niego i od tyłu zarzuciła ramiona na jego szyję. - Ja też nie rozumiem po co nam ta twoja nauka. Po prostu wierzę w to, co mówisz.

- No to rzeczywiście niepotrzebnie zdzieram sobie gardło. - Odchylił głowę do tyłu i kpiącym spojrzeniem obrzucił górującą nad nim kobietę. -

Najlepiej będzie jak opowiem jakiś film z Myszką Miki...

- Jasne! - zawołała radośnie. - Najlepiej zacznij już teraz, uwielbiam Myszkę Miki!

Jonathan roześmiał się, starając żeby jego śmiech zabrzmiał gorzko.

Chwył Ziyrę za przeguby, zamierzając przerzucić jej ręce ponad głowę i posadzić ją sobie na kolanach, ale usłyszał czyjeś kroki na schodach, ktoś biegnąc do góry potknął się i syknął niecierpliwie. Drzwi odskoczyły i do pokoju szybko wbiegł Chsalk. Jonathan i Ziyra zamarli wpatrując się w gościa.

- Wiecie, że znaleziono torbę Uwy-Wadfera? - zapytał nie witając się.

- Nie, skąd mamy wiedzieć? - Ziyra oderwała się od Jonathana, zrobiła krok w kierunku Chsalka, potem zatrzymała się, zerknęła na swoje szcicie, potrząsnęła głową - I coś jeszcze?

- Nie, tylko torba. Pusta.

- A skąd... - zaczął Jonathan, ale Ziyra bezceremonialnie przerwała mu:

- Żadnych śladów? Szukali dobrze?

Chsalk w ogóle nie zwrócił uwagi na usiłującego wtrącić się do rozmowy Jonathana. Gdyby nie użyta w pierwszym pytaniu liczba mnoga można by sądzić, że nie zauważył obecności mężczyzny w pokoju. Dopiero teraz przekroczył próg, ominął obojętnie nieruchomego Jonathana, nalał sobie do kubka wody i wypił łączywie.

- Nic więcej nie ma, ale w tej okolicy wiał przez trzy dni dość mocny wiatr, mógł pozacierać ślady - stanął przed Ziyrą, uważnie wpatrując się w jej twarz, jakby szukał w niej instrukcji dalszego postępowania. Jonathan uświadomił sobie, że był już świadkiem podobnych scenek - Krycz spędzał dnie w samotności i Soyefcie nie chcąc czy nie mogąc mu przeszkadzać radzili się Ziyry. Dotychczas Jonathan kładł to na karb ich delikatności,

która nakazywała szanowanie innego człowieka, dzisiaj niespodziewanie przeszło mu do głowy, że takie postępowanie jest raczej przejawem lenistwa czy konformizmu, braku odpowiedzialności. Infantylizmu? Postanowił sprawdzić to, ale nie zdążył zadać pytania. Chsalk sapnął przez nos. - Czy ktoś ma tam pojechać? - zapytał Ziyrę.

- Hm... - Dziewczyna odwróciła się i podobnie jak Chsalk, nie zauważając Jonathana ominęła go, usiadła przy stole i zapatrzyła się w podłogę.

- A Krycz o tym wie? - głośno zapytał Jonathan.

Chsalk wolno odwrócił głowę i popatrzył na niego jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z jego obecności w tym pokoju. Chwilę milczał mierząc Grega nieobecny spojrzeniem, a potem, nie kryjąc lekkiej niechęci - Jonathan zauważył to i poczuł przyływ żalu

- rzucił:

- A dlaczego Krycz?

Niechętnym tonem rzucone pytanie zaskoczyło Jonathana. Zdziwiony popatrzył na Ziyrę, ale jej spokojne spojrzenie powiedziało mu, że nie jest zdziwiona kontrpytaniem Chsalka.

- Poczekaj... Zawsze wydawało mi się, że Krycz jest waszym... Nie wiem: wodzem, przywódcą, dowódcą... No, w każdym razie, że to on jest tym, który... - Zabrakło mu słów - ...rozstrzyga?...

Chsalk wzruszył obojętnie ramionami. Jonathan nie doczekał się odpowiedzi, poczuł się niepotrzebny. Soyefcie zastanawiali się znowu, nie zwracając uwagi na jego obecność. Był gościem, był przybyszem, interesującą zabawką, fascynującą chwilami, bo wyczyniającą różne dziwne rzeczy, ale - uświadomił sobie, że to nie pierwszy tego typu przypadek - kiedy dochodziło do jakiegokolwiek poważniejszej rozmowy, Soyefcie traktowali go protekcyjnie, pobłaźliwie, wysłuchując uwag czy rad i zupełnie się do nich nie stosując. Dzisiejsza, prowadzona jakby poza nim rozmowa, uprzytomniła

mu, że chyba tylko wrodzona skłonność do pozytywnej interpretacji otoczenia przeszkadzała mu, już dawno, przejrzyć na oczy i dostrzec rolę przypisaną mu przez mieszkańców Oazy Dobrej Magii. Poczłł niemal nieodpartą ochotę rzucenia ot tak, w powietrze, kilku mocnych słów, ale zamiast tego, zacisnąwszy zęby, wyszedł z pokoju. Na korytarzu uświadomił sobie, że wychodząc wyteżał słuch, oczekując jakiegoś okrzyku, ale ani Ziyra, ani Chsalk nie usiłowali w żaden sposób go zatrzymać. Sapnął ze złością, sięgnął do kieszeni, żeby sprawdzić czy ma cygaretki i zapalił. Już po pierwszym zaciągnięciu się stwierdził, że tęskni do smaku niezdrowych winstonów.

Pieprzę sprego!, warknął w powietrze przed sobą. Pieprzę liżące stopy wycieraczki! Pieprzę całujące plecy koszule! I samopodcieralną bieliznę! I wszystkie te cudowne pieprzone cuda też pieprzę!

Zawrócił, wpadł do pokoju i nie zwracając uwagi na skonsternowanych Soyefcie zrzucił z siebie ubranie, przebrał się w swoje ziemskie rzeczy i ponownie wypadł z pokoju. Pomaszerował już dużo wolniej w dół, zastanawiając dokąd może się udać, ale wszystkie pomysły obracały się wokół bliższych i dalszych znajomych Soyefcie.

Krycz? Sarfaneill? Jorhan czy Manika? Przecież to to samo, pomyślał. Oni są wszyscy siebie warci! Duże i małe dzieci, najbardziej zainteresowane puszczeniem kólek z dymu. To beznadziejne!... Mógłbym dokonać przewrotu pokazując im, jak się puszcza mydlane bańki. Och, głupiś ty... Przypomniał sobie swoje plany: zainteresowanie Soyefcie przyrodą, otoczeniem, skierowanie ich uwagi na uprawy innych niż podstawowe roślin, hodowlę szybkich frachtwołów, uświadomienie swojego miejsca w istniejącym ekosystemie. W głębi duszy hodował pomysł dużej wyprawy mającej na celu penetrację najpierw najbliższych, potem dalszych okolic ziem Ultene.

- Kretyn! - powiedział głośno.

Wolno zszedł z ostatnich schodków i zatrzymał się przed wyjściem na ulicę. Nie miał dokąd pójść. Nie miał ochoty spotykać się z jakimkolwiek Soyefcie, bo każdy miał w spojrzeniu oczekiwanie. Wszyscy spodziewali się kolejnego występu miejscowego błazna. Do tego się sprowadza moja rola, pomyślał z goryczą. Tylko o to... Zaraz! Sprowadza... Co takiego powiedziała kiedyś Ziyra? Już kiedyś męczyła mnie ta myśl...

Zaciągnął się mocno, cygaretką cicho zatrzęszczała. Bliska uchwycenia myśl kołowała po umyśle, wymykając się plecionej z wysiłkiem sieci. Mózg przypominał pusty pokój, w którym od ścian, podłogi i sufitu odbija się mała piłeczka, nie mogąc trafić w jeden jedyny otwór, przez który może przedostać się do innego pomieszczenia. O co mi chodzi, o co mi chodzi?, powtarzał w duchu wierząc, że stanie się to zaklęciem zdolnym do wywołania z niedostępnych obszarów pamięci nitki, po której dotrze do odpowiedzi. Cygaretką sama wypaliła się do połowy i zgasła. Ręka odszukała w kieszeni zapalniczkę, błysnął ogień.

- Ciągłe pali?... - powiedział Jonathan w przestrzeń. - Już dawno nie ma gazu, a pali. Cud... Cholerni kuglarze...

Zrezygnował z penetracji umysłu. Wyszedł na ulicę zaciskając zęby, z dłońmi zwiniętymi w pięści, ale nie nawinął się nikt, na kim mógłby wyladować swoją złość. Uspokajał się w miarę oddalania się od domu. Do budynku Bazy Kamiennej dotarł już niemal spokojny. Dopiero w środku napłynęła druga fala złości. Energicznie usiadł na kamiennej ławie.

- Jestem - powiedział głośno. - Już nie chcę ćwiczyć czytania. Daj mi jakiś historyczny tekst!

-ciana-ekran rozjaśniała wolno, jakby zastanawiając czy spełnić żądanie. Pojawił się ideogram.

- Nie-nie-nie! - Jonathan plasnął dłonią w siedzisko. - Powiedziałem: żadne ćwiczenia! Tekst! Najlepiej stary, coś o początkach Oazy Dobrej Magii. Skąd się wzięli Soyefcie w tych stronach, czy zawsze żyli w izolacji. Szybko!

-ciana mrugnęła i nagle zgasła całkowicie. Zaskoczony Jonathan siedział chwilę nieruchomo, wpatrując się w ciemną pochylnię, oczekując jakiegoś znaku. Nic się nie działo.

- Co jest? - krzyknął wściekły. - Baza?!

Pochylnia błysnęła i wyświetliła ten sam ideogram: grot strzały popychany w prawo dwoma kółeczkami. Zawsze okazując ideogramy odczytywała je i żądała od Jonathana powtarzania. Dzisiaj po raz pierwszy Baza Kamienna milczała. Jej postępowanie oszołomiło Jonathana, wychylił się do przodu i wpatrywał się w ścianę, którą dla siebie nazywał ekranem. Milczała. W ciszy zmieniła ideogram na "ja", a gdy Jonathan nie zareagował, wyświetliła kolejno: "woda", "gelo" i dwa całkowicie nowe. Milczała nadal. Na ułamek sekundy błysnął znak "iść", na krótko pojawił się "baza" i "ja", i ponownie wszystko zgasło. Jonathan podniósł się i cicho, niemal na palcach ruszył w stronę wyjścia. Zatrzymał się tuż przy wyjściu mając za plecami ściankę.

- Krycz... - powiedział cicho, odczekał kilka sekund i powtórzył odrobinę głośniejsze: - Krycz, do cholery?

- Co się stało?

Nie ulegało wątpliwości - Krycz był zniecierpliwiony. Po raz pierwszy od ich dwu i pół miesięcznej znajomości okazał jakieś emocje. Błysnęła myśl, żeby zbagatelizować wezwanie i odłożyć rozmowę na inny termin, ale Krycz zapytał nieco spokojniej:

- Jonathan?

- Posłuchaj, coś się stało z Bazą. Płacze się w ideogramach, milczy... Czy to... Czy ona może się zepsuć?

- Zepsuć??? Baza Kamienna?

Jonathan uprzytomnił sobie, że nie spotkał się dotychczas w Ultene z jakąkolwiek awarią sprego. Pytani Soyefcie przyznawali, że pewnych rzeczy nie potrafią już, w odróżnieniu od przodków, robić - wiatrochrapów, na



przykład, ale jeśli już coś robili, to sprego wydawało się niezniszczalne. Aż do dzisiaj.

- Mówię ci: pokazuje coś bez ładu i składu, milczy... Zaczęło się od tego, że poprosiłem o jakiś tekst z waszej historii. Nie wiem, może nie wolno...

- Bzdura! Oczywiście, że wolno... - Krycz chwilę milczał. - Poczekaj na mnie. Możesz?

- Mogę, oczywiście, że mogę. Sam jestem ciekaw...

Krycz nie odezwał się, nic się nie zmieniło w dźwiękowym tle, ale Jonathan niespodziewanie nabrał przekonania, że jego rozmówca "odłożył słuchawkę". Nagle uświadomił sobie, że po raz pierwszy ma ochotę powiedzieć głośno: "Pieprzona magia!". Wcześniej również zdarzało mu się wściekać na niepojęte działanie takich rzeczy jak soyeftiański telefon, własną nadsprawną zapalniczkę czy ziemskie baterie, ale zawsze odkładał pytania na odpowiedniejszą chwilę, która - jak to sobie uprzytomnił - wobec wciąż pojawiających się nowych problemów nigdy nie następowała. Już po miesiącu pobytu w Ultene zrozumiał, że nie wiedząc jak się tu znalazł, nie może liczyć na znalezienie sposobu na wydostanie i podświadomie pogodził się z koniecznością spędzenia reszty życia w otoczeniu Soyefcie.

Konsekwencją tego wniosku były następne: nie ma pośpiechu, ze wszystkim zdążę i: najpierw trzeba opracować metodę, potem zabierać się do konkretów. W ten sposób rzucił się od wycieczek po satelitarnych osadach, do wieczorków stymulujących i wyścigów frachtwołów. I niczego nie osiągnął. Nie zrozumiał zasady przekazywania sprego, nie zgłębił - jak się dzisiaj okazało - systemu funkcjonowania społeczności. W rezultacie został za burtą ważniejszych wydarzeń. Gorzej już być nie mogło. Ani gość, ani swój, ani głupi, ani mądry. Same środki. I naiwne przekonanie, że trafiłem do uproszczonej wersji rajy, dureń, a tu się dzieją różne rzeczy, tylko nie trzeba było rozdziawiać gęby na widok zeskakującej z ciała sukni. Teraz będę musiał...

Jasny prostokąt otworu drzwiowego przekreśliła jakaś sylwetka. Krycz zatrzymał się w progu, jakby potknął się o widok Jonathana, szybko przekroczył płaskie nadproże i zatrzymał się przed nim. Chwilę wpatrywał się uważnie w jego twarz i - zanim usłyszał cokolwiek - ruszył pierwszy do sali z Bazą Kamienną. Zachowywał się jakby był sam - podszedł do ławy, usiadł i zawołał:

- Baza!

Sala króciutkim echem skwitowała jego okrzyk. Stojący za nim Jonathan zerknął na boki, starał się zrozumieć, dlaczego odnosi wrażenie stłumienia, tak dotychczas wyrazistych kamiennych barielefów na ścianach, jakby ktoś przysypał je mglistym pudrem, ale błysnęła ściana pochylni. Pojawił się mętny ideogram "kogo", rozjarzył się do normalnej jasności, zmętniał, znowu rozbłysł i już nie przygasał. Krycz wpatrywał się w ścianę, rzucił przez ramię krótkie pytające spojrzenie na Jonathana, ale odpowiedzią było tylko wzruszenie ramion: "Sam widzisz". Baza nie odezwała się, nie przeczytała napisu. Krycz cierpliwie czekał. Od ściany dobiegł krótki urwany dźwięk. Identycznie zabrzmiałoby to, gdyby komuś położyć dłoń na ustach w pierwszej sekundzie wypowiedzi. Krycz wstał i patrząc w podłogę obszedł ławę.

- Chodźmy - warknął i pierwszy poszedł do wyjścia.

Jonathan poczuł, że zaczyna się spieniać, zacisnął pięści przysięgając sobie ostrą odpowiedź, jeśli tylko Krycz posunie się do najłagodniejszej chociażby insynuacji dotyczącej popsucia Bazy, ale Krycz wyszedł bez słowa. Nie było mowy o oskarżaniu kogokolwiek. Miał zatroskane spojrzenie, zakłopotane i bezradne.

- Masz jakiś pomysł?

- Ja? - Jonathan prychnął przez nos. - Nasze urządzenia psują się, to prawda, prędzej czy później; mnie to nie dziwi, ale odniosłem wrażenie, że u was sprego nie podlega wietrzeniu i psuciu. - Poklepał się po kieszeniach,

przez warstwę tkaniny odnalazł futerał z cygaretkami, ale zrezygnował z palenia. Podrapał się po nosie. - Nie mam nawet cienia pomysłu, po prostu popsulo się. - Przyjrzał się twarzy Krycza i nagle zrozumiał powód jego troski: - Znowu będzie mowa o mnie?

- Nie... - Krycz z rezygnacją machnął ręką i nagle zmienił zdanie: - Właściwie - tak. Najprościej jest znaleźć prostą przyczynę, nie musi być rzeczywista...

- Byle wszystkim się spodobała - dokończył Jonathan.

- Wszystkim to ona się nie spodoba - mruknął Krycz, ale z jego intonacji wynikało jasno, że tych drugich nie będzie zbyt wielu.

- Co za kanał... - warknął.

- Nie rozumiem?

- Nieważne. Powiedzmy, że wyraziłem swoje niezadowolenie z własnej sytuacji.

Chwilę stali naprzeciwko siebie, unikając patrzenia sobie w oczy, badając spojrzeniem ściany budynków i wieczorne niebo nad głowami. Jonathan nie wytrzymał pierwszy:

- Róbcie sobie co chcecie! - splunął w bok. Zrobił trzy kroki w kierunku domu, ale zatrzymał się i obejrzał. Jego złość i poczucie wyrządzonej krzywdy musiały znaleźć przynajmniej werbalne ujście. - Dziwnie jestem przekonany, że cokolwiek wymyślicie, popełnicie błąd. Wasze sprego, cholera, pozbawiło was zdolności do... - chciał powiedzieć "do życia", ale w ostatniej chwili powstrzymał się - ...myślenia. A nie macie myślącego młynka do lerby!

Odwrócił się i szybko ruszył w kierunku domu. Po drodze zarysy planu, który zrodził się, gdy rzucał ostatnie słowa przy-brały konkretny wyraz.

Wpadł do mieszkania jak huragan, chwycił walkmana, manierkę z resztką samogonu, koc, wypełnił futerał zapasem cygaretek i wybiegł, nie zwracając uwagi na zajętą szyciem, ale obserwującą go spod oka, Ziyre. Idąc w

kierunku głównej bramy, cmokał cicho, rozglądając się na boki, ale dopiero pod murami wyczuł, a potem zobaczył przy swojej nodze Farmi. W marszu pochylił się i poklepał kotuna po łopatkach. Jego oczy błysnęły seledynowo, potrząsnął łbem. Po kilku krokach jeszcze raz popatrzył na człowieka, jakby chciał sprawdzić czy rzeczywiście ma zamiar wyjść w nocy poza oazę. Miał. Ominęli zagajnik gelo trzymając się jego zachodniego brzegu i po kwadransie szybkiego marszu zatrzymali.

- Tu! - zdecydował Jonathan. Złożył koc we dwoje i usiadł na nim, przyciągając do siebie Farmi. Kotun stał chwilę, potem ułożył się z głową na udzie człowieka i przymknął oczy.

Jonathan zapalił cygaretkę. Drapał Farmi za uszami trzymając cygaretkę w ustach i wpatrywał się w nocne niebo upstrzone obcymi gwiazdami. Tra, dziwny księżyc-satelita, mocnym światłem mglil blask gwiazd, na tle których wisiał, jak jaskrawy myślnik na dnie przewróconej czary z kropkami Morse`a.

- Sztuczny, prawda? - mruknął Jonathan. - Musi być, skurwysyn, sztuczny. Nie odrywając spojrzenia od Tra, wyciągnął z kieszeni butelkę, zabełtał alkohol, usiłując na słuch zmierzyć ilość posiadanego trunku. Drapał posapującego dziękczynnie Farmi, jednocześnie wsadził manierkę pod pachę, wyciągnął korek.

- Sztuczny! - warknął mściwie. Wypił dwa łyki, odetchnął dziękczynnie. Pociągnął jeszcze i szybko schował naczynie pod róg koca. Ułożył się na plecach, podkładając brzuch pod głowę kotuna i oddał się obserwacji Tra.

- Przyroda nie lubi symetrii, wiesz? Symetria to estetyka debili, a natura jest mądra, mądrością dla nas niedościgłą. Kto to powiedział? He? Nie wiesz. Pewnie ja. Przecież jestem mądry facet, nie geniusz, ale też i nie dupek. Prawda? Tak myślałem dopóki mnie tu nie zanosło... Bęćwał, choć bez winy. Ale i nie bez... A, nieważne... Chodź, popracujemy. Ja popracuję, a ty sobie idź na jakąś przekąskę z tych

**syrków, co to ich jeszcze nie widziałem... Ruszamy.**

**Dwie godziny później, gdy Tra zawisł niemal pionowo nad głową Jonathana, stosy wyrwanych drzewek i ułamanych gałęzi były gotowe. Najdalej od zagajnika leżał pojedynczy stos, nieco bliżej dwa i najbliższej - trzy. Jonathan dołożył starań, żeby z góry sztuczne pochodzenie stosów rzucało się w oczy - w myślach nazwał stosy A, AB i ABC i ułożył je tak, żeby wszystkie trzy A były w jednej linii, podobnie jak dwa B. Na jedną z długich gałęzi nawinął kilka pasm wyschniętej trawy, przystanął przy drugim A i podпалиł pochodnię. Szybko, zanim wypaliła się, podпалиł wszystkie sześć stosów i wrócił na koc. Susz rozpalił się, płomienie skoczyły do góry w daremnej próbie sięgnięcia nieba. Jonathan położył się na kocu. Nie odrywając spojrzenia od nieba, sięgnął po butelkę i pociągnął obficie. W zagajniku jakiś spłoszony zwierzak furknął głośno, potrącił gałąź i ucichł.**

**- Tak jest... - powiedział Jonathan do siebie. Żeby nie było wątpliwości sprecyzował: - Jonathan? Od jutra przestaniesz się zachwycać Ultene, a zaczniesz działać, żeby się z tego cuda wydostać, jasne? Jasne...**

**Od najbliższego stosu biło mocne ciepło, rozpiął koszulę i ułożył się ponownie. Płomienie ognisk już zaczynały przygasać, nie było sensu przenosić koca w inne miejsce. Zapalił cygaretkę. Kiedy się skończyła, pstryknięciem posłał ją w żar ogniska. Farmi wrócił dopiero, gdy kończył następną, a w popieliskach iskrzyły się tylko pojedyncze czerwone kropeczki. W butelce zostało alkoholu na dwa-trzy łyki. Chwilę potem skończył się samogon i cierpliwość. Obojętny Tra, ignorujący przejrzysty sygnał Jonathana, bezszelestnie ślizgał się po nieboskłonie, Farmi ułożył się obok koca i wylizywał poduszki przednich łap.**

**- Jeszcze pożałujesz...**

**Kilka sekund obserwował niebo, ale odpowiedź nie nadeszła, strzelił końcówką cygaretki w kierunku wygasłych ognisk i ułożył się do snu.**

**Soyeftiańska kuchnia!**

**Opiera się na mielonym mięsie rumów, zabrojów i - tak sędzę - frachtwołów. Mięso miele prymitywny młyn napędzany tylko wodą Oгона, tak więc nie ma w nim śladu finezji, właściwej innym urządzeniom z zastosowanym sprego. Poza Nat-Conal-Le sprego nie działa. Mięso miele się, miesza z jakimiś ziołami, ubija w beczkach wykonanych z frachtwolej porcelany i zwozi do oazy. Kadzie stoją w piwnicy budynku obok sadzawki, piwnica zimna jak wszyscy diabli i każdy kto ma ochotę, bierze sobie z tego miejskiego zapasu**

**ile potrzebuje. Nikt, rzecz jasna, tego nie pilnuje i - podobno - nigdy jeszcze tego nie zabrakło. Soyefcie tłumaczą to bardzo prosto - kiedy zapasy się kończą, wszyscy ograniczają korzystanie z mięsa. Prostym następstwem takiej gospodarki jest brak zwyczaju częstowania kogokolwiek czymkolwiek, przecież wszyscy mają to samo, więc ani nie zapraszają gościa do jedzenia czy picia, ani gość nie czuje się skrępowany, konsumując w gościnie co mu wpadnie w ręce.**

**Podstawą żywienia jest lerba. Soyeftiańskie zboże uprawiane na wszystkich trzech farmach satelitarnych. Ziarno lerby nie jest właściwie ziarnem, bo, niczym bulwy ziemniaków, rośnie pod ziemią, w skórzastych woreczkach uczepionych korzeni. Nać lerby wyrywa się ręcznie, uderza o specjalną kratownicę nad wózkiem i torebki nasienne zostają na wózku. I nać i ziarna uwielbiają człogi, dlatego pola otoczone są znieawidzoną z kolei przez te ziemne małże, tutta. Tutta to nieprzebyta dla człogów zaporą i namiastką, niezła zresztą, tytoniu. Tyle, że Soyefcie wolą nie palić niż zajmować się zbiorom tutta, rzeczywiście uciążliwym ze względu na to, że tutta nadaje się do zbioru podobno tylko przez jeden, najwyżej dwa dni w sezonie. Po zbiorze lerby w tuttowych płotach robi się przerwy, przez które walą na**

**pola stada człogów. Zadowolają się nacią lerby, pożerają ją, wydalają strawioną, użyźniając glebę i przekopują pola, ryjąc w poszukiwaniu niemal pojedynczych ziaren. Są chyba dla nich mocnym narkotykiem, czy czymś w rodzaju waleriany dla kota, może afrodyzjakiem? Niestety Soyefctie przechodzą obojętnie obok człogów i - rzecz niezwykła - nikt nawet nie domyśla się jak się one rozmnażają! W każdym razie udział człogów w kuchni Soyefctie polega tylko na działalności**

**"polowej". Z czego powinny się cieszyć. Jarzyny uprawia się i suszy na farmach satelitarnych, a świeże, u "źródła" strumienia, przy oazie. Farma Trzecia, na której jeszcze nie byłem, ma prócz pól lerby, duży sad. Stąd soki i marmolada, niemal biała, o wspaniałym świeżym i chłodnym zapachu i niezła w smaku. Zapomniałem zapytać skąd biorą ziola, które tu pija się jak naszą herbatę, ale pewne jest, że z którejś z farm. Reasumując, opis sugeruje, że Soyefctie jedzą raczej źle i monotennie, ale to pozory. Kobiety ich gotują wspaniale, wyczarowując z mielonki, czasem nieco grubszej, genialne sosy o fantastycznych aromatach. Przyznam, że nie wiem jak one to robią, mając tak niewiele ziół do dyspozycji. Usiłowałem trochę powęszyc po kuchni Ziry, ale wygląda, że to jedyne miejsce, gdzie niechętnie mnie widzą. Na razie zrezygnowałem. A! Soyeftiańskie jedzenie zupełnie nie tuczy, i to nie tylko mnie - nie znam ani jednego Soyefctie z nadwagą, mimo że kuchnia oparta jest na odpowiedniku naszej mąki. Nie mogę sobie tego wytłumaczyć inaczej jak działaniem sprego, chociaż wiem, że sprego mogą mieć tylko przedmioty martwe. Paradoks - martwe przedmioty:**

**samobieżne schody, wózki poruszające się niemal bez napędu (są tylko dwa na całą oazę) czy zeskakujące z człowieka ubrania?!**

**Wróćmy do kuchni. Kawy ani żadnego zamiennika w Ultene nie ma.**

**Stymulatorem jest jakiś napar ziołowy o nieporównywalnie skuteczniejszym działaniu - pod jego wpływem opanowałem crasa w trzy czy cztery doby, a oni w tym samym czasie angielski. Co prawda powoduje**

- jeśli wierzyć Kryczowi - uzależnienie, ale gdyby można by go było wytwarzać na Ziemi, zrewolucjonizowałby szkolnictwo. Tak sobie wyobrażam - cykl naparów zamiast szkoły, kilka głębszych - studia...

Siedemdziesiąta czwarta doba; świt

Przebudzenie przyniosło ze sobą dominujące w nastroju uczucie zniechęcenia i pustki. Położenie słońca i Tra, ironicznie wiszącego nad głową, wskazywało, że udało mu się przespać pod gło pierwszą część dnia, a kołaczące się po głowie myśli barwiły otoczenie, okoliczności i zamierzenia na nieciekawą szaroburę kolor. Potężne ziewnięcie, po niemal dziesięciu godzinach snu, było zapowiedzią niechętnego stosunku do reszty dnia.

- Muł... - mruknął Jonathan do koca.

Ułożył się na boku, z głową na przedramieniu. -wiat widziany zredukował się do gruboziarnistego piachu, strzępka uschniętej łodyżki, małego płaskiego kamyka. Nic w tym ograniczonym wykadrowanym przez możliwości oka pejzażu, nie poruszało się i panowała w nim niemal absolutna cisza. To właśnie jest Oaza Dobrej Magii, pomyślał Jonathan. Bezruch i cisza. Cokolwiek się poruszy, będzie łamało stabilny układ. Niepotrzebnie się poruszałem. Mógłbym założyć sobie stadło z dwiema żonami, grywać z jednym teściem w hagrę, z drugim... Nawet nie wiem co lubi drugi, aha - lubi opowieści. No to bajałbym do poduszki. Spokojne, stabilne życie.

- Gówno tam... - powiedział na głos, chcąc wyrwać się z bagnistego nastroju. Odrzucił koc jednym szarpnięciem, usiadł i energicznie przetarł oczy kostkami palców. Rozejrzał się. Małe wgniecenie wygładzone przez ciało Farmi, wskazywało gdzie spędził noc, a łańcuszek śladów na piachu prowadził pomiędzy gło. - -niadanko... - mruknął ze zrozumieniem.



**Sprawdził kieszenie - zapalniczka, cygaretki...**

**- Trzeba było pomyśleć o nożu - zbesztal sam siebie. - Trudno, przyniosę potem.**

**Strząsnął piach z koca i złożył go porządnie, a potem wszedł pomiędzy gęsto i wyszukując najsuchsze, ewidentnie skazane na zagładę, zaczął odłamywać z nich gałęzie i gromadzić w stosy. Wkrótce koszula ściemniała od potu, pokłuł w kilku miejscach dłonie do krwi, a w brzuchu coraz mocniej burczało i głodowe spazmy dokuczliwie kąsały żołądek. Ale dopiero, gdy przeniósł wszystkie przygotowane w zagajniku stosy na miejsce wczorajszych ognisk i rozmieścił w równych kupkach na wystygłych popiołach, wytarł dokładnie czoło przedramieniem i popatrzył na mury oazy. Wiatrochrapy dostojnie mlóciły powietrze zagarniając je jednocześnie, by za chwilę odrzucić za siebie i chwycić inną porcję; mury pustą gładź grzbietów wystawiły na południowe słońce i drzemały w bezruchu, puste, nie niepokojone przez żadnego Soyeffie. Nic się nie poruszyło, nawet, kiedy Jonathan szedł w kierunku bramy. Już pod samymi murami - odwróciwszy się i zobaczywszy stado frachtwołów - zmienił zamiar i zawrócił w jego kierunku. Zbliżając się do stada zastanawiał się, dlaczego zdecydował się o pustym brzuchu zajmować jeszcze jednym swoim pomysłem i oprócz zacierzenia nic mu nie przyszło do głowy.**

**Wszedł pomiędzy zwierzęta i długo wybierał wierzchowca. Zdecydował się na sporego samca, wyróżniającego się jednak nie wielkością, a jasną plamą na lewym nozdrzu. Wyciągnął go ze stada, podprowadził pod gęsto, na którym wciąż jeszcze wisiał sznur i szczotka używane do czyszczenia Cynamon, a potem starannie wyczyścił frachtwoła, zanurzając się pod koniec w jasnym obłoku pyłu i mocnym zapachu korzeni.**

**- Pepper, dobrze? - stanął na wprost pyska i pogłaskał zwierzę po długim płaskim łbie. - Może być?**

Frachtwól milczeniem zaakceptował propozycję. Jonathan związał sznur, tworząc z niego kantar i umocował na pysku i szyi Peppera. Odsunął się o krok chcąc przyjrzeć się swojemu dziełu, ale w tej samej chwili frachtwól sapnął, odwrócił się i poczłapał do stada, a Jonathan patrzył nań, aż Pepper zgrabnie wsunął się pomiędzy inne frachtwoły i zniknął z pola widzenia. Chwilę potem, kiedy człowiek napinał mięśnie żeby odwrócić się i wykonać pierwszy krok, łeb Peppera nagle wysunął się ponad inne pochylone szyje i frachtwól zerknął w kierunku Jonathana, jakby sprawdzając czy wciąż jeszcze stoi na poprzednim miejscu. Stał, ale tylko chwilę, potem skierował się w stronę bramy, minął ją bocznymi uliczkami, pustymi i cichymi, jak zresztą wszystkie i niemal zawsze w Nat-Conal-le, dotarł do budynku Bazy Kamiennej i sprawdził jej działanie. Trwała w swojej chorobie, przypominając Jonathanowi nieumiejętnie zaprogramowany komputer. Po kilku próbach zrezygnował z dręczenia Bazy, wyszedł na ulicę i ruszył w kierunku domu. Mimo wszystko, mimo swojego soyeftiańskiego charakteru, mimo dziwnej, na pierwszy rzut oka prymitywnej, ale wspaniale funkcjonującej łazienki i ubikacji, mimo jarzących się ścian i utrzymujących ciepło albo chłód naczyń i usłużnie przysuwającego się łóżka, tylko tam czuł się w miarę dobrze i w jakiś sposób bezpiecznie. Marzyły mu się co prawda normalne drzwi, które nie śpieszą z otwieraniem, dopóki mieszkaniec domu nie pociągnie za klamkę, ale zdawał sobie sprawę z trudności materiałowych i że nie będzie to przychylnie przyjęte przez mieszkańców oazy. Zrezygnował z pomysłu, który teraz, kiedy wracał spocony zmęczony i głodny, wydał mu się szczególnie atrakcyjny.

Zatrzymał się nawet przy swoich otwartych jak zawsze na oścież drzwiach, zastanowił nad blokadą, ale nie znalazł sposobu. Wszedł do pokoju. Ziyra, zajęta od dwu tygodni niemal nieustannie szyciem kolejnych bluz i spodni, które natychmiast po uszyciu przechodziły w inne ręce, oderwała spojrzenie

od materiału i uśmiechnęła się do Jonathana. Odwzajemnił uśmiech, podszedł i pocałował ją w kark. Potrząsnęła włosami, najdłuższymi w oazie.

- Nie bałeś się?

- Czego? - Jonathan wzruszeniem ramion podkreślił, bagatelizującą pytanie, odpowiedź. Podszedł do półki i duszkiem wypił cały dzbanek słodkiego napoju. Żołądek burknął raz i natychmiast dokuczliwie piekące ssanie ustało. - Dzisiaj też tam będę spał - powiedział.

Ziyra uniosła brew i poruszyła jednym ramieniem. Nie wiedziała jak ustosunkować się do dziwnego pomysłu mężczyzny.

- Po co?

- Sam za bardzo nie wiem, ale ten Tra wydaje mi się sztucznym tworem...

Ziyra parsknęła śmiechem. Rzuciła na stół niedokończone szarawary, plasnęła rękami w uda.

- Jonathan, nie jesteś na Ziemi!.. - zawołała wstając i idąc w jego kierunku.

- My nie mamy możliwości stworzenia Tra, ani niczego podobnego...

- Skąd wiesz, że nie jesteśmy na Ziemi? Przecież nawet nie macie określenia na swoją planetę? Skąd wiesz, że inni mieszkańcy tego świata nie potrafią budować sztucznych satelitów?

Pytania zatrzymały Ziyrę tuż przed Jonathanem, wydawało mu się, że zamierzała podejść i zarzucić mu ramiona na szyję, przytulić się, ale rzucane niechętnym tonem, znane już z podobnych rozmów słowa, zdania, pytania, zniechęciły ją do pieszczot. Badawcze spojrzenie utkwiała w oczach Jonathana, szukała w nich odpowiedzi na niezadane, ale wiszące w powietrzu pytanie:

- Czy odpowiedzi są dla ciebie aż tak ważne?

- Szukam odpowiedzi... Są dla mnie ważne. Zrozum - ani wy ani ja nie możemy się zmienić. W tej chwili może tylko drażnię i to tylko niektórych, ale skąd mogę wiedzieć, czy za jakiś czas znowu ktoś nie zarządzi usunięcia mnie z Oazy? I czy tym razem nie znajdzie mocniejszego poparcia u

innych? I co, mam się wynieść w nieznane? - Ominął Ziyre, podszedł do łóżka i zwałił się na plecy. - Muszę wiedzieć jak najwięcej o tym co mnie otacza, a przede wszystkim o tym dziwnym tworze nad głową. O ile wiem tak się

nie zachowują naturalne ciała niebieskie, on wisi niemal stale nad głową...

- Przecież zachodzi...

- Ale na krótko. I niemal natychmiast wraca. A może wtedy pojawia się drugi identyczny obiekt - odwrócił głowę i popatrzył na dziewczynę. -

Chyba nie powiesz, że na waszym niebie znajduje się kilka identycznych naturalnych księżyców!

Zastanawiała się chwilę nad jego słowami, a potem - po prostu - ruszyła do swojego stolika i wróciła do szycia. Jonathan chwilę patrzył na nią, potem ułożył głowę na splecionych na poduszce dłoniach i utkwiał spojrzenie w suficie.

- Jeśli chcesz możesz pójść tam ze mną - powiedział w przestrzeń nad sobą.

- Możemy wziąć ze sobą jakieś zapasy i zrobić sobie nocny biwak. Wezmę walkmana...

- Pójdę, ale bez tego...

Podniósł głowę i popatrzył na nią. Miała spojrzenie utkwione w kanciastym pakunku: przykrytych zgrzebną narzutą maszynie i walkmanie. Spojrzenie pełne było niechęci, wymieszanej z obrzydzeniem, jak gdyby patrzyła na śliskiego płaza.

- Miałem cię już wcześniej zapytać, ale ktoś mi przeszkodził: wy nie lubicie muzyki?

- Muzyki?... Nie, muzyki nie, ale śpiew... - Ostatnie słowo wydusiła z siebie jakby ważyło kilkanaście kilogramów. - My tego... - potrząsnęła głową. - Nie pytaj mnie. Po prostu nie włączaj tego przy mnie, a najlepiej w ogóle.

- Ale dlaczego? - Jonathan usiadł na łóżku. Ziyra nie od powiedziała, wróciła do szycia, nie odrywając wzroku od trzymanyh w ręku materiału i

igły. - Przecież włączałem już to. To tylko urządzenie do magazynowania dźwięków, jeśli chcesz mogę nagrać to, co mówisz i za chwilę wysłuchasz samej siebie...

- Proszę!

- Dobrze, nie wezmę ze sobą walkmana, będziemy palić ogniska, jeść grzanki popijając winem i czekać na znak z góry. Czy ten plan ma w sobie jakieś nieprzyjemne elementy?

Ziyra oderwała się od szycia i długą chwilę wpatrywała się w Jonathana. Potem wolno, nie rozchylając ust pokręciła głową. Widziała, że mężczyzna nabiera tchu chcąc zadać jakieś pytanie i opuściła głowę, tak zdecydowanym ruchem, że Jonathan westchnął tylko i opadł na poduszkę, by pogрузić się w rozmyślaniach, zadać samemu sobie, po raz nie wiadomo który, znane już doskonale pytania. Te pytania, choć używane niczym rytmicznie, mozolnie, uparcie uderzający w to samo miejsce taran, wciąż nie wywoływały odpowiedzi; z muru niewiedzy o krainie Soyefcie nie odłupały najmniejszego kamyka. Jątrzyły umysł, blokowały tok rozumowania przez swoje niespełnienie i natarczywość, powtarzalność niemal mechaniczną. Długi czas, około dwóch tygodni, Jonathan wierzył, że opanowanie martwego pisemnego języka otworzy mu drogę do dogłębnego poznania Ultene i jej mieszkańców, ale teraz, kiedy jedyne źródło tej wiedzy, Baza Kamienna najwyraźniej popsuka się, zawiodła i ta nadzieja. Jonathan nawet nie pytał czy ktoś potrafi naprawić Bazę, wystarczyło mu, że jeśli ktokolwiek słyszał o niej, zastanawiał się długą chwilę, a potem mimicznie wyrażał zdziwienie. Soyefcie nie interesowali się swoją historią, tak jak nie interesowały ich zasoby Ultene, możliwości ich wykorzystania, jak nie interesował ich rozwój rolnictwa, jak woleli jeść konserwowane w farmach mielone mięso frachtwołów i drobnych niby-świnek, rezygnując z każdego twardszego kawałka mięsa, na rzecz wygodnictwa i hołdowania

tradycji. Nawet Ziyra, wiele rzeczy dziwnych dla swoich ziomków akceptująca, nie potrafiła najczęściej zrozumieć Jonathana. Krycz, najbardziej elastyczny z Soyefcie, kiedy Jonathan udowadniał mu korzyści płynące z historii zapytał:

- Krótko, jak najkrócej powiedz: po co nam historia?

- Żeby nie popełniać tych samych błędów po raz drugi - po krótkim namyśle powiedział Jonathan.

- Myślisz, że wiedza o błędach strzeże przed ich popełnianiem?

- Powinna i może.

- A nie wydaje ci się, że żeby tak było należałoby ustalić niezmiennosc świata?

- Ależ skąd! -wiat jest zmienny...

- No to skoro sytuacje się zmieniają powinny również zmieniać się reakcje, prawda?

Jonathan pokręcił głową. Gorączkowo zastanawiał się nad ripostą, ale zdawał sobie sprawę, że Krycz wykazał się mistrzem erystyki, natomiast on gubił się w dysputach z wyrobionymi w szermierce słownej przeciwnikami.

- Nieprawda... - odchrząknął. Chcąc zyskać na czasie, zapalił cygaretkę, chociaż kilkanaście sekund wcześniej zgasił jej poprzedniczkę. - Wiedząc, co zrobiliśmy źle, unikamy tego w przyszłości.

A wtedy Krycz dobił go i skończył dysputę:

- O ile pamiętam... - powiedział chytrze mrużąc oczy - ...wspominałeś coś o kilkunastu czy nawet kilkudziesięciu wojnach w waszym świecie, tak?

Jonathan pokiwał głową i uniósł ręce do góry.

- Być może pokonałeś mnie w pojedynku na słowa... - przyznał. - Ale naprawdę nie znaczy to, że masz rację. Po prostu trafiłeś na słabego fechmistrza.

- Fechmistrz... Wyjaśnij mi to.

I rozmowa potoczyła się jak większość z nich - zeszli na opowieści o Ziemi,

używając takiego właśnie pojęcia - wcześniej uzgodnili, że najwygodniej będzie założyć przybycie Jonathana z innej planety. Bo każdy inny wariant stawał się jeszcze bardziej skomplikowany. Jonathan tradycyjnie zapalał się do któregoś z poruszanych przez Krycza tematów, perorował zawzięcie, potem przytomniał na chwilę, przynajmniej na tyle, że uświadamiał sobie własne emocjonalne zaangażowanie, bezładnie kończył wypowiedź, obiecując sobie opanowanie i chłodne spojrzenie, ale następne pytanie Krycza z reguły rzucało go ponownie w wir namiętnego reklamowania swojego świata i rządzących nim reguł. Tak było również tym razem - niewiele z tego, co czuł, przekazał i niczego nie osiągnął.

**Soyeftie!**

Szczupli. To pierwsza rzecz, jaka rzuca się w oczy. Krótkie ciemne azjatyckie włosy. Bezwłose piersi mężczyzn i ostre włosy łonowe u obu płci. Tylko niektórzy z mężczyzn zmuszeni są golić się, i to raz na kilka dni, większość nie używa brzytwy, bo nie musi. Ja również musiałem zacząć się golić - tak intensywnie wpatrywali się w moje wąsy, że nabrałem idiotycznego nawyku nieustannego wycierania nosa. Charakterystyczne dla ich twarzy są, wysoko pod oczami, umieszczone kości policzkowe, ale nie tak wyraźnie jak u Azjatów, jakby nakryte płatem tkanki mięśniowej. Oczy ciemne, żadnych zielonych, szarych czy błękitnych. Wyobrażam sobie jaką furorę bym tu zrobił mając szare oczy Dicka. Napisałem już, że są szczupli, dopiero około naszej czterdziestki ich ciała nabierają pewnej krągłości, co jest szczególnie apetyczne u kobiet. Vide mój romans z Maniką. "Apetyczne" to najwłaściwsze w przypadku jej ciała określenie - mocne, jędrne, twarde, jakby było zbudowane z innego rodzaju tkanki. Krycz, staruszek według ziemskich pojęć, jest zbudowany jak nasz czterdziestokilkulatek. A` propos wieku - długo i nie zupełnie z dobrym

skutkiem zmagalem się z tutejszym obliczaniem czasu. Doba ma niecałe dwadzieścia dwie godziny, jeśli mój naprawiony przez Manikę zegarek chodzi dobrze. Dwadzieścia dwie godziny i czterdzieści kilka minut. Ale stosunek dnia do nocy jest zmienny, dwanaście - dziesięć, jedenaście - jedenaście, dziesięć i pół do jedenastu i pół. Częściowo winien jest tajemniczy Tra, który miotając się po nieboskłonie, przyspiesza czasem świt i opóźnia noc, ale wydaje mi się, że i bez niego panuje tu w tej dziedzinie bałagan. Próbowałem wyjaśnić co się dzieje z porami roku. Nic! To znaczy teraz jest nieco chłodniejsza część czterystudniowego roku, ale co do tego też nie ma pewności. Soyefcie beztrąsko nie liczą lat ani dni. Żadne z nich nie wie dokładnie, ile przeżyło, naprawdę czasem wydaje mi się, że ich lekkomyślność... wynika, nie wiem, chyba tak zachowywałby się ktoś, kto czasowo tylko... Zupełnie jak ludzie, którzy na kilka godzin zasiedlają hotelowy pokój - nie rozpakowują walizek, nie wieszają na ścianach ulubionych obrazków, nie przestawiają mebli. Korzystają z hotelowych kiepskich kosmetyków, a czasem nie chce im się nawet otworzyć okna, żeby przewietrzyć pokój. To porównanie wydaje mi się bardzo trafne. Soyefcie - czasowi mieszkańcy Nat-Conal-Le? Tylko skąd i dlaczego? Kto im wynajął ten pokój, ile za to zapłacili? Może to azyl? Więzienie? Skazańcy? Wygnańcy? A może wybrańcy?! Raj czy piekło?...

Nigdy nie widziałem Soyefcie z otwartymi ustami. Oczywiście, poza tymi chwilami kiedy mówią. Oddychają tylko przez nos i nawet chichoczą z zamkniętymi ustami, no chyba, że rechoczą. Nigdy nie śnią. Manika długo nie mogła pojąć co to jest sen i wciąż dopytywała się o sens tego zjawiska. Ziyrą również nie może tego zrozumieć: uważa, że śpi się po to żeby wypocząć, a nie żeby pędzić pozorny żywot, na dodatek czasem bardzo nieprzyjemny i straszny. Ponieważ właściwie nie używają alkoholu, a na pewno się nie



upijają, trudno jest im wytłumaczyć halucynacje, majaczenia, pozorne przeżywanie czegoś. Po długich sporach każda ze stron pozostała przy swoim: ja, że nie widzę w snach nic złego, a czasem - przynajmniej w moim przypadku - nawet mam z nich pożytek (całą furę pomysłów zawdzięczam sennym fantasmagoriom), Soyefcie zaś, przy umiłowaniu ciemnych bezsennych nocy, z racjonalnym wypoczynkiem na czele. Skutkiem czego, na samym początku nocy, miasto zamiera, może jeszcze tylko seks i sen. Co do seksu - ze słów Maniki wynika, że kobiety zachodzą tu w ciążę wyłącznie z premedytacją, nie ma przypadkowych czy niechcianych dzieci. Jeśli miałbym się zdobyć na ironię powiedziałbym, że przy całkowitej swobodzie seksualnej był to jedyny sposób na uniknięcie szczelnego wypełnienia Nat-Conal-Le chmarą przybrudzonych dzieciaków. Seks jest tu powszechny i powszedni. Pewnie dlatego nie mają pojęcia o astronomii, ich gwiazdy są zupełnie im obce, anonimowe i obojętne. Jedynym - i to mnie zastanawia - ciałem niebieskim mającym swoją nazwę jest Tra. Nawet Słońce - to po prostu słońce. Czy to nie świadczy o szczególnej roli Tra, chociaż nikt tego - nawet sami Soyefcie - nie zauważają? Jeszcze jeden przyczynek do mojej coraz bardziej uargumentowanej teorii, według której, wszystkie niekonsekwencje tutejszego świata, niemal wszystkie zagadki tłumaczy "fragmentaryczność" Ultene, coś, jakby cała ta kraina była jedynie fragmentem większej całości. Sądzę, że gdyby wyrwać z Ziemi jakąś część narodu, dać jej to, co niezbędne do życia, pozbawić pamięci o przeszłości i samoświadomości, gdyby pozostawić tylko niektóre modele zachowań, ich część, gdyby nastawić tę grupę ludzi tylko na konsumpcyjny, chociaż uproszczony stosunek do życia, to czyż nie mielibyśmy niemal identycznego z Soyefcie narodu? Tylko po co ktoś by przeprowadzał taki eksperyment? I jeszcze jedna rzecz: przeczytałem przed chwilą wszystko, co zapisałem na tym magicznym dysku. Wynika z tego, że Soyefcie to zdegenerowana rasa, troszcząca się wyłącznie o napelnienie brzucha. To nieprawda: niezbyt

chętnie, ale bez najmniejszego szemrania tworzą czasowe ekipy farmerskie, bez poganiania, w miarę wolnego czasu uprawiają jarzynowe poletka obok źródła zaopatrującego oazę w wodę i nigdy nie zdarzyło się, żeby uprawy były zaniedbane. Każdy, kto potrafi coś zrobić, a potrafi tu coś każdy, wykonuje tę pracę bez ponaglenia i tylko dzięki tej dyscyplinie, niemal komunistycznego typu, wszyscy mają ubrania, sprzęty domowego użytku, ogień i cygaretki. Weźmy chociażby te ostatnie - tak naprawdę stale palących w Nat-Conal-Le nie ma. I gdyby to ludzie byli na miejscu Soyefcie powiedzieliby: "To jest używka, i luksus, i niech się tym zajmują ci, co palą!". W Ultene jest inaczej - Soyefcie pokpiwają z palaczy, ale przy każdej okazji, jeśli tylko farmerzy mają czas, zajmują się zbiorem tutty, do niczego w gruncie rzeczy niepotrzebnej. Jakiś paradoksalny altruizm. To samo dotyczy samogonu, co prawda od dawna go nie produkują, ale kiedyś musiało być z nim tak samo jak z tutką. A może palenie zaniknie jak picie? Biedni Soyefcie...

**Siedemdziesiąta dziewięta doba, noc;**

**Osiemdziesiąty dzień**

**Połączone siły gazu i sprego zakończyły działalność podczas czwartego nocnego czuwania. Zapalniczka reagowała na ruchy palca wyłącznie cichym trzaskiem i malutką iskrą przeskakującą z końcówki piezoelementu na wylot zaworu gazu. Z sześciu ognisk rozpalonych godzinę temu, w dwu pełgały jeszcze pojedyncze płomyki i rubinowo pałały kupki żaru. Jonathan szybko pobiegł do zagajnika gelo. Najpierw na chybił trafił wyłamał dwie gałęzie, które podrzucił do większego z ognisk, a potem nieco spokojniejszy przypalił cygaretkę i ruszył na poszukiwanie nowych rejonów obfitujących w susz gelo. Po pół godzinie zgromadził wystarczający na całą noc zapas**

chrustu, przeniósł w pobliże małego ogniska koc i ułożył się na plecach. W trakcie czterodniowych czuwań, sformułował kilka wniosków nasuwających się z obserwacji. Po pierwsze, Tra poruszał się po nieboskłonie jak podłużna świetlna dioda, jedna z kilkuset, zapalanych po kolei, żeby wyrysować na nieboskłonie jakąś trasę - zawsze wycelowany jednym końcem wrzeczona w kierunku ruchu. -wiadczyło to, zdaniem Jonathana, niezbitcie, o sztucznym pochodzeniu obiektu zwanego przez Soyeffie Tra. Regularny kształt musiał być wytworem ręki człowieka. Być może Tra wirował - i było to niewątpliwie najwłaściwszym sposobem zapewnienia na stacji ciężenia - wokół podłużnej osi symetrii obiektu. W takim przypadku jego sztuczne pochodzenie nie podlegało żadnej dyskusji. Wniosek drugi: ponieważ Tra widoczny był przez większą część soyeffiańskiej doby i znikał tylko na mniej więcej jedną trzecią nocy, musiał albo gwałtownie przyspieszać, znikając z oczu mieszkańcom Ultene, albo istniało kilka identycznych satelitów, co najmniej dwa, które zastępowały jeden drugiego na straży Krainy Dobrej Magii. Konsekwencją tych dwóch wniosków i wyniosłego braku reakcji na sygnały Jonathana była konkluzja trzecia: być może sztuczny satelita Tra wcale nie zajmował się obserwacją Ultene, a to z kolei znaczyło, że ziemie Soyeffie wcale nie były tak głęboko odizolowane jak sami oni twierdzili.

- Bouu-laach-ch... - głośne ziewnięcie na chwilę odsunęło ciszę panującą dookoła. Podczas drugiej i trzeciej nocy sekundowała Jonathanowi Ziyra, ale tę postanowiła spędzić w domu. Namawiała go zresztą do tego samego, ale on postanowił spać poza murami przez co najmniej dziewięć dni, co trzy zmieniając konfigurację ognisk. Farmi, jak to miał w zwyczaju udał się na spóźnioną kolację. Powinien był lada moment pojawić się obok posłania. Zaszleściło coś w zagajniku, jakby o pień gelo otarła się czyjaś skóra. - Pepper? - zawołał Jonathan. - Farmi?

Mimo różnej intonacji nie udało mu się ukryć przed samym sobą, że

nieprzyjemna fala lekkiego klucia przemknęła po jego plecach, a oddech bezwolnie stał się płytszy i szybszy. Rozjaśniona przez Tra ciemność zgęstniała. Najpierw Jonathan pomyślał, że to jego strach zagęszcza mrok, ale kiedy rzucił spojrzenie na niebo, zauważył, że rzadka mgielka rozciągniętego na ćwierć nieboskłonu obłoku, przesłoniła księżyc. To też była rzadkość na soyeftiańskim niebie, dopiero trzeci czy czwarty obłok zauważony przez człowieka z zewnątrz. Jeszcze jedno dziwactwo w tej, żywcem wydartej ze stron, napisanej bez dbałości o konsekwencję, powieści.

Ponownie z zagajnika dobiegł go hałas, tym razem było to stuknięcie - coś twardszego od ciała zwierzęcia uderzyło chyba o wystający gruby konar. Bezgłośnie w żołądku urosła i rozplynęła się kula zimna, Jonathan przełknął zgęstniałą ślinę i poderwał się na kolana. Z zanurzonego w ciemności zagajnika wyskoczył Farmi i bezszelestnie odbijając się od ziemi, kilkoma susami dopadł Jonathana. Od razu poczuł się pewniej. Nie widział nigdy kotuna atakującego najmniejsze zwierzę, a tym bardziej człowieka, ale obecność drapieżnika dorównującego wielkością amerykańskiej pumie podniosła go na duchu.

- Widziałeś tam kogoś? - zapytał po angielsku. - Czy to tylko moja imaginacja?

Opadł na koc, ale nie zdobył się na odwrócenie plecami do zgęstniałych pod wpływem strachu ciemności. Tra wyłonił się z pasma mglistego obłoku, czerń nocy spłoszona miękko nasuwającą się na ziemię zimną poświatą, bezszelestnie odsunęła się i przyczaiła w głębi gelowego lasku. Farmi jakby udzielił się niepokój człowieka, stał z ręką Jonathana na grzbiecie, wpatrując się jak i on w brzeg zarośli, skąd we wszystkie strony, niczym palce wystraszonych wartowników, sterczały suche, jasnymi kropkami bielejące w miejscach złamania kikuty gałęzi.

- Bez paniki, chłopie - powiedział w ojczystym języku. - Znasz trzy chwytty judo i masz przy sobie niewielką, ale jędrną panterę. Trzeba było by czołgu, żeby rozbić tę naszą małą koalicję.

Sapnął, odwrócił się i wrzucił do ognienka dwie małe gałązki. Uświadomił sobie, że zebrał tylko tyle gałęzi ile potrzebował, by przed zaśnięciem mieć ogień do zapalenia cygaretki, teraz okazało się, że jest to stanowczo za mało. Zdawał sobie sprawę, że nie zaśnie w ciemnościach, które spotęgują lęk, i równie dobrze wiedział, że nie odważy się pójść w ciemnościach do Oazy. Szybko oszacował zapas suszu i już nie ryzykując zwłoki, szybko wydarł z kilku kęp rachitycznej trawy parę garści długich pasm, namotał na trzy złożone razem gałęzie i rozpalil zaimprovizowaną pochodnię. Farmi syknął, gdy buchnął kłęb ognia, odsunął się, ale niezbyt daleko i widząc, że człowiek rusza w kierunku sucholasu dwoma skokami dołączył do niego.

Jasny płomień spalał ciemność, ale tylko w promieniu kilku jardów od swojego jądra, dalej mrok atakował ze zdwojoną siłą. Jonathan udawał, że akurat tyle jest mu potrzebne do utrzymania duchowej równowagi. Czując napiętą przeponę i świadom spłyconego oddechu, szybko nałamał gałęzi, nie troszcząc się żeby były suche i o ewentualne szkody wyrządzone w lasku, przeniósł do gasnącego ogniska, dorzucił kilka z nich i korzystając z wciąż jasnego płomienia pochodni - wrócił i powtórzył operację. Mając już przygotowane obfite naręcze, uporządkował ognisko - zgarnął na kupkę żar, wetknął promieniście kilka grubszych gałęzi, w środek włożył kilkanaście cienkich patyczków. Płomień ochoczo wskoczył na świeżą pożywkę, rozgorzał jasno. Któraś ze świeższych gałęzi zasyczała w ogniu, trzasnęła cicho. Farmi ziewnął przeciągle i ułożył się tuż obok koca.

Daje mi do zrozumienia, że cokolwiek nas wystraszyło, pomyślał, odeszło i przestało zagrażać. Choć nie wiem, co mogłoby nam tu zagrażać. Patrząc jednak obiektywnie - co i rusz coś mnie tu zaskakuje, może więc okazać się, że Krycz zapomniał albo nie uznał za potrzebne poinformować mnie o

grasujących tu w nocy wilkołakach, szakalach, węzach czy niedźwiedziach.  
Co za popieprzony świat?!

Rozsiadł się wygodnie, zerknął w górę, ułożył na plecach i zanim zdał sobie sprawę, że kilkanaście minut temu bał się rzucić spojrzenie za siebie, zasnął. Obudziło go uderzenie w udo. Nocne strachy raźnie skoczyły do gardła, poderwał się z legowiska z czołem zlanym ohydny, zimnym, lepkiem potem, z przygotowanymi na najgorsze, wytrzeszczonymi oczami. Zobaczył tylko znikającego w lasku Farmi, musiał go potrącić przeskakując przez nogi. Ognisko wygasło dawno temu, ale udało mu się w popiele znaleźć dwa kawałki żarzącego się jeszcze drewna, szybko podparł się na dłoniach, pochylił jakby chciał ucałować popiół i przypalił przedostatnią cygaretkę. Mimo pustego żołądka, dym smakował wybornie i Jonathan rozkoszował się długą chwilę jego smakiem, zanim nie uświadomił sobie panującej wokół przeraźliwie martwej ciszy.

Nat-Conal-Le nigdy nie dorównywała hałaśliwością najmniejszej brytyjskiej wiosce, ale zawsze można było wyodrębnić w akustycznym tle odgłosy świadczące o jej życiu - nawoływania kąpiących się niemal bez przerwy dzieciaków, odgłosy stępek, w których kobiety ubijały na suchą miazgę ziarno lerby, a robiły to codziennie, skrupulatnie odmierzając porcje na jeden posiłek, brzęk strąconego na podłogę naczynia. Teraz, mimo wytężonego słuchu, Jonathan nie mógł doszukać się w otoczeniu niczego prócz martwej lodowato zimnej ciszy. Jak zwykle wolno, niezmiennie i upokarzająco dla człowieka, niezawodnie wirował jeden z wiatrochrapów, ale tylko jeden, co nie zdarzało się nigdy, i był jedynym poruszającym się w zasięgu wzroku przedmiotem. Poganiany niepokojem Jonathan rzucił się do składania koca, cygaretką wypadła mu z ręki, potem jeszcze raz i zgasła w piachu rozdeptana rozdrażnionym ruchem obcasa. Po kilku minutach szybkiego marszu Jonathan dotarł do bramy, przystanął przy najbliższej ścianie budynku i zawołał najpierw Ziyrę, a potem, gdy nie

odezwała się - Krycza. Jej ojciec również, po raz pierwszy od zawarcia znajomości, nie zareagował na wezwanie. Jonathan nie czekał już dłużej, rzucił koc pod ścianę i pobiegł w kierunku mieszkania. Ulice Nat-Conal-Le były przeraźliwie puste, a lustro sadzawki połyskiwało matowo, idealną gładzią. Gdy Jonathan zatrzymał się chcąc rozejrzeć i zawołać kogoś, usłyszał coś jak daleki pomruk, który skojarzył mu się z niskim dudnieniem kilku pracujących na wolnych obrotach silników. Zawahał się, ale zdecydował, że najpierw sprawdzi mieszkanie, ruszył biegiem do domu, po drodze zmieniając zamiar i postanawiając wybiec na wieżę, skąd można będzie sprawdzić źródło hałasu.

Mieszkanie było puste. Mały stosik gotowych bluzek zajmował jedną trzecią stolika, na pozostałej części rozłożona była czwarta niedokończona bluzka, igła, nici, ostra jak brzytwa gilotynka do krojenia materiału. Jonathan rozejrzał się bezradnie po pokoju, szukając czegoś przydatnego w aktualnej sytuacji, nie wiedział czego szuka, ale na pewno skorzystałby z jakiegokolwiek broni. Tyle że w Ultene jedyną bronią mógł być nóż. Jonathan rzucił w przestrzeń kilka niecenzuralnych słów, kłął przez zęby, biegnąc przez korytarz w kierunku pochylni, dorzucił jeszcze kilka, gdy zamiast wystartować swoim robaczkowym ruchem, leżała kamiennie nieruchoma, podczas gdy on wspinał się po jej nieruchomym grzbiecie, jak w pierwszych dniach pobytu w Oazie. Wpadł na balkon zdyszany, wściekły i zaniepokojony. Przypadł do barierki i szybko zlustrował południową część osady i przestrzeń za murami - sucholas gelo i kierunek na satelitarne farmy. Panorama składała się wyłącznie z budynków, drzew i ziemi, nigdzie w zasięgu wzroku nie widać było ani jednego Soyefcie. Zaciskając zęby, aż zgrzytnęło w ustach przesunął się w lewo nie odrywając spojrzenia od pejzażu, pomruk silników nasilił się, Jonathan skoczył w bok i nagle dźwięk eksplodował w uszach jak gdyby otworzył dźwiękoszczelne drzwi i wszedł do hali pełnej warczących

turbin.

Cała ludność Oazy Dobrej Magii znajdowała się na murach północnej strony osady. Na górnej płaskiej stronie murów stali wymieszani mężczyźni, kobiety, dzieci, starcy, wszyscy sztywno wyprostowani, z opuszczonymi rękami, oddzieleni od najbliższego człowieka dwoma-trzema stopami wolnej przestrzeni. Twarze wszystkich skierowane były na tłum około setki nieznanym Jonathanowi ludzi. Z tej odległości nie widział ich twarzy, ale ich ubiory różniły się od lekkich "domowych" strojów Soyefcie. Stali równie nieruchomo jak miejscowi, identycznie oddzieleni od siebie dwoma stopami wolnej przestrzeni, za ich plecami zbiły się w ciasną grupę frachtwoły, jeszcze nie rozkiełznane, objuczone sakwami, z kantarami na pyskach; z pochew przytroczonych do siodeł wystawały rękojeści jakichś mieczy czy szabel. Jonathan szarpnął się, chcąc pobiec do stojących na murach mieszkańców, powstrzymał się, znowu oderwał zaciśnięte na barierce dłonie i jeszcze raz zacisnął je na kamiennej balustradzie. Zauważył, że brama jest otwarta,

a żadna ze stron, mimo półminutowej obserwacji, nie wykonała najmniejszego ruchu, choć nie ulegało wątpliwości, że obcy nie żywią przyjaznych zamiarów. Należało zrozumieć co właściwie dzieje się na murach i przed nimi. Jonathan wsłuchał się, zaczął rozróżniać w monotonnym ponurym buczeniu różne tony, bez wątpienia obie grupy wykonywały jakieś pieśni, mrucały wyzwanie, z całą pewnością na oczach Jonathanana rozgrywał się jakiś soyefciański rytuał, o którym nie miał wcześniej pojęcia. Zaczął domyślać się, że po zakończeniu monotonnych, deprymujących przeciwnika pieśni strony przystąpią do działań bezpośrednich. Mieszkańców oazy było więcej, ale przybysze wyglądali na bardziej zdecydowanych i w myśl zasady, że w walce zawsze wygrywa głodniejszy i bardziej zdesperowany, mieli większe szanse. Obrońcy zmienili tonację swojej



pieśni, wzniosła się o kilka tonów wyżej, zmienił się nieco, niemal dotychczas niewyczuwalny rytm, jakby część wykonawców utrzymywała ton, podczas gdy inna wprowadziła do niego inną melodię, inne słowa, tworząc jakiś ponury kanon, nieprzyjemny, wpełzający w uszy, wywołujący przemierzający plecy dreszcz i odzywający się mrowieniem w palcach. Jonathan poczuł, że drętwieją mu wargi i zaczyna pulsować w skroniach, powieki zupełnie niespodziewanie zaciążyły, krajobraz przed oczami z fragmentem osady i rywalizującymi w śpiewie grupami, zamglił się, zmętniał. Zachwiał się, ugięły się pod nim kolana, omal nie runął na plecy, szczęściem jedno z kolan uderzyło w balustradę i ból otrzeźwił go na kilkanaście sekund. Zdażył zobaczyć jak wali się na ziemię jeden z mieszkańców osady i zaraz po nim dwie kobiety. Jedna z nich upadając pociągnęła za sobą stojące obok dziecko. Nikt z tej czwórki nie podniósł się. Miękka otumaniająca siła bijąca z melodii wywodzonych przez Soyeftie, ponownie zwała się na obserwatora z Ziemi. Chwycił się pulsującej jeszcze życiem części świadomości, odsunął od barierki i ruszył do wyjścia z wieży. Przebierając rękami po ścianie wieżyczki, dotarł do zastygłej w odrętwieniu rampy i ruszył nią w dół. Po kilkunastu krokach poczuł się lepiej, wprawdzie w uszach ciągle coś warczało i krew pulsowała w skroniach, drżały palce, ale mógł zmusić mózg do myślenia. Dowłókl się do pokoju i zwałił na krzesło. Udało mu się sięgnąć do półki i po kilku próbach wyciągnąć z pęku cygaretek jedną, dopiero wtedy uświadomił sobie, że zapalniczka została przy wygasłych ogniskach, zresztą i tak nie dawała już ognia. Zmiał cygaretkę i cisnął na podłogę. Wnętrzem dłoni mocno przetarł twarz, z całej siły uderzył się pięścią w udo.

Nie miał żadnej broni, nawet noża, zresztą - o ile dobrze zauważył, zanim otumaniający hipnotyczny pomruk niemal zwałił go na ziemię - nikt z obrońców nie był uzbrojony. Napastnicy również zostawili swój oręż przy siodłach, broń nie odgrywała więc w tych zmaganiach większej roli.

Wszystko wskazywało na to, że pojedynek rozstrzygną owe pieśni wywodzone przez obie grupy. I w tym układzie Jonathan nie mógł się na nic przydać, reagował na obezwładniający dźwięk silniej niż którykolwiek Soyefcie - starcy i dzieci stali na murach nie wiadomo ile, a on niemal stracił przytomność z dużej odległości i po kilku zaledwie chwilach. Odruchowo wyciągnął jeszcze jedną cygaretkę i wściekły rzucił ją o podłogę. Gorączkowo rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu czegokolwiek, z czego dałoby się wykrzesać ogień i trafił spojrzeniem na nieforemny pakunek. Niespodziewanie zakiełkowała w umyśle pewna myśl, rzucił się do narzuty, zszarpnął ją z maszyny i szybko uruchomił walkmana. Słuchawki ożyły, ich małe głośniczki rozjęczały się solówką zdobiącą piosenkę o łkającej gitarze. Szybko naciągnął słuchawki na uszy i wybiegł z pokoju. Kilkoma skokami pokonał pierwszy marsz schodów, drugi, wybiegł na ulicę i pognął na skróty w kierunku północnej bramy. W labiryncie ciasnych uliczek osady musiał co kilkanaście metrów zwalniać, żeby nie minąć potrzebnego zakrętu, starał się wtedy oddychać ciszej, wsłuchiwać w piosenkę i z radością, za każdym razem, stwierdzał, że uwielbiani Beatlesi skutecznie tłumią hipnosong Soyefcie. Przed wyjściem na uliczkę przylegającą bezpośrednio do murów zatrzymał się pod osłoną ściany, odetchnął kilka razy normując oddech, na wszelki wypadek przekręcił do oporu potencjometr i wysunął się ostrożnie na ulicę. Na wprost siebie miał estakadę prowadzącą na mury. Pochylił się i zaczął ostrożnie podchodzić do góry. Stąpał na palcach i może dlatego poczuł, przez cienkie podeszwy, drżenie solidnego muru. Zatrzymał się chcąc najpierw przemyśleć swoje dalsze kroki, ale po niecałej sekundzie na tle jasnego nieba, pojawiła się machająca rękami postać, cofnęła się o krok i trafiając stopą na początek pochylni straciła grunt pod nogami. Jonathan rzucił się do góry, chwycił za talię walącą się w dół dziewczynę, przytrzymał i ułożył ostrożnie na pochylni. Miał już głowę ponad poziomem muru, nie czuł niczego poza

lekkim mrowieniem w koniuszkach palców, zdecydował więc, że może stanąć w jednym szeregu z obrońcami miasta. Zrobił dwa kroki, znalazł się za plecami pierwszej od brzegu kobiety, przysunął się bliżej. Niemal kładąc brodę na jej ramieniu wychylił się zza pleców; drgnęła, ale była to jedyna jej reakcja. Miała, jak wszyscy, rozchylone usta, a napięte ścięgna i żyły na szyi świadczyły o tym, że niewątpliwie uczestniczyła w formowaniu, mającej powalić napastników, pieśni. Jonathan zaczerpnął powietrza i stąpając na palcach ominął kilku Soyeffie. Gdy odwrócił się zrozumiał, że jest przez nich widziany - mieli spłoszony wzrok, nie przerywali jednak śpiewu, i mieli we wzroku to specjalnego rodzaju napięcie, kiedy ludzie starają nie zdradzić się, że widzą coś, czego widzieć nie chcą. Jonathan poprawił słuchawki, ale dźwięk jakby cichł, wydało mu się nawet, że zaczyna "płynąć". Bateria! - olśniło go. Dzisiaj wysiadła zapalniczka, teraz nadeszła kolej baterii,

pomyślał. Może skończyło się sprego? Może, gdy wszyscy są zajęci czymś innym... Nie emitują? Cholera... Szybko ominął kilka nieruchomych postaci i wysunął się niemal na pierwszy plan. Wreszcie wyraźnie zobaczył napastników. Rzeczywiście było ich mniej niż mieszkańców Nat-Conal-Le, mniej więcej jedna trzecia ludności oazy, mieli ciemniejsze twarze, niezależnie od wieku pobrużdżone głębokimi zmarszczkami, jakby często się uśmiechali. Albo krzywili. Mieli na sobie solidne skórzane ubrania uszyte oszczędnie albo w pośpiechu - bez ozdób, proste, funkcjonalne. Mankiety szczelnie opinały nadgarstki, tak samo jak podobne do golfów kołnierze, z ich twarzy bił wysilek i napięcie. Mężczyźni mocowali się z pieśnią napinając jak postronki żyły na szyjach

, kobiety, było ich bardzo mało, zaledwie kilkanaście na stu mężczyzn, wykrzywiały się spazmatycznie. I wszyscy śpiewali. W słuchawkach, Beatlesi ścichli jeszcze bardziej, mogli jeszcze zagłuszać walkę najwyżej

przez kilka minut. Jonathan pomyślał, że mógłby wzorem żeglarzy Odysa zatkać uszy palcami albo kawałkiem szmaty, ale wcale nie był przekonany o skuteczności takiego rozwiązania. Rozejrzał się szukając Krycza albo kogoś kto podpowiedziałby sposób działania, ale wszyscy zajęci byli śpiewem i wyglądało, że każdy kto przerwałby nucenie stałby się natychmiast albo ofiarą obezwładniającego murmurando drugiej strony, albo osłabiłby siłę własnej pieśni. Ze strony Soyefcie nie należało spodziewać się pomocy.

Lennon z kolegami skończyli wesołą piosenkę o małych świnkach, chwilę w słuchawkach trwała cisza, Jonathan zachwiał się, przytrzymał ramienia najbliższego mężczyzny, tamten stracił równowagę, wykrzyknął coś i nagle, błyskając zapadającymi się pod powieki białkami, runął na ziemię jak ogłuszony

. Beatlesi zaczęli song o Buffalo Billu, Jonathan odzyskał równowagę, ale wiedział już, że musi stąd uciekać. Nie widział możliwości pomocy, a coraz wyraźniej widział skutki własnego niezdarnego postępowania. Cofnął się o krok, drugi. Słuchawki zawyły zniekształcając dźwięk, głosy potoczyły się w dół, wzniosły, znowu opadły, ścichły. W uszy wdarł się upiorny skowyt, który od czasu, gdy Jonathan go słuchał wspiął się o wiele wyżej w oktawie. Przypominał teraz wizg kilkunastu pił tarczowych, wzbogacony o wydłużony do nieskończoności wrzask rozwścieczonej kobiety. Jonathan poczuł, że stopy wmarzają mu w podłoże, stały się tak ciężkie, że każdy ruch musiał spowodować utratę równowagi. Słuchawki jęknęły refrenem, ale już było pewne, że specjalny czujnik wyłączy walkmana za kilkanaście sekund. Jonathan poczuł znowu olów w powiekach, potrząsnął głową, jęknął. Słuchawki przeniosły do uszu trzask wyłącznika.

Zdarł z uszu słuchawki, buchnął przeraźliwy wielogłosy ryk. Jonathan wyszarpnął zza koszuli walkmana i niemal tracąc przytomność, cisnął nim z całej siły w stronę napastników. Padając zobaczył, że walkman uderza w

ramię jednego ze stojących w pierwszym szeregu mężczyzn, ale sam już runął na kamienne podłoże, uderzył twarzą w twardej mur, w uszach załomotało, ból trzasnął w głowę. Podparł się ręką i szarpnął do góry. Uświadomił sobie ciszę. Ktoś głośno jęknął, kilka kobiet osunęło się na kolana, szurnęły czyjeś stopy. Jonathan podniósł się z klęczek. Napastnicy stali jak i przedtem nieruchomo, ale i oni zupełnie inaczej wyglądali - w ich oczach wyraźnie widać było radość. W oczach mieszkańców oazy tej radości nie było. Promieniowała z nich ulga i troska. Mężczyźni obrzucali Jonathana krótkim spojrzeniem, otaczali kobiety ramionami i odchodzili z muru zupełnie nie przejmując się napastnikami. Kobiety zerknęły na niego współczująco, ale również w ich spojrzeniu dominowała ulga. Zaczynało stawać się jasne, że dokonał czegoś, co podobało się w jakiś sposób wszystkim, co uwalniało ich od jakiegoś obowiązku, ale jednocześnie jego samego stawiało w zupełnie nowej i raczej - sądząc ze współczucia w spojrzeniach - nieprzyjemnej sytuacji. Zobaczył, rozsuwającą sunących w jednym kierunku Soyefcie, Ziyre, usiłującą szybko przedostać się do niego. Zawisła mu na szyi, przywarła całym ciałem, drżąc, głośno, szybko oddychając niemal parząc gorącym oddechem.

- Powiedz mi co tu się dzieje? - Jonathan przełknął wbity w gardło kołek, odchrząknął. - Co to za ludzie? Słyszysz?

Z tłumu wynurzył się Krycz, podszedł bliżej.

- Niedobrze się stało - powiedział. - Fatalnie... Splot przypadków: nie było cię w oazie, kiedy nadeszli... - Rzucił przez ramię spojrzenie na przybyszy. Jonathan popatrzył również. Odwrócili się beztrząsco plecami do obrońców i zmierzali w stronę wolno schodzących im z drogi frachtwołów. Dziwna walka, zaskakujące zakończenie. - Nie mogłeś wiedzieć...

- Zrobiłem coś, tak?

**Krycz dopiero po chwili oderwał spojrzenie od zaczynających rozbijać obóz agresorów. Przygryzł część dolnej wargi, zmarszczył czoło, wyglądał teraz jakby otrzymał cios w dołek. Długo mierzył Jonathana nieobecny spojrzeniem.**

**- Wyzwałeś go na pojedynek...**

**- Pojedynek... - Ziyra szarpnęła się, ale Jonathan przycisnął ją do siebie, uniemożliwiając wzięcie udziału w rozmowie. - Pojedynek - powiedział jeszcze raz, jakby chcąc dogłębnie pojąć sens dziwnego słowa. Zastanawiał się chwilę. - To jeszcze nie wszystko, prawda?**

**Krycz wypuścił wargę z imadła zębów. Sapnął dwa razy.**

**- Co masz na myśli?**

**- Daj spokój, kłamiesz nieudolnie. Rozumiem, że z tym pojedyńkiem wiąże się jeszcze coś... - zawiesił głos.**

**Krycz milczał udając, że za plecami Jonathana rozgrywa się coś ważnego.**

**Nagle w głowie Jonathana rozbłysło rozwiązanie.**

**- Nie musisz nic mówić - powiedział wolno. - Już wszystko wiem, rozumiem...**

**- Nieprawda! - Ziyra wyrwała się z objęć Jonathana.**

**- Prawda, prawda! - Jonathan przyciągnął ją do siebie jeszcze raz, ale już nie przyciskając tak mocno. - U nas też praktykowało się podobne rzeczy - przyjrzał się badawczo Kryczowi. - Nie wolno kłamać: pojedynek rozstrzygnie która strona zwycięży, tak? - Krycz milczał. - No jasne. Inaczej nikt nie przerwałby walki.**

**Odwrócił się, pociągając za sobą Ziyrę. Uszli kilka kroków, Jonathan odwrócił się i popatrzył przez ramię na stojącego nieruchomo Krycza.**

**- Macie pecha, prawda? Po południu przyślij do mnie kogoś, kto powiedziałby mi nieco więcej niż dotychczas raczyliście powiedzieć o waszych walkach, to nasz, tak zwany, wspólny interes. Niech to będzie ktoś, kto będzie mógł nauczyć mnie czegoś. - Po kilku krokach dodał do siebie: -**

**Jeśli w ogóle da się mnie czegoś nauczyć...**

**Ziyra drgnęła, zgubiła rytm wspólnego marszu, niemal potknęła się.**

**Jonathan podtrzymał ją, przycisnął mocniej do swojego boku.**

**- Nie martw się. Coś takiego musiało się wydarzyć.**

**Do domu doszli w milczeniu. Im bliżej byli mieszkania, im dalej oddalali się z pola wokalne bitwy, tym bardziej Jonathan utwierdzał się w przekonaniu, że zdarzyło mu się sformułować jeden z trafniejszych sądów w swoim życiu.**

**Osiemdziesiąta pierwsza doba, noc**

**Soyeftiańską godzinę po powrocie do domu, Jonathan i Ziyra doczekali się gości - przyszedł Krycz z Sarfaneillem. Kowal mruknął coś na powitanie, rozejrzał się, złożył nieforemny pakunek pod ścianą i usiadł na wolnym krzeselku, pocierając dłonie, jakby przemarzły w ciepłym wieczornym powietrzu. Krycz wziął głowę córki w swoje dłonie, badawczo spojrzął w oczy i pokiwał głową, jakby to, co zobaczył, potwierdziło jego wcześniejszą diagnozę. Ziyra syknęła niecierpliwie i wyrwała się z objęć ojca. Krycz westchnął.**

**- Przynieśliśmy broń - powiedział zerkając na Jonathana.**

**- Domyśliłem się. Ale najpierw... - popatrzył na Ziyrę. - Chciałbym dzisiaj móc zażyć tej mieszanki, wiesz, tej, którą serwowaliście mi w pierwszych dniach pobytu tutaj - Uciął wzbierający protest gestem ręki. - Nie będę dzisiaj spał, a jutro muszę być świeży, prawda? - Ziyra zacisnęła usta, ale bez słowa wyszła z pokoju. Jonathan popatrzył na obu mężczyzn. - Jeśli macie mieć takie miny, to lepiej zostawcie mnie samego. Domyślam się co mnie czeka, ale spróbuję to zrobić dobrze, a w każdym razie najlepiej jak potrafię. Wasze posępne miny zabijają we mnie ducha.**

**Kowal zerknął nań, popatrzył na Krycza. Plasnął dłonią w udo i wstał.**

- Zaczniemy od broni? - zapytał.

- Słusznie się domyślasz - Jonathan roześmiał się i sam zdziwił się, że jest w stanie to zrobić. - Co prawda do szkolenia zabierzemy się w ostatniej kolejności, w ciągu nocy nie jestem w stanie nauczyć się nią władać, żeby pokonać nomada. Ale pokaż ją na początek...

Sarfaneill rozpakował zawiniątko. W środku był długi cienki mieczyk czy też może prosta szabelka i niewielka tarcza w kształcie kwadratu z wywiniętymi w stronę przeciwnika rogami. Jonathan wziął do ręki miecz, sprawdził czy nikt nie stoi w zasięgu jego ręki i mocno machnął bronią.

-wisnęło rozcinane powietrze, Jonathan chwycił tarczę, zważył obie rzeczy w ręku.

- Na szczęście lekkie - powiedział. - Dobrze i to...

- Przeciwnik również nie będzie miał cięższej - mruknął Krycz.

Jonathan popatrzył na niego mrużąc ironicznie oczy. Sam nie wiedział dlaczego obecność obu mężczyzn wprawiała go w znakomity wręcz nastrój, choć przez głowę przemknęła myśl o zbliżającej się hysterii.

- W naszych powieściach mówi się w takich przypadkach: "Potrafisz tchnąć nadzieję nawet w sparaliżowaną dżdżownicę"...

Obaj Soyefcie chwilę przeżuwali wypowiedź Jonathana, potem Sarfaneill parsknął krótkim śmiechem, Krycz tylko rozciągnął usta w nikłym uśmiechu.

- Powiedzcie mi czego nie wolno w takim pojedynku?

Soyefcie zastanawiali się chwilę, potem popatrzyli na siebie i niemal jednocześnie wzruszyli ramionami.

- Nie przypominam sobie niczego takiego - powiedział wolno kował. Krycz pokiwał głową aprobująco. - Kiedy wychodzi się na pole walki chodzi tylko o jedno...

- A kiedy kończy się pojedynek? Musi być... - pomachał dłonią, nie chcąc użyć nieprzyjemnego słowa "śmierć".



**Obaj goście znowu wzruszyli ramionami. Krycz podszedł do półki, nalał sobie wina i zanim się napił, powiedział:**

**- Musi być zwycięzca i zwyciężony, to wszystko. Jeśli uda się zmusić przeciwnika do wygłoszenia formułki poddania, to to wystarczy.**

**- Na wszelki wypadek nie mówcie mi jak brzmi ta formułka. A co dalej ze zwyciężonym?**

**- Nie rozumiem?**

**- No, staje się własnością zwycięzcy czy musi mu się spłacić? Chodzi mi o to czy na tym kończy się ta zabawa?**

**- Oczywiście. Mogą nawet zostać przyjaciółmi.**

**- Jasne - Jonathan podszedł z cygaretką w dłoni do małego świecznika, przyniesionego przez Ziyre, by podtrzymywać żywy ogień dla Jonathana i przypalił cygaretkę. Gdy walka ustała, sprego zaczęło działać znakomicie, jak wcześniej. Kiedy to stwierdził, zainteresowało go czy zapalniczka nadal działa i czy baterie w walkmanie wróciły do normy, ale po zapalniczkę nie chciało mu się iść, a walkman leżał na ziemi niczyjej między Nat-Conal -Le, a obozem nomadów. Zaciągnął się aromatycznym dymem. - Tylko nowych przyjaciół mi tu jeszcze brakuje... - wypuścił dym i zorientował się, że jego słowa nie były najzręczniejszą w tej sytuacji kwestią. - Przepraszam, źle to sformułowałem. Zreasumujmy - mogę kopać, rzucać tarczą, mieczem, jakąś gałęzią, która wpadnie mi w ręce?**

**- Tak - chórem odpowiedzieli Krycz z Sarfaneillem.**

**- Aha - Jonathan podszedł do ostatniego wolnego krzesła i usiadł. - Czy on może używać tych waszych obezwładniających pieśni?**

**- Nie - szybko odpowiedział Krycz. - Ich się używa tylko w walce zbiorowej.**

**- Dość dziwne...**

**- Dlaczego? - zdziwił się Krycz. - Silniejsze plemię zwycięża, słabsze ulega. Albo broni się tak jak my to zrobiliśmy: wyzywa na indywidualny pojedynek, który rozstrzygnie o wszystkim.**

**Bez zmrużenia oka odparł zdziwione spojrzenie Jonathana, dając tym do zrozumienia, że nie przypadkowo powiedział "tak ja MY to zrobiliśmy". Ciepła fala wdzięczności i wzruszenia przetoczyła się po Jonathanie. Odwrócił wzrok i zajął się rozpalaniem cygaretki, choć wcale nie miała zamiaru gasnąć.**

**- Przecież widziałeś, że przegrywamy - mruknął Sarfaneill, świetnie zorientowany w tej bezdźwięcznej wymianie myśli. - I nikt z nas nie miał tyle odwagi, żeby zrobić to co zrobiłeś.**

**- Nie zrobiłem tego umyślnie - powiedział Jonathan. - Gdybym był zorientowany - nie odważyłbym się.**

**- Tylko bez żadnych wyrzutów sumienia! - ostro rzucił Krycz. - Jeśli przegrasz nie stanie się nic ponad to, co stałoby się już dzisiaj...**

**- Jeśli przegram?! Jeśli? - Jonathan roześmiał się głośno. - Krycz, bądź realistą...**

**- W każdym razie już zyskaliśmy - wtrącił się kowal.**

**- Tylko czas... - machnął ręką Jonathan.**

**- Czas i szansę! - zareplikował z naciskiem Sarfaneill.**

**- No dobrze, niech będzie, że i szansę. Spory nie mają sensu. Lepiej powiedzcie co to za ludzie i czego chcą.**

**- Sądzę - Krycz zacisnął palce jednej dłoni w drugiej, aż trzasnęły kostki - że to część naszego plemienia, która kiedyś wywędrowała z Nat-Conal-Le...**

**- Nie mówiłeś mi o tym - wyrzut w głosie Jonathana był aż nadto wyraźny.**

**- Nie mówiłem ci o wielu rzeczach. Po pierwsze, sądziłem, że dowiesz się tego z lepszego źródła niż ja, z Bazy Kamiennej. Ja mam wyrywkowe i pewnie w dużej części fałszywe wiadomości. No i za mało mieliśmy czasu...**

**- Dobrze, zostawmy to. Powiedzcie czego oni chcą?**

**- Dokładnie nie wiemy, nie prowadziliśmy rozmów, ale sądzę, że kobiet, mają ich mało, no i może prawa do zamieszkania w Nat-Conal-Le.**

**- A nie możecie ich wpuścić?**

- Możemy, tylko oni będą chcieli zaprowadzić tu swoje zwyczaje...

- Jasne.

Długą chwilę panowała głęboka cisza. Kował bawił się mieczem, wyginał jego głownię, przecierał ostrze o tkaninę nogawki i znowu chwycił w dłonie, sprawdzając wytrzymałość. Krycz siedział z łokciami opartymi o kolana.

- A jesteście przekonani, że ich zwyczaje są nie do przyjęcia?

- To nie to! - zaprotestował spokojnie Krycz. - Po prostu nie możemy ich tu wpuścić. Odchodząc popełnili prze-stępstwo.

- Mógłbyś to wyjaśnić szerzej?

- Sprego jest czymś w rodzaju siły wynikającej z mocy zbiorowej, z mocy społeczności...

- Czy dlatego wiatrochrapy dzisiaj nie działały? - wtrącił szybko Jonathan.

- Tak. A kiedy część ludności postanowiła odejść, skazała nas na korzystanie z niewielkiej tylko części potencjalnej mocy sprego, skazali nas na "szarą egzystencję", tak się to u was nazywa, prawda? Z chwilą ich odejścia musieliśmy zacząć walkę o przetrwanie, sam to zauważyłeś - tkwimy w ograniczonym życiu, jemy, śpimy, rozmnażamy się. Koniec! Nie mamy sił na nic ponad to. I to z ich winy - kiwnął głową w stronę ściany, jakby tuż za nią rozbili swój obóz wędrowcy. - Nie możemy im tego wybaczyć. - Zamilkł na chwilę i dodał: - No i nie będę ukrywał - stracili swoje umiejętności, są nieprzydatni. Ale to nie ma znaczenia, nawet gdyby tak nie było - nasz najpoważniejszy zakaz to zakaz przyjęcia ich z powrotem do Nat-Conal-Le.

- No to wszystko jest jasne. Możemy. - W drzwiach pojawiła się Ziyra z wąskim dzbankiem w ręku. Jonathan uniósł brwi demonstrując swoją radość, wyciągnął do niej rękę, a gdy podeszła bliżej usadził ją na kolanach i dokończył: -...przystąpić do ćwiczenia.

Sarfaneill roześmiał się głośno, a gdy zdziwiony Krycz popatrzył nań pytająco, wskazał palcem Jonathana z Ziyrą na kolanach.

**- Do ćwiczenia... - zarechotał kpiąco kowal.**

**- Strasznie śmieszne! - Ziyra zeskoczyła z kolan Jonathana i wybiegła z pokoju.**

**Jonathan wstał i podszedł do kowala. Chwycił miecz, plasnął głownią płasko w dłoń. Przypomnił sobie coś.**

**- Jeszcze jedno, Krycz. Wydawało mi się, że nie zauważacie tego, co ja przed chwilą, jednak przyznałeś: wegetujecie. To wasz największy problem i sądzę, że jeśli nie uda się wam z tego wyrwać - znikniecie z powierzchni ziemi. Kilka razy mówiłem o tym, a**

**już wasza sprawa co z tym zrobicie. Poza tym wydaje mi się, że niezależnie od waszej najnowszej historii, od oderwania się tej części plemienia, ktoś, coś, nie wiem - oderwało was od większej całości. O tym, że jesteście dla mnie enklawą także mówiłem. To jest wasza druga szansa - dowiedzieć się skąd jesteście i tam wrócić. Być może, jesteście częścią potężnej całości, tak może być, bo jeśli wyobrazić sobie dużą zbiorowość z tą potężną siłą, jaką niewątpliwie jest sprego... - rozłożył ręce nie będąc w stanie opisać jej możliwości. - Może także jesteście odszczepieńcami, może wygnano was za coś, może wasz świat zniknął czy zginął, nie wiem. Może całkiem niedaleko jest... Nie... - pokręcił głową. - Chciałem powiedzieć, że może niedaleko jest wasza ojczyzna, ale powrót nomadów świadczy, że nie znaleźli jej... W każdym razie - niech zostanie wam świadomość, że coś jest nie tak...**

**- Przestań się żegnać... - warknął Sarfaneill.**

**- Masz rację! Pokaż jak się używa tarczy, to mi się najbardziej przyda. Uważaj!**

**Najpierw wolno, sygnalizując cięcie, zamierzył się kilka razy na kowala, przypatrując się jednocześnie jego zasłonom. Sarfaneill nie miał żadnych problemów z parowaniem uderzeń Jonathana.**

**- Nie musisz tak się starać - mruknął nieco ironicznie. Nawet ta pozorowane walka wzbudziła emocje, podnieciła mężczyzn i sprawiła, że zapomnieli na**

chwilę o problemach.

- Tak? No to...

Krycz przyglądał się im chwilę, potem wstał i wszedł pomiędzy atakującego i broniącego, omal nie stając się ofiarą kolejnego natarcia Jonathana.

- Tracisz czas i siły. Po pierwsze, nie wygrasz z nim w ten sposób. - Ruchem brody podsumował sposób walki Jonathana. - Prawda? - z naciskiem zapytał kowala. Tamten niechętnie przyznał mu rację, kiwając potakująco głową. - Po drugie, nie zdołasz go zmęczyć atakami, żeby potem rozstrzygnąć walkę na swoją korzyść, to jest wędrowiec, wytrzymały i wytrzymały. Zgoda? - Tym razem skierował pytanie do Jonathana i ten również niechętnym kiwnięciem głowy przyznał mu rację. - Zatem co pozostaje? - Krycz uniósł brwi i pytająco przyjrzał się obu mężczyznom. Odpowiedziała mu długa cisza. Kowal zastanawiał się marszcząc brwi, Jonathan mruknął coś i pogwizdując pod nosem podszedł do stolika, gdzie stało przyniesione przez Zyrę naczynie. Wyciągnął drewniany kolek i łyknął prosto z szyjki.

- Na Ziemi popularna swego czasu była opowieść o znakomitym szermierzu, który na dodatek otrzymał w spadku od ojca tajemnicę pewnego pchnięcia nie do odparcia. Dzięki temu, mógł wszystkie pojedynki rozstrzygać na swoją korzyść. Nie znasz czegoś takiego?

- zwrócił się do kowala, zamykając naczynie i odstawiając na stolik.

Sarfaneill z namysłem pokręcił przecząco głową. - Nie? Szkoda... To musimy inaczej - teraz ty uderzaj, a ja będę się bronił, powiesz mi co robię źle...

- Niemal wszystko! - skwitował Krycz, kilkanaście minut później.

- Nie przesadzaj - złagodził ocenę kowal. - Jest zręczny, w niezłej kondycji...

- Cholera, znam kilka chwytów i jeśli dostanę taką możliwość skorzystam z nich! Nie rób ze mnie takiej ofiermy - rozzłoszczony Jonathan rzucił tarczę na łóżko i łąpczywie napił się zimnego soku. - Szkoda, że nie wzięles

**drugiego kompletu. Można by było spróbować w walce... Możesz przynieść teraz?**

**- Nie ma drugiego kompletu - Kowal wydawał się być zdziwiony. - Jest tylko jeden.**

**- Jeden?**

**- Przecież ci mówił - Sarfaneill wskazał wzrokiem Krycza. - Nie prowadzimy walk...**

**- Nie wierzę... - Jonathan przenosił spojrzenie z jednego na drugiego. - Macie jeden miecz na całe miasto? - Odpowiedziały mu dwa skinienia głowami. - A gdyby zjawili się inni najeźdźcy? Przecież wystarczyłoby, żeby mieli cztery miecze!**

**- Bronilibyśmy się pieśnią.**

**- Aaa... Rzeczywiście, zapomniałem.**

**Kolejny raz cisza zapanowała w pokoju. Tym razem był to jej skuteczniejszy atak i trwał kilkanaście minut, w czasie których, kowal miał w palcach skórzaną pętlę, w którą należało wcisnąć dłoń, żeby móc korzystać z tarczy, a Krycz wpatrywał się w podłogę. Jonathan wypalił dwie cygaretki. Poczul napływ energii i zrozumiał, że ziołowy napój Soyefctie zaczął działać, ale nie ludził się, że da mu to przewagę nad swoim przeciwnikiem - nomad również mógł zażyć preparat. Wyglądało, że pojedynek, jakkolwiek by się toczył, zawsze będzie niezbyt równą walką przybysza z innego świata z miejscowym zahartowanym wędrowcem.**

**- Walka wręcz... - powiedział nagle Jonathan. Poderwał głowę i popatrzył z nadzieją na Krycza. - Ten człowiek nie może znać naszych chwytów!**

**Możemy walczyć bez broni? - zapytał z rodzącą się nadzieją w głosie.**

**Krycz wolno pokręcił głową.**

**- Miecze i tarcze. Nikt nigdy nie walczył inaczej. Możesz...**

**- Tak-tak, wiem... - przerwał rozdrażniony Jonathan. - Jak już wytrączę mu miecz i tarczę, to mogę go przerzucić przez biodro. - Wypił jeszcze jeden**

mały łyk trankwilizatora. - A mogę mieć dodatkową broń? - zapytał, nie wierząc w gruncie rzeczy w możliwość zaopatrzenia się w coś takiego, jak luk czy proca. Krycz ponownie pokręcił głową. - Pewnie... - mruknął z goryczą. - Po co mi jakieś głupie równe szanse?

- Zapominasz, że nikt nie przewidywał udziału przybysza w naszym pojedynku - łagodnie przypomniał Krycz.

- O rany, wiem... Wiem to wszystko, przepraszam. Zachowuję się jak rozpieszczone dziecko. Przepraszam was...

- Rozumiemy cię. Nikt nie lubi przymusowych sytuacji.

- Otóż to - Jonathan poderwał się i zaczął krążyć po pokoju. - Nie można znaleźć luki w przepisach dotyczących ataku - rozważał na głos. - To może da się coś... Zbroja? Co? - zatrzymał się przed Sarfaneillem. - Gdybym ponakładał na siebie płyty metalu, na ramiona, brzuch, metalową czapkę na głowę? - Sarfaneill otworzył usta i wolno, ze zrozumieniem pokiwał głową. - Co?

- To jest możliwe - powiedział kowal. Popatrzył na Krycza. Ten również skinął głową. - Tak!

Jonathan zastanawiał się chwilę, potem syknął niecierpliwie.

- Nie! To głupi pomysł.

- Dlaczego? Mogę ci to zrobić!.. - Sarfaneill zerwał się z krzesła, gotów pędzić do warsztatu.

- Nie-nie! Siedź. Zbroja ma sens w przypadku równorzędnych przeciwników, kiedy jeden zatrzymany cios może rozstrzygnąć walkę, a tu nie ma mowy o równowadze sił. Aż tak naiwny nie jestem. Opakowany w metal będę zwrotny jak człog. W końcu znajdzie miejsce, w które uda mu się dźgnąć.

Machnął ręką. Kowal usiadł z powrotem na krześle. Jonathan wziął do ręki tarczę, zabrał Kryczowi miecz. Chodził po pokoju postukując płasko

głównią w tarczę, metale dźwięczały różnie, miecz wydawał z siebie jędrny odgłos, tarcza odzywała się na uderzenia głucho, niczym blaszane pudło wypełnione opilkami.

- Czy broń również ma sprego? - rzucił w powietrze pytanie Jonathan.

- Tak - przyznał Krycz, jak się wydało Jonathanowi niechętnie.

- Tego jeszcze brakowało. I pewnie nie wiadomo które jest mocniejsze.

- Nie wiadomo - potwierdził Krycz.

- No to nie zostaje mi nic innego, jak się upić albo chyłkiem opuścić Oazę.

- Wykluczone... - niemal natychmiast odpowiedział Krycz. Od dawna musiał czekać na tego typu wariant. - Między innymi dlatego tu jesteśmy.

- Fajnie - Jonathan zacisnął zęby, walczył z sobą, ale nie udało mu się powstrzymać nagromadzonej goryczy. - Myślałem, że jesteście tu po to, żeby mi pomóc...

- Właśnie tak jest! - powiedział dobitnie Krycz. - Pomyśleliśmy, że lepiej będzie jeśli to my będziemy pełnić tu zwyczajową wartę, bo może razem coś...

- I warta chyba niczego nie wyklucza?! - wtrącił się kowal.

- A tamten? - przerwał Jonathan, wskazując ruchem głowy kierunek obozu przybyszy.

- Oczywiście! Też jest pilnowany, gdyby uchylił się od walki byłby to wyrok na jego plemię.

- Cholera... - Jonathan pokręcił głową. - Nie jesteście tak naiwni, jak się na pierwszy rzut oka wydaje.

- Unikaj pierwszych rzutów oka - zażartował Krycz, chyba po raz pierwszy od początków znajomości.

Jonathan cisnął tarczę na łóżko i natychmiast, olśniony zaskakującym pomysłem, wyciągnął rękę, żeby ją pochwycić, ale wylądowała już na posłaniu. Rzucił się do łóżka tak gwałtownie, że Krycz poderwał się omal nie potracając stolika. Jonathan chwycił tarczę w dłoń i obejrzał nerwowo



ze wszystkich stron.

- Jak się na ogół uderza? - zawołał przez ramię do Sarfaneilla. - Raczej w tarczę czy w miecz?

- W tarczę - natychmiast odpowiedział kowal.

Jonathan rozpromienionym spojrzeniem obrzucił obecnych, obaj resztkami sił powstrzymywali się od zadania pytania, przetrzymał ich jeszcze kilka sekund.

- Mam pewien pomysł. Niepewny, ale wreszcie coś! Idziemy do warsztatu! Czy wolno mi opuszczać pokój?

- Z nami wolno, ale powiedz... - Krycz ruszył w jego kierunku, nie spuszczając wzroku z tarczy.

- Mam pomysł! Wszystko wyjaśnię w warsztacie. Chodźcie!

- Poczekaj, ja również mam pomysł - zawołał Sarfaneill. - Tylko wystraszyłeś mnie tym swoim wrzaskiem. Posłuchaj - podobno zajmowałeś się następnym frachtwołem? - Jonathan skinął głową. - Czy ten też może galopować?

- Hm... Nie wiem. Jeszcze nie próbowałem... A dlaczego...?

- Zdążyłem przyjrzeć się ich wierzchowcom, nie dbają o nie specjalnie... - kowal uśmiechnął się chytrze.

- Sądzisz, że galop mógłby zaskoczyć przeciwnika i osłabić jego ducha? - zapytał z nadzieją w głosie Krycz.

- Może nie?

- A wiesz, że tak?! - Krycz zrobił krok, trzepnął Jonathana w łopatkę. - Jak ty to mówisz: cholera? Cholera, to może zadziałać!

- No to wreszcie coś mamy - Jonathan wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. - Chodźmy najpierw zająć się tarczą, a potem... - zerknął na zegarek. - Już niedługo świt. Zajmę się Pepperem. Koniecznie przynieś mi buteleczkę tego waszego świństwa, które tak lubię. - Popatrzył na Krycza. - Chyba znaleźliśmy jakąś szansę. Niewielką, ale mamy w ten sposób

nieskończenie więcej niż chwilę temu...

Osiemdziesiąta druga doba, rano

Dwa tuziny namiotów tworzyły obóz nomadów, półsenny, mimo zbliżającego się południa. Karnie zgrupowane frachtwoły przybyszy, popasały w kępie gło, pracownicy wyszukiwały w wytrzebionym już poszyciu ostatnie źdźbła trawy, a w gałęziach drzew te z gałązek, które nadawały się jeszcze do przeżucia. W samym namiotowisku pojawiały się na chwilę pojedyncze postacie - wychodziły z jednego namiotu, by zniknąć w drugim, postacie miały jasno wytyczony kierunek poruszania, nikt nie gapił się na pobliskie miasto, nikt nie rozglądał się, nie ziewał. Wyglądali na ukierunkowanych na efektywne działanie przy minimum wysiłków.

Sprawiali wrażenie groźniejsze niż wczoraj. Na krótką chwilę pojawił się również wyzwany przez Jonathana Soyefcie; gdy Jonathan zamierzał już zejść ze swojej wieży, z której od kwadransa obserwował obóz, wysunął się z jednego z namiotów, zatrzymał się na dwie sekundy, rzucił okiem na miasto i zniknął w najbliższym namiocie. Jonathan wypalił na wieży dwie cygaretki, wszedł na estakadę i zjechał na swoje piętro.

W korytarzu łączącym jego pokój z wieżą, mignął mu jakiś cień. Pewnie Krycz na wszelki wypadek pilnuje, żebym nie zwał, pomyślał, ale myśl ta jakoś nie wzbudziła w nim złości. Kiedy wszedł do pokoju, znajdowali się w nim obaj mężczyźni i Ziyra, która pojawiła się tu dopiero rano i do tej pory nie odezwała się ani słowem

- Idę do Peppera - oznajmił Jonathan. - Dajcie mi znak z wieży, wtedy ruszę.

- Pójdę z tobą - natychmiast odezwał się kowal.

Odpowiedziało mu wzruszenie ramion. Ziyra czekała już przy drzwiach, przytuliła się na kilka sekund, zacisnęła palce na ramionach i natychmiast odskoczyła. Jonathan puścił do niej oko, ale nie mogła już tego dziarskiego sygnału zauważyć - podeszła do swoich robótek i już nie odwróciła się, aż

**Jonathan skinął na Sarfaneilla i pierwszy wyszedł z pokoju. Nie rozmawiali ze sobą, aż Pepper został wywleczony ze stada i osiodłany. Sarfaneill przez cały czas stał, przypatrując się człowiekowi i frachtwołowi, nie wtrącał się do kielznania wierzchowca, trzymał w ręku zawinięte w płat tkaniny miecz i zmodyfikowaną tarczę. Ożywił się dopiero widząc, wyjętą z kieszeni butelkę z niewielką ilością samogonu.**

**- Na twoim miejscu nie piłbym tego - powiedział zaniepokojony lekkomyślnością Jonathana. - Ta mieszanka z ...**

**- To nie ja będę pił - uspokoił go Jonathan. Wytrząsnął zawartość butelki, kilka nikłych strumyczków rozlało się po dłoni, najpierw wypełniając linie serca, głowy Saturna, a potem łącząc w jedno zlewisko między linią Słońca i skrzyżowaniem trzech pozostałych. Sarfaneill chrząknął, dając wyraz swemu zdziwieniu, zawtórował mu Pepper, choć w innej całkowicie tonacji. Frachtwól śmiesznie wyciągnął wargi, stulił je w ryjek i nawet cmoknął. Jonathan podsunął mu dłoń pod pysk i trzymał, zanim suchy język nie wchłonął całej odrobiny alkoholu. Nic nie wskazywało, żeby Pepper zrozumiał, że to wszystko, co mu dzisiaj zaserwowano.**

**- I to jest twój sekret?! - wykrztusił zdziwiony kowal.**

**- No, niezupełnie - Jonathan poklepał frachtwoła po pysku. - Po pierwsze, przyzwyczailem go do czyszczenia, zwłaszcza kopyt, piach między płytami kopyt chyba im bardzo przeszkadza i w ogóle - ignorujecie ich potrzeby, a one nie są tak durne, jak mi mówiono. I to wszystko się składa na ostateczny efekt - popatrzył na wieżę nad Oazą Dobrej Magii. - Jeszcze mamy czas...**

**Sarfaneill również zerknął przez ramię na wieżę. Rozwinął zawiniątko, wyciągnął w kierunku Jonathana tarczę,**

**- Spróbuj jeszcze raz...**

**- Nie, dajmy już spokój - zaprotestował Jonathan.**

**- Nie bądź dzieckiem! - kowal rzucił w kierunku Jonathana tarczę, głośno**

sapnął przez nos.

Jonathan skrzywił się, ale chwycił tarczę, wcisnął dłoń w rzemieńne pętle i nagle roześmiał się, wskazując coś za plecami kowala. Sarfaneill nieufnie obejrzał się. Na wieży stał Krycz, widząc wpatrzonych w siebie mężczyzn, uniósł rękę i wykonał ruch jakby przywoływał ich do siebie. Jonathan uniósł również rękę. Opuszczając ją klepnął w ramię Sarfaneilla.

- Na koń...

Przekazał kowalowi tarczę. Sarfaneill zabrał się do mocowania broni w pakunku do siodła Peppera. Jeździec wsunął nogę w strzemień i wskoczył w siodło. Sprawdzał czy dodatkowe strzemień ułożone jest odpowiednio, zerknął na kowala.

- Posłuchaj... Gdyby mimo wszystko... - Sarfaneill zacisnął pomiędzy wskazującym palcem i kciukiem dolny koniuszek ucha.

- Nie! Prosiłem: żadnych formułek kapitulacyjnych. Albo się uda, albo... Pociągnął wodzę, Pepper posłusznie wykonał zwrot i pchnięty biodrami ruszył dostojnym stępem. Sarfaneill zaczął iść obok i przez krótki odcinek towarzyszył frachtwołowi, ale po chwili długi krok wierzchowca wysunął go na prowadzenie. Jonathan nie oglądał się już na Sarfaneilla. Poprawił się w siodle, klepnął mocno Peppera w zad, ponaglił okrzykiem. Pepper drgnął i ruszył klusem. Jego krok różnił się od chodu Cynamon i Jonathan poczuł mrowienie na karku, przewidując zwiększającą się geometrycznie różnicę, która w galopie powinna wywalić go z siodła.

- Pep-per...cholero... nie rób... mi te-e-ego - wymruczał do wierzchowca. - Utopie-ę... cię w wó-ó-ódce...

Zbliżyli się do murów na tyle, że należało już skręcać, zwłaszcza, jeśli miało to być wykonane w galopie. Mury świeciły pustkami, Krycz zniknął z wieży. Jonathan wychylił się ryzykownie w prawo, wyszarpnął spod siodła trzecie strzemień, przerzucił nogę przez siodło i po kilku sekundach gorączkowego wymacywania, trafił czubkiem buta w pętlę.

- Gazu, Pepper! - wrzasnął, czując że frachtwól zwolnił, zdziwiony ewolucjami człowieka. Wierzchowiec szarpnął się, omal nie wysadzając Jonathana z siodła, ale posłusznie skoczył w przód i pomknął wzdłuż muru.  
- Dobra!

Gnali niebezpiecznie blisko pochylni kamiennego wału, ale taki był zamiar Jonathana - wypaść niespodziewanie, oszołomić, zaskoczyć, tylko wtedy jego ryzykowna jazda na Pepperze miała sens. Czuł, że krok Peppera jest dłuższy niż Cynamon, miał spore problemy z wyczuciem rytmu susów, ale na szczęście pierwszy odcinek galopu przypadł na prostą i miał trochę czasu na dostosowanie się do ekscentrycznego kroku wierzchowca. Akurat gdy poczuł się pewniej, należało zacząć skręcać, by nie wejść na orbitę prowadzącą poza Oazę i nawet być może poza całą krainę Ultene.

Delikatnie ściągnął prawą wodzę, Pepper zareagował skrętem głowy, szyi, całego ciała i w efekcie, po kilku chwilach emocjonującego cwału wypadli na błonia zajęte przez namioty koczowników. Kątem oka Jonathan zobaczył, że od tej strony mury są gęsto obsadzone przez mieszkańców Nat-Conal-Le, a nomadowie chyba w komplecie ustawili się na wolnej przestrzeni między własnym obozem i murami miasta. Wszystko to razem wyglądało jak powtórka wczorajszej bitwy na pieśni, tyle że panowała przeraźliwa cisza, której nie rozpraszał, a wręcz uwypuklał stukot kopyt Peppera. Niemal wszystkie głowy drgnęły i odwróciły się w ich stronę, gdy z niesamowitą prędkością wyłonili się zza pochylni murów i pognali w kierunku obozu nomadów. Koczownicy zafalowali, któraś z kobiet jęknęła przeciągle, a chyba wszyscy przybysze głośno wciągnęli powietrze do płuc. Wyzwany przez Jonathana nomad stał wysunięty przed tłum, trzymał w ręku identyczny, jak Jonathana, miecz i niemal identyczną tarczę. Zakolysał się, widząc że cwałujący frachtwól gna prosto na niego, ale szybko powściągnął lęk i podkreślając wyrazem twarzy niezmacony spokój, patrzył na walącego nań Jonathana i... czekał.

Najbardziej efektowne byłoby zatrzymanie frachtwoła w miejscu, tuż przed oczekującym pojedynku nomadem, ale Jonathan nie był pewien, czy Pepper prawidłowo zareaguje na ściągnięcie wodzy, skręcił więc odrobinę i zdarł wodze na wysokości przeciwnika, dokładnie między nim i murami. Udało mu się zręcznie zeskoczyć z frachtwołu, niedbale przerzucił wodze przez szyję zwierzęcia i zerwał troki mocujące zawiniątko z mieczem i tarczą do siodła. Pepper odwrócił głowę i popatrzył z nadzieją na Jonathana.

- Dostaniesz swoje, nie martw się - odpowiedział ten po angielsku, klepnął zwierzę w zad i popchnął w kierunku oazy. - Już wiesz co lubisz - dodał. Frachtwól wolno ruszył przed siebie, nie zwracając już uwagi na człowieka, a Jonathan odwrócił się do swojego przeciwnika, odwinął miecz i tarczę i ustawił się na wprost niego. - Możemy zaczynać - powiedział używając tym razem crasa.

Przeciwnik stał nieruchomo. Miał zwyczajną soyeftiańską twarz z nieco niezwykłym w tym plemieniu, odrobinę bulwiastym nosem, który jednak nie ściągał na siebie uwagi, ponieważ czyniły to oczy, brązowe, ale w tak wypłowiałym odcieniu, jakiego Jonathan dotychczas nigdy u nikogo nie widział. Na głowie miał płaską skórzaną czapkę, spod której, za uszami, wypływały gęste fale ciemnobrązowych, porządnie rozczesanych włosów. Jego ubranie nie różniło się niczym od strojów reszty plemienia i składało się z płóciennej koszuli, niezbyt czystej, z plamami po wyschniętym pocie, skórzanej bluzy i skórzanych spodni, których nogawki wpuszczone zostały w cholewki wysokich do połowy łydki butów. Przyglądał się uważnie Jonathanowi, jakby szacował przeciwnika, a gdy Jonathan spuścił spojrzenie w dół zauważył, że ostrze miecza rywala nosiło wyraźne ślady świeżego ostrzenia na jakimś gruboziarnistym kamieniu. Wyobraził sobie ranę po cięciu tym mieczem i szybko zmusił się do skoncentrowania na twarzy przeciwnika. Nomad wolno sięgnął do czapki, zsunął ją na tył głowy i puścił, tak, że spadła na piach areny walki. Włosy na wierzchu

głowy miał obcięte bardzo krótko, dopiero za uszami i na tyle czaszki, przechodziły w długie loki.

- Jestem Rutto - powiedział.

Nie wykonał żadnego ruchu, który wskazywałby na zamiar szybkiego rozpoczęcia walki, zawiesił głos, najwyraźniej czekając na odpowiedź Jonathana.

- Jonathan.

- Znam cię z opowieści - powiedział Rutto, nadal stojąc nieruchomo z opuszczonym mieczem.

- Z opowieści? A któż... - Jonathan zmarszczył się usiłując wydedukować ciąg dalszy informacji i nagle szeroko uśmiechnął się, doznając olśnienia: - Aaa!.. Uw-Wadfer?

Rutto w milczeniu skinął głową. Nadal nie wyglądał na przejętego pojedyńkiem i najwyraźniej, albo galop frachtwołu nim nie wstrząsnął, albo otrząsnął się z wrażenia. Albo narzucił rozmowę, chcąc właśnie ochłonąć. Jonathan poczuł, że jego podniecenie opada, i natychmiast uświadomił sobie, że przeciwnik wciąga go w rozmowę umyślnie. Odsunął się o krok w tył i uderzył mieczem w tarczę.

- Poznałem wasze zwyczaje i wiem, że pojedynek musi się odbyć... - zaakcentował słowo "musi" i zawiesił głos.

- My nie trzymamy się tak sztywno obyczajów - Rutto na krótką chwilę przeniósł spojrzenie na mury opanowane przez mieszkańców miasta. -

Chyba wiesz, że jesteśmy odszczepieńcami? - Jonathan kiwnął głową. - No więc - nie obowiązują nas ich zwyczaje. Mamy swoje.

- Jesteście inni?

- Musieliśmy zarzucić wiele z tego, co stąd wynieśliśmy. Inaczej nie przeżylibyśmy. - Chwilę trwała cisza, a potem Rutto dokończył: - Możemy w ogóle nie zaczynać pojedynku.

Ostatnie zdanie było ni to propozycją, ni to pytaniem. Rutto natychmiast po

ostatnim słowie cofnął się o krok, akcentując tym swoją dobrą wolę i dając Jonathanowi czas do namysłu. Wciąż trzymał broń niedbale, opuszczoną i szybko zaczerpnął powietrza, jakby chciał jeszcze uzupełnić wypowiedź, ale powstrzymał się mrużąc tylko lekko oczy. Czekał z zainteresowaniem na odpowiedź Jonathana.

- Mam wrażenie - powiedział z namysłem Jonathan - że proponujesz mi coś zamiast pojedynku, ale jeszcze nie rozumiem co.

- Przystań do nas - powiedział lekko Rutto.

Jonathan pokiwał głową:

- Czegoś takiego zacząłem się domyślać. Nie.

- Obawiasz się, że zarzucą ci zdradę - stwierdził nomad.

- Owszem, to też - zgodził się Jonathan. Czuł, że atmosfera zrobiła się zgola nie pojedynkowa i że coraz trudniej będzie mu podnieść broń na człowieka, z którym konwersował od kilku minut. Złościło go to coraz bardziej - podejrzewał, że jest to efekt świadomego działania przebiegłego nomada, a myśl o tym, że jest kolejny raz manipulowany eksplodowała w głowie i zaowocowała ciemnym rumieńcem na policzkach. - Na razie mam dość dyskusji. Broń się!

Rutto poważnie skinął głową, wcale nie zaskoczony biegiem rzeczy.

Wykonał barkami kilka kolistych ruchów, głośno chuchnął. Przekręcił dłoń, kierując miecz w stronę podbrzusza swojego przeciwnika, wykonał kilka kolistych ruchów tarczą. Pochylił się lekko, z twarzy zniknął senny wyraz, i chociaż stała się od razu twarzą czujnego wojownika, Jonathan nie znalazł w niej drapieżności, nienawiści czy chociażby wrogości. Ustawił się niemal identycznie jak Rutto i czekał w napięciu na pierwszy atak. Rutto przesunął się nieco w bok niemal nie odrywając stóp od podłoża, sunąc po ziemi jak znakomicie wyszkolony judoka. Jego miecz wykonywał małe koliste ruchy, których celem było - jak domyślił się Jonathan - przykucie do broni uwagi przeciwnika, dlatego skoncentrował się na stopach Rutto -



przypomniał sobie, jak któryś ze znawców boks utrzymywał, że właśnie stopy najwcześniej zdradzają agresywne zamiary.

- Zastanów się - powiedział cicho Rutto, zatrzymując się w miejscu i niemal natychmiast ruszając w przeciwnym kierunku. Jonathan ledwo powstrzymał się od pełnego podziwu westchnienia, widząc niemal komputerowo zsynchronizowane ruchy nomada. - Zostaw to leniwe, zakłamanie miasto.

- Co za pożytek z ludzi, którzy łatwo zmieniają przyjaciół, nieprawdaż? Jonathan ciął mieczem nie strając się trafić, ale sprowokować przeciwnika do działania - w końcu cały jego plan zasadzał się na obronie. Rutto nie sparował nawet cięcia Jonathana - odchylił się minimalnie do tyłu i natychmiast zamarkował przesunięcie w lewo, skoczył w prawo i uderzył, wykonując mieczem kolisty ruch w bok, do góry i w ramię Jonathana. Akurat jak to sobie wymarzyli, jak przewidywali i jak ćwiczyli z Sarfaneillem. Miecz uderzył w tarczę, Jonathan błyskawicznie przekręcił ją tak, że ostrze ześlizgnęło się po płaskiej powierzchni, zatrzymało się w szczelinie, zaklepanego w kierunku środka tarczy, rogu. Jonathan szybko, blokując ramię i korzystając z całej siły przedramienia, wykręcił uwięzione ostrze, jednocześnie uderzając z całej siły swoim mieczem w miecz Rutto. Nomad skrzywił się i obronnym ruchem wyciągnął przed siebie tarczę; Jonathan, zdając sobie sprawę, że może wykorzystać zaadaptowaną do doraźnych potrzeb tarczę tylko raz, wrzasnął głośno i ponownie uderzył w miecz Rutto, i jeszcze raz... Głownia miecza przeszła powietrze i uderzyła w grunt wbijając się głęboko w klepisko. Miecz Rutto wysunął się z chwytnej tarczy i głucho brzęknąwszy, upadł na ziemię. Jonathan kopnął go w bok. I natychmiast ustawił się na drodze między bronią Rutto i nim samym. Był przygotowany na atak nomada, ale ten pokręcił głową, uśmiechnął się i nagle cisnął tarczę w stronę swojego obozowiska.

- Wspaniale - powiedział. - Nawet miałem zamiar zastanowić się nad dziwnym wyglądem twojej tarczy, ale za bardzo chciałem cię przeciągnąć na naszą stronę... Ten galop na frachtwole i w ogóle... - wzruszył ramionami. - Dałem się zwieść jak dzieciak - odwrócił się, żeby popatrzeć na swój obóz. - Będą się ze mnie śmiali... - powiedział, ale w jego głosie nie słyhać było żalu. Popatrzył wyczekująco na Jonathana.

- Czy pojedynek się skończył? - zapytał Jonathan. - Nie wiem czy teraz ty nie odwracasz mojej uwagi...

Rutto przygryzł dolną wargę. Wpatrywał się w Jonathana uważnie, a potem stwierdził:

- Twój świat musi być nieco zakłamanym. Nie ufasz nikomu?

- Odczep się od mojego świata! Powiedziano mi, że pojedynek kończy formułka albo... - wymownie wzruszył ramionami, ale miecz trzymał odchyłony do tyłu, wciąż gotowy do cięcia.

- Przeznaczeniem pokonanego jest pokora! - wrzasnął nagle Rutto. - Zadowolony? - zwrócił się ciszej do Jonathana.

- Oczywiście!

Wysunął dłoń z uchwytu z tyłu tarczy i rzucił ją na ziemię. Z muru rozległ się pojedynczy gwizd, dołączył do niego drugi, trzeci... Jonathan odwrócił się i popatrzył na wiwatującą ludność Oazy. Część mieszkańców, zwłaszcza młodzież, używała do gwizdania palców, pozostali tylko zwinęli usta w kółeczka. Stojąca w pierwszym szeregu Ziyra, trzymała uniesioną do góry zaciśniętą pięść. Nagle do gwizdu z murów, dołączyły pojedyncze gwizdy ze strony obozowiska. Kiedy Jonathan popatrzył w tamtą stronę, gwizdy nasiliły się. Różnica między gwizdzącymi grupami polegała na intencjach - z murów gwizdano z pogardą, żeby dokuczyć Rutto, wyśmiać go, z obozu gwizdy kierowane były do Jonathana i wyrażały aprobatę. Rutto wskazał kciukiem swoich ludzi i ruchem brwi zadał pytanie: "No i jaki ci się to podoba?"

- W moim zakłamanym świecie... - powiedział Jonathan, uszczypliwie akcentując przymiotnik - ...mówi się, że łaska tłumów jeździ na narowistym wierzchołku - dokończył, dokonując adaptacji przysłowia do soyeftiańskich warunków.

- To potwierdza moje słowa - roześmiał się Rutto, podszedł bliżej i zatrzymał się na wprost Jonathana. - Musicie dobrze wiedzieć co to zdrada, skoro macie na te okazje powiedzonka.

- Daj spokój mojemu światu. Nawet nie wiesz czy nie kłamię, mówiąc, że jestem skądś daleko i daleko...

- Na pewno nie jesteś stąd - przerwał Rutto. - Tu się tacy nie rodzą, a jeśli nawet bywają, to i tak są do nich - ruchem brwi wskazał stojących na murach Soyefcie - podobni albo się upodabniają... - Odwrócił się do nomadów i wrzasnął głośno: - Już wystarczy! Nie przewiduję zmiany wodza! - pogroził pięścią tłumowi, skąd na chwilę buchnęła głośniejsza fala gwizdu i natychmiast ścichła. Przez twarz Rutto przemknął słaby uśmiech.

- Jesteś wodzem?

- Tak... - wskazał ręką obóz i zapytał: - Czy mógłbym cię zaprosić do nas? Mamy mocną graffę, mogę cię też poczęstować mat-nate...

- A co to jest?

- Napar z liści pewnego krzewu. Tutaj nie rośnie...

Jonathan poczuł, że serce zabiło mu mocniej, chwycił Rutto za ramię.

Szansa, na coś, na kształt mocnej gorzkiej herbaty, której na Ziemi wypijał litry, wywołując frustrację i zdziwienie przyjaciół, przyspieszyła rytm pracy serca.

- Co to jest? Albo nie mów i tak nazwa nic mi nie powie... Przyjmuję zaproszenie!...

Odwrócił się do Ziry i pomachał do niej ręką. Jeszcze kilka sekund temu chciał zaproponować spotkanie mieszkańców Nat-Conal-Le z koczownikami, ale w tej chwili nie mógł uświadomić sobie, dlaczego ten

**pomysł nie wydał mu się już tak kuszący. Zrezygnował nawet z propozycji zaproszenia Ziry, pokazał jej tylko gestem, że wszystko w porządku i skinął głową patrząc na Rutta.**

**- Możemy iść.**

**Rutto zerknął przez ramię na mury. Na chwilę gwizdy nasiliły się, a potem, gdy Jonathan ruszył za koczownikami, zaczęły cichnąć. Do namiotu Rutto dotarli już w ciszy, poprzez szpaler w tłumie nomadów. Namiot wodza miał sporą powierzchnię, ale stać w nim**

**można było tylko w centralnej części, zapewne dlatego stół stał nie dokładnie na środku, a nieco przesunięty, tak, że uprzywilejowanym miejscem stawał się jeden z dwu lekkich taboretów, z którego siadanie i wstawanie nie wymagało pochylania się za każdym razem, jak do dystygowanego ukłonu. Pod jedną ze ścian, w zasięgu ręki, stał smukły stojak sięgający piersi mężczyzny, w płaskiej miseczce płonął mały ogienek. Rutto od razu po wejściu wskazał Jonathanowi honorowe miejsce, a sam nie prostując się i nie ceregieląc z czekaniem na gościa, wsunął się między stolik - również z lekkich drewnianych prętów z rozpiętym między nimi i mocno naciągniętym płatem owłosionej skóry - a taboret i usiadł. Gość przycupnął najpierw ostrożnie, nieufnie odczekał chwilę i - wiedząc, że i tak nie da rady wytrzymać długo w pełnej wyczekiwania na upadek pozycji - rozluźnił mięśnie i rozsiadł się tak wygodnie, jak było to możliwe, opierając plecami o centralny maszt.**

**Trzy zydle i wąski stos skór pod boczną ścianą, trójnożny kaganek z pełgającym ognikiem, tworzyły umeblowanie namiotu. Chyba jest mu potrzebny tylko jako oznaka władzy, pomyślał Jonathan.**

**- Pusto tu - zauważył tonem świeckiej konwersacji.**

**- W tamtych domach jest przecież tak samo - odpowiedział Rutto.**

**- Owszem, ale tam jest... - wydał z siebie długi pomruk szukając odpowiedniego słowa.**

- U ciebie jest inaczej? -

Rutto usłyszał szelest płachty zastępującej drzwi, nadstawił ucha, ale nie odwrócił głowy. Za jego plecami przemknął młody chłopak, wytrzeszczając oczy na Jonathana. W rękach trzymał miecz i tarczę Rutto. Podszedł bliżej.

- Uważaj, bo się potkniesz na równej drodze - ostrzegł go wódz. - Nie gap się tak na gościa...

- Mógł cię zabić szybciej niż ja siodłam frachtę. - Bez cienia zakłopotania w głosie wyrzucił z siebie chłopak, nie odrywając spojrzenia od Jonathana.

- Przesadzasz chłopcze - wtrącił się Jonathan.

- Właśnie! - Rutto roześmiał się swobodnie, Jonathan pomyślał, że Soyefcie chyba rzeczywiście nie przejmuje się przegraną. - Kto by chciał mnie zabijać... Uciekaj!

- Ja też zagnę sobie rogi tarczy - wytchnął z siebie chłopak, nie zwracając uwagi na polecenie wodza. - Mogę?

- Jeśli obiecasz, że nie użyjesz jej przeciwko mnie - tak.

- Przeciwno tobie?! Nigdy!

- Przeciwno tobie?! Nigdy!

Chłopak sapnął głośno i wyskoczył z namiotu akurat wtedy, gdy Rutto zamierzał chwycić go za ramię. Wódz roześmiał się głośno, pełną piersią.

- Sądzę, że mógłbyś teraz bez wysiłku zostać naszym przywódcą, a jeślibyś nas jeszcze nauczył cwału frachty... - miną pokazał jak łatwo byłoby zrealizować przewrót. Przemawiał lekkim tonem, ale Jonathan wyczuł, że niecierpliwie czeka na jego reakcję.

- Tu może być problem - odpowiedział równie lekkim tonem. Do namiotu weszła kobieta, postawiła na stoliku pękaty dzbanek z pokrywką i dwie małe czarki - proste walce bez najmniejszych ozdób. Jonathan odczekał, aż skierowała się do wyjścia i dokończył: -

Chodzi o to, że one moim zdaniem nie nadają się na wierzchowce wyścigowe. Są wytrwałe i mają niewyczerpalne zapasy sił, ale pod warunkiem, że będą je traciły wolno. Ich... - zastanowił się czy warto mówić

coś o układzie krwionośnym, niewydolności pompy-serca, o którą podejrzewał frachtwoły - ... budowa nie pozwala im na duży wysiłek w krótkim czasie. Tak mi się wydaje.

- Ale twój... - Rutto zawiesił głos.

- Mój! - mimiką i jednym tylko słowem poinformował rozmówcę, że jego Pepper to wyjątkowe zwierzę. Rutto szybko potrząsnął ręką.

- Nie porównuj naszych zwierząt z tymi merzami!

- No-no! Nie znam tego słowa, i w ogóle jest to pierwsze tego typu określenie jakie usłyszałem od Soyefcie. Dotychczas, jeśli chciałem usłyszeć coś mocnego musiałem kląć sam. Można? - wskazał ręką dzbanek. Drażniący nozdrza zapach, bardzo przypominający herbatę, od kilku chwil zaprzętał jego umysł, o wiele bardziej niż konwersacja.

Rutto poderwał się i napelnił czariki. Swoją Jonathan porwał, zanim jeszcze płyn przestał falować w naczyniu, a ścianki rozgrzały się. Napój przypominał do złudzenia herbatę, właściwie był nią, może jakimś nieznanym Jonathanowi gatunkiem, ale goryczka, garbujący język posmak i zapach, były jak najbardziej do przyjęcia. Jonathan siorbnął kilka razy, miną pokazał Rutto jak bardzo jest zadowolony, łyknął jeszcze raz i jeszcze. Nie zwracał uwagi na obfity pot tryskający ze skóry na czole, wypił niemal wrzący płyn i nie czekając na przyzwolenie, nalał sobie od razu drugą czarke.

- Mamy dużo mat-nate - powiedział wolno Rutto, a Jonathan zrozumiał, że wódz koczowników spróbował zawrzeć w tym prostym na pozór oświadczeniu dodatkową informację. Nie przerywając siorbania zerknął spod oka na nomada. - I możemy jej mieć ile chcemy.

- No to za korzystanie z mojego pomysłu, z modyfikacją tarczy... - wyjaśnił - ...zostawicie mi trochę.

- Dobrze - zgodził się Rutto, ale nie udało mu się ukryć w głosie lekkiego

rozczarowania. Zastanawiał się chwilę. - Dobrze, nie będziemy kołować...  
Wiesz równie dobrze jak ja, że chodzi mi o coś innego.

- O frachtwoły?

Jonathan wytarł spocone czoło rękawem koszuli i radośnie nasycony herbatą oparł się plecami o maszt. Rutto pokiwał głową.

Spóźnił się pół sekundy, pomyślał Jonathan. Powinien był zrobić to natychmiast. Albo robi to umyślnie, żeby mnie sprowokować do zadawania pytań. Albo, udając prostoduszność, chce mnie uspić... Ależ pyszna herbata...

- Trzeba je będzie, po pierwsze, trenować, muszą kojarzyć komendy z nagrodą. Dopiero wtedy zdobędą się na wysiłek. Ale powtarzam: moim zdaniem galopować mogą krótko!

- To też może być użyteczne.

- Pewnie, czasem trzeba uciekać - rzucił Jonathan i nie patrząc na Rutto, sięgnął po dzbanek, nalał sobie jeszcze jedną czarbkę, ale pił już nie tak zachłannie.

- Albo gonić - zaripostował gospodarz.

- Aha...

Rozmowa na chwilę zamarła. Adwersarze wykonali wszystkie możliwe, bez zwracania uwagi drugiego, manewry naprowadzające i osłaniające. Obaj czuli, że trzeba przejść do konkretów i obaj wiedzieli, że nie tylko Rutto był żywotnie zainteresowany dialogiem.

- Posłuchaj... Dobrze ci z nimi? - Rutto miał więcej do zaoferowania i dlatego zaczął pierwszy.

- Dobrze?... - Jonathan jeszcze raz zastanowił się nad swoimi odczuciami. - Jeszcze nie wiem. Wiem, że inaczej niż w domu...

- Nie chciałbyś przystać do nas?

Propozycja, wyrażona tak zdecydowanie, zaskoczyła Jonathana. Gość spodziewał się, że zaproponują mu podzielenie się swoimi tajemnicami

tresury frachtwołów, ewentualnie innymi przydatnymi w życiu koczowników sekretami Ziemi, ale pomyślał, żeby odjechać z nomadami i zamienić względnie wygodne życie w Oazie na ciekawsze, ale pewnie trudniejsze, nie doczekał się jak dotychczas nawet fazy teoretycznego rozważania. Jonathan wydał z siebie coś jak dźwięczne chrząknięcie, spróbował uśmiechem przekazać zaskoczenie i nierealność pomysłu, ale w tej samej chwili uświadomił sobie, że zalewa go fala wręcz entuzjazmu do propozycji Rutto. Szarpnął się podniecony i nie poderwał tylko dlatego, że czuwała w nim jeszcze jakaś chłodniejsza, pełna rozsądku i wyrachowania część umysłu. Mruknął jeszcze raz i pokręcił z niedowierzaniem głową. Wydusił coś na kształt śmiechu, ale zdawał sobie sprawę, że nie zmyliłby tym wymuszonym sztucznym śmiechem nikogo, a tym bardziej Rutto, opanowanego, wyrachowanego i spokojnego, który nawet swoją przegraną wykorzystał, w sposób korzystny dla siebie.

- Nie bardzo widzę siebie w roli koczownika - wykrztusił.

- Nie jesteśmy bandą włóczęgów, nie kradniemy i nie rabujemy.

Jonathan niespodziewanie parsknął śmiechem, czym udało mu się zaskoczyć Rutto.

- No to nie widzę dla siebie uroków w waszym życiu!

Rutto roześmiał się również.

- Byłbyś... - zobaczył coś za plecami Jonathana, zeszywniał. - Co?... - zamilkł zaskoczony.

Jonathan szybko obejrzał się, od drzwi pod ścianą przesunął się w jego kierunku Farmi. Nie spuszczał uważnego spojrzenia z Rutto i gdy koczownik poderwał się, wywracając taboret, zamarł na chwilę, potem - zadziwiając nawet Jonathana - po psiemu uniósł górną wargę, odsłonił wspaniałe kły i wydał z siebie niski werblujący skowyt. Jonathan szybko powstrzymał gestem Rutto i dopiero potem odwrócił się do gospodarza i



**zamarł widząc, że ten trzyma w ręku matowy cienki sztylet.**

**- Spokojnie, to mój kotun!**

**Rutto opadł z powrotem na taboret, głośno wypuszczając z siebie powietrze.**

**Sztylet rzucił na blat stołu, sięgnął po raz pierwszy po czarkę i z wyraźną ulgą łyknął mat-nate.**

**- Hollorewa! - Syknął z ulgą.**

**Jonathan popatrzył na niego, nie kryjąc lekkiego uśmiechu wyższości.**

**Cmoknął, Farmi natychmiast przysunął się i położył łeb na udzie człowieka.**

**- Podoba mi się, że używacie słownictwa, którego nie nauczyli się jeszcze miejscowi. Ale to trochę za mało żeby do was przystać. A poza tym boicie się kotunów...**

**- Nie żartuj - kto się ich boi! - parsknął lekceważąco Rutto. - Chociaż ten zachowuje się dziwacznie - wyciągnął dłoń i wycelował w Jonathana palec. -**

**Jak chyba wszystko, czego się dotkniesz. Ale wracając do mojego strachu. -**

**Jonathan zauważył, że jego żart dotknął Rutto. - One czasem wariują i wtedy są niebezpieczne - gryzą kogo spotkają, a to się kończy śmiercią w strasznych męczarniach.**

**- Jasne, znam tę chorobę. Ale Farmi nie jest chory, po prostu nauczył się wchodzić za mną nawet do domów - pogłaskał kotuna po głowie. -**

**Udowadnia... - przerwał, uświadamiając sobie, że jeśli dokończy jak zamierzał: "...że jest mi naprawdę wierny" - zdradzi**

**się z pewną nieufnością co do uczuć innych mieszkańców Nat-Conal -Le.**

**- wietnie radzisz sobie ze zwierzętami - Rutto nie zwrócił uwagi na wahanie**

**Jonathana. - Tym lepiej czułbyś się u nas. - Rzucił spojrzenie na zasloniętą**

**ścianą namiotu Oazę. - Oni już zupełnie... - zamilkł i długo patrzył na**

**kotuna. - Chcesz porozmawiać poważnie?**

**- Nic innego tu nie robię - Jonathan upił trochę mat-nate. - Możemy rozmawiać...**

**- Masz jakieś pojęcie o naszej historii?**

- Żadne. Zacząłem pobierać w Bazie Kamiennej naukę czytania waszego języka, ale kiedy zaczynałem czytać w crasa, Baza Kamienna popsula się i... już. Krycz dopiero dzisiaj w nocy wspomniał o incydencie z odejściem części plemienia, ze zdziwieniem dowiedziałem się, że jesteście odłamem plemienia żyjącego w Nat-Conal-Le... Co się wtedy stało?

Rutto siedział sztywno z napięciem wypisanym na twarzy. Dłonie leżące dotychczas na udach zacisnęły się w pięści.

- Baza Kamienna... nie działa? - wykrztusił.

- Nie.

Nie ulegało wątpliwości, że wiadomość wstrząsnęła nomadem. Zacisnął wargi i wykonał głową kolisty ruch wyrażający złość i bezsilność.

- Miałem nadzieję... - jęknął. - Sss... - stłamsił jakieś przekleństwo, uderzył pięścią w kolano. - Durnie! - popatrzył na Jonathana, nie kryjąc rozpacz. - To się musiało stać.

- Zginęła wasza przeszłość - stwierdził Jonathan.

- Wszystko - potwierdził Rutto. - Oni zakrzepli w sprego, odzwyczaili się...

- Poczekaj... Jeśli możesz opowiedz po kolei - Jonathan wyciągnął futerał z cygaretkami i poczęstował Rutto. Soyefcie odmówił gestem, Jonathan zapalił sam.

- Kiedy właśnie niewiele wiem. O to chodzi... Wiem tylko, że jakieś cztery pięć pokoleń temu, Entanek doprowadził do podziału w Nat-Conal-Le i wyprowadził część Soyefcie na wędrówkę. Uważał on, że plemię powoli wymiera, że traci kontrolę nad sprego, i że należy jakoś z tym walczyć albo poszukać źródła tej mocy jaką jest sprego. Większość nie zgadzała się z nim i została w Oazie, druga część, mniejsza, to nasi przodkowie. Wróciliśmy między innymi dlatego, że nasze poszukiwania nie przyniosły rezultatu. Nigdzie poza Ultene nikt nawet nie słyszał o czymś takim jak sprego, pomyśleliśmy więc, że należało zacząć od sprawdzenia odległej, jak najdalszej przeszłości, chodziło rzecz jasna o Bazę Kamienną. A teraz ty

**mówisz, że nie działa...**

**- Poczekaj, po kolei... Baza jest popsuta i może poczekać. Powiedz mi dlaczego Entanek burzył się... I przeciwko czemu?**

**- Sprego! Nasze dobrodziejstwo i przekleństwo - Rutto wstał i pochylony przespacerował się po namiocie. Dwa razy przeciągnął czołem po płachcie dachu, niecierpliwie trzepnął w nią ręką i w końcu usiadł z powrotem na taborecie. - Nie wiemy czym jest sprego, skąd się wzięło i dlaczego tylko Soyeffie mają zdolność, która pozwala tchnąć w martwe przedmioty siłę powodującą, że stają się niemal doskonale w swym działaniu. Spotkaliśmy w swej wędrówce wiele innych plemion i żadne nawet nie słyszało o czymś takim. Tylko my, a właściwie tylko oni... - znowu kiwnięciem głowy wskazał Oazę - ... mogą robić wygodne siodła dla każdego jeźdźca, nie tępiące się miecze i mnóstwo innych rzeczy, choć i tak mniej niż kiedyś.**

**- Wiatrochrapy - wtrącił Jonathan.**

**- Właśnie - Rutto skinął głową. - Wiele umiejętności zanikło. Nie wiemy dlaczego, tak samo jak nie wiemy skąd się ta moc wzięła. Możemy tylko przypuszczać, że jest rodzajem jakiejś zbiorowej siły duchowej, która słabnie w miarę jak słabną duchowo poszczególne jednostki - jak na nomada wyrażał się precyzyjnie, jasno dając dowody sporej erudycji. - To właśnie zauważył Entanek i dlatego chciał wyjaśnić źródła tej siły, widział bowiem, że słabnąc, stała się naszą pułapką - bez niej jesteśmy bezradni, a trzymając się kurczowo jej resztek, słabniemy coraz bardziej. Entanek widział dwa wyjścia z tej sytuacji: przywrócić sprego dawną moc, albo nauczyć się żyć bez niej. Oba wyjścia wymagały działania, a na to nie chciała się zgodzić większość mieszkańców Oazy.**

**Dlatego Entanek wyprowadził swoich zwolenników i ruszył na wędrówkę. Niemal natychmiast utraciliśmy znaczną część swojej mocy, mimo że mieliśmy ze sobą uznanych mistrzów. Dla Entaneka było to dowodem, że moc ta bierze się ze zbiorowości, zaczęły się dość długie spory, bo duża**

grupa uważała, że w takim razie należy wrócić i wspólnie spróbować odzyskać zdolności. Ale Entanek zapytał: A co zrobimy jeśli to się nie uda? Wyruszymy jeszcze raz? Stracimy tylko dużo czasu, lepiej już teraz założyć, że sprego nie wróci w dawnej postaci, próbować nauczyć się żyć bez tej magicznej pomocy i jednocześnie starać się wyjaśnić jego naturę, i - jeśli się uda - znaleźć źródło, z którego zaczerpnimy jeszcze raz. Udało mu się przekonać ludzi, im udało się z kolei nauczyć żyć, posługując niemal wyłącznie przedmiotami bez mocy sprego, czyli połowa zadania została wykonana. Nie udało się natomiast znaleźć jakiegokolwiek śladu sprego w krajach poza Ultene, a jeśli nawet, to tylko w postaci legend o magicznych przedmiotach.

- No, takie ślady można by znaleźć i na Ziemi. Cała masa baśni oparta jest na istnieniu magicznych przedmiotów: kije-samobije, latające dywany, dzbany z niewyczerpywalną zawartością, magiczne miecze, stoliki oferujące... - przerwał widząc, że Soyefctie ma trudności ze zrozumieniem wszystkich słów. - W każdym razie mamy podobne marzenia, tylko u was zrealizowały się. Przynajmniej częściowo - uzupełnił widząc grymas na twarzy Rutto.

- Tylko częściowo - potwierdził gospodarz. - I ta część jest coraz mniejsza.  
- I wróciliście... - pytanie zawisło w powietrzu.

Rutto westchnął, niemal w tej samej chwili przeciągle sapnął Farmi drzemiący u stóp Jonathana. Rutto odchylił się w bok, popatrzył na Farmi i pokiwał z podziwem głową.

- Nasz powrót jest częściowym przyznaniem się do porażki - powiedział niechętnie. - Chociaż jesteśmy... byliśmy gotowi żyć tu tylko tyle, ile trzeba było na naukę czytania i zapoznanie się z wiadomościami z Bazy Kamiennej. Rozważaliśmy również możliwość drugą - zostajemy i próbujemy razem nauczyć się żyć z resztkami sprego. Wykorzystamy nasze doświadczenia, połączymy to z tym, co się jeszcze daje wykorzystać i

**będziemy walczyć o swoje przetrwanie.**

**- Przetrwanie... - mruknął Jonathan. - Ja im mówiłem coś podobnego, ale...**

**- skrzywił się.**

**- Przetrwanie - potwierdził Rutto. - Nie da się ukryć, że nasz szczep, nasz odłam plemienia, po pewnym czasie dość pomyślnym, zaczął się kruszyć. Jest nas coraz mniej i między innymi dlatego postanowiliśmy wrócić tutaj. Przecież tu jest masa miejsca, a my nie boimy się pracy...**

**- Ale trafiliście na brak zrozumienia - uzupełnił Jonathan.**

**- Tak.**

**- Hm, to co mówisz jest ogólnie rzecz biorąc słuszne - Jonathan wstał i uchyliwszy płachtę namiotu wyrzucił niedopalek. Zaskoczony wpatrywał się chwilę w milczący tłum nomadów otaczający namiot, zerknął przez ramię na Rutto. Wódz wzruszył ramionami. - Ale jakie miejsce w tym wszystkim ja mam zająć?**

**- Dokładnie nie wiem, ale jesteś jak drąg, którym wreszcie można zamieszać w stojącej wodzie. Myślę, że jeśli przystaniesz do nas, po jakimś czasie sam albo przy naszej pomocy znajdziesz dla siebie miejsce i być może będziesz mógł nam wszystkim pomóc.**

**- To samo mogę robić mieszkając w Nat-Conal-Le, prawda?**

**- Częściowo tak. Ale oni śpią, śpią i nie chcą się obudzić! Stracisz wiele energii na budzenie, nie mając pewności, że ci się powiedzie. A u nas masz przynajmniej chętnych do współpracy ludzi, pomoże ci każdy i każdy chętnie pomoże mieszkańcom Oazy.**

**- Nawet jeśli oni tego nie chcą?**

**Rutto chwilę sapał, patrząc w blat stolika przed sobą.**

**- A jak ty sądzisz? - zapytał wreszcie. - Ja jeszcze nie wiem.**

**- Ja też. Wiem tylko, że najczęściej uszczęśliwianie na siłę kończy się fatalnie.**

**- Ale nie zawsze?**

- Nie mogę potwierdzić ani zaprzeczyć z przekonaniem.
- No to widzisz?!
- Nic nie widzę...
- Ale zauważyłeś, to o czym ci mówiłem?
- Tak, dlatego zabrałem się za Bazę.
- Może jeszcze da się coś z nią zrobić?
- Może, dlatego jestem skłonny pozostać w Oazie i czekać, próbować...  
Sama wędrówka nic nie da prócz wrażeń - Jonathan sięgnął do kieszeni i przypalił jeszcze jedną cygaretkę. - Nie przeczę - jestem bardzo tym zainteresowany, wasz świat jest fascynujący, sprzeczny ze sobą, niekonsekwentny, śmieszny czasem. Cholera, to by mi wystarczyło na całe życie - badanie tego wszystkiego. Ale teraz wyłonił się poważny problem, którego się tylko domyślałem i nie bardzo widzę jak w tej sytuacji można bawić się w pseudonaukowe badania. Chyba trzeba się skoncentrować...
- Przestaję cię rozumieć - wtrącił z westchnieniem Rutto.
- Nieważne. Najważniejsze jest to, że powinienem zostać w Oazie.
- Popelniasz błąd. Oni ci nie pomogą! - Rutto poderwał się i znowu spróbował się przejść po namiocie. Koczownik chyba niezbyt dobrze się czuł, siedząc tak długo pod dachem i to zmuszającym do siedzenia. - Albo nawet przeszkodzą - zatrzymał się przed Jonathanem i potrząsnął go za ramię. - Tak jak nam przeszkadzają.
- Myślę, że to jakieś nieporozumienie. Krycz...
- Krycz?! - wykrzyknął Rutto z goryczą. - Nie jest lepszy od innych. Jest fałszywy! Kłamca!
- Nie przesadzaj...
- Nie przesadzam! - Rutto niemal tańczył w miejscu. - Powiedział ci skąd się tu wziąłeś?
- Skąd ja się wziąłem? - powtórzył bezmyślnie Jonathan. - Skąd? - Wstał, ale poczuł, że zakręciło mu się w głowie. Plecami uderzył w maszt,

przestąpił z nogi na nogę, uderzył piętą w nos Farmi. Kotun warknął i odskoczył do tyłu. Mgła sprzed oczu zawirowała, zakłębiła się i zniknęła. Jonathan zgrzytnął zębami. - Chcesz powiedzieć...

- Tak, oni potrafią ściągnąć tutaj ludzi z dowolnego końca świata. Nieraz tak robili, i my tak robiliśmy, gdy byliśmy mieszkańcami Oazy. Po jakimś czasie człowiek wracał do siebie i najczęściej miło wspominał pobyt tutaj. Jednak teraz widzę, że sięgnęli

po człowieka zupełnie obcego i na dodatek trzymają cię tutaj dłużej niż kogokolwiek dotychczas, no i nie wyjaśnili ci powodów...

- Akurat to mnie najmniej obchodzi! - Jonathan chciał wywrzeszczyć te słowa, ale z gardła wydobył się raczej jęk niż pełny oburzenia krzyk. - Gdzieś mam rację Krycza. On mnie nie pytał, czy chcę spędzić urlop w Krainie Dobrej Magii!

- Masz rację, ale muszę przyznać, że dotychczas nigdy nikt nie był przez nas krzywdzony! Jeśli był tu, to korzyść z tego była obopólna. Krycz na pewno nie pozwoliłby sobie na wykorzystanie innego człowieka... - Rutto uderzył pięścią w kolano. - Coś musiało się stać, nawet podejrzewam, że wiem co. W każdym razie do ściągnięcia i odsyłania ludzi służyła Baza Kamienna. Jeśli aktualnie nie jest czynna, to... to może być właśnie ta przyczyna...

- Czekaj-czekaj! - Jonathan wychylił się i przechwycił dłoń Rutto. Zacisnął na niej swoje palce, aż zbieleły kostki. Nomad nie poruszył dłonią, spokojnie wpatrywał się w oczy Jonathana i czekał. - Soyefcie wypożyczali sobie ludzi? - Rutto skinął głową. - Po co?

- Dla wiedzy. Jesteśmy... byliśmy odcięci od innych plemion, a każda wizyta wносиła coś nowego do naszego życia. Dzięki temu wprowadzaliśmy te ulepszenia, które nas interesowały i były możliwe w naszych warunkach. Przyznasz, że to prosta i skuteczna metoda?

- Jak cholera! - Jonathan puścił rękę Rutto.

- Między innymi ci, co tu zostali, tak przekonywali siebie i nas: po co mamy

wędrować po świecie, skoro świat może przyjść do nas. A z tobą coś im nie wyszło, pewnie nie chcieli się do tego przyznać, może starali się znaleźć przyczynę, drogę powrotu i dlatego nie mówili ci wszystkiego. Trochę ich rozumiem, ale nie usprawiedliwiam. Między innymi dlatego Entanek się zbuntował. Uważał, i my tak dalej uważamy, że to jest gwałt zadany innemu człowiekowi, cokolwiek my i on sam o tym mówimy czy myślimy. No i wcale nie była to skuteczna metoda - często zamiast fachowca garniarza, na przykład, mieliśmy do czynienia z pijakiem albo trafiało nam się dziecko czy wariat.

- Ciągłe mówisz "my", "nam"...

- Przecież wtedy byliśmy jednym plemieniem - Rutto złączył dłonie żeby zobrazować jedność Soyeffie. - Kiedy się rozdzieliliśmy, Entanek zaszczepił nam zamiłowanie do przekazów ustnych, bardzo dbał byśmy nie zgubili swojej przeszłości jak ci tutaj. Spora część mojej wiedzy to właśnie przekazy, część - domysły. I wnioski, które nie mogą brzmieć inaczej.

W ciszy wypełniającej namiot usłyszeli trzeszczenie stawów Farmi, gdy ułożył się na klepisku. Za ścianą namiotu brzęknął jakiś metalowy przedmiot, krzyknęło dziecko. Jonathan słyszał to wszystko jak przez filtr akustyczny, słyszał dźwięki i potrafił je zidentyfikować, ale myśli krążyły jedynie wokół otaczającej ciszy i rozpraszał ją dźwięków. Dziecko płacze, pewnie przewróciło się o kocioł, pomyślał. Pewnie matka jeszcze dołożyła klapsa, a ja dowiedziałem się, że przez trzy miesiące robili mnie w konia i nawet nie potrafię się rozzłościć. Rutto mnie obezwładnił tą informacją. Wypruł ze mnie energię. Cholera... Jak oni mnie...

- Co mówileś? - potrząsnął głową i odnalazł spojrzeniem gospodarza.

- Mówię, że nie masz wobec nich żadnych zobowiązań...

- Wobec was chyba też?! - Zanim opanował niespodziewaną falę złości, wyrzucił z siebie kilka słów, zawstydzil się ich i natychmiast zbeształ



sam siebie za nadmierną delikatność uczuć. - Przepraszam, ale nie potrafię was od siebie oddzielić, moje pretensje dotyczą ogólnie Soyefcie. Muszę mieć trochę czasu, żeby to przemyśleć, uspokoić się...

- Rozumiem, ale my musimy najpóźniej jutro stąd odejść. Jeśli nam pozwolą, pobędziemy kilka dni na farmie satelitarnej, Drugiej - wstał dając do zrozumienia, że nie chce dłużej zatrzymywać Jonathana. - Musisz podjąć decyzję w ciągu kilku dni. Potem odejdziemy...

- Dobrze, zastanowię się. Chociaż nie wiem jaką wy z kolei przeznaczycie mi rolę... - Wstał i zrobił krok w kierunku drzwi, Farmi poderwał się i otarł się o nogę Jonathana. - I nawet mnie to nie interesuje, nie mogę się zmusić... Nieważne - machnął ręką.

Odsunął ręką płachtę namiotową i wyszedł z namiotu. Ostre południowe słońce oświetlało jaskrawo pejzaż, imtymna rozmowa w półmrocznym namiocie w zderzeniu z jasnym światłem na zewnątrz nabrała cech nierealności, po sekundzie Jonathan omal nie odchylił jeszcze raz płachty, żeby sprawdzić czy rzeczywiście w zaciemnionym wnętrzu siedzi przywódca nomadów, który przed chwilą oskarżył swoich współplemieńców o wyraźną manipulację przybyszem. Koczownicy jeszcze kilka minut temu otaczający namiot, dyskretnie wycofali się i tylko czwórka dzieciaków z jakimiś patykami w ręku przyglądała mu się, gotow

a prysnąć natychmiast, gdyby skierował się w ich stronę. W ich spojrzeniach dominowała i ciekawość, i nieufność, i trochę wrogości. Gdybym poszedł w ich kierunku pewnie by uciekli, tylko przedtem rzuciliby we mnie tymi swoimi patyczkami, pomyślał.

Odwrócił się i ruszył w kierunku oazy.

To nie jest mój świat. Nigdy nie będę taki jak oni, zawsze coś będę chciał zmienić na swoją modłę i to dla ich dobra. I zawsze będzie mnie irytować ich bezwład i przywiązanie do starego trybu życia, i będziemy się wyklócać

o każdy drobiazg udowadniając sobie nawzajem swoje racje. Tak będzie... Skierował się nie do najbliższej bramy miasta, ale poszedł, mając po lewej ręce ścianę, wzdłuż której godzinę temu galopował. W połowie drogi spotkał, mielącego w zębach jakąś gałązkę, Peppera. Frachtwół melancholijnie zerknął w jego kierunku, na chwilę przerwał przeżuwanie. Jonathan splunął ze złością na ziemię i w tej samej chwili coś przeleciało obok niego i z trzaskiem uderzyło w ziemię. Solidnej roboty produkt firmy Sony pod wpływem uderzenia, rozpadł się na dwie części, kasetka wyprysnęła w górę, zawirowała w powietrzu, strzelając słonecznym odbiciem we wszystkie strony. Jonathan przyglądał się jej aż upadła w piach i zamarła nieruchomo, potem odwrócił się. Siedmio-ośmiolatek z wyzwaniem na twarzy stał kilka kroków od niego. Miał ciemne ze złości oczy i mimo, że najwyraźniej bał się przybysza, który pokonał wodza jego plemienia, Jonathan czuł, że nie cofnąłby się ani o krok, gdyby Ziemianin zamierzał zemścić się za dewastację walkmana. Odwrócił się, chwycił za wlokącą się po ziemi wodzę i pociągnął frachtwoła do stada, a potem, zaledwie po kilku krokach, zaklął, zdarł z wierzchowca siodło, rzucił niedbale pod mur i nie oglądając się na Peppera powłókł do Oazy. W pokoju rzucił się na łóżko, naciągnął na głowę koc i niemal natychmiast zasnął.

Osiemdziesiąta trzecia doba, popołudnie

Ciche głosy ostrożnie wdarły się w uśpioną świadomość. Jonathan chwilę walczył jednocześnie z mętym snem i przykrytą tym snem świadomością, szarpnął się, zdarł z głowy skotłowany koc. W pokoju panował półmrok, jakiego nigdy nie udawało mu się osiągnąć - ściany albo jarzyły się pełną mocą, albo gasły całkowicie. W pomroce zobaczył siedzące przy stoliku

dwie postacie. Słyszając, że się obudził przerwały cichą rozmowę i wpatrzyły się w niego. Bezgłośny rozkaz rozjarzył ściany. Jonathan usiadł na łóżku. Czuł osłabienie jak po wysokiej temperaturze. Musiał kilka razy poruszyć językiem w ustach, zanim odważył się powiedzieć:

- Dobrze że jesteś, Krycz - przetarł twarz rękami. - Poczekaj...

Wstał, opanował lekki zawrót głowy i nie patrząc na Ziyrę wyszedł do łazienki. Gdy wrócił po kilku minutach odświeżony i nieco pewniej trzymający się na nogach, siedzieli nadal w tych samych pozach, w milczeniu wpatrzeni w drzwi, w których się pojawił.

- Czy to prawda, że to ty ściągnąłeś mnie tutaj? - zapytał od progu.

Krycz udzielił twierdzącej odpowiedzi, kiwając głową. Jonathan skwitował to pełnym wyrzutem spojrzeniem. Ziyra nie odrywała spojrzenia od podłogi.

- Podobno stale tak robicie? - Krycz ponownie kiwnął głową. - Możesz mi to wyjaśnić?

- Po pierwsze wyjaśnię dlaczego nie powiedzieliśmy ci całej prawdy.

Chociaż, gdybyś zapytał nas wprost, usłyszałbyś ją wcześniej...

- Nie rozśmieszaj mnie! Skąd mogłem wiedzieć jakie pytanie zadać? -

Jonathan podszedł do wnęki i duszkiem wypił zawartość zroszonego zimnym potem dzbana. Wytarł usta, odetchnął głośno. - To tylko dziecienny unik. - wietnie pamiętam, że trzeciego bodaj dnia pytałem o to kilka razy, a ty powtarzałeś: "nie wiem", "nie mam pojęcia" - usiłował przedrzeźnić Krycza, ale nie potrafił wykrzesać z siebie tyle ile chciał złości. - Prawda jest taka, że okłamaliście mnie, okłamywaliście i okłamywalibyście nadal, gdyby nie Rutto...

- Który też nie powiedziałby prawdy, gdyby nie miał co do ciebie innych zamiarów! - wtrąciła się Ziyra.

- Masz rację - roześmiał się z gorczy Jonathan. - Wszyscy tu mają względem mnie jakieś plany, w które wtajemniczają mnie tylko i wyłącznie wtedy, kiedy już naprawdę muszą. Ale wróćmy do sprawy - zawsze tak

**robiliście?**

**- Tak. Byliśmy do tego zmuszeni. Sam zauważyłeś, że jesteśmy odcięci od świata, musieliśmy próbować zdobywać wiedzę w taki, a nie inny sposób. Wiemy... Wiedzieliśmy... - poprawił się - ...doskonale jak odplacić innym mieszkańcom naszego świata za pobyt tutaj, nie zdarzyło się żeby ktoś narzekał. Dlatego twoje przybycie tak nas wytrąciło z równowagi - byliśmy bezradni.**

**- Nikt nie narzekał... - powtórzył Jonathan. - Ale też nikt tu nie chciał zostać, prawda?**

**- Nieprawda, niemal wszyscy chcieli. Nawet jeśli sami nie mogli korzystać ze sprego.**

**- No dobrze, wierzę. Ale spróbujmy wyjaśnić inne sprawy: powiedz mi co wy wiecie o sobie - skąd się wzięliście, dlaczego jesteście tak izolowani?**

**- Nie wiem, może odpowiedź zna Baza Kamienna, ale już od dawna nie funkcjonowała należycie. Mniej więcej sześć pokoleń temu Entanek wyprowadził część Soyefcie, a po jakichś dwu pokoleniach inny reformator, Waret, uświadomił sobie, że Entanek miał sporo racji, przynajmniej kiedy mówił, że jako naród wymieramy. Wtedy zaczęliśmy często, jak tylko mogliśmy najczęściej, sprowadzać tu obcych ludzi, szukając w nich możliwości jakiejś obrony przed... - Krycz zawahał się - ...przed tym wszystkim. Niewiele nam to dało, jedyna naprawdę pożyteczna rzecz to to, że sprowadziliśmy tu frachtwoły, przypadkowo, bo zamiast człowieka pewnego razu pojawiła się wśród nas ciężarna samica, od której wzięło się całe stado...**

**- Jak to? A frachtwoły nomadów?**

**- Oni spotkali je podczas swojej wędrówki i wykorzystali do swoich celów. To naturalne.**

**- I co dalej? - Jonathan przypalił cygaretkę i wypuścił duży kłęb dymu.**

**- Cóż, nie mieliśmy specjalnego wyboru...**

- Mielście, ale łatwiej było usprawiedliwić własną inercję - zaproponował Jonathan.

Krycz milczał.

- A co mogliśmy robić? - włączyła się do dysputy Ziyra.

- Właśnie - robić. Przynajmniej tyle ile zrobili koczownicy, nie siedzieli pasywnie, szukali ratunku, szukali!

- A co znaleźli?

- Zgoda, nic albo niewiele, ale tym niemniej mam dla nich dużo szacunku. -

Przespacerował się po pokoju, zatrzymał przy nakrytej płatem materiału maszynie, postukał w nią czubkiem buta. - Ale zostawmy moje odczucia, rozumiem, że ściągając tu kogoś nigdy

nie byliście pewni kogo albo co sprowadzicie? - Krycz skinął głową. - I w ten sam sposób ja się tutaj dostałem? - ponowne potwierdzenie ruchem głowy. - I nie mieliście kłopotów z odsyłaniem tych przesyłek z powrotem?

- Nigdy. Po raz pierwszy z tobą... - powiedział Krycz.

- Mogliście się tego spodziewać. Że kiedyś ten sposób zawiedzie, bo przecież sprego coraz częściej was zawodzi. - Popatrzył z wyrzutem na Krycza, ale stary Soyefcie wzruszył ramionami nie podnosząc wzroku. - Pewnie, powiedzieliście sobie, że nie macie wyjścia - parsknął z wyrzutem Jonathan. Cygaretką przestała mu smakować, strzelił niedopałkiem w kierunku ściany, uważnie przyjrzał się jak błyskawicznie gaśnie, a potem nagle, jak zimny niedopałek tonie w twardym kamieniu. Po chwili w tym miejscu nie było ani śladu.

- Możemy jeszcze raz spróbować... - powiedział wolno Krycz.

- Jeszcze raz? Spróbować? - Jonathan roześmiał się głośno. - A kiedyż to próbowaliście po raz pierwszy, co? Dlaczego znowu kła...

- Od razu, kiedy zorientowaliśmy się, że jesteś zupełnie inny od nas i od wszystkich, kogo dotychczas tu gościliśmy - przerwała Ziyra wyprzedzając Krycza.

- Wysłuchaj mnie, Jonathan - łagodnie wtrącił się Krycz. - I uwierz - żaden z naszych gości nie miał do nas pretensji. Pewnie, że byli z naszego świata, z innego wprowadzie kraju, ale nie był to dla nich taki szok jak dla ciebie, nie mieli tej wiedzy co ty i przeżywali tu tylko pewną przygodę. Zresztą niektórzy do końca uważali, że to miła przygoda. Mamy czyste sumienia jeśli chodzi o nich. Dopiero w twoim przypadku rzeczywiście można mówić o krzywdzie, było to dla nas takim samym zaskoczeniem jak dla ciebie i dlatego byliśmy bezradni. Powiedziałeś kiedyś: "sytuacja go przerosła" - to właśnie nas dotyczy.

Jonathan usiadł na łóżku, potem rzucił się do tyłu i ułożył z rękami pod głową. Nad sobą miał gładki, kamienny, miękko jarzący się sufit, uruchomiony myślowym rozkazem kórejś z dwu siedzących w pokoju osób. Ci ludzie posługiwali się magią, bez wątpienia dobrą odmianą magii, i właśnie przez to staczali się coraz w niebyt. Nie radzili sobie bez wspierania się nią, a ta zawodziła ich coraz częściej. Ich życie przypominało głodową śmierć mieszcucha, który nie potrafi wydoić krowy. Jeszcze kilka dni temu Jonathan uważał, że wystarczy żeby Soyefcie zrezygnowali ze sprego, albo przynajmniej nie opierali na nim swojej egzystencji, że wystarczy rozwinąć uprawę, hodowlę, odbyć kilka wypraw badawczych... Dzisiaj, po weryfikacji tego planu przez koczowniczą społeczność, skłonny był inaczej patrzeć na ich postawę pełną swoistej rezygnacji. Bo sam nie potrafił wymyśleć niczego, co mogłoby być planem ich ratunku. Przekręcił się na łóżku, usiadł.

- Jeśli myślicie, że jestem zły... - pokręcił głową. - Sam siebie nie rozumiem - jestem tylko zmęczony. I to wszystko - powiedział ze zdziwieniem. - Żadnej żądzy zemsty, satysfakcji, nawet nie chce mi się krzyczyć na was. Przy okazji - czy ty - spojrział po raz pierwszy na Ziyre - byłaś częścią owych wspaniałych wakacji?

Dziewczyna zachłysnęła się powietrzem, spurpurowiała, poderwała z

krzesła z zaciśniętymi pięściami, ale nie zdołała nic wykrztusić i wybiegła bez słowa z pokoju. Krycz pokręcił głową.

- To nie było męskie - powiedział. - Możesz mieć do nas pretensje, możesz zażądać, jak mówisz, satysfakcji, ale Ziyra to co innego. Chociaż prawdą jest, że nasze kobiety bywały kochankami przybyszy.

- Daj mi spokój, Krycz - rzucił Jonathan waląc się znowu na łóżko. - Nie jestem zdolny do logicznego działania. Im dłużej będę z kimś rozmawiał tym więcej wrogów sobie napytam. Chyba lepiej byłoby, gdybyś mnie zostawił samego. Muszę się z tym przespać...

- Rozumiem cię, ale muszę nalegać żebyś zmusił się jeszcze do wysiłku... - Krycz powiedział to takim tonem, że Jonathan usiadł na łóżku i przyjrzał mu się uważnie. - Jutro Rutto i jego ludzie odchodzą... - Soyefcie chrząknął kilka razy, zatarł suche dłonie.

- Możemy dzisiaj spróbować jeszcze raz odesłać cię z powrotem... Jest nas więcej niż zazwyczaj, możemy spróbować...

Słowa Krycza oszołomiły Jonathana. Otworzył i zamknął kilka razy usta, poruszył rękami.

- Rozumiemy, że twoja obecność tutaj... - Krycz wstał i zaczął chodzić po pokoju unikając wzroku Jonathana. - Sądzę, że zrobiłeś dla nas już wszystko co chciałeś i mogłeś, i to wcale nie jest mało. Przede wszystkim rozwiałeś moje wątpliwości - już wiem i postaram się przekonać współplemieńców, że muszą nastąpić zmiany. Że musimy się przygotować na całkowity zanik sprego, naszych umiejętności wywoływania go i korzystania zeń. Być może powinniśmy połączyć się z Rutto i wszyscy razem ruszyć na wędrówkę?... Może oni zostaną tutaj...

- Nie sądzą.

- Szczerze mówiąc ja też, ale może przynajmniej spróbujemy ugasić wzajemną niechęć. - Przystanął i popatrzył przez ramię na Jonathana. - Powinieneś wrócić... Ale nie wiem czy to się uda.

-- Oczywiście, że wrócę! Sama moja obecność spowoduje, że Soyefcie będą się opierali nowym porządkom - usłyszał pełną goryczy odpowiedź.

Krycz podszedł do niego, zatrzymał się pół kroku przed Jonathanem.

- Za jakiś czas, kiedy wszyscy ochłoniemy, kiedy większość zrozumie, że sprego trzyma nas w... piekle - tak to nazwałeś kiedyś? - z którego nie ma wyjścia, wtedy dla nikogo nie będzie ulegało wątpliwości, że to ostatni przybysz...

Jonathan poderwał się z łóżka, chwycił za ramiona Krycza i lekko nim potrząsnął.

- To brzmi niemal jak mowa pogrzebowa, w najlepszym wypadku pożegnalna, a przecież ja wcale jeszcze nie zdecydowałem...

- Nie, musisz zdecydować dzisiaj, teraz. Kiedy odejdą koczownicy twoje szanse na powrót zmniejszą się nieskończenie. I w ogóle - kiedy już uprzytomniłem sobie, że sprego nie jest już tak pewne...

- Sądzisz, że z każdą chwilą jest gorzej?

Krycz pokiwał głową. Jonathan skrzywił się i poszedł jeszcze raz do wnęki. Został tylko gorący napar, którego używał zamiast herbaty. Poczuł gwałtowniejsze bicie serca na myśl, że być może za kilka godzin będzie z powrotem u siebie, w swoim świecie z herbatą, whisky, telewizją i samochodami. I rasizmem, głodem, przemocą i chorobami. Niemal jednocześnie zrozumiał, że nie cieszy się tak, jak się spodziewał. Nalał do kubka płynu.

- Krycz? Ten wasz Tra, nie zdążyłem z tobą o nim porozmawiać... To nie może być przypadek ani naturalny satelita. Opowiadałem ci o naszym podboju kosmosu, wszystko mi się zgadza - zapalił się, odstawił kubek, ale Krycz uniósł rękę.

- Widziałem z murów co robiłeś przez kilka ostatnich nocy. Chodziło ci, żeby zobaczyli regularne sygnały?

- Tak.



**- Będziemy tak robić dalej.**

**- I...**

**- Jonathan, wszyscy czekają w Bazie Kamiennej - łagodnie przerwał Krycz.**

**- Aha... No tak...**

**Nagle zrozumiał, że nie bardzo ma ochotę na powrót, w głowie kotłowały się bezsensowne, jak zawsze tuż przed odjazdem, pytania, bezładne polecenia, kołatała się myśl, że coś ważnego jest jeszcze do zrobienia. Przełknął gęstą ślinę, popił ciepłym wywarem. Rozejrzał się po pokoju.**

**- Zabiorę maszynę - powiedział Krycz.**

**- Dobrze. Nie, zostaw... Jeśli uda mi się wrócić to przy najmniej będę wiedział, że to wszystko nie było snem. I w ogóle - miałem zamiar przestawić się na coś... - Uświadomił sobie, że dygoczą mu ręce i nie bardzo panuje nad nerwowym słowotokiem, zacisnął dłonie w pięści. - Nieważne. Ale zostaw ją tu. I czy mógłbym pożegnać się z Ziyrą?**

**- Poczekaj chwilę. A potem przyjdź do Bazy.**

**Jonathan skinął głową i ciężko usiadł na krześle.**

**Krycz wyszedł, a po chwili do pokoju weszła Ziyra.**

**Osiemdziesiąta trzecia doba, ostatnia,**

**wieczór**

**Sarfaneill czekał na Jonathana na ostatnim schodku. Nie otwierając ust przywitał się skinieniem głowy i ruszył pierwszy. Dopiero na dole wskazał kciukiem korytarz, kończący się obłaskawionymi przez Jonathana drzwiami i powiedział z satysfakcją:**

**- Działają znakomicie, cztery razy próbowałem i zobacz! - pokazał**

**Jonathanowi twarz i widząc, że ten nie rozumie o co chodzi, wyjaśnił nieco niecierpliwie: - Nie mam guza ani siniaka!**

**- Dobrze, mam nadzieję... - Jonathan urwał i idąc za kowalem, usiłował**

sobie przypomnieć co chciał powiedzieć, ale roztrzęsiony mózg zachowywał się całkowicie nieodpowiedzialnie: najważniejsza jego część, gwarantująca sensowne, możliwe do zwerbalizowania myślenie przypominała wirującą kulę z otworami, przez co myśli nie mogąc trafić do sedna, odbijały się od jej powierzchni i powtarzały ten manewr do znudzenia, nic nie osiągając.

- Sarfaneill... Trzeba... Trzeba obliczyć długość waszej doby, dnia i nocy - szybko zaczął Jonathan, łapiąc w końcu jakąś sensowną ideę. - Czas to podstawa wszystkich innych nauk stosowanych, bez niego nie będzie geografii, astronomii, fizyki, historii i... tej, no... Trzeba to zmierzyć, wiesz - podzielić dzień na równe części i noc też, rozumiesz? - Szedł za kowalem i przemawiał do jego pleców, nie mogąc powstrzymać się od histerycznego gadulstwa. - I frachtwoły, muszą być regularnie trenowane, bo jeśli nie wytrzyma ich układ krwionośny, to dopiero za kilka pokoleń będą mogły swobodnie długo galopować, wiesz? Poza tym musicie, absolutnie koniecznie musicie, porozmawiać z ludźmi Rutto. Oni wiedzą więcej o waszej planecie niż wy. Niech powiedzą czy gdzieś są owady, ptaki inne zwierzęta... - Potknął się, niecelnie stawiając stopę, zachwiał, ale odzyskał równowagę. Kowal obejrzał się, ale widząc, że Jonathan nadal idzie, nie patrząc w żadną konkretną stronę skinął głową i kontynuował marsz. - Tra, to jest duża rzecz! Ktoś tam z orbity podgląda was, a jeśli stacja jest pusta czy może porzucona, to i tak musicie się do niej kiedyś dostać - dokonacie od razu dużego skoku w podboju przestrzeni kosmicznej. Szkoda, że nad Ziemią nikt nie umieścił takiego gotowego pojazdu do skopiowania. Przydałby się nam. Wam też się przy... - urwał, gdy skręcili w uliczkę, przy której znajdował się budynek Bazy Kamiennej i zobaczył gęsty tłum, ciasno zbitą populację Nat-Conal-Le. Potknął się jeszcze raz na równej drodze, przyspieszył, dogonił Sarfaneilla, chwycił za rękaw i przytrzymał. - Powiedz Ziyrze...

- Na pewno wszystko już jej powiedziałaś - mruknął kowal, delikatnie

uwalniając rękę z uchwytu Jonathana. - Weź się w garść. Krycz powiedział, że zostaniesz w naszych legendach. Chciałbyś, żeby kończyły się opisem rozdygotanego mięczaka?

- Mięczaka na pewno nie... W legendzie... Tylko pamiętaj - czas!

- Ciii! Będę pamiętał. Idziemy - Sarfaneill chwycił Jonathana za łokieć i starając się nadać temu gestowi odcień poufalej niedbałości w rzeczywistości pociągnął Jonathana za sobą. - Już nic nie mów, dobrze? Wbili się w ciasny tłum, który zaczął tworzyć wąski szpaler. Mijali bardziej i mniej znane Jonathanowi twarze, osoby... Nikt się nie odzywał, a w ich wzroku Jonathan nie mógł odnaleźć ani aprobaty dla siebie i swojej decyzji, ani jej potępienia. Przez cały czas cisnęły mu się na usta dziesiątki i setki słów, które akurat teraz uznał za ważne i potrzebne wszystkim dookoła, łącznie ze sobą samym. Resztką chłodnej woli nakazywała mu milczenie i właściwie całą energię tracił w tej chwili na walkę z samym sobą. Jeszcze mniejsza cząstka świadomości podpowiadała mu, że wielkimi krokami zbliża się kryzys, a już zupełnie mikroskopijny ułamek duszy, ten który podsuwa samokrytyczne myśli, rechotał, głośno wykrzykując: "Popatrz na siebie, bohaterze! Dygocą ci nogi, gardło masz wyschnięte tak, że nawet człog by w nim nie zamieszkał, ząb uderza o ząb!"

- Cicho! - wymruczał Jonathan przez zaciśnięte szczęki. Kowal zerknął na niego i mocniej ujął pod ramię. Zbliżali się już do wejścia, tutaj tłum dzieliła wyraźna szczelina - mieszkańcy miasta nie chcieli mieszać się z grupą nomadów, tamci również nie garnęli się do tego. Dzieliła ich niewielka przestrzeń, ale w tym spoistym tłumie nawet dwustopowy odstęp znaczył tyle co Wielki Kanion. Ta wydłużona luka, prowadząca od murów jednego domu, w poprzek ulicy, do ściany przeciwległego budynku, nagle uspokoiła

Jonathana. Był to tak wyraźny przeskok z chaosu bliskiego szaleństwa do

względne spokoju, lekkiego podniecenia, że organizm zareagował na to obfitym wydzielaniem potu. Jonathan przetarł czoło rękawem przedramienia, ze zdziwieniem skonstatował, że wygląda jakby został zamoczony w wiadrze wody.

- Poczekaj - powiedział do Sarfaneilla. Kowal jeszcze mocniej zacisnął palce na jego ramieniu. - Puść mnie! - wrzasnął rozjuszony Jonathan.

Zaskoczony kowal zawahał się, zwolnił, jego uścisk stracił nieco na mocy.

Rutto, który stał w pierwszym szeregu swoich ludzi, poruszył się, jakby chciał przyjść Jonathanowi na pomoc. Sarfaneill puścił ostatecznie Jonathana, ale odwrócił się i otworzył usta.

- Nic nie mów - syknął Jonathan. - I nie bój się - nie zmienię decyzji! O to ci chodzi? - Kowal zastanawiał się chwilę i w końcu skinął głową. - No to tym się nie przejmuj, Krycz będzie miał swoją legendę na początek nowej ery, nowej rasy, nowego życia.

Może nawet początek religii? - pokręcił głową i wszedł na pierwsze dwa stopnie. Odwrócił się, obrzucił zgromadzonych spojrzeniem. Korciło go żeby powiedzieć coś, nawet nie specjalnie mądrego, wręcz przeciwnie - palnąć jakieś głupstwo, żeby ująć tej chwili nieco powagi. Ktoś położył mu na ramieniu dłoń, obejrzał się. Krycz stał za nim z zaciśniętymi ustami i wzrokiem tak pełnym błagania jak tylko było to możliwe. Jonathan patrzył chwilę na niego, potem ledwo dostrzegalnie skinął głową i wszedł do budynku Bazy Kamiennej.

Było pusto. Jonathan spodziewał się czegoś podobnego do obrzędu religijnego, ołtarza, Krycza w roli kapłana i - oczywiście - tłumu wiernych. Budynek był jednak pusty. Krycz, bez najmniejszej zmiany w codziennym ubiorze, żadnych ozdób na ścianach. -wietliste barielefy, piękne i jak zawsze wyraziste, stanowiły tło, ale Jonathan musiał przyznać w duchu, że jest to oprawa godna największego monarchy. Krycz wskazał ławę, na której Jonathan uczył się czytać i ruszył do niej pierwszy.

- Staraj się o niczym nie myśleć prócz jednego - opisz w myślach jak najdokładniej miejsce, w którym chciałbyś się znaleźć.

Jonathan skinął głową:

- Bezpośredni adres teleportacji - powiedział z pewną dozą ironii.

Krycz znieruchomiał na chwilę, przepuścił słowa Jonathana przez zasób angielskiej leksyki i w końcu skinął poważnie głową.

- Czy masz nadzieję, że kiedyś uda się wam samym podróżować? Do mnie? Na Ziemię?

Soyeftie zamyślił się znowu. Jego spojrzenie straciło nieco na ostrości, najwyraźniej odleciał myślami daleko w czasie i przestrzeni.

- Chciałbym żeby tak było. Ale... - zawahał się. - ... Nie wiem czy wtedy będzie nam to potrzebne.

Jonathan przekręcił głowę jakby chciał lepiej usłyszeć słowa Krycza.

- Jeśli potrafimy ujarzmić sprego to czyż nie będziemy potężniejsi od wszystkich? W tym i od was?

- To się chyba nazywa megalomania - powiedział wolno Jonathan.

- Raczej wiara we własne siły. I to ty usiłowałeś ją nam zaszczepić, nie pamiętasz?

- Nie bardzo, ale niech będzie. A wracając do odwiedzin - jeśli będziecie potężniejsi od nas, to czy nie możecie mimo to nas odwiedzić? Uważasz, że silniejsi odwiedzają słabszych tylko jeśli zamierzają ich podbić? I jeszcze jedno... - powstrzymał odpowiedź Krycza uniesieniem ręki. - My też będziemy się rozwijać, już dzisiaj mamy ludzi, którzy potrafią co nieco robić przy pomocy umysłu. Ludzkość nie lubi stać w miejscu, czasem wyczynia dzikie skoki w nieprzemyślanych kierunkach, ale generalnie posuwa się do przodu. - Położył obie dłonie na ramionach Krycza, zacisnął je na chwilę. - Gońcie nas!

Odwrócił się i skierował do ławy. Zaraz po zajęciu miejsca pochylnia mrugnęła światłem, a potem w ułamku sekundy ściany boczne zgasły i na

krótką chwilę zapanowała nieprzenikniona ciemność. Pochylnia rozbliła na ułamek sekundy, niemal jak stroboskop, potem jeszcze kilka razy, aż rozjarzyła się zwolna i świeciła stabilnie. Jonathan usłyszał jakiś pomruk z tyłu, ale już cęgi Bazy Kamiennej chwyciły go za głowę, tak, że nie zdołał odwrócić jej i sprawdzić źródła dźwięku. Zresztą już po chwili zrozumiał, że to tłum Soyefcie rozpoczął jakąś melorecytację, zupełnie inaczej brzmiącą niż hipnopieśń, ale również całkowicie odmienną od jakiegokolwiek ziemskiej kadencji. Pieśń w dziwny sposób potężniała, wcale nie stając się głośniejszą, jakby nowi wykonawcy włączali się do chóru, który jednocześnie, o precyzyjnie odmierzonej ułamkiem decybeli, osłabiał siłę głosu. Jonathan poczuł, że jest całkowicie unieruchomiony, choć umysł ma jasny, zmysły wyostrzone. Udało mu się w kantacie mrużanej w nieznanym mu języku wyróżnić słowa: "Jonathan" a potem "teicho" czyli w crasa "Ziemia". Ekscentryczny rytm songu porywał i odświeżał, Jonathan poczuł, że całe zmęczenie, całe wyczerpanie fizyczne i psychiczne zanika, uświadomił sobie, że ma tak mocny, ostry wzrok, że jest w stanie niemal przebić ściany i wreszcie zobaczyć co jest poza granicami Ultene. Oddychał tak rzadko, tak głęboko i mocno, że niemal uwierzył w możliwość powalenia swoim tchnieniem drzewa. Przestał odczuwać więzy Bazy Kamiennej, po prostu siedział nieruchomy jak głaz, bo tak chciał i tak mu było wygodniej. Rytm songu Soyefcie uległ lekkiemu zakłóceniu, ale po kilku sekundach wrócił do kołyszącego, monotonnego, równego zaśpiewu. I wciąż potężniał, nie stając się głośniejszym. Nagle w kolano Jonathana uderzyło coś twardego, uciekł na chwilę z transu, by zobaczyć Farmi poszturchującego jego nogę czubkiem nosa. Jonathan usiłował wyrwać się na chwilę z okowów pieśni, ale nagle ogarnęło go zubożenie na całość otaczającego świata i siebie samego. Niewidzialny słup twardego powietrza uderzył go w klatkę piersiową, zapierając dech i

wywołując lekki przelotny lęk. Przestał oddychać i natychmiast ból ustał, świat przed oczami podzielił się na poziome pasma jak na ekranie popstutego telewizora, ściana-pochylnia, poszatkowana na równe plastry, rozjechała się, niektóre z pasów zawirowały, przecinając się wzajemnie. W uszach zapulsował niski basowy werbel, pod mostkiem odezwał się ostry kłujący ból...

## **Epilog**

W otaczającą ciemność, poprzez zamknięte powieki, uderzyła mocna aż do bólu jasność. Powieki zatrzepotały, Jonathan usiłował otworzyć oczy, poruszył głową.

- Życ to on żyje, ale wygląda jakby niedługo miał się z tego cieszyć - usłyszał z ciemności.

Szarpnął głową. Któraś z kolei próba przyniosła zamierzony efekt - udało mu się podnieść powieki, ale mocny blask zmusił go natychmiast do zamknięcia oczu.

- Zabierz światło! - polecił drugi głos. - Gdzie ta cholerna karetka!

-wiatło zsunęło się z jego twarzy, ponownie otworzył oczy. Dwie czarne sylwetki przecinały ciemne, wieczorne albo poranne niebo.

- Krycz? - szepnął Jonathan.

- Co mówi? - zapytał głos, który odezwał się jako drugi. - Krzycz? - pochylił się nad Jonathanem. - Nie krzyczeć? - odczekał chwilę. - Proszę leżeć spokojnie, zaraz będzie lekarz...

- Boli coś pana? - wtrącił się pierwszy głos. Jego właściciel również pochylił się nad Jonathanem. Miał identyczną, jak drugi głos, dużą narośl na głowie.

- Nie boli... - stęknął Jonathan. Nie czuł własnego ciała, tylko z położenia sylwetek domyślał się, że leży. Wydało mu się nagle, że jest odcieleśnionym mózgiem. - Każcie rozjaśnić... - poprosił. - Prawie nic nie widzę...

- Jest ciemno. O piątej rano w listopadzie jest jeszcze ciemno.

- W listopadzie... Listopadzie?! - umysł zawirował, zakłębił się. Odnalazł odpowiedź na pytanie i zmusił usta do powiedzenia: - Ziemia?

- Ziemia, tak-tak! Spokojnie, ziemia - uspokoił Jonathana pierwszy głos.

- O! Chyba już ich słyszę - Drugi cień odsunął się od Jonathana, wyprostował i wtedy w tej sylwetce Jonathan rozpoznał policjanta

- Policja? - zapytał.

- Tak, policja. I już pędzi do nas lekarz - policjant jeszcze raz strzelił światłem w twarz Jonathana. - Ty! Chyba go poznaję? Pamiętasz - trzy miesiące temu? Autor powieści science-fiction... Brown? Borrougs? Burns!!! Tak, pan jest Gregory Burns? - pochylił się nad Jonathanem. Jonathan nie zdążył odpowiedzieć, ogłuszył go jęk syreny, szum silnika, a potem pisk hamulców gdzieś za głową. Zaraz potem szczęknęły drzwi, szurnęła czyjaś stopa na suchym asfalcie.

- Co jest? - zapytał nowy rażny głos.

- No, znaleźliśmy tego człowieka tutaj... - powiedział policjant. - Pół godziny temu jeszcze go tu nie było, a teraz jedziemy, patrzymy - leży. Według naszego rozeznania to Gregory Burns. Mieszka około osiemnastu mil stąd, zaginął jakieś trzy miesiące temu...

Lekarz już klęczał przy głowie Jonathana. Chwycił coś palcami i podniósł, Jonathan przesunął gałki oczne, żeby stwierdzić, że to coś, to jego własna ręka. Lekarz badał puls, potem strzelił skoncentrowanym promieniem światła z latarki w jedno, a potem drugie oko.

- Nosze! - zawołał w ciemność. Podniósł się z klęczek. - Są jakieś ślady na jezdni? Może potracił go jakiś samochód?

- Nie, żadnego hamowania, nie ma okruchów szkła ani lakieru, ale teraz jeszcze jest ciemno. Przypilnujemy to miejsce, jak się rozwidni przyjedzie ekipa z kryminalnej, może się coś wyjaśni.

Jonathan poczuł, że ktoś unosi go w powietrze, ciało zaczynało odbierać



zewnątrzne bodźce, ktoś już w powietrzu okrył go kocem, potem ułożono na noszach. Pisnęły kółka, postacie policjantów przesunęły się, jak za oknem ruszającego pociągu i zniknęły Jonathanowi z oczu.

- Popatrz... - usłyszał jeszcze głos młodszego z policjantów - ...jakby nas ta stara Hitchkins nie wezwiała, tobyśmy może więcej wiedzieli. Przecież zawsze tu niedaleko mamy o tej porze krótki postój, prawda?

- Może i tak - warknął drugi. - Ale nie podoba mi się twój ton. Sensacji ci brakuje?

- Och, nie przesadzaj. W końcu nie co dzień znajduje się zaginionego pisarza. W tej okolicy...

- W tej okolicy grasuje podobno ogromny kot! - kpiącym tonem powiedział starszy. - I żeby zadowolić starą... - intonacją udzielił młodszemu nagany za używanie tego określenia - ...Hitchkins od rana zajmiesz się tą sprawą!

- Kotem? - jęknął młodszy.

- Właśnie tym kotem! - zdecydowanie zdusił dyskusję w zarodku starszy. Nad głową Jonathana pojaśniało, sanitariusze wsuwali go do wnętrza karetki.

- Panie doktorze? On się uśmiecha! Panie doktorze?!

Wrocław 1991

K O N I E C